

Aleksander Dumas

F. Le Prince

Upadek hrabiego Monte Christo

I

Wywyższenie i upadek

Bywa, że nieszczęście nas dotknie a los prześladowuje. Mimo to jednak nie brakuje ludzi, którzy z uśmiechem, z duszą rozradowaną, przychodzą do nas byśmy brali udział w ich uciechach dopóki niedola nie zniszczy, zupełnie uroku naszego poprzedniego szczęścia.

Jedynie ten urok ściąga do nas ów świetny orszak, zwany pięknym światem, który nie opuszcza nas nawet wówczas, gdy wie, że cierpimy pod ciężarem niedoli.

Baronowa Danglars musiała pochylić czoło pod takim strasznym ciężarem. Pomimo to zapraszała do domu pierwsze znakomości z bulwarów de Gent. Jej wyzłacane salony porównywano z tymi w Paryżu, w których najlepiej umiano w ciągu kilku godzin przyjąć i zabawić niezliczony tłum graczy przy zielonym stoliku, którym zdaje się nigdy nie brakuje, pieniędzy i ochoty do gry.

Dumny i ambitny umysł baronowej Danglars, jej smukła postać, arystokratyczna blada twarz, piękne czarne oczy, które to iskrzyły się i pociągały ku sobie, w miarę tego jak jej piersi rozdymało słodkie uczucie, to ścieśniały się opanowane pychą, wszystko to przyczyniało się do zgromadzenia w jej salonach liczego towarzystwa. Tym, co żyją wśród silnych wzruszeń, kobieta taka jak baronowa Danglars, nie mogła się nie podobać. Jej lekceważący uśmiech, postać stanowcza i odważna, ale łagodna i skora do oddania, gdyby umiano ją pokonać; wymowne i pełne ducha spojrzenie, nadzwyczajna ruchliwość i lekkość — sprawiły, że młodzież zaliczała ją do kategorii lwic, chociaż już dawno przekroczyła wiosnę życia.

Tego stopnia poważania używała baronowa Danglars w roku 1837.

Jednej z wrześnieowych nocy tego roku salony pałacu zapełniały się z wolna. Baronowa przebiegała z miejsca na miejsce, mówiła żywo to z tym, to z owym i

słuchała komplementów roju jegomości, którzy za nią chodzili albo wyczekiwali na miejscach, któredy musiała ona, według ich mniemania, przechodzić.

— Mój Boże, cóż za melancholia, panie Beauchamp! — rzekła do jednego z panów, którego surowa fizjonomia przyjęła ponury wyraz, obliczony bez wątpienia na to, by kazać się domyślać jakiegoś tajemniczego nieszczęścia — Można by sądzić, że pan jesteś gotów spłatać nam jakiego figla, bo, jak słyszałam, przegrałeś zeszłego tygodnia...

— Nie, baronowo, nie! Mylisz się pani. Nie mam zwyczaju pamiętać o tym, co przegrałem, a tym mniej gniewać się o to. Nie gram dla zysku i niesprawiedliwym, jest ze strony pani inaczej przypuszczać.

— Ale wygląd pana rzeczywiście mnie zaniepokoił — odparła baronowa z ironicznym uśmiechem klepiąc go po ramieniu. — Opowiedz mi pan, by mnie z troski wyzwolić, najświeższe wiadomości.

— Od kogóż żądasz tego piękna baronowo? Czyż nie masz tu pana Lucjana Debray, który może pani udzielić najlepszych?

— Cóż to ma znaczyć, mój panie? Daj pan spokój ministrowi, zatopionemu zdaje się w swoich wielkich pomysłach. Niech mnie Bóg broni, bym mu jego mrzonki przerywała. Gotów mi tłumaczyć projekty prawne, a to zawsze jest takie nudne.

— Biedny Debray — szepnął Beauchamp — on nie zasługuje na pani ironiczne słowa. Z mojej strony przyznaję, że on lepiej sprawuje urząd ministra, niżli wielu innych jego poprzedników.

— Chciałabym równą monetą odpłacić panu ze względu na pański nowy urząd królewskiego prokuratora. Radzę: nie skończone pan przynajmniej jak pański poprzednik!

Lekki rumieniec wystąpił na twarz baronowej, zmieszała się na chwilę, jakby żałowała ostatnich słów.

— Nie, pani baronowo — odrzekł Beauchamp. — Jestem pewny, że mnie to nie spotka, przynajmniej nie z tej samej przyczyny! Gdy zaś wspomniałaś pani o

królewskim prokuratorze, o którym radbym na zawsze zapomnieć, ile razy wieczorami, wchodzę na salony pani...

— Mój panie!

— Przebacz baronowo; nikt nas nie słyszy, ani nie domyśla się, o czym mówimy! — ciągnął dalej urzędnik.

— Dosyć panie Beauchamp, dosyć! Wiem, co mi pan chcesz powiedzieć; to mnie męczy i nudzi okropnie, nie wiesz pan o tym? Pytam o nowiny, aby usunąć zakłopotanie, które obudziło we mnie pańskie smutne i surowe oblicze. Te mi pan opowiedz, jak wówczas gdyś pan był zwykłym dziennikarzem; to weselsze i stosowniejsze.

Przy tych słowach Beauchamp stanął i wpatrzył się w mówiącą, jakby chciał z jej rysów wyczytać wnętrze duszy.

— Patrz pan! — zawołała baronowa, śmiejąc się w najpowabniejszy sposób — Dawny dziennikarz może teraz być już tylko urzędnikiem!

— Nie, baronowo, wobec pani zostanę zawsze tym samym, racz mi pani wierzyć. Chociaż nowiny, których się pani domagasz, nie pochodzą z ust dziennikarza.

Beauchamp wymówił ostatnie słowa umyślnie z takim naciskiem, że pani Danglars zaczęła drżeć.

— Dlaczego nie? — zapytała, usiłując ukryć niepokój — Czyż się pan uparł, bym tej nocy umarła z obawy?

— Nie mogą pochodzić z ust zwykłego dziennikarza — kontynuował Beauchamp — ponieważ dotyczą damy, którą urzędnik nadzwyczaj wysoko poważa i szanuje. To wszystko!

Ze sposobu mówienia i z wyrazu jego spojrzenia baronowa Danglars domyśliła się, że nie powinna dalej nacierać, chociaż koniecznie chciała wiedzieć, czy nowina jej dotyczyła. Wykręciła się więc na piętach i rzekła:

— Dobrze. Z tego samego powodu i ja cenię tę damę. Zachowaj pan swoją nowinę dla siebie.

Baronowa Danglars przegrała w tej grze, Beauchamp pozostał nieczułym.

— Twoje oblicze jest z brązu! — szepnął patrząc za odchodzącą — Tymczasem ja jeden, z wszystkich którzy cię otaczają, nie pozwolę się oszukiwać. W twojej przeszłości jest straszna tajemnica, którą umiesz ukrywać dobrze przed oczyma świata, ale moim ona nie ujdzie! W twoim obecnym życiu jest coś niegodnego, podłego, a ty umiesz to z piekielną zrećnością ukrywać w głębi marmurowego serca! Ale to nic! Jestem panem ważnej tajemnicy twojej przeszłości; pracujmy nad odkryciem tego, co się odnosi do terażniejszości.

Beauchamp spostrzegł, że ktoś za nim przeszedł, jakby chciał z nim mówić.

— Mogę mieć przyjemność powiedzieć panu parę słów, panie Beauchamp?

— Pan minister! Jestem do usług!

— Musisz pan wiedzieć, jak bardzo zajmuje mnie to wszystko, co się odnosić może do spokoju i bezpieczeństwa nas wszystkich — mówił Debray kierując się z Beauchampem do małego pustego saloniku — zatem spodziewam się, że pan, będąc na moim miejscu, zaniepokoiłbyś się bardzo widząc twarz królewskiego prokuratora ponurą i zakłopotaną.

— Wybaczy pan, odbywam dopiero nowicjat, nie umiem jeszcze okazywać zimnego spokoju jak to urzędnik czynić powinien.

— Źle pan sobie tłumaczysz moje myśli, panie Beauchamp. To nie był zarzut z mej strony. Wiem bardzo dobrze, że i urzędnik jest człowiekiem. Moja policja, doniosła mi o rzeczach, do których nie przykładam żadnej wagi; widząc jednak pana zaniepokojonym, muszę chyba wierzyć temu, co mi wczoraj powiedziano: honor damy, którą poważam, i szanuję jest w niebezpieczeństwie i z tego powodu ośmielałam się pytać pana, panie Beauchamp...

— Więc pan wie, panie Debray?! Jeśli tak, to potwierdzam, że rzecz tak się ma w istocie.

— Spodziewam się, iż będziesz pan działał jak urzędnik! — przerwał mu Debray, głos jego brzmiał jednak tak, jakby minister chciał powiedzieć: Spodziewam się, że będziesz pan działał, jak przyjaciel! — Teraz chciałbym się

jeszcze dowiedzieć nazwiska tej damy, by wszystkie wątpliwości usunąć. Raczysz pan łaskawie...

Na tak natarczywe pytanie, którego się zresztą, spodziewał, nie mógł prokurator nie odpowiedzieć, inaczej okazałby się niegrzecznym wobec ministra, dając mu przez to do zrozumienia, że nie dowierza jego milczeniu. Zbliżył się więc do pana Debray i szepnął jedno słowo.

Debray zbladł, jednak prędko zapanował nad zakłopotaniem, pożegnał królewskiego prokuratora i wrócił do salonu, gdzie oczekiwała go baronowa z trwożliwością łatwo dającą się wyczytać z jej oczu. Królewski prokurator z ironicznym uśmiechem opuścił dom pani Danglars.

Gdy towarzystwo się rozeszło, a krupierzy pozbierali ze stolików złoto i banknoty, baronowa otworzyła szklane drzwi prowadzące do gabinetu muzycznego, gdzie stał fortepian i rzuciwszy nań smutne spojrzenie nie mogła powstrzymać się od słów:

— Ach, Eugenio, czemuś mnie opuściła!

Łzy spływały po jej bladym obliczu, a ona, jakby chcąc otrząsnąć się z przykrej myśli, poruszyła się i zbliżyła do na wpół otwartego okna.

Stała tak, dopóki nie usłyszała turkotu ostatniego powozu oddalającego się spod jej pałacu. Wtem spostrzegła cień osoby zbliżającej się do jej mieszkania, pobiegła więc otworzyć boczne drzwi. Wróciwszy do pokoju, usiadła na kanapie. Wszedł Lucjan Debray.

— Co tam słyhać, Debray? — zapytała trwożliwie.

Debray zdjął rękawiczki, kapelusz i płaszcz położył na krześle i usiadł obok baronowej.

— Mówże Debray! Twój spokój zabija mnie. Czego dowiedziałeś się od Beauchampa?

— Wszystko, czego mogłem się dowiedzieć, to imię kobiece... twoje — odparł Debray.

— Myślisz więc, że grozi mi niebezpieczeństwo?

— Zawsze tak myślałem! — odrzekł Lucjan — Chociaż twoja dotychczasowa obecność w Paryżu nie wzbudzała śmieszności, mimo to byłem przekonany, że swoją rolę, a właściwie komedię nie będziesz mogła grać długo, tym bardziej teraz.

Baronowa zaśmiała się pogardliwie i odrzekła:

— Jeżeli tak sądziłeś — to dlatego, że wobec ciebie nie miałam żadnych tajemnic jak to czynię wobec świata! Gdybyś także ty wierzył, że baron Danglars wyjechał ze swoją córką Eugenią w podróż dla przyjemności, to nie mógłbyś twierdzić, że on i Eugenia opuścili mnie zupełnie.

— Dobrze! — odparł Debray — Przed rokiem baron zrobił to samo co twoja córka, a świat paryski myśli, że oni podróżują. W rzeczy samej nie masz nic prostszego. Ale czas upływa i upływać będzie, a nuż ktoś wpadnie na pomysł zapytać, kiedy baron z córką powrócą?

Baronowa poruszyła się.

— Potem mógłby jaki żartowniś śmiać się ze zbyt długiej nieobecności podróżujących, a za nim śmiałby się niebawem cały Paryż. Widzisz więc kochana baronowo, że z tej strony rzeczy złe się mają.

— To poradź mi Debray, co mam robić? — rzekła baronowa z wyrazem naiwności piętnastoletniego dziewczęcia opierając ręce na ramieniu ministra.

— Powtarzam ci to, co powiedziałem przed rokiem gdyś mi pokazała list twego męża: „Opuszczam panią taką jaką wziąłem, to znaczy: bogatą i nie bardzo honorową”.

Te słowa, które by każdą inną kobietę przytłoczyły, wywołały u baronowej tylko głośny śmiech obrażonej dumy.

Lucjan Debray mówił dalej:

— Powtarzam, że musisz wyjechać. Co ciebie Paryż obchodzi? Powiedz przyjaciółom, że twój mąż jest w Rzymie, w Civita Vecchia albo w Napolu i w imieniu Eugenie prosi cię o towarzystwo. Twoje przyjaciółki nie powstrzymają się, by nie rozgłosić tego po całym Paryżu, a ty pojedziesz tymczasem do

Londynu.

— Więc chcesz Debray byśmy się rozłączyli? — zapytała baronowa usiłując na próżno wywołać łzę w oku.

Lucjan nic nie odpowiedział, lecz spojrzał na nią z ukosa i wstał.

— Przed rokiem — rzekła baronowa — zawiązaliśmy spółkę i nasze interesy szły dobrze. Teraz zyskałyby jeszcze, bo ty, zostawszy ministrem finansów, możesz...

— Przystępujemy do najważniejszego punktu! — odparł Lucjan, uderzając pięścią o poręcz fotela.

— Jak to? — pani Danglars otworzyła szeroko oczy i wyprostowała się na otomanie.

— Marzeniem dziennikarzy opozycyjnych jest ujawnienie prywatnego życia ministra. Mówiąc między nami, główną częścią twoich towarzyskich zabaw jest odgrywanie komedii; a ja nie chcę, by ktoś mógł mi zarzucić, że ciągnę z tego zyski.

— Aleś je przecież ciągnął!

— Ale też nie chcę czynić tego dalej! — odparł Lucjan stanowczo — Uwalniam się od tych interesów. Między nami pozostanie tylko przyjaźń.

— Bardzo dobrze, mój panie! — zawołała baronowa blada ze złości i ciężko dotknięta w swej miłości własnej; rozumiała bowiem doskonale co znaczyły te słowa — Bardzo dobrze. Ale ja nie przyjmuję tej ofiary. Skończymy nasz rachunek, a potem...

— A potem? — zapytał on z szyderczym uśmiechem, który dawał do poznania, jak dalece lekceważył sobie bezsilny gniew baronowej.

— Potem zechcesz pan zapewne, abyśmy się już nigdy nie widzieli?

Lucjan włożył ręce do kieszeni i milczał, a milczenie to znaczyć miało: Jak się pani podoba!

— Tymczasem zawiadamiam pana, że przez tą zimę zostanę jeszcze w Paryżu.

— Nie możesz pani nic lepszego uczynić. W teatrach będą dawali bardzo dobre sztuki; repertuar składa się prawie wyłącznie z utworów Donizettiego i Beliniego.

— I pana Lucjana Debray! — dodała baronowa ze znaczącym uśmiechem.

— Nie rozumiem pani.

— Chcę widzieć debiut pański w ministerstwie.

— Słuchaj baronowo, kto grał á la hausse i á la baisse, ten może opuścić Paryż i przyjąć skromną rolę turystki; to jest łatwe do zrozumienia. Z drugiej strony jest to koniecznością, jeżeli nieszczęśliwym wypadkiem królewski prokurator wie pewne rzeczy. Baronowo bądź roztropną jak Ulisses a mądrą jak Nestor.

Przy tych słowach Lucjan Debray położył na stoliku pakiet banknotów i usiadł obok baronowej, która stała śmiertelnie blada i wzruszona.

— Już drugi raz baronowo — rzekł Debray — porządkują wspólnicy swoje rachunki i spodziewam się, że po raz ostatni. Skorzystaj pani z mojej rady. Wyjedź!

II

Benedykt

Beauchamp opuścił salony pani Danglars i udał się do swego domu na rogu ulicy Coq-Héron, który nosił piętno stylu starej arystokracji Pugeta. Był to jeden z tych budynków, które we Francji są tak bardzo poszukiwane przez ludzi dawniejszej i nowszej daty, którzy swoje urodzenie kryją pod urokiem pożyczanej tarczy herbowej. Ten mały budynek, którego portyk rzeźbionym był aż do okien średniego piętra, miał mały dziedziniec otoczony szerniałymi murami.

Na ten dziedziniec wychodziły okna z pracowni Beauchampa.

Już od dłuższego czasu siedział on zamyślony przy biurku, otoczony stosem akt. Raptem wstał, zbliżył się do okna, podniósł nieco zasłonę i spojrzął na pusty dziedziniec, oświetlony tylko trochę czerwonym światłem latarni. Ktoś zbliżał się do jego pokoju.

Chwilę potem otworzyły się drzwi, a do pokoju weszli dwaj ludzie; jeden z nich zdradzał swoim ponurym wejrzeniem, tradycyjnym kostiumem i herkulesowym wzrostem agenta policji. Drugi był jego żywym kontrastem; młody jeszcze, chudy, blady, w odartej odzieży. Wszystko znamionowało oskarżonego zbrodniarza.

Na znak królewskiego prokuratora agent oddalił się i zamknął drzwi.

Beauchamp siedział chwilę nieruchomo; potem wskazał miejsce naprzeciw swego stolika i zwrócił światło lampy tak, by mógł widzieć oblicze zbrodniarza.

— Pańskie nazwisko? — rzekł wzmocnionym głosem.

— Pan mnie zawsze o to pyta, a ja zawsze to samo odpowiadam. Nazywam się Benedykt.

— Benedykt! — powtórzył królewski prokurator. Potem przesłuchiwał dalej — Czy chcesz pan powtórzyć wszystko, coś mi zeznał?

— Na co się to przyda, proszę pana? — rzekł młodzieniec ze spokojem — Na co przypominać takie rzeczy? Schwytano mnie i jestem tutaj, sądz mnie pan i koniec.

— Bądź pan roztropniejszy, Benedyckie. Prawo grozi panu karą śmierci.

— Jeżeli pan jesteś tego pewien, tym lepiej!

— Mimo to będę pana jeszcze raz przesłuchiwał; może pan zapomniałeś o tej okoliczności, która oparta na dowodach, mogłaby wpłynąć na złagodzenie surowości prawa?

Mówiąc to rozparł się wygodnie w krześle.

— Dobrze, niech i tak będzie. Ale wysłuchaj mnie pan uważnie, panie prokuratorze, bo zapowiadam panu, że mówię po raz ostatni.

W słowach oskarżonego wyczuć można było pewną gorycz i pogardę życia,

którą nie zrobiłaby najmniejszego wrażenia na starym sędzi o stalowych oczach, ale mogła żywo poruszyć Beauchampa, nie przyzwyczajonego do ciemnych tajemnic, odkrywających się często przed sędziowskim stołem królewskiego prokuratora.

— Kiedy byłem zamknięty w La Force od czasu do czasu przychodził do mnie Bertuccio, z którym miałem dawniej stosunki i dawał mi w imieniu nieznanego opiekuna pieniądze, abym mógł kupować sobie trochę lepsze pożywienie niżli zwykle dawano mieszkańcom lwiej jaskini. Stawałem już przed trybunałem, powiedziałem, że jestem synem Villeforta, pańskiego poprzednika i z pokorą czekałem na wyrok. Umknąwszy z Bagno, i schwytyany przy morderstwie Caderouss'a, mogłem spodziewać się tylko szafotu.

— Czekaj pan — przerwał prokurator — jakim, sposobem dowiedziałeś się pan, że jesteś synem Villeforta?

— Takiego pytania jeszcze mi nie stawiano — odparł Benedykt z uśmiechem człowieka, który rozumie więcej niż można by się spodziewać. — Opowiem panu. Mówiłem już o nieznanym opiekunie i o Bertuccio. Gdy przyszedł raz do mnie do więzienia w La Force, opowiedział mi rzecz następującą:

— Słuchaj Benedyckie jesteś ciężko oskarżony, lecz jest ktoś kto chce cię uratować, bo ślubował sobie zachować co roku jednego człowieka przy życiu. obrońca ten ma pewien sposób uratowania cię przynajmniej przed szafotem. Królewski prokurator Villefort, który ma wydać wyrok, był dawniej w poufnych stosunkach z jedną damą, a dama ta dała życie jego dziecku. Coś podobnego nie mogło być rozgłoszone. Zaledwie dziecko przyszło na świat, wziął je pan Villefort na ręce, obwinał pasem wokół szyi aby nie płakało i nie krzyczało, włożył do paki, osłonił chusteczką biednej matki i schodził po bocznych schodach, którymi od dłuższego czasu przybywał do pokoju owej damy. Miał zamiar niewinną istotę zagrzebać w ziemi u stóp starego drzewa w ogrodzie. W tej chwili jakaś nieznana ręka zadała mordercy dziecka dwa uderzenia nożem w

pierś i skradła pudełko, w którym zapewne według domysłu nieznanego napastnika miały być skarby.

Złodziej umknął, otworzył natychmiast pudełko i znalazł w nim dziecko, które dawało jeszcze znaki życia. Odwinął pasemko z szyi, natchnął powietrza w płuca, zawinął w chusteczkę, od której odciął kawałek i oddał nowonarodzone dziecko do domu podrzutków, i powiedział sobie: „Mój Boże, jestem uwolniony od winy, jedno życie odebrałem, ale uratowałem drugie!”

Oto historia twego urodzenia — mówił Bertuccio. — Skoro staniesz przed sędzią, rzuć mu w twarz jego zbrodnię, potem nie będziesz się wzdrygał z krzesła sędziowskiego strącić go na ławę oskarżonych. To otwarte wyznanie zwali ciężki kamień na twego oskarżyciela, a z tego skorzystają obrońcy i uwolnią cię.

— Zrobiłem, jak mi kazano — mówił Benedykt dalej — pan byłś świadkiem tego zapewne, działo się to 27 września, w moje urodziny. W miesiąc później mój obrońca dotrzymał słowa. Byłem wolny.

Wolny, mój panie, ale pod warunkiem towarzyszenia wszędzie ojcu, który postradał zmysły, szukał mnie zawsze i rydłem kopał ziemię. Ach, przyznaję, że widok ten napawał mnie zawsze boleścią i litością. Być królewskim prokuratorem, używać ławy człowieka szanowanego i uczciwego, i raptem spaść z tej wysokości na ławę oskarżonych. Na szczęście szaleństwo jego przeszkodziło kontynuacji procesu i obaj znajdowaliśmy się na zupełnie wolnej stopie. Jego dobra zasekwestrowano i pozostawiono tylko tyle, że mógł zaledwie zaspokoić niezbędne potrzeby. Z czasem ojciec mój powracał powoli do przytomności i władzy rozumu. Po sześciu miesiącach naszego wspólnego życia wyzdrowiał zupełnie; poznał mnie i pokochał, ale godzina jego śmierci zbliżała się. Zdawało się, że Bóg pozostawił go przy życiu, aby miał czas prosić mnie o przebaczenie. Przebaczyłem mu i otrzymałem jego błogosławieństwo.

— Mój synu — rzekł ostatniego dnia — czuję, że umrę i żałuję tylko, że nie mogę uiścić długu krwi i rozpaczy, długu, który chciałbym zapłacić, choćby za

cenę mego zbawienia. Byłem zbrodniarzem, mój synu; przyjąłem maskę obłudy, ale zemsta, która mnie dotknęła, przechodzi wszelkie granice. Była straszna! Ach, żonę, córkę, syna... wszystko... wszystko zabrała mi ręka jednego człowieka. Benedykcie, znajdź tego człowieka, dręcz go, zabij go, zniszcz go, niechaj i on płacze! A gdy będzie w najwyższej rozpacz, powiedz mu: Jestem synem Villeforta i karzę cię w jego imieniu; to jego zemsta, która spotyka cię za twoją zemstę!

— Ach, mój ojciec — zawołałem — gdzie jest ten człowiek?

— Gdzie on jest? — szeptał mój ojciec potrząsając smutnie głową — Gdzie on jest? Tego nie wiem.

Potem chwycił mnie za rękę, przyciągnął do siebie i patrząc osłupiałym okiem, jakby widział zjawisko, mówił drżącym z trwogi głosem:

— Pytaj szerokiego świata, pytaj nieba, morza i ziemi... on tam będzie, wszędzie, potężny jak Bóg, albo jak piekielny duch przeznaczenia! Strzeż się, by jego pałający wzrok nie spoczął na tobie ani chwili. Ach, byłbyś zgubiony i przeklęty na zawsze!

— Ale jego nazwisko! — zawołałem wściekły, bo zdawało mi się jakbym już słyszał echo tego straszliwego i wielkiego człowieka.

— Jego nazwisko? — powtórzył Villefort z kurczowym i gorzkim uśmiechem — Czyż on ma jedno nazwisko? Ach, widzisz, on zmienia nazwisko i naturę co dnia, co godzinę potęgą strasznej woli... Oh! Księżę Bussoni, lordzie Wilmore, hrabio Monte-Christo!

— Ha! — zawołałem drżąc na sam dźwięk tego nazwiska. — Hrabia Monte-Christo!

— Albo Bussoni, albo Wilmore — mówił mój ojciec dalej — kto wie, jak on się teraz nazywa? Mimo to szukaj go wszędzie. Wejdź na górę i pytaj nieskończonego świata; spuść się w przepaść, szukaj we wnętrzu ziemi i staraj się zbadać wnętrze morza. Jego prawdziwe nazwisko jest Edmund Dantes. Pomścij mnie, mój synu, albo bądź przeklęty na tym świecie.

— Jeszcze tej samej nocy — mówił Benedykt po przerwie — Villefort umarł oddawszy mi przedtem zapieczętowany papier, który agenci pańscy znaleźli.

— Z jakiejż przyczyny nie chciałeś pan czytać tego papieru? — zapytał prokurator.

— Bo mój ojciec wziął ode mnie przyrzeczenie, że nie otworzę go zanim nie będę poza granicami Francji, zostałem schwytany, nim mogłem wypełnić ten warunek. Nie umrę jednak prędzej zanim nie dowiem się jego treści; żądam odczytania tego aktu, gdy będę powołany przed trybunał.

Beauchamp zadrżał. Bładość zdradziłaby go, gdyby oblicze jego nie było ukryte w cieniu.

— Dokądże pan szedłeś w chwili schwytania?

— Za granicę Francji.

— W jakim celu?

— Wykonać moje posłannictwo.

— Jakie?

— Ostatnią wolę mojego ojca, dokonać zemsty.

Beauchamp powstał i ukrywając twarz w fałdach płaszcza przechadzał się po pokoju. Potem stanął i zrobił gest, jak człowiek, który powziął niezłomne postanowienie.

— Benedykcie — rzekł — zdajesz mi się pan być bardziej nieszczęśliwy, niż zbrodniczy.

— Tak, panie! — zawołał Benedykt — na mnie ciąży przeznaczenie, przeznaczenie mego urodzenia. Chrztem moim były łzy matki! Bierzmowaniem przekleństwo mego ojca! Piekłu oddany, gdybym zmarł; nędzy, gdybym zdołał umknąć! A potem wiecznie tułacz, wiecznie ścigany, wiecznie nędzarz! Dzisiaj noc 27 września, mój panie! Słuchaj pan!...

Benedykt liczył pojedyncze uderzenia zegara, który wybił godzinę dwunastą,

— To godzina, w której się urodziłem! Zawsze spotyka mnie w tym dniu jakieś nieszczęście! Dzisiaj jestem w pańskiej mocy.

Powiedziawszy to opuścił głowę na piersi i skrzyżował ramiona. Królewski prokurator otarł pot zraszający jego czoło, upadł na krzesło jakby poznał niezmienną i niewytłumaczoną wolę Boga.

III

Pani Danglars

Była ósma rano, gdy woźnica bez liberii stanął przed domem królewskiego prokuratora. W drzwiach ukazał się stary portier.

— Proszę otworzyć drzwi, dama która siedzi w karecie nie może przecież wysiadać na ulicy.

Kareta wjechała na dziedziniec, zatrzymała się przed głównym wejściem, a dama, którą moglibyśmy nazwać powabną, wbiegła do domu.

Kazała się zameldować i weszła do biura królewskiego prokuratora, gdzie czekała około godziny.

Nareszcie otwarły się drzwi i wszedł Beauchamp.

— Pani baronowa Danglars! — zawołał udając zdziwienie.

— Tak jest, panie; przebacz pan, że wcześniej pana niepokoję; ale nieprzewidziany wypadek...

— Proszę siadać, baronowo! — przerwał Beauchamp, udając, że nie zauważa zmieszania pani Danglars.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której baronowa dwa czy trzy razy ocierała sobie twarz batystową chusteczką.

— Mój panie — rzekła wreszcie — moja obecność tutaj nie powinna pana dziwić, na miłość boską, oszczędź mi pan trwogi, albo jeżeli wolisz — mówiła dalej z westchnieniem — doznania wstydu.

— Eh — pomyślał Beauchamp — do złamania jej całej dumy wystarczy dwa słowa.

— Tak, pani baronowo — rzekł głośno — jestem gotów domyślać się powodu odwiedzin pani, ale co mam czynić?

— Pan wszystko możesz — rzekła baronowa gwałtownie — pan wszystko możesz, jako urzędnik i jako przyjaciel!

— Dwie rzeczy, które trudno połączyć wobec prawa! — szepnął Beauchamp.

— Mój spokój, mój honor, wszystko zależy w tej chwili od pana — mówiła pani Danglars dalej. — Przychodzę błagać pana o ratunek, opowiedz mi pan wszystko!

Beauchamp wstał, zbliżył się do stolika, otworzył szufladę, i wyjął list z rozłamaną pieczęcią. Potem powrócił na swoje miejsce i począł czytać.

Baronowa zakryła twarz chusteczką.

Prokurator czytał:

— *„Benedykcie, objawiam ci przysięgę, której złamać nie mogłem. Nie chcę cię zostawiać na świecie, byś nie mógł kiedyś ucałować dłoni swej matki, dziękując jej za łzy, które za ciebie wylała i za ból, jaki wyrządziłem jej moim nierozsądkiem! Jeżeli kiedyś los rozłączy ją z mężem, odszukaj ją i bądź jej podporą. Wspomnij na me ostatnie słowa i dowiedz się, żeś winien życie markizie Danglars. Przyjmij błogosławieństwo od swego ojca Villeforta.”*

Baronowa wydała okrzyk bólesci; prokurator nie okazywał żadnego współczucia.

— Mój syn nie zna tej przerażającej tajemnicy? — zapytała potem drżącym głosem, a lica jej okryły się ogniem wstydu i poniżenia.

— Nie, łaskawa pani — odparł Beauchamp.

— Mój Boże! Mój Boże!

— Uspokój się, baronowo — rzekł Beauchamp — mógł kto słyszeć krzyk pani i myśleć, że pani jesteś tu jako zbrodniarka.

— Ale co ja mam robić, ...albo raczej, co pan zamierzasz czynić? Ach, po co przywołano do życia tajemnicę dawnego błędu? — dodała biedna kobieta z

goryczą.

— Czy wolałabyś może pani, by ten niewinny chłopak na zawsze pozostał w grobie, w który go żywcem włożono? Pani baronowo, ziemia nie jest w stanie ukryć takiej tajemnicy — mówił prokurator nie odwracając oczu z oblicza pani Danglars.

— Synu mój! Ja wiedziałam, że żyjesz, ale moje łzy, moje błagania nie mogły zmienić postanowienia tego człowieka! Nie ja popełniłam zbrodnię, przebacz mi! — zawołała z goryczą — A pan, mój panie — mówiła baronowa zwracając się wprost do Beauchampa — ratuj go teraz. Chociażby prośby, pogardzonej przez pana kobiety bardzo mało znaczyły, to jednak usłuchaj mojej prośby i ratuj go! Albo nie, zapomnij pan baronową Danglars, która nie ma już prawa do pańskiego szacunku, do pańskiej litości; zapomnij pan o niej; ale wzywam: w imię pańskiego nieszczęśliwego poprzednika, w imię pana Villeforta; ratuj pan naszego syna!

— Pani baronowo, odpowiem pani to, co on sam byłby odpowiedział. Wypełnię obowiązek, jaki nakłada na mnie prawo — rzekł urzędnik z godnością.

— Co? Czy podobna!? Ten list miałby być odczytany przed sądem? — zawołała baronowa.

— Uniknij pani złego!

— Co, mój panie? Co?

— Opuść pani Francję.

— Dokądże pójdę sama, opuszczona przez wszystkich? — rzekła pani Danglars bez namysłu.

— Opuszczona przez wszystkich? — powtórzył Beauchamp zdziwiony — A mąż pani, a córka?

— Widzę, że wszystko muszę panu wyznać! — zawołała baronowa w szalonym gniewie — Pan jest jak wszyscy: zimny, bez uczucia, bez litości. Pij więc pan kielich, aż do dna! Tak, dowiedz się: mój mąż opuścił mnie, moja

córka uciekła; jestem sama na świecie i opuszczę Francję, wyjadę; ale na miłość Boską, jeżeli dla pana istnieje jaki Bóg oprócz praw człowieka, ratuj mego syna!

Po tych słowach opuściła pani Danglars biuro królewskiego prokuratora, wsunęła się do karety i odjechała do domu, gdzie zaczęła natychmiast pakować swoje kosztowności i złoto. Łzy płynęły jej rzeźmiście z oczu i padały na drżącą rękę.

— Ach, Villeforcie! — zawołała uderzając nogą o posadzkę i rwąc sobie włosy — Tajemnica ta nigdy nie powinna była przejść przez twoje usta!

Potem otarła łzy cisnące się gwałtem, otworzyła szafę i pakowała rzeczy ze stanowczym postanowieniem opuszczenia Paryża, gdzie jakiś wróg zdawał się przygotowywać jej zgubę. Dla kobiety, jak Danglars, uwielbionej, wykształconej i bogatej, niemałą rzeczą było opuszczać otoczenie, w którym panowała i oddać się spokojnie roli skromnej i nieznannej turystyki w obcym kraju. Im piękniejszym był sen, tym straszniejsze przebudzenie; pani Danglars czuła to dobrze.

Gdy mąż opuścił ją umykając z resztą pieniędzy, jakie miał w kasie, by nie ogłosić się niewypłacalnym, wyniosła i dumna kobieta chciała utrzymać się w oczach świata w całym zbytku i wspaniałości, jaka ją dotychczas otaczała i tym sposobem zamaskować postępowanie męża. Plan trudny do wykonania, gdyż wierzyciele z wyrokiem w rękę mogli zabrać własność pana Danglars, został dziwnie poparty przez nadzwyczajne okoliczności. W kilkanaście dni po niespodziewanym odjeździe barona wszystkie jego zobowiązania zostały dotrzymane, a dom pani Danglars uwolniony od 6 milionów straszego długu.

Dzięki temu cudowi mogła baronowa utrzymać się na swym stanowisku w Paryżu, a świat myślał, że pan Danglars odjechał w celu towarzyszenia swej córce Eugenii w podróży. Mimo to dłuższa nieobecność podróźnych spowodowała różne pogłoski między tymi, którzy znali szorstki charakter pana Danglars i wybujałą artystyczną fantazję panny Eugenii. Nagłe zjawienie się Benedykta, list pisany przez dawnego kochanka baronowej, historia niedoszłego

mordu, wszystko to przyczyniło się do tego, że i biedna kobieta zmuszona była do ucieczki.

Baron Danglars umknął z Paryża, ponieważ nie chciał być biednym, chociaż dla osiągnięcia tego celu stawał się złodziejem.

Eugenia umknęła z Paryża, ponieważ nie chciała wyjść za mąż.

A pani Danglars miała zamiar również uciekać, bo nad Paryżem zawisła czarna chmura zwiastująca jej zgon. Jej przeszłość miała być wyjawiona i wystawiona przed oczy zawsze ciekawej publiczności.

Baronowa przestała płakać. Siadła blada do eleganckiego, wyłożonego kością słoniową biurka, wzięła dwa arkusiki satynowego papieru i zabrała się do pisania listów.

Pewną ręką zaczęła pisać list do Lucjana Debray, swego współnika z czasów, kiedy grali á la hausse i á la baisse na koszt biednego barona Danglars. Nagle, jakby rozmyśliwszy się, zaczęła pisać drugi list adresowany do Benedykta.

„Mój panie! Jesteś pan oddany władzy prawa, biedny, pozbawiony wszelkich środków, prócz własnej wymowy. Nie wiem, jaki los pana czeka, spodziewamy się wszystkiego od Boga, zaufaj pan Jego nieskończonej dobroci. Teraz pozwalam sobie ofiarować panu tę małą sumę, która ma posłużyć do pozyskania dozorców. Wierz mi, że datek ten nie ma być upokarzającą jałmużną, jest to tylko uczynek, który spełnić pragnie osoba, dla której jesteś pan drogi.”

Przeczytawszy list, otworzyła szkatułę, wyjęła sześćdziesiąt tysięcy franków, włożyła je do listu, zapieczętowała go i zaadresowała do Benedykta; potem włożyła list w drugą kopertę adresowaną: „Do pana królewskiego prokuratora”.

Baronowa spoczęła chwilę, otarła łzy, chwyciła za pióro i skończyła list do Lucjana Debray.

Temu zapowiedziała swój odjazd i prosiła o objęcie nadzoru nad wszystkim

do czasu, aż nie doniesie mu, co ma uczynić z domem, urządzeniem i srebrem.

Skończywszy tę robotę, otworzyła okno i patrzyła przez nie tak długo, póki nie ujrzała jakiegoś człowieka, któremu dała znak by przyszedł tymi samymi schodami, którymi dostawał się do jej sypialni Lucjan Debray.

— Chodź tu, Tomaszu! — rzekła do owego człowieka, stojącego w drzwiach w bluzie, czerwonych spodniach i butach.

— Jak to? W tym stroju, pani baronowo? — szeptał on, spoglądając na swą bluzę.

— Chodźże tu; muszę mówić z tobą.

Woźnica wszedł do pokoju i patrzył zdziwiony jak baronowa starannie zamknęła drzwi.

— Przyjęłam cię do służby, ponieważ miałam cię za człowieka rozumnego, który umie trzymać język za zębami.

— Inaczej nie byłbym dobrym woźnicą.

— Słusznie. W tej chwili chodzi o bardzo długą podróż.

— Rozumiem pani baronowo — przerwał woźnica. — To ja przyprowadziłem człowieka, który odwiózł pana barona; chłopak miał tęgą głowę.

— A mógłbyś to uczynić i dla kogo innego?

— Ja sam pojedę; pani baronowo. Wszystko mi jedno, czy jestem tutaj, czy gdzie indziej.

— Będziesz jutro gotów?

— Dziś jeszcze.

— Wóz pocztowy z dobrymi końmi ma czekać na mnie w oddali; stąd pojedziemy moim zwykłym ekwipażem; ty załatwisz sprawę z paszportami; pakunek będzie lekki.

Woźnica spojrzał na mały kufeczek skórzany i skinął głową.

— Potem w drogę, do Brukseli; Akwizgranu!

— Dobrze, wszystko będzie gotowe, pani baronowo! Co się tyczy koni, to

pójdą gniadosze, mocne i śmiałe. Biedne koniska, wyrzuciły mnie raz z siodła, ale dadzą się ułaskawić. To była historia! No, ale paszport?

— Słuchaj. Przygotujesz papiery dla młodego, niskiego mężczyzny o niebieskich oczach, jasnych włosach; nos regularny, delikatne usta; słabowity, podróżuje w celu wyleczenia się z moralnej i fizycznej choroby.

— Wybornie! — zawołał woźnica.

— A milczże; tu masz pieniądze.

Woźnica wziął pieniądze i wyszedł.

Następnego dnia baronowa wsiadła do swej karety, czekającej na dziedzińcu i dziwnym zrządzeniem losu wychodziła tymi samymi schodami, którymi przed rokiem umknęła Eugenia ze swoją przyjaciółką Ludwiką d'Armilly.

IV

Sześćdziesiąt tysięcy franków Benedykta

Z entuzjastyczną radością czytał Lucjan Debray list baronowej zapowiadający jej nagły wyjazd z Francji. Poufny stosunek, łączący Lucjana z baronową, który w swoim czasie był bardzo korzystny dla prywatnego sekretarza ministra z pensją dwudziestu tysięcy liwrów, nie odpowiadał zupełnie ministrowi, posiadającemu wysoką płacę i korzyści z tak ważnego stanowiska. Oprócz tego, jak już wspominaliśmy, baronowa Danglars znajdowała się w bardzo trudnym położeniu i chociaż świat jeszcze tego nie widział, to Lucjanowi Debray było ono zanadto znanym, by mógł przypuszczać, że będzie dłużej mogła się maskować. Przeczytawszy więc list odetchnął swobodnie, jakby zbudził się z trapiącego go snu. Gładząc rękami włosy i muskając brodę rzekł:

— Ha, te rodziny z improwizowanymi bogactwami, które Bóg wie skąd mają, sprawiają na mnie wrażenie aktorów, którzy przez kilka godzin grają w teatrze rolę wielkich panów. Wreszcie kurtyna spadła, a one są na powrót tym,

czym dawniej były: niczym; nikt na nie nie patrzy; nikt o nich nie mówi.

Podczas gdy Lucjan Debray oddawał się rozmyślaniom, królewski prokurator kazał zawołać Benedykta.

— Przystąp bliżej, panie Benedykcie; mam tu list dla pana.

— List?

— Domyślasz się pan, od kogo on może pochodzić?

— Ja? Któż na świecie zna mnie i może pisać do mnie?

— Pomyśl pan trochę! Jeżeli znasz pan kogo, kto był w przeciągu burzliwego życia pańskiego twoim współwinnym, nie kryj tego! Oto list. Znasz pan przynajmniej pismo na kopercie?

— Nigdy go przedtem nie widziałem. Ale list otwarty, pan musisz wiedzieć co zawiera.

— Słowa i pieniądze.

— Pieniądze? Co pan mówi?

— Sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Dobry Boże, Panie! — zawołał Benedykt uderzając rękami, to rumieniąc się, to blednąc.

— Mówiłeś mi pan przecież, że jakiś nieznany opiekun przysłał panu pieniądze do więzienia w La Force.

— Tak, prawda; ale od tego czasu nigdy się o mnie nie troszczył, a Bertuccio, który mi jego pieniądze i rady przyniósł, już dawno opuścił Francję.

Prokurator zmarszczył brwi i popadł w zadumę.

— Czy wiesz pan, że więźniom nie wolno mieć takiej sumy?

— Wiem to, panie — odparł Benedykt z głębokim westchnieniem.

— A gdybyś ją pan teraz miał, co byś pan z nią robił?

— Kupiłbym sobie nowe ubranie i zaspokoiłbym niezbędne potrzeby. Starabym się zachować też nieco na podróż. Mówił mi pan, że będę skazany na wygnanie.

Prokurator znów popadł w zadumę.

— Byłbyś pan tak nierozsądny, aby powiedzieć swoim towarzyszom, że masz tyle pieniędzy?

Benedykt odparł z uśmiechem:

— O, zaszyłbym je w bluzie, kto by je tam widział, kto by się tam ich domyślał? Powiedzieć towarzyszom znaczyłoby to samo, co podzielić się z moimi przyjaciółmi, którzy nie posiadają cnoty anioła Rafaela!

Oczy Benedykta iskrzyły się jak dwa żarzące się węgle, a pot spadał mu z czoła.

Prokurator pomyślał jeszcze chwilę i podał Benedyktowi list.

— Czytaj pan.

Benedykt chętnie oszczędziłby sobie czytania jeśli tylko mógłby patrzeć na banknoty, napawające go nadzieją w jego strasznej nędzy; ale musiał się poddać woli prokuratora i list przejrzeć.

— Ha! Poznaję tu jednego z owych dobrych duchów, które starają się niszczyć, złośliwość złych duchów, o których mówi Perrault, mój najulubiejszy pisarz! Ale sześćdziesiąt tysięcy franków, proszę pana?— zapytał Benedykt otwierając szeroko oczy.

— Słuchaj mnie, Benedykcie. Sześćdziesiąt tysięcy może stanowić znaczny majątek dla człowieka będącego w pańskim położeniu.

— Bez wątpienia, proszę pana.

— A więc — mówił prokurator dalej — nie daj się pan zbyt opanować nadmiarowi szczęścia, podziękuj pan niebu z pokorą za posła, którego ci zesłało i zachowaj się tak, abyś zasługiwał na jego opiekę.

— Tak jest, proszę pana — mówił Benedykt z westchnieniem ulgi, rzucając na banknoty w ręku prokuratora chciwe spojrzenia, jak pies, który da z sobą wszystko zrobić, skoro tylko zobaczy kawał mięsa.

— Wiesz pan, że miałbym prawo nie oddać panu tych, pieniędzy?

— Tak jest, proszę pana.

— Wiesz pan, że gdybym oddał panu te pieniądze, wykroczyłbym przeciw

prawu?

— Oh!

— Pomyśl więc pan nad tym, jakbym mocno musiał tego żałować, gdybyś pan zrobił jakieś głupstwo.

— Będę roztropny jak Ulisses.

— Czy chcesz mi w jakikolwiek sposób podziękować za grzeczność, którą panu wyświadczam?

— W każdy sposób, proszę pana!

— Dobrze. Bądź więc pan roztropny, a ja będę już z tego zadowolony; gdybym zresztą zauważył pańską gadatliwość, to bądź pan pewny, że zamiast na wygnanie zostałbyś pan skazany na kule i odesłano by pana do Toulon.

— Ach, na miłość boską, nie na galery!

— Dosyć; tu masz pieniądze i upominam po raz ostatni: bądź pan roztropny!.

Przy tych słowach królewski prokurator oddał pieniądze, które Benedykt ukrył na piersiach. Po tym zadzwonił, a w drzwiach stanął agent policyjny.

— Proszę odprowadzić oskarżonego — rzekł prokurator.

Gdy Benedykt odszedł Beauchamp odetchnął swobodniej w przekonaniu, że oddając pieniądze, zrobił dobry uczynek.

— A mimo to — myślał — nędznik ten będzie się coraz bardziej pograżał w zbrodni. Przekupi dozorców, i zamorduje pierwszego, lepszego, który mu zaufa; potem pójdzie aż do hrabiego Monte-Christo i zginie razem z nim! Tak, bez wapienia, zniszczony kolos zmiażdży, tego, który podetnie mu podstawę! O, sprawiedliwość Boska jest doskonalsza niż ludzka, a postanowienia jej są jasne. Moje sumienie jest spokojne!

Benedykt szedł w środku eskorty z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby chciał bronić skarbu ukrytego między ciałem a koszulą. Tak przyszedł do swojej celi w La Force, gdzie pozostawiono go w ciemności, zimnie i myślach o wolności, i zemście.

Minął miesiąc, a on jeszcze nie tknął swoich banknotów, tak bardzo się obawiał, by nie uszkodzić ich dotknięciem szorstkich palców. Co dnia układał nowy plan ucieczki i co dnia pojawiały się nowe przeszkody. A przecież mimo to chciał koniecznie odzyskać wolność! Głos umierającego ojca brzmiał mu ciągle w uszach i budził w ciemnym sklepieniu jego wilgotnego więzienia straszne echo!

Często podnosił się drżący Benedykt jak dziki zwierz co widzi twarz człowieka dręczącego go; cofał się przerażony w tył, za chwilę znów posuwał naprzód z otwartymi nozdrzami, ze ściśniętą pięścią, błyszczącymi oczami i wołał surowym głosem:

— Edmundzie Dantes, człowieku albo demonie, gdzie jesteś? Zgubiłeś całą rodzinę aż do ostatniego z ich dzieci, biednego, małego stworzenia zaledwie ośmioletniego. Przeklęty, który wydobyłeś mnie z przepaści ciemności, pokazałeś mi słońce w całym jego blasku, a potem znowu rzuciłeś w przepaść, szydząc z mej nędzy i przestachu! Zdrajco i obłudniku, powołujesz się na słowo Boga, aby zniszczyć szczęśliwych i zemstą swą dotykasz sprawiedliwego, i zbrodniarza. Czyż potrzebne ci było życie dziewicy, niewiniątka i dwojga starców, aby zemścić się na jednym człowieku? Chociaż jesteś wielki i potężny, syn Villeforta zbliży się do ciebie; zadrzysz przed odgłosem jego kroków, tak, zadrzysz na najwyższym szczeblu twego szczęścia! Słuchaj przysięgi, złożonej tu w murach więziennych, w milczeniu i ciemności nocy, słuchaj przysięgi niewiernego, który przeszedł wszystkie stopnie zbrodni. Poznasz całą nicość potęgi, którą sobie przypisujesz! Umrzesz po długiej walce ze śmiercią!

Przez dwa miesiące powtarzał co dnia tę straszną przysięgę; a gdy trzeci dobiegał końca, a jeszcze nie myślano nad tym, by wydać wyrok dla niego, postanowił uciec.

— Dobrze! Mój plan nastęcza pewne trudności, ale... mając tyle pieniędzy, można je pokonać! Umknąć z Francji uda mi się bez wątpienia — mówił ze spokojem i taką pewnością, jakby już był poza murami więzienia.

— Teraz będziemy widzieli, czy stałem się takim niezdara, bym nie umiał sprzątnąć człowieka! Miałbym już może zapomnieć, jak się do tego bierze?

Morderca wyciągnął ramiona, aby wypróbować swe mięśnie; wykonał dwa, czy trzy skoki na czworakach i przekonawszy się, że mimo zimna i głodu nie utracił nic ze swojej zręczności, usiadł, zdjął buty, rozpruł podeszwę i wyjął z niej ostrze noża bez trzonka. Uczyniwszy, to dumiał. Nagle usłyszał, jak ktoś przygotowuje się do otwarcia drzwi jego celi; zadrżał, bo wiedział, że najmniejszy krzyk mógł sprowadzić straż i, mimo sześćdziesięciu tysięcy franków, przeszkodzić mu w wykonaniu dzieła.

Było to w nocy; odźwierny obchodził cele i zapalał lampy olejne wiszące na suficie.

— Dobry wieczór, Benedyckie — rzekł odźwierny, który go znał od dłuższego czasu, bo Benedykt używał już raz gościnności w tym domu na koszt rządu.

— Dobry wieczór, przyjacielu! — odparł Benedykt powstając i głaszcząc brodę w najobojętniejszy w świecie sposób.

— Wiesz ty, że wkrótce okręt odpływa?

— Co?

— Ten, którym wyruszysz na wygnanie! Wierz mi, że będziesz jeszcze mógł żyć wesoło.

— Mówisz więc, że popłynę? — zapytał Benedykt, zbliżając się do niego poufale i klepiąc go po ramieniu.

— No, jak ci powiedziałem — odparł dozorca przyciągając do siebie lampę.

— W takim razie zostawię ci coś na pamiątkę.

— Brawo! Stare buty pewnie? — rzekł starzec śmiejąc się z Benedykta — Ale w czym będziesz chodził; zmarzniesz w nogi.

— Głupcze! — odparł Benedykt — Kto ci powiedział, że ja mogę zostawić tylko stare buty? Czy wiesz ty, stary, że tylko od mojej woli zależy, słyszysz, od mojej jedynie woli zależy, zostawić tobie coś takiego, co by cię na zawsze

uszcęśliwić mogło?

— Cha, cha! A to dobre żarty! Mnie się zdaje, że znów masz ochotę nazywać się księciem Cavalcanti?

Przy tych słowach Benedykt zbladł ze złości.

— No, co tam? Co masz? — zapytał dozorca, obracając się nagle i przymykając oczy jakby coś podejrzewał.

Benedykt spostrzegł to i zaśmiał się aby starca uspokoić.

— Nie zważaj na to: to żart — rzekł — ale przystąpmy do interesu. Odpowiadaj mi szczerze: Co byś dał temu, który zrobiłby cię panem dwudziestu tysięcy franków?

— Dwudziestu tysięcy franków! — zawołał odźwierny — Śmiać mi się chce ze sposobu, w jakim mówisz o dwudziestu tysiącach franków!

— Dwadzieścia pięć tysięcy; nędzny! Uważaj dobrze, że nie mówię o dwudziestu, lecz dwudziestu pięciu. To głupstwo myślisz? — pięć tysięcy więcej. Cha, cha!

— Daj spokój żartom, to wystarczy, aby każdego z nas uczynić bogatym.

— Z nas? — powtórzył Benedykt z gestem lekceważenia — Z nas? Mów o sobie, przyjacielu, bo ja mam znacznie więcej, a jednak nie czuję się szczęśliwy.

— Ty masz znacznie więcej? Jak widzę, to ty chłopcze oszalałeś.

— Oszalałem? Zobaczysz! Tak, tak! Chodź tu bliżej. Ale naprzód popatrz, czy nas kto z korytarza nie podpatruje i zamknij drzwi.

Słowa Benedykta podrażniły ciekawość dozorca. Zamknął drzwi, klucz uwiesił na pasie, powrócił do celi i wydał okrzyk zdziwienia, gdy w rękach bandyty ujrzał banknoty.

— Sześćdziesiąt tysięcy franków! — szeptał licząc banknoty.

Benedykt przesunął je obojętnie między palcami.

— Chcesz połowę z tego?

— Ja? A cóż mam za to dać?

— Wyprowadzisz mnie stąd.

— To niemożliwe.

— Dam ci jeszcze dziesięć tysięcy; to znaczy razem czterdzieści.

— O!

— Pięćdziesiąt.

— Chcesz mnie skusić. Skąd wzięłeś tyle pieniędzy? Ukradłeś, co?

— Co ciebie to obchodzi czy ukradłem, czy nie? Pięćdziesiąt tysięcy zasługuje na małą ofiarę.

— Ale jak ja to zrobię? Przy końcu tego korytarza są wprawdzie drzwi, ale tam stoi straż, na dziedzińcu także i nie przepuści nikogo, kto się nie wykaże znaczkami.

— Sprzedaj mi go.

— A ja, mam zostać na twoim miejscu?

— Możesz powiedzieć, że go zgubiłeś.

— To nie uchodzi! — odparł dozorca namyślając się.

— Wymyśliłem sposób na to! — zawołał nagle Benedykt — zwiążę cię, powalę na ziemię, ucieknę z twoim znaczkami a ty zostaniesz z moimi pięćdziesięcioma tysiącami franków. Powiesz, że między nami powstała bójka i uległeś.

Plan ten nie wydał się dozorczy niemożliwy do wykonania, myślał tylko nad sposobem wzięcia pieniędzy.

— No, namyśl się stary; prędko, prędko; nie mam czasu do stracenia.

— Do diabła! — szepnął dozorca — No, dawaj pieniądze chłopcze, ale sześćdziesiąt tysięcy franków, ni mniej, ani więcej, rozumiesz? Dla zaokrąglenia sumy! — dodał patrząc chciwie na banknoty.

— No, niech będzie sześćdziesiąt tysięcy! — odparł Benedykt — Przeznaczyłem je na to.

— Aj, ty, chciałeś mi resztę zabrać, co? — rzeki dozorca biorąc banknoty i oddając za to znaczek.

Obaj zbliżyli się do lampy obróćeni do siebie plecami i oglądali swe skarby; nagle obaj obrócili się, miotam jednym uczuciem.

— A jeżeli te banknoty są fałszywe?

— Ja to samo myślę o znaczku.

— A, co się tego tyczy, to przysięgam, że nie.

— Ja ciebie także nie oszukałem. Banknoty są dobre, głupcze. A teraz do dzieła!

Dozorca ukrył starannie pieniądze nie spuszczać oka z Benedykta, który zabierał się do związania go sznurem od lampy; ale w tej samej chwili dobył szybko noża i błysnął nim przed oczyma Benedykta.

— Precz! — zawołał.

— Giń nędzniku! — rzekł w tej chwili Benedykt, chwytając dozorcę za rękę i wyciągając błyskawicznie nóż z rękawa — Byłem na to przygotowany stary drabie.

Powstała między nimi krótka walka, która prędko się skończyła. Nim dozorca mógł zawołać o pomoc, głos mu zamarł w piersiach. Ostry nóż Benedykta utkwiał mu w gardle i przeszedł na drugą stronę.

Krew trysnęła, a ciało dozorcę upadło na ziemię.

Benedykt był znów w posiadaniu swoich banknotów; ukrył je w płaszczu dozorcę, który ubrał na siebie. Kapelusz zsunął na czoło, zamknął przezornie drzwi i poszedł powolnym, ciężkim krokiem naśladować biedaka, którego zamordował.

Strażnikowi pokazał znaczek i wyszedł z więzienia.

Wreszcie był wolny!

Grobowiec

Skoro Benedykt wyszedł na ulicę, opuścił go spokój i przezorność, które sprzyjały jego ucieczce. Przed oczami ćmiło mu się; serce biło mocniej; krew żywiej płynęła. Zdawało mu się, że wiatr niesie śmiertelny krzyk odźwiernego. Jak Kain, uciekający przed przekleństwem Boga, tak on bał się własnego cienia, biegł i biegł, jak szalony, jakby ścigali go wszyscy żołnierze stojący na straży w La Force.

Po pół godzinie był już daleko od więzienia. Staął. Spojrzał na okolo, nie było nic podejrzanego.

W tej chwili odzyskał całą zimną krew. Odetchnął swobodniej i starał się zorientować.

— Nareszcie wolny! Wolny! — rzekł — Jestem wolny! O, świat jest wielki! Hrabio Monte-Christo, jeżeli jeszcze nie umarłeś, to znajdę cię! Ale czy sześćdziesiąt tysięcy franków wystarczy na moje potrzeby? No, spróbujemy; kapitał ten może się powiększyć. Tymczasem muszę sobie wyszukać nocleg.

Pomyślał chwilkę, uderzył się ręką w czoło i zawołał jak skąpiec, który odkrył skarb:

— Znalazłem.

Przypomniał sobie jedną z tych jaskiń, tak licznych w Paryżu, których gospodarze są nie bardzo uczciwymi ludźmi, a gdzie każdy może znaleźć nocleg, skoro tylko zapuka do drzwi. Benedykt poszedł ku jednej z tych jaskiń położonej w najbrudniejszej części miasta. Zapukał do drzwi, dał znak sykaniem.

Gospodarz poznał natychmiast, że może otworzyć.

— Hola, chłopcze, możesz wejść!

— Dobry wieczór.

— Szukasz łóżka? Nie ma żadnego; wszystkie zajęte. Patrz. — rzekł wskazując ręką wilgotną sypialnię oświetloną migocącym różowym światłem latarni.

— Nic nie szkodzi — odparł Benedykt. — Mogę spać w kącie, a jutro a nawet dzisiaj mam z tobą do pomówienia.

Morderca mówił to tonem takiego zaufania i tak tajemniczo, że wprowadził gospodarza w zdziwienie.

— Co takiego?

— Chodźmy na górę do twojej sypialni — odparł Benedykt patrząc na rusztowanie, na którym stało łóżko gospodarza.

— Co! Z tobą samym chłopcze? To sprzeciwia się domowemu porządkowi.

— A jeżeli ci powiem, że będę z tobą mówić o rzeczach korzystnych dla ciebie?

— Tak, to zmienia postać rzeczy; w takim razie chodź.

Po tych słowach Benedykt zbliżył się do drabiny i w jednej chwili był na górze; starzec poszedł za nim i wciągnął za sobą drabinę.

— O cóż więc chodzi? — zapytał siadając na łóżku — No chłopcze, słucham ciebie.

— Jutro rano potrzebuję porządnego ubrania, odpowiedniego dla znakomitej osoby. Muszę mieć krótkie włosy, brodę ogoloną, dobre spodnie, dobre buty i dobry surdut, rozumiesz?

— Doskonale! Chcesz odejść stąd tak, aby cię nikt nie poznał. Co się tyczy włosów i brody to sam załatwię, co się tyczy ubrania, to musisz zadowolić się tym, co ma moja sąsiadka. Jest to kobieta z taktem i rękę za nią. Ale pieniądze?

— Pieniądze dostaniesz jutro, stary! — odparł Benedykt

— Czekam na mego bankiera, który ma przynajmniej tyle taktu, co twoja sąsiadka, tandeciarka.

— Zwracam twoją uwagę, że muszę mieć prowizję od tego.

— Jestem hojny.

— Dobrze, doskonale. Pij, jeżeli chcesz — wskazał butelkę — wódka dobra, bo tam piekielnie zimno.

— No, niechaj i tak będzie — rzekł Benedykt chwytając nadtłuczoną flaszkę z wódką.

— A teraz rozłóż się, jak możesz. Rozumie się samo przez się, że za twoją kasę ręczę; każdy chowa tu, co może; takie jest domowe prawo.

— Czyś oszalał mój stary? — zawołał Benedykt — Za żadną cenę nikt z dołu nie śmie mnie widzieć.

— Ha, to zapłacisz podwójnie.

— Powiedziałem ci, że będę hojny.

— No dobrze; napij się jeszcze i śpij.

Starzec rzucił się na swoje łoże, a Benedykt rozciągnął się na podłodze i skrzyżował ręce na piersiach; mimo to żaden z nich nie spał przez całą noc. Benedykt, ponieważ obawiał się starego łotra, a tenże Benedykta. Równy ze świtem rozeszli się goście nędznego mieszkania i gospodarz pobiegł do tandeciarki po ubranie. Gdy powrócił zastał towarzysza z nocy siedzącego niedbale na łóżku i mnącego w palcach pięciuset frankówkę.

— Oto jest, chłopcze — rzekł gospodarz — szukałem najlepszego stroju. A teraz się policzymy.

— Oto pieniądze — rzekł Benedykt.

— Banknot?

— Dziwi cię to? W czasie twojej nieobecności przyszedł mój bankier, a ponieważ nie miał złota, dał mi ten szpargał.

— Hm, rozumiem. Ja wolę monetę.

— Ja także; idź więc i zmień.

— A jeżeli banknot fałszywy, kogo pociągną do odpowiedzialności? Mnie!

— A czy ja tu nie jestem?

— Spróbujemy.

Gospodarza wziął banknot, zszedł na dół i zamknął za sobą drzwi.

— Tak — pomyślał — jestem przynajmniej pewny, że mi nie uciekniesz.

Benedykt odpowiedział na to śmiechem i wzruszeniem ramion.

— Dobry był! — zawołał stary nicpoń powróciwszy za kilka minut — Ty jesteś szczęśliwym człowiekiem, kiedy masz bankiera, który daje ci takie szpargały — dodał tonem pochlebającym i tajemniczym. — Jeżeli przypadkowo robisz takie banknoty, to by było bardzo ładnie z twojej strony, gdybyś mnie tego nauczył.

— Idź do diabła — odparł Benedykt niecierpliwie. — Lepiej wyrównajmy rachunki.

Gospodarz wypróżnił kieszenie i podał ceny zakupionych, przedmiotów, rachując za wszystko potrójnie. Benedykt nie gniewał się o to i zapłacił wszystko. Nie zapomniał nawet dać na piwo gospodarzowi chcąc sobie zapewnić jego życzliwość, bo wiedział, że jedno słowo mogło go zgubić.

Gdy Benedykt był już przyzwoicie ubrany, ogolony i ze skróconymi włosami, czekał tylko na sposobność oddalenia się z jaskini, będąc pewnym, że nikt w nim nie pozna mordercy dozorca więziennego w La Force.

Cały dzień strawił na wyrabianiu sobie paszportów podając się za ucznia uniwersytetu, badającego archeologię i życzącego sobie odbyć podróż w celach naukowych. Gdy nadszedł wieczór jego twarz przybrała znowu wyraz ponurej wściekłości i zuchwałości.

Pewnym krokiem przeszedł całe miasto i udał się na cmentarz Peré Lachaise, gdzie było wiele pomników dumnych arystokratycznych rodzin. Zbliżył się do bramy i zapukał.

— Kto tam? — zapytał ochryply, ale silny jeszcze głos.

— Przyjacielu — odparł Benedykt — nie bój się i otwórz bramę.

— Wybacz pan, zem się dłużej zatrzymał, niż powinienem. Myślałem, że pan już nie wróci.

Benedykt osłupiał, lecz poznawszy, że zachodzi tu jakaś pomyłka, postanowił z niej korzystać. Mimo to wszedł dopiero wtedy, gdy twarz ukrył

pod kołnierzem płaszcza.

— Pan przychodzi zapewne widzieć znowu kogoś powstającego z grobu? — mówił dozorca dalej, śmiejąc się dobrodusznie — Bo jeżeli nie jesteś pan aniołem, to posiadasz przynajmniej tajemnicę, która Łazarzowi przywróciła życie! Jestem na pańskie rozkazy.

— Ha — pomyślał Benedykt — to dziwne i gdybym nie był pewny, że dziś wypilem tylko pół butelki wina, to mógłbym przypuszczać, że jestem owładnięty jakąś bachijską halucynacją!

— Czy mam panu towarzyszyć?

— Nie! — odparł Benedykt.

Po tych słowach cofnął się dozorca o parę kroków ku swemu domowi, ale nagle wrócił i zapytał z uszanowaniem.

— Aby pana przekonać, że ostatnich odwiedzin pańskich jeszcze nie zapomniałem, zrobię to wszystko, co mi pan wtedy powiedział, jeżeli ma pan zamiar znów wejść do grobowca rodzin Saint-Meran i Villefort.

Na te słowa Benedykt zadrżał, ale czuł, że musi dać odpowiedź stosowną do pytania:

— Dobrze.

— Dobrze, panie Wilmore — odparł dozorca — w takim razie postawię latarnię tam, gdzie wówczas, a pan może wejść, gdzie się panu podoba; zna pan drogę.

Dozorca wziął latarnię i jako człowiek znający doskonale wszystkie drogi tego ogromnego labiryntu, zagłębił się w alejach.

— Wilmore! — szepnął Benedykt, jakby ukąszony przez jaszczurkę — Wilmore! Byłoby to snem? Ten Anglik, który w Toulon uwolnił mnie z galer? Ha, Edmundzie Dantes! Przypominam sobie, że nazwiska te nosi jedna osoba; Edmund Dantes, morderca mego ojca, mego brata i mojej niewinnej siostry! Przeklęty. Przychodzę tu w celu wzmocnienia w sobie myśli o zemście i muszę znów słyszeć twoje nazwisko, jakby odgłos grobów, gdzie spoczywają twoje

ofiary! To umarli wołają swego kata! To niewinny, któregoś otruł w dziewiątej wiośnie jego życia, powtarza nazwiska nieubłaganego, krwiożerczego kata, Edmunda Dantes!

Po chwili Benedykt uspokoił się.

— A więc już jeden człowiek był w grobowcach rodzin Saint- Meran i Villefort — mówił do siebie — a człowiekiem tym był Edmund Dantes! Nędzniku! Miałbyś tu przychodzić, aniele, jak cię nazywał dozorca, w celu zbudzenia ich? O rozumiem cię, przyszedłeś paść twoje przeklęte oczy widokiem trupów ofiar, grobową ciszę przerywać echem piekielnego śmiechu!

W tej chwili dozorca zatrzymał się przed grobowcem i postawił latarnię na stopniu.

Benedykt wyjął sakiewkę i chciał mu dać pieniądze.

— Przebacz, ekscelencjo — mówił dozorca nie przyjmując ich — wolałbym, byś mi wynagrodził jak pierwiej i położył pieniądze na latarni, gdy będziesz wychodził. Drzę, chociaż widzę, że pan jesteś człowiekiem jak ja, że pan chodzi i rusza się, i żyje; lecz w panu jest coś tak uroczystego i strasznego, wybacz panie to moja słabostka! Przyzwyczajony przebywać między umarłymi, boję się pana, ich nie, bo oni nie robią tego, co pan uczyniłeś.

Na dany znak dozorca oddalił się, a Benedykt zbliżył się do bramy i otworzył ją. Zgniłe, niezdrowe powietrze uderzyło weń u wejścia do grobowca. Wziął latarnię i zszedł na dół. Śmiały złodziej, zuchwały morderca, drżał ze strachu, nie mogąc pokonać przerażenia, jakie spowodowała wzniosła cisza i uroczysta ciemność przybytku zmarłych. Zadrżał, nogi mu się chwiały w kolanach, gdy szedł naprzód. Jednak, jakby chcąc triumfować nad swym przestępstwem, zaśmiał się bezbożnie:

— Co to ma znaczyć? Czy Edmund Dantes jest silniejszy ode mnie? On, który trupy spoczywające tu wtrącił do grobu, nie obawia się przebywać między nimi; a ja, ja nie miałbym odwagi uczynić tego? Naprzód! Może o tej samej godzinie on tu przychodził.

Po tych słowach Benedykt zszedł na dół po schodach i znalazł się we wnętrzu. Na około stało osiem trumien!

— Markiz Saint-Meran! — rzekł Benedykt, czytając nazwisko wyryte na pierwszej trumnie.

— To był teść mojego ojca z jego pierwszego małżeństwa. Stary to szlachcic, pełen przesądów, ale szlachetnego pochodzenia.

Mówiąc to, przytknął żelazo do trumny i podniósł wieko. Zabalsamowany trup ubrany w bogaty uniform nosił na piersiach mnóstwo gwiazd i krzyżów wielkiej wartości.

Benedykt pozabierał je, przymknął trumnę i zbliżył się następnej z napisem: „pani Saint-Meran”. Otworzył i tą.

— Ha! — szepnął Benedykt — Jak jesteś bogato ubrana do wiecznego snu, wielka i szlachetna damo! Ostatni dowód głupoty.

Drogie kamienie, zdobiące jej palce i piersi, przeszły do jego rąk. W ten sam sposób zrabował i trzecią trumnę z napisem „pani Villefort”.

— Dosyć — rzekł Benedykt stanąwszy przed czwartą trumną: „Walentyna Villefort”.

— Dziewico, skromna jak kwiat polny, twój trup może się zdobić tylko świętym urokiem czystości i niewinności, jakim twoja dusza była ozdobiona! Dalej.

— Ha, trumna Edwarda, czyste stworzenie zaledwie dziewięcioletnie zgubione wraz z matką nadmiarem zemsty! Edwardzie, bracie mój, będziesz pomszczony!

— Teraz kolej na ciebie, mój ojcze! — mówił Benedykt dalej, podnosząc wieko drewnianej trumny.

Przez chwilę przypatrywał się leżącemu trupowi.

— Ach, na twoim czole mój ojcze jest jeszcze wyciśnięty znak strasznych cierpień, które przebolełeś. Patrzyłeś, jak ginęły jedna po drugiej drogie ci osoby. Żona, syn, córka, jak kwiaty, które burza wyrywa i roznosi. Twoje usta

zdają się jeszcze szeptać ostatnią wolę, którą objawiłeś owej nocy, kiedy ostatni raz słyszałem twe westchnienie! Twoja wola będzie wypełniona! — mówił Benedykt dalej, dobywając z zanadru sztylet — Ha, ta ręka, która długo żyła, wskaże teraz twarz Edmunda Dantes.

Po tych słowach Benedykt odciął sztyletem zabalsamowaną i suchą rękę trupa; chwycił ją z uszanowaniem i zamknąwszy trumnę zawołał:

— Po raz ostatni: żegnaj! Jako wydziedziczony syn, nieznany potomek potężnej rodziny, schodziłem do jej ostatniego mieszkania, aby wziąć mój spadek, wykraczając przeciw wszelkim ludzkim prawom. Bardzo wątpliwe i bardzo smutne dziedzictwo! Mimo to wystarczy, jeśli tylko umożliwi mi dotarcie tam, gdzie poprowadzi mnie ręka trupa! Dalej!

Wziął latarnię i wyszedł prędko na górę. Znalazłszy się na świeżym powietrzu stanął, odetchnął głęboko i otarł zimny pot z czoła. Postawił latarnię i zaśmiał się śmiechem szatańskim, śmiechem mordercy!

— Wilmore! Za chwilę przyjdzie tu ten, który oskarży cię o świętokradztwo!

I w rzeczy samej, skoro dozorca wrócił, by zabrać latarnię i przyrzeczone pieniądze, szukał ich na próżno.

— Ha — szepnął — głupstwo zrobiłem, że ich od razu nie wziąłem. Wilmore skorzystał z mego przestachu i okpił mnie!

Spostrzegłszy następnego dnia naruszenie trumny, poprzysiął sobie zatrzymać Wilmora przy trzecich odwiedzinach i doprowadzić do aresztowania zbrodniarza.

VI

Kulisy teatru Argentino w Rzymie

W pierwszych dniach 1838 przygotowywały się dwie przyjaciółki do pierwszego występu na scenie pięknego teatru Argentino. Obie były młode, obie

piękne. Rozpoczęły studium muzyczne w Paryżu i obie zostały wyróżnione przy publicznym egzaminie włoskiej akademii. Chciały pójść w ślady artystycznej sławy Sonntag, Damoreau, Cinti.

Eugenia i Ludwika d'Armilly już od dzieciństwa miały ducha wolności i niezawisłości. Wrodzony geniusz chciał wolności i niezawisłości, którą zdobyć można tylko poza obrębem małego kółka naszych namiętności i przesądów. Dużo czasu upłynęło odkąd Eugenia śpiewając silnym i pełnym wyrazu głosem przy akompaniamencie fortepianowym Ludwiki, spędzała całe dni w swym pokoju, przy zamkniętych drzwiach, by im nikt nie sprofanował tej małej świątyni, w której geniusz sztuki próbował swych skrzydeł, by móc potem śmiało wzlecieć ku wyżynom pojmowanym tylko przez młody umysł rozbujającej imaginacji. Innym razem znów Eugenia przesuwiała zgrabne palce po klawiszach pianina, aby towarzyszyć śpiewowi Ludwiki, której głos różnił się od namiętnych, silnych i pełnych wyrazistości dźwięków Eugeniei łagodnością i niezrównaną słodyczą. Tym też znamionowały się dwa różnorodne charaktery przyjaciółek. Dumną i stanowczą była Eugenia, skromną i trwożliwą Ludwika.

Chociaż w Paryżu otaczało Eugenię towarzystwo najbogatsze i najwykwintniejsze, nie zdołał żaden przedmiot zająć i przywiązać duszy rozfantazjowanej śpiewaczki. Muzyka i teatr były jedynymi namiętnościami tego serca, w którym znalazły echo harmonie Rossiniego, Belliniego, Mereadanta, Meyerbeera, Verdiego i Donizettiego. Ludwika była początkowo jej nauczycielką, z czasem jedyną przyjaciółką, siostrą i towarzyszką sławy, pracy i szczęścia. Ludwika wprowadzała Eugenię w tajemnice sztuki, której czarem była owiana. Eugenia złożyła śluby nowej kapłanki odrzuciwszy wszelkie przesady, z takim zaparciem siebie, z tak głęboką i szczerą myślą, jaka właściwa jest tylko wielkim duszom. Wzgardziła wszystkim, co może pociągać dziewczę w jej wieku. Opuściła ojca, matkę, bogactwo — by spokrewnić się z wielką rodziną Apollina, którego współczesny świat wyniósł do rzędu bogów.

Opuściwszy Francję przyjaciółki rozpoczęły karierę od tak zwanych małych

artystycznych wycieczek do najznakomitszych miast włoskich; podziwiała ich śpiew Mediolan, Genua i Wenecja, gdzie dały kilka koncertów, aby dochodem z nich napęłnić swe szkatułki, nadwerężone bardzo znacznymi kosztami podróży. Przybyły wreszcie do Rzymu, aby tu poddać się podobnemu egzaminowi.

Egzamin wypadł świetnie. Widziały więc otwierające się przed nimi w niedalekiej przyszłości złote bramy raj, o którym tak długo marzyły!

Następnego dnia po koncercie marzenia ich zaczęły się ziszczać. Musiały przyjmować odwiedziny wielu dyrektorów, teatrów, a między nimi impresaria teatru Argentino, którego primadonnie kończył się właśnie kontrakt.

— No, Ludwiko, co na to powiesz? — rzekła Eugenia wstając z łóżka i patrząc na zegarek, który wskazywał południe — Mamy przyjąć propozycję impresaria z Argentino?

— Tak, jeżeli on się zgodzi, byśmy do repertuaru same wybierały opery.

— To pierwszy warunek — odparła Eugenia ubierając się. — Semiramis, Attila.

— Nina, Parisina — dodała Ludwika. — Chodźmy na śniadanie i układajmy nasze plany, bo zdaje się, że panowie się tu zaraz zjawią.

— Niech przychodzą — rzekła Eugenia skacząc po pokoju dla ogrzania się. — Jesteśmy gotowe, bo tu chodzi o naszą przyszłość. Skoro tylko mocno ściągnę podwiązki, to bieda z nimi!

— Biedny człowiek! Gdyby cię słyszał, to mógłby umrzeć z przestachu! — rzekła Ludwika uśmiechając się.

— Bez wątpienia — odparła Eugenia — bez wątpienia. Jestem jak mężczyzna, jak to często mówisz. Przypominasz sobie, jak odegrałam rolę Leona, gdyśmy uciekły z Paryża nazwałam się Leon d'Armilly, ale gdy myślałam, że jesteś w niebezpieczeństwie brakowało mi jednak odwagi, aby głośno wypowiedzieć wyraz: pistolety?

— Ach, jakie to były czasy! — szepnęła Ludwika.

— Wtedy, gdy byłam przy tobie w męskim ubraniu, jakże przyciskałam cię

do mej piersi, okrywałam pocałunkami, skoro przebyłyśmy niebezpieczeństwo: a gdyśmy minęły rogatki nie drżałaś tak, jak teraz.

— O, to dlatego, że nasz pierwszy występ się zbliża. A jeżeli nas przyjmą źle?

— Et co tam! Czy w Mediolanie, Genui, a szczególnie w Wenecji śpiew nasz się nie podobał?

— To prawda. Lecz w obecnych warunkach zmienia się postać rzeczy! Tu chodzi o występy na scenie. Co się mnie tyczy, to wiem na przykład, że mogę śpiewać wielką arię Parisiny, ale czy mogę powiedzieć, że potrafię byś samą Parisiną?

— A czy ja mam pewność, że mam charakter Semiramidy? Że wszystko, co ona czuła, tak odczuję, aby publiczność sobie wyobrażała, że ma przed sobą szlachetną królową Asyryjczyków, upokorzoną, drżącą i pokonaną przez skrucę, gdy słucha słów Ninusa; albo szaloną w miłości, upojoną w obecności Arsacesa? — zapytała Eugenia — Jak widzisz jednak nie drzę przed pierwszym występem. Mam za wiele zaufania do studiów, które razem robiłyśmy, aby przerażać się zadania, które tyle już innych kobiet wykonywało wśród entuzjastycznych oklasków inteligentnej i bezstronnej publiczności.

— Ha, moja droga Eugenio, kości rzucone i przyszłość, o której marzyłyśmy w Paryżu, ziści się. Wkrótce zanieś echo sławy nasze nazwiska do Paryża, na łono naszych rodzin, skoro tylko zostaniemy wpisane do złotej księgi rycerzy sztuk! O, jakże mi się takie szlachectwo podoba! Wszak nie można go kupić za nędzną garść złota; zdobywa sieje tylko pracą i osobistą zasługą. Ach, co za cudowny herb ma artystka! Herb, którego burza czasów nie zamroczy, który nie znika!

— Ludwiko, Ludwiko! — zawołała Eugenia z uśmiechem — Dobrze! Doskonale! To mi entuzjazm! Taką cię kocham.

Obie przyjaciółki przeszły do jadalni.

Zaledwie skończyły śniadanie i toaletę, gdy już przyjmowały dyrektora

teatru Argentino, który obawiał się, by go inni koledzy nie uprzedzili. Ugoda nastąpiła prędko; impresario przyjął wszystkie warunki, które mu przedłożono i nim dzień upłynął, kontrakt z obu prime donne assolute został zawarty, po czym przez cały miesiąc trwały w teatrze Argentino próby „Semiramidy”, opery Rossiniego.

Wreszcie nadszedł dzień przedstawienia; zaledwie teatr oświetlono, wszystkie miejsca były zajęte przez miłośników, którzy głośno chwalili talent młodych d'Armilly.

Gdy się to działo w amfiteatrze i w korytarzach teatru Argentino, jakiś młody dwudziestodwu — lub trzy letni, wysoki, dobrze zbudowany i nie zbytkownie, ale nader elegancko ubrany mężczyzna, usiłował przebić się przez tłumy stojące przed teatrem. Tylko dzięki niezmiernym usiłowaniom zręcznego cicerone zdołał się dostać do kasy.

— Bilet, bilet, amico! — wołał cicerone, uderzając ręką o stół kasjera.

— Bilet! — odparł kasjer — Bilet o tej godzinie? Pięknie! Przyjdź jutro, kochanku, jutro o świcie, jeżeli chcesz mieć bilet na jutrzejszy wieczór. Wszystko sprzedane, przyjacielu.

— Nie ma już biletu — rzekł cicerone do owego młodego mężczyzny.

— Ależ ja muszę być w teatrze! — zawołał młodzieniec dobrą francuszczyzną.

— Nie ma już biletu! — powtórzył cicerone.

— Zaprowadź mnie za kulisy, bo ja muszę tam być! Słyszysz, trutniu, ja muszę wszystko widzieć.

— Cóż na to poradzę? Powinieneś być pan prędeż mi to powiedzieć. Mestre Pastrini byłby wszystko zrobił, ale w tej chwili to już niemożliwe. Tymczasem pokażę panu budynek i objaśnię jego architekturę. Chodź pan za mną!

— A niech cię diabli porwą z twoim objaśnieniem! Tłumaczę ci, że muszę być na przedstawieniu, a ty chcesz mi pokazywać mury, dachy i słupy! Czyś oszalał? — Ależ panie, Argentino jest cudowny — powtarzał nieznużony

cicerone — a zresztą, kiedy nie ma biletu, musisz pan skorzystać z czasu i widzieć, co widzenia warte! Chodź pan.

— Niech cię diabli porwą! Chodź za kulisy! — wołał Francuz, szarpiąc cicerona za rękę.

— Ależ tam iść nie wolno!

— Powiedz, że jestem obcy i że chcę obejrzeć spektakl. Czyż nie powiedziałeś mi, że cudzoziemiec przybywa do Rzymu po to, aby w tym wielkim mieście coś zobaczyć?

— Per la Madonna! Tak! — zawołał cicerone — Ale kulisy i maszynie Argentino pokazują w dzień, a nie w wieczór podczas przedstawienia.

— Ty mnie chcesz doprowadzić do szaleństwa! Zaprowadź mnie do drzwi, muszę mówić z portierem! Muszę być na przedstawieniu i będę!

Mówiąc to chwycił cicerona za rękę tak silnie, że ten ledwie nie upadł.

W kilka chwil stanęli przed bocznymi drzwiami prowadzącymi na scenę.

— Kto tam? — zawołał portier, stojąc przed cicerone.

Cicerone szepnął tajemniczo parę słów w ucho cerbera.

— Niemożliwe, miocaró — odparł ten — puszczając kogoś na scenę; rozkazy stanowcze, dzisiaj tym bardziej. Nadzwyczajne przedstawienie, dwa debiuty.

Portier zamilkł, poskrobał się za uchem i mówił dalej:

— A więc to ten pan chce gwałtem wejść? Dałby za to wszystko na świecie? Znam na to jeden środek: musiałby mieć osobne pozwolenie dyrektora. Zobaczę, może da się coś zrobić.

Mówiąc to portier spojrzał na cudzoziemca, cofnął się parę kroków i zawołał zdziwiony.

— O! Miałożby to być prawdą?

— Patrzysz pan na mnie zdziwiony, jak ja na pana — rzekł cudzoziemiec — a doszedłem już do przekonania, że rzymskie powietrze dziwnie zmienia ludzi.

— A ja dopiero w tej chwili jestem przekonany, że z panem mógłbym porównać nazwisko pożałowania godnego Ibikusa.

— Z tą tylko różnicą, że ja działałem jak biedny żebrak, starając się o rękę pańskiej Penelopy, ale tajemnicza Diana i poczciwy Eskulap zlitowali się nademną i, dzięki pańskiemu wmieszaniu się, burza przeszła szczęśliwie nad moją głową.

Podczas tej rozmowy cicerone patrzył na obu ze zdziwieniem, nie rozumiejąc treści ich rozmowy. Domyślał się jednak, że mówili o bardzo ważnej sprawie.

Cudzoziemiec spostrzegł to.

— No, mój panie — rzekł zwracając się do portiera — tu nie jest miejsce na pytania.

— Masz pan słuszość; zaprowadzę pana do mojej łoży i przekonam, że o przeszłości umiem zapomnieć.

Gdy przewodnik oddalił się, nieznajomy rzekł:

— Prawdziwie, panie baronie, to szczególne spotkanie.

— Mój Boże, chcesz mnie skompromitować signor Andrea Cavalcanti? Czyż się pan nie domyślasz, że tytuł swój schowałem do kieszeni?

— Myślałem, że pan grasz tu komedię, jak ktoś z pańskiej rodziny.

— A, to by była oryginalna zachcianka.

— Ale opowiadaj mi, kochany Danglars, co się z panem działo.

— Tutaj nie nazywam się Danglars! Portier teatru Argentino nie śmie i nie może nazywać się Danglars! Lecz pan mi raczej powiedz, w jaki sposób umknąłeś agentom policyjnym, którzy schwytali pana, jako zbiega z galer, właśnie w tej chwili, gdy miałeś podpisywać umowę ślubną z Eugenią?

— W całkiem prozaiczny sposób. Mówiąc z panem otwarcie: moje życie aż do dzisiejszego dnia jest dziwnym ciągiem szczęścia i nieszczęścia! Ale co się z panem dzieje, baronie?

— Przekłęte przyzwyczajenie! — zawołał Danglars rumieniąc się po uszy i ocierając pot z czoła.

— Przebacz, panie Danglars!

— O, coraz gorzej i gorzej!

— Jakżeż mam więc pana nazywać? Powiedzże mi pan.

— Biedny nie ma nazwiska.

— Jesteś więc pan zrujnowany do szczeru?

— Do ostatniego centima! — szepnął Danglars — Gdyby nie ta mała posada, zginąłbym z głodu! Tak, z głodu! — powtórzył z goryczą.

— To by była rzeczywiście straszna śmierć dla wielkiego barona. Któż to przyprowadził pana do takiej nędzy?

— Kto? — zawołał Danglars, blednąc jak chusta — Kto? Człowiek, który wyszedł z wnętrza ziemi, czy morza, aby zniszczyć me szczęście.

Benedykt zadrżał mimowolnie.

— Jakże się nazywa ten człowiek?

— Ach! — rzekł baron patrząc bojaźliwie naokoło — Już od dłuższego czasu nie wymawiam tego straszego nazwiska, by jego groźna postać nie wyszła z ziemi i nie dręczyła mnie.

— Co! Pan się go tak boisz? Ach, jak słabymi i tchórzliwymi są ludzie!

— Głupcze! — rzekł Danglars — Gdybyś go pan zobaczył, uciekłbyś z przestachu. Wiesz pan może przypadkiem, kto to jest hrabia Monte-Christo i skąd pochodzi?

Benedykt zaśmiał się szyderczo i rzekł:

— Ja mam u niego święty dług, dług krwi i ręka trupa jest otwarta, aby go przyjąć!

Danglars otworzył szeroko oczy.

— Nie rozumiem pana — szepnął.

— Całkiem po prostu. Czego pan drżysz, gdy wymawiasz nazwisko, które przyjął majtek Edmund Dantes?

— Ha! Skąd pan to wie?

— To jest moja tajemnica, a teraz pan odpowiadaj.

— Tu nie jest miejsce do mówienia o tym — odparł portier. — Jeżeli pan

zechcesz, to odwiedzę pana i wtedy pomówimy. Gdzie pan mieszka?

— W hotelu Mestra Pastriniego.

— Wiem, gdzie to jest.

— Dobrze. Jeżeli trzeba panu pieniędzy, to możesz pan rozporządzać moją sakiewką.

— Co to ma znaczyć? Czy może pan chcesz dalej grać rolę księcia Cavalcanti? Albo może płaci panu hrabia Monte-Christo? W takim razie nie warto mówić z panem.

— Uspokój się pan; czyż nie powiedziałem panu, że Edmundowi Dantes jestem winien dług krwi? Nie jestem księciem Cavalcanti, ale złodziejem, fałszerzem, bandytą bez nazwiska, ojczyzny i Boga!

— Ha, co pan mówisz! — zawołał Danglars przerażony, chwytając się mimowolnie za kieszenie i cofając, jakby chciał uniknąć pchnięcia nożem — Dokądże pan dojdiesz, idąc dalej jak Żyd wieczny tułacz?

— Prowadzony przez rękę trupa, który jeszcze w grobie drży z gniewu, dojdę do Edmunda Dantes!

— Ej, panie, mnie się zdaje, że pański rozum trochę coś nie w porządku.

— Schlebiasz mi, mój kochany. Dajmy temu spokój i wierz mi pan, że będę jeszcze panu przydatny w odzyskaniu majątku. Mogę go panu zwrócić potrójnie, jeżeli pan zechcesz!

— O!

— No, ale teraz puść mnie za kulisy, bo muszę wiedzieć, czy te dwie śpiewaczki są tymi, za które je mam.

— A! d'Armilly?

— Jeżeli się nie mylę, to tak się nazywała nauczycielka pańskiej córki Eugonii?

— Tak; ale co chcesz pan przez to powiedzieć?

— Pańska córka była dziwnie namiętna dla teatru i muzyki. W tej chwili, przypuszczam, jest na górze i drży przed cieniem Niunusa.

— O, to jeszcze wcześniej, przedstawienie dopiero się rozpoczęło.

— To wystarcza. To, co mi pan powiedziałeś, utwierdza mnie w podejrzeniu; życzę więc panu szczęścia z powodu powodzenia pańskiej córki i w usiłowaniach odzyskania majątku, który panu skradziono. A teraz do widzenia, do jutra, panie Danglars. Spodziewam się, że pan nie zapomnisz o naszym spotkaniu? Hotel Mestra Pastrini, via del Corso.

Po tych słowach Benedykt oddalił się. Zostawił zdziwionego portiera i był przekonany, że z jego pomocą dowie się bardzo ważnych rzeczy o Edmundzie Dantes.

VII

Otwory w kurtynie

Gdy się to działo, obie przyjaciółki chodziły po scenie.

— Zdaje mi się, że teatr jest przepelniony! — szepnęła Ludwika — Wkrótce, ach wkrótce podniesie się zasłona, wkrótce zwrócą się na nas oczy wszystkich.

— Masz słuszość Ludwiko! Ja także czuję pewien niepokój! Mimo to jestem przekonana, że odwaga mnie nie opuści, bo przejmę się duchem roli tak, że zapomnę o wszystkim. Przyjdzie mi to tym łatwiej, że Arsacesem będziesz ty Ludwiko, tyś moją przyjaciółką, moim aniołem opiekuńczym, będziemy się obie wspierały i ochraniały. Ale powiedz mi, przypominasz sobie ów dziwny wypadek, który się kilka razy powtórzył? Zauważyłaś pierwszego wieczoru, gdyśmy przyszły na próbę, człowieka, który otworzył nam drzwi łoży i gdy nas spostrzegł, uciekł?

— Tak. Przypominam sobie.

— To był portier; gdy drugiego wieczora byłam w łoży, słyszałam rozmowę, która wydała mi się bardzo interesująca:

— „Gdy panna Eugenia wyjdzie ze swojej łoży, to nie zapomnij pan prosić ją o klucz, gdyby przypadkiem zapomniała go oddać.

— Tego nie uczynię.

— Dlaczego nie?

— Mam ważne powody.

— Ale w ten sposób nie wypełnisz pan obowiązku pilnowania wszystkich kluczy.

— Zażądam wszystkich kluczy, ale tego nie.

— Boisz się więc pan mówić z panną Eugenią d'Armilly?

— Wybacz pan; robię to dlatego, ponieważ panna Eugenia знаła mnie w Paryżu w lepszym położeniu i nie byłoby mi przyjemnie, gdyby wiedziała...”

— Na tym przerwano rozmowę — mówiła Eugenia dalej — i od tego czasu nie zapomniałam oddawać klucz portierowi; gdy przechodzę i kładę klucz na jego stole, on zawsze się prędko ode mnie odwraca.

— Jakżeż on się nazywa? — zapytała Ludwika.

— Całkiem pojedynczo. Józef. Może być, że nazywa się jeszcze inaczej.

— Miałby to być przypadkiem nieszczęśliwy książę Cavalcanti, który byłby twym mężem, gdyby go w ostatniej chwili nie zamknęli jako fałszerza? — zapytała Ludwika.

— Co za myśl! W tej chwili gilotynują go pewnie jako mordercę. Prócz tego człowiek, który kryje się przed mną jest o wiele starszy, jest mały, gruby.

— Musimy się strzec Eugenio; może to jest przypadkiem szpieg twojej rodziny?

— Nie myślę. Ale patrz. Ludwiko, zdaje mi się, że znam tę damę, która w tej chwili weszła do parterowej łoży nr 4 — rzekła Eugenia patrząc na publiczność przez otwór w kurtynie.

— Ta dama — blednąc mówiła Ludwika — ta dama, tak, ach mój Boże, może się myłę! Daj mi szkła Eugenio!

Eugenia wydobyła z kieszeni eleganckie binokle i podała je przyjaciółce.

Ludwika chwyciła je prędko i spojrzała na łożę nr 4.

— Eugenio — rzekła — jeżeli posiadasz rzeczywiście niezachwianą siłę duszy, to masz sposobność okazania tego. Patrz!

Eugenia spojrzała przez otwór i cofając się, jakby rażona piorunem, szepnęła:

— Moja matka!

W tej chwili zabrzmiał gwizdek reżysera zawiadamiając artystów, by byli w pogotowiu.

— Słyszysz Ludwiko — rzekła Eugenia — chodźmy do łoży, a kiedy płaszcz królowej Asyryjczyków spocznie na mych barkach to ręczę ci, że żadna osoba, ani z łóż, ani z parteru nie zajmie mojej myśli!

Chwyciła drżącą rękę Ludwika, zaprowadziła ją do łoży i zamknęła drzwi.

— Ludwiko — rzekła — pamiętaj, że od dzisiejszego wieczoru zależy szczęście i przyszłość naszej kariery.

Eugenia dawała przykład odwagi tak naturalnie i z taką zimną krwią, że i Ludwika odzyskała powoli przytomność umysłu. Znała dumę baronowej Danglars, damy wysokiego pochodzenia, spokrewnionej z pierwszymi domami i nie było dla niej tajemnicą jak przykro będzie matce widzieć Eugenię na scenie w postaci Semiramidy. Zbladła, na myśl o złorzeczeniach, jakie rzucać mogła baronowa. Chociaż we Włoszech artyści dramatyczni są poważani i lubiani, a nawet czasem uwielbiani, to baronowa Danglars, pochodząca z rodu Servierów, nie przebaczyłaby nigdy tej, która do jej córki powiedziała:

— Eugenio Danglars, nienawidzisz paryskiego życia, lubisz niezawistość, uwielbiasz muzykę, bądźmy więc śpiewaczkami.

W ten sposób przekroczyły Rubikon.

Eugenia i Ludwika uściskały się serdecznie. W tej chwili zabrzmiał drugi raz gwizdek reżysera powołujący artystów za kulisy.

W kilka chwil potem podniesiono zasłonę; Eugenia weszła na scenę z całą powagą i majestatem, jaki charakteryzuje królewską bachantkę; jej czysty

dźwięczny i silny głos zwrócił zaraz uwagę całej publiczności; z końcem pierwszej wielkiej arii rozpoczął, się jej pierwszy triumf. Teatr drżał od oklasków i krzyków podziwu.

Tymczasem w łoży nr 4 panowało zamieszanie nie do opisania. Lorneta bez przerwy utkwiona była w twarzy Eugonii, ręka trzymająca szkła zdawała się drzeć coraz bardziej. Pani Danglars otarła bladą twarz i skierowała swe spojrzenia na wspaniałe, majestatyczne oblicze nowej Semiramidy. Później, gdy świątynia Belusa została opuszczona i zjawił się dzielny Scyta ręka pani Danglars zadrżała jeszcze silniej, bo poznała, że namiętna i melancholiczna twarz Arsacesa należała do nauczycielki Eugonii. Nie mogła więc już wątpić, że nową Semiramidą była jej córka, i jej boleść, jej męczarnia, trwały tak długo, jak przedstawienie. Nie brakowało nic więcej, jak tylko widzieć jeszcze męża tańczącego w balecie. Dwa razy miała zamiar wyjść, ale jakaś siła zatrzymywała ją w łoży. Została więc pod panowaniem jakiejś strasznej ciekawości aż do końca opery.

Wreszcie sztylet Arsacesa utkwiał w skruszonej piersi dzielnej Semiramidy, a ta upadła, umierając u stóp swego syna. Baronowa wydała okrzyk przerażenia, do jej zmartwienia brakowało jeszcze rzeczywiście tylko widoku córki upadającej śmiertelnie wobec całej publiczności. Brawa, nawoływania i oklaski publiczności przytłumiły krzyk baronowej, która szybko wyszła z łoży.

— Ha! — szepnęła, siadając do powozu — Jakiś demon poprzysiągł sobie wszędzie mnie upokarzać. W Paryżu jako matka nędznego bandyty, którego ściga surowość prawa; w Rzymie mam córkę, z krwi Servierów, krwi, kupionej za wiele złota, służącą zabawie i przyjemnościom publiczności: Ach kto wie czy w jakimś innym mieście nie spotkam męża, stojącego za powozem wzbogaconego chłopca.

Łzy zrosiły arystokratyczną twarz dumnej i wyniosłej damy. Obie przyjaciółki natomiast obsypane zostały oklaskami z entuzjazmem przechodzącym prawie w delirium, a następnego dnia otrzymały z rąk

impresaria dwa przepyszne srebrne puchary z rzeźbami wykonanymi nader gustownie i wytwornie.

VII

Dwóch bezimiennych

Portier teatru Argentino myślał nad korzyściami, jakie przynieść mu mogło spotkanie z Benedyktem. Zamierzał pójść do hotelu Mestra Pastriniego, żywiąc w duszy nadzieję odzyskania swego majątku, co chciał osiągnąć korzystając z pomocy człowieka, który wyznał otwarcie, że jest złodziejem, fałszerzem i mordercą. Udał się więc stanowczym krokiem do Benedykta, którego nazwał Andrea.

Benedykt w istocie zamieszkał w hotelu sławnego Mestra Pastriniego. Po śniadaniu kazał zawołać właściciela domu.

— Do usług, Waszej Ekscelencji — rzekł Mestre Pastrini zdejmując z uniżonością czapkę i kłaniając się nisko.

Benedykt przez parę minut nic nie mówił, potem rzucił gazetę i zmierzył Włocha od stóp do głowy.

— Mestre Pastrini — rzekł — nie jestem zadowolony z tych pokojów.

— Na krew Chrystusa! — zawołał Wioch — A to dlaczego Ekscelencjo?

— Dlaczego! Chcesz wiedzieć dlaczego, Mestre Pastrini? Bo nie mogę tu spać spokojnie.

Włoch zaniepokoił się. Benedykt mówił dalej:

— Kto tu obok mieszka?

— Ach, to jakiś młody człowiek, który, jak mi mówił jego służący, jest trochę chory i podróżuje, aby się rozerwać nieco po wielkim zmartwieniu. Zapewniam pana, że to przyzwoity człowiek, chociaż nie słyszałem jeszcze ani razu jego głosu. Bawi już od miesiąca w Rzymie, a wychodził zaledwie dwa,

albo trzy razy, a wracał zawsze wcześniej.

— A ja ci mówię, że kłamiesz! Rozumiesz mnie, Mestre Pastrini? Kłamiesz!

— Ja, Ekscelencjo? — odparł gospodarz, udając zupełną niewinność.

— Daj spokój temu udawaniu, ja nie dam się podejść. Twój młody, chorowity człowiek. Mory podróżuje, aby rozerwać się po strasznych zmartwieniach, wrócił wczoraj o pierwszej w nocy. To jeszcze nie wszystko; krzyczał, płakał, przeklinał; był to cały potok przekleństw aż do drugiej w nocy.

— Rzeczywiście?

— Cicho! Potem znów wyszedł, a gdy wrócił do domu, była już czwarta rano..

— Tak jest. Ekscelencjo — odparł Pastrini przezornie — wszystko widziałem; ale co poradzę na to? Myślę, że on od czasu do czasu cierpi na ataki nerwowe, a lekarze powiedzieli mu, aby zawsze w takiej chwili, czy to w dzień, czy w nocy, wychodził z domu. Ale uspokój się Ekscelencjo, jego lokaj powiedział mi, że napady takie powtarzają się u niego raz na rok.

Benedykt zaśmiał się ironicznie i rzucił na Mestre Pastriniego badawcze spojrzenie.

— Nie dowierzam podobnym napadom. Miej się na baczności, Mestre Pastrini, Niedawno umknął z Francji straszny człowiek, morduje, rabuje, profanuje dziewczęta, starców, chłopców, kościoły i groby!

— Per la Madonna! Co Ekscelencja mówi? — rzekł Pastrini przewracając oczami — Ach, ten szelma musi być niezmiernie bogaty!

— Mówią, że ma miliony i ukrył je w jakimś nieznanym miejscu, gdzie światło dzienne nie dochodzi, a otacza je brudna, zaraźliwa woda.

— Ależ Ekscelencjo, pański sąsiad nie ma więcej, jak dwadzieścia dwa lata, a prócz tego jest taki mały i wąły że gdybyś go pan zobaczył, przestałbyś go podejrzewać.

— Mały, wąły i żółty?

— Żółty? Nie całkiem; ale nadzwyczaj blady. Benedykt powstał żywo, chodząc po pokoju wielkimi krokami, gładził rękami włosy i oddychał głęboko, jakby mu było gorąco.

— O — rzekł — muszę koniecznie opuścić twój hotel, Mestre Pastrini.

— A to dlaczego Ekscelencjo? Czego panu tu brakuje? Czyż nie usługują panu z wszelką starannością?

— Głupcze! Ja ginę prawie tłumacząc ci, że twój gość jest dla mnie uciążliwy, nieprzyjemny, a ty nie rozumiesz, co mówię.

— Ale Ekscelencjo? Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Pastrini.

— Wy tłumaczę ci to. Jest na świecie stworzenie, które przychodzi, a nikt nie wie skąd, ani czyim jest synem; stworzenie, o którym myślę, że pochodzi z parowania bagna, wystawionego na działanie słońca. Ten, o którym właśnie mówię, a który jak wieszczka humejska nauczył się w jakiejś pieczarze sztuki badania przyszłości i szkodzenia ludziom, odkrył tajemnicę, za pomocą której zmienia się w węża, aby tym łatwiej dopiąć celu. To mnie nie dziwi, bo ludzie mówią, że chemia jest dziwną nauką. W ten sposób złoczyńca okazuje się w różnych postaciach, stosownie do kraju i ludzi, z którymi ma do czynienia. Czasem jest jakimś abbé, starym i ułomnym, pochylonym pod ciężarem lat i szepce święte słowa w ucho tego, którego chce uwieść! Potem znów jest ekscentrycznym i flegmatycznym lordem, upartym jak osioł. Innym razem zwie się hrabią i przedstawia się jako najznakomitszy i najbogatszy człowiek na świecie. Tym człowiekiem powszechnie znanym jest hrabia Monte-Christo.

— Ha! — zawołał Pastrini cofając się.

— Co to ma znaczyć? Możesz go już kiedy widział? — zapytał Benedykt.

— Mów dalej Ekscelencjo; mów dalej.

— Dobrze. Mówię ci więc, że ten złodziej, ten fałszerz, ten bezbożnik, ten morderca, nazywa się hrabia Monte-Christo — mówił Benedykt nie spuszczać oka z Pastriniego. — Ten człowiek, który dzięki swoim niezmiernym bogactwom i potędze uważa się wyższym od reszty ludzi, nadużył wszystkich i

wszystkiego, jest teraz ścigany przez ziemską sprawiedliwość. Niedawno przyjął w Paryżu imię Benedykt, potem nazywał, się księżę Andrea Cavalcanti; umknął z więzienia i zamordował dozorcę. Potem poszedł na cmentarz Père Lachaise, sprofanował groby szlacheckiej rodziny i skradł kosztowności zdobiące trupy. Wreszcie zmienił swą postać i umknął z Francji, udając się podług wszelkiego prawdopodobieństwa do Włoch, gdzie ma tajemne i ohydne związki.

Mestre Pastrini był jak zbity, bo właśnie gościł u siebie swojego czasu indywidualium, zwane hrabią Monte-Christo. Mimo to odważył się zapytać:

— W takim wypadku. Ekscelencjo, czarnoksiężnik ten musi być wszędzie ścigany?

— Mnie się zdaje, że jego kuglarstwo nic mu nie pomoże. W całej Europie są ludzie opłacani przez rząd francuski, którzy będą w stanie strącić go z piedestału — mówiąc to, uczynił Benedykt gest, jakby chciał powiedzieć: Jednym, z tych ludzi jestem także ja. — A więc Mestre Pastrini, posłuchaj mojej rady i staraj się dowiedzieć, kto jest twym gościem na 'pierwszym piętrze i bądź przy nim ostrożny. Możesz odejść!

Włoch odszedł zmieszany i drżący, zapewniając, że nie byłby Pastrinim, jeżeli jeszcze tego dnia nie pozna, historii dotyczącej chorowitego młodzieńca, któremu wynajął pierwsze piętro.

— O — szepnął do siebie — zawsze zdawało mi się, że w tym hrabi Monte-Christo z jego grecką nałożnicą jest coś dziwnego! Ta zimna krew z jaką patrzył na ścinanie skazańców, gorączka z jaką mówił, nieustraszość, z jaką wchodził do miejsca pobytu. Ludwika Vampy, to wszystko jest nienaturalną rzeczą! Ha, niechaj kto mówi co chce, ale sprawiedliwość boska jest doskonała i człowiek, kimkolwiek by był, nie może przed nią uciec,

Podczas gdy Pastrini oddawał się takim filozoficznym rozmyśleniom, Benedykt chodził po pokoju i zacierał ręce z wyrazem największego zadowolenia:

— No, idzie dobrze, mój panie. Powiedziawszy to Pastriniemu, splatałem

diabelskiego figła, bo jestem pewny, że wkrótce będzie wiedział o tym cały Rzym! Prócz tego uda mi się dowiedzieć, kto jest moim tajemniczym sąsiadem na pierwszym piętrze. W ten sposób odwrócę od siebie uwagę sądów, jeżeliby miały przypadkiem ochotę szukać mnie tutaj. O, wyrwę zęby tej hydrze, która, chcąc się zemścić, połknęła starców, dzieci i dziewice!

Edmundzie Dantes! Edmundzie Dantes! Uwalniając mnie z więzienia w Toulon, wciągnąłeś mnie w swój piekielny dramat i zdarłeś ze mnie maskę wtedy, gdym sądził, że znajduję się na najwyższym szczeblu szczęścia! Potrzebowałeś księcia Cavalcanti do przeprowadzenia swego tajemniczego planu, który ty sam jedynie znałeś i dlatego tylko zwróciłeś swe oczy na biednego skazańca w Toulon! Przeklęty, tysiąc razy przeklęty! Niechaj cię ściga wszędzie nieprześlągana zemsta! Tak, wszędzie pójdę za tobą jak kat za swoją ofiarą. W moim sercu, nie ma już uczucia, które powstrzymywałoby mnie.

W pamięci brzmią jeszcze słowa umierającego ojca, wołającego o zemstę na strasznym i nielitościwym kacie, który po dokonaniu dzieła meczami patrzył na swe ofiary i śmiał się szatańskim śmiechem! Ha, zgubiłeś całą rodzinę, mszcząc się na jednym człowieku! Tego za wiele! Gdzie była twoja religia, twój Bóg? Tam gdzie jest moja religia i mój Bóg. W jakimś dalekim kącie piekła! Teraz jest w mym sercu tylko nienasycona żądza zemsty. Pragnę tylko twojej krwi. Edmundzie Dantes, dałeś mi przykład i sam będziesz kiedyś płakał nad dziełem swych własnych rąk!

W kilka chwil potem wszedł Pastrini zapowiadając odwiedzin jakiegoś człowieka, który nie chciał podać nazwiska. Benedykt zaśmiał się i kazał wprowadzić tajemniczego gościa.

— Dobrze! — mruczał Mestre Pastrini — On przyjmuje ludzi bez nazwiska! To coś znaczy. Niech mnie diabli porwą, jeżeli mój pan gość nie jest agentem francuskiej policji, szukającym sławnego czarnoksiężnika!

Powiedziawszy to do siebie, dał portierowi teatru Argentino znak, by wszedł do pokoju Benedykta.

— Z jakiegoż to powodu kryjesz swoje nazwisko, mój kochany baronie Danglars? — zapytał Benedykt tak, by mógł go słyszeć Włoch, który stał na zwiadach i nadstawiał ucha do na wpół otwartych drzwi.

— Baron! — szepnął Mestre Pastrini zdziwiony — O, to jest coś wielkiego! Przebrany baron! Oddalmy się. Nie chcę, by mnie podejrzewano o ciekawość.

Tymczasem portier teatru Argentino stał osłupiały z oczyma wlepionymi w Benedykta, z na wpół otwartymi ustami, jakby się obawiał, by znów nie dać mu sposobności do nazwania go baronem Danglars.

— Caro signor! — mówił Benedykt dalej — Mnie się zdaje, że pan jesteś całkiem ogłuszony echem swego nazwiska i tytułu.

— Czy już nie wytłumaczyłem panu dostatecznie, że nie mam z nimi do czynienia? Powiedz mi pan, czy byłbyś bardzo zadowolony, gdybym cię nazywał: księżę Cavalcanti?

— Ja się nigdy tak nie nazywałem.

— Jak to, nigdy?

— Pod tym nazwiskiem grałem rolę w komedii Monte-Christo. Nie mam teraz nazwiska.

— Jak to pan nie masz nazwiska? Nie jesteś pan Andrea?

—Nie.

— Nie rozumiem. Jakże wlec przybyłeś pan do Rzymu? Skąd wziąłeś paszport?

— Mój panie, mam w posiadaniu relikwię hrabiego Monte-Christo i z jej pomocą otrzymuję wszystko, czego żądam. To była tajemnica, wynosząca go ponad wszystkich, ludzi i udzielająca mu władzy gubienia ich.

— Cóż to za bajkę mi pan opowiadasz? Spodziewam się, że nie chcesz pan wpoić we mnie wiary w laski czarodziejskie i zęby Sybilli?

— Nie, moja relikwia jest całkiem innego rodzaju i nie ma w sobie niczego dziwnego. Patrz pan.

Przy tych słowach otworzył Benedykt pudełeczko, a Danglars cofnął się

natychmiast i szepnął pełen strachu:

— Ręka trupą?

— Cicho nieszczęsny! — rzekł Benedykt zamykając pudełko i stawiając je przezornie w ukrytym miejscu — Ręka ta prowadzi do oznaczonego portu, w którym muszę koniecznie wylądować. Znasz pan teraz moją relikwię; żądaj więc czego chcesz!

— Co to ma znaczyć? — zapytał Danglars otwierając oczy.

— Już panu powiedziałem! — odparł Benedykt zapalając cygaro.

— O, kiedy tak, to muszę panu, opowiedzieć wszystko, co mnie spotkało...

— Tracisz czas, mój panie — odrzekł Benedykt. — Widzę pana ubogim i, jak mi się zdaje, nie żyjesz w zgodzie z rodziną. Domyślam się więc, co się panu przydarzyło!

— Pan?

— Dlaczegoż nie? W Paryżu byłeś pan człowiekiem, który posiadał bogactwo i towarzyskie zalety. Bez wątpienia znalazłeś pan w swych rachunkach pewne luki i zabierając kasę, uznałeś, że nie ma nic lepszego, jak pożegnać się melancholijnie z żoną, jak to kilka dni wcześniej uczyniła pańska córka, dzielna Eugenia. To całkiem prosta rzecz, mój panie.

— Zupełnie — odparł Danglars z zimną krwią i zupełną bezwstydnnością. — To co zrobiłem, zrobiłby każdy na moim miejscu i w mojej sytuacji. Ale reszty pan nie wiesz. W okolicach Rzymu zostałem okradziony przez bandę rozbójników, których dowódcą zdawał się być nie kto inny, jak hrabia Monte-Christo i w ten sposób stałem się biednym Hiobem.

— E, mój kochany, to bajeczki, historyjki. Edmund Dantes me potrzebuje rabować. Jestem raczej skłonny wierzyć, że miał z panem jakiś rachuneczek pieniężny albo akcyjny — mówił Benedykt z oczyma utkwionymi w twarzy Danglarsa.

— Jak widzę, jesteś pan dziwnym człowiekiem; można by myśleć, że pan posiadasz dar domyślenia się rzeczy, które nie każdy uważałby za stosowne

objawiać panu. Rzecz się miała rzeczywiście tak, jak pan mówisz. Między Edmundem Dantes a mną była jeszcze reszta rachunku. Ale to, już dawna rzecz i najlepiej nie mówić o tym. Zajmijmy się teraźniejszością.

— Niech będzie.

— Ma pan może jakąś tajemnicę, która zdołałaby zjednać mi przychyłność córki i żony? Jedna jest na drodze pozyskania góry złota wskutek artystycznej kariery; druga ma półtora miliona. Pan wiesz aż nadto dobrze, że człowiek bez nazwiska i majątku, nie może pogardzać rodziną tego rodzaju.

— O, pan jesteś zręcznym szelmą, szelmą dobrego gatunku, na honor! — zawołał Benedykt śmiejąc się szyderczo.

— A pan? — odważył się zapytać Danglars dobrodusznym, ale szorstkim tonem.

— Masz pan słuszność. I ja nie jestem niczym innym jak tylko bezwstydnym łotrem i będę nim przez całe życie — odparł Benedykt zapalając cygaro i kołysząc się na krześle. — To jedyny sposób, aby żyć dobrze na tym świecie, na którym nikt nie rozumie już, co to cnota.

— Pod tym względem zgadzam się z panem; ale dajmy spokój filozoficznym spostrzeżeniom.

— Więc pan chcesz pogodzić się z córką? — przerwał mu Benedykt.

— Z nią się zgodzić? Nie! Jest zbyt ekscentryczna. Lepiej byłoby wynaleźć środek, za pomocą którego mógłbym się znaleźć, w objęciach żony. To wyborna kobieta! Gdy ją opuszczałem, miała półtora miliona; miała też przedsiębiorczego ducha i musiała majątek swój podwoić tak, że teraz ma pewnie trzy miliony! Do, diabła — mówił skrobiąc się za uszami — trzy miliony! Tak, trzy miliony w przeciągu trzech lat w moich rękach powiększyłyby się więcej niż dwa razy. Mój panie kochany, zapewniam pana, moglibyśmy na tym...

— Co to ma znaczyć? — przerwał mu Benedykt dumnie

— Mnie się zdaje, że ja jeszcze niczego od pana nie żądam.

— No? — zapytał Danglars nie pojmując, co tamten chciał powiedzieć.

— Panie baronie...

— Daj pan spokój żartom! Ja nie mam pieniędzy, więc nie jestem już baronem.

— Będziesz pan nim wkrótce, bo ja mam pewien plan, a gdzie ręka śmiertelnika nie dojdzie...

— Dojdzie ręka Boga!

Benedykt zaśmiał się śmiechem szyderczym i lekceważącym.

— Mój przyjacielu — rzekł — widziałem jak ludzie kpili sobie z Boga i jestem gotów wątpić o jego istnieniu. Chciałem powiedzieć, że czego ręka śmiertelnika nie dosięgnie, dosięgnie ręka trupa.

Danglars zadrżał i szepnął:

— Nie trzeba kpić z umarłych.

— E, pan jesteś zabobonnym tchórzem.

— Więc nic nie będziemy robili?

— I owszem, zapewniam pana, że obaj bardzo dobrze się pogodzimy. Ale przysięgnij mi pan, że będziesz powolny moim rozkazom.

— To bardzo stanowcze.

Benedykt zmierzył go lekceważąco od stóp do głowy.

Danglars spuścił oczy.

— No — mówił Benedykt dalej — chcesz pan albo nie? Namyślaj się prędko.

— Niech będzie.

— Teraz przysięgnij mi pan wierność i posłuszeństwo!

— Na co?

— Na martwą rękę! — odparł Benedykt, otwierając pudełko z ręką Villeforta.

Danglars wzdrygnął się, wyciągnął rękę nad relikwią i rzekł tonem słabym lecz uroczystym:

— Przysięgam.

IX

Francuscy szpiedzy

Mestre Pastom był roztropny, ale podzielał słabostkę wszystkich ludzi swego stanu: ciekawość. Skoro więc zobaczył gościa wychodzącego z pokoju francuskiego podróżnika, zawołał służącego, pokazał mu tajemniczego barona i kazał iść za nim. Służący gospodarza, sprytny i dowcipny jak wszyscy włoscy włóczędzy, wykonał dokładnie wydane mu polecenie i w ten sposób biedny, zrujnowany baron nie uczynił kroku, o którym by Mestre Pastrini wieczorem się nie dowiedział.

Następnie skinął na człowieka, który od trzeciej do piątej kręcił się zawsze po placu koło jego hotelu. Człowiek ten spostrzegł sygnał Pastriniego, owinał się w płaszcz i wszedł na schody, a potem do gabinetu, w którym Pastrini urządził sobie biuro.

Przybyły usiadł, zdjął płaszcz i kapelusz, i czekał. Potem włoskim zwyczajem wydobyl z kieszeni koronkę i przesuwal ją między palcami, jakby odmawiał modlitwy.

— Hola, przyjacielu Pepino — rzekł Mestre Pastrini wchodząc do pokoju i zamykając starannie drzwi.

— Per la Madonna! — zawołał Pepino — Moje imię jest tu zanadto znane, aby można było wymawiać je tak głośno.

— To prawda, to prawda, ale co to szkodzi? Uległem radości i zadowoleniu — odparł Mestre Pastrini.

— Jakież to zadowolenie? Skąd pochodzi ta radość? — zapytał Pepino.

Gospodarz przybrał poważną postawę, co zaraz zwróciło uwagę Pepina.

— Zaraz ci powiem. Pamiętasz naszą sprzeczkę, gdy był tu ten skończony

łotr, oszust, przeklęty czarnoksiężnik, ludożerca, który nazywał się hrabią Monte-Christo?

— Aha! Mestre Pastrini; źle pójdą te sprawy — odparł Pepino marszcząc czoło. — Jeżeli mówisz o naszym obrońcy, o naszym wybawcy, nie zapominaj, że musisz mówić: pan hrabia Monte-Christo, albo inaczej kwita z przyjaźni! Słyszysz? Łaskawy pan hrabia ocalił mi życie, bo uzyskał ułaskawienie u naszego Ojca Świętego wtedy, gdy ja już jedną nogą byłem na stopniach mazzolaty! On chronił mego kapitana Ludwika Vampę, zamiast wydać go wraz z jego najlepszymi ludźmi w ręce sprawiedliwości; musisz więc dobrze wiedzieć, że ani ja, ani Ludwik Vampa, ani żaden z naszych towarzyszy nigdy nie pozwoli na to, by człowiek taki jak ty, mówił o panu hrabi bez uszanowania.

— Prawdziwa szkoda, że Kapitol nie jest teraz w modzie, bo inaczej otrzymałbyś z pewnością koronę mówcy. Ale co to szkodzi, jeżeli tak mówię o twoim panu hrabi, skoro w końcu pracuję dla jego dobra?

— Dla jego dobra? — odparł Pepino ironicznie.

— Bez wątpienia! — rzekł Pastrini — On umiał się uczynić tak wielkim, że jest ścigany przez agentów francuskiego rządu.

— Gadaj to komu innemu, a nie mnie! — rzekł Pepino z lekceważeniem — On ma dosyć pieniędzy, aby kupić rządy od Dardaneli aż do cieśniny Magellana.

— Nie wątpię, ale jego piękne i dobre czyny szkodzą mu: są rzeczy, których żaden rząd nie ścierpi. Na przykład trudnić się mordowaniem ludzi, rozłączaniem mężów od żon, snuciem intryg nad intrygi i popełnianiem szelmstw wszelkiego rodzaju. No, Pepino, czy to dobre rzeczy? Ja wiem dobrze, że mówię z rzymskim bandytą, ale przecież wszystko ma swoje granice. Ty jeszcze bezwstydnosci swojej nie doprowadziłeś do tego, aby wchodzić do grobowców, lżyć nieboszczyków i przerywać ich wieczny spokój! Mieszkasz ze swoim kapitanem w katakumbach św. Sebastiana, to prawda! Powiedziałeś mi jednak sto razy, że szanujesz kości błogosławionych, którzy tam spoczywają!

— O, na Madonnę, z umarłymi nie trzeba żartować!

— Rozumie się — dodał Pastrini — ty i każdy inny bandyta pozwalacie sobie na żarty z żywymi; pożyczacie na nieoddane; a potem Bóg wam przebaczy po małej pokucie i po jednym mea culpa. Ale kpić z umarłych, gardzić nimi, jeżeli wiemy, że oni ruszyć się nie mogą; jeżeli wiemy, że ich dusza jest tam na górze, to źle, bardzo źle Pepino.

— Pewnie! — odparł bandyta — Żywi nie mają do czynienia z umarłymi; mają tylko obowiązek pogrzebać ich! Potem trup staje się własnością ziemi, tak jak dusza sądu Boga! Ale dajmy temu spokój Pastrini: mówisz więc, że pan hrabia Monte-Christo jest ścigany przez francuski rząd? Czy to rzeczywiście prawda?

— Tak, dla uniknięcia prześladowania agentów, musiał zmienić postać i nazwisko.

— Oho! Przychodzimy do głupstwa — rzekł Pepino. — Jak człowiek może zmieniać swoją postać?

— Nauka jest niewyczerpana — odparł Pastrini. — Zdaje się, że diabeł stworzył ją na to, by człowieka kusić i gubić, jeżeli jest tak dumny, iż myśli, że nauka uczyniła go tak wielkim i potężnym jak Bóg! Twój hrabia Monte-Christo jest właśnie jednym z tych, którzy są tak dumni; myślał i robił tak, jakby miał równocześnie wiedzę człowieka i Boga! Myślisz, że nasz rząd takiego człowieka by nie prześladował? Już pewnie porozumieli się francuscy agenci z naszym ministerstwem, jutro już będzie sławny półbóg ścigany nie tylko w Rzymie, ale w całych Włoszech.

— Ale powiedziałeś, że on zmienił postać — zapytał Pepino, który począł wierzyć głupstwu, jakie mu gospodarz opowiadał. — Jak, w jaki sposób może być porwany przez francuskich agentów, kiedy zmienił postać i nazwisko?

Mestre Pastrini zaśmiał się.

— Przyjacielu Pepino — rzekł uderzając go po ramieniu — tu, w moim domu, jest jeden z tych agentów i nie dowierza pewnej osobie, która jest tu

także.

— Co ty mówisz? Pan hrabia w Rzymie?

— Który hrabia, mój drogi? Czyż ci nie powiedziałem, że nie ma już żadnego hrabiego Monte-Christo; jest tylko jakiś tajemniczy czarnoksiężnik, którego ściga prawo.

— I ty w to wierzysz — szepnął Pepino, spuszczać głowę z wyrazem powątpiewania.

— Czy ja w to wierzę! — odparł Pastrini — Wierzę w to, jak w Boga. O! Gdybyś ty widział mego gościa, bladego, małego, chwiejnego, chudego, okrytego zawsze szerokim płaszczem, unikającego spotkania ze mną i z całym światem, a oprócz tego zajmującego te same pokoje, które hrabia zamieszkiwał.

— I płaci tak jak on?

— Per Bacco! Ani obola mniej! Dlatego też mu usługuję i wypełniam jego wszystkie grymasy.

Pepino przez chwilę dumał; potem, jakby powziął nowy plan, rzekł:

— Będziesz tak zręczny i pokażesz mi mieszkańca pokojów pana hrabiego?

— O! — rzekł gospodarz — A to po co?

— Byłbym w stanie go poznać.

— Przyjacielu, nie gardź radą kiepskiej głowy. Jeżeli twój kapitan Ludwik Vampa jest w stosunkach z Monte-Christo, to powiedz mu bez wahania, w jakim stopniu hrabia stracił poważanie Europy! Wiesz tak dobrze jak ja, że banda Ludwika Vampy zawdzięcza tolerancję rzymskiej sprawiedliwości tylko wpływowi hrabiego; skoro wpływ ten się urwie, to nie damę ani jednej perły z mojej koronki za głowę osławionego Ludwika Vampy.

— Pastrini — zawołał Pepino — powiedziałem ci już raz, że chcę widzieć twego tajemniczego gościa. Jeżeli pan hrabia potrzebuje naszych sztyletów i karabinów, to pokażemy mu, że jesteśmy zawsze ci sami.

— Mój gość nie przyjmuje nikogo — rzekł Pastrini i wstał, by zapalić świecę. — Jeżeli to jest rzeczywiście hrabia Monte-Christo, to musisz szanować

jego życzenie. Zapomnij więc o tym i zjedzmy coś.

W tej chwili dał się słyszeć szelest za drzwiami. Pepino na znak Pastriniego skrył się w najciemniejszym rogu pokoju i odmawiał tam swoje godzinki. Pastrini otworzył drzwi i ujrzał indywiduum, którego przybycia się spodziewał; był to bowiem człowiek, któremu polecił iść krok w krok za domniemanym francuskim szpiegiem. Człowiek ten zdał sumiennie sprawozdanie ze swego posłannictwa, a w zamian za to otrzymał od Mestra Pastriniego pozwolenie, by pójść do kuchni i coś zjeść. Tam co wieczór gromadzili się rozbójnicy, których używał jako świętą falangę swojej tajnej policji i których żywił pod pozorem swojej dobroczynności.

— Na krew Chrystusa! — zawołał Pepino, kiedy szpieg wyszedł.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Pastrini zobaczywszy bandytę, który miał zamiar wyjść — A jedzenie? Pyszny zajac...

— Ty trutniu, myślisz, że twoje jedzenie zdołałoby mnie powstrzymać, gdy mi takie dziwne rzeczy o naszym obrońcy opowiedziałeś? Ej ty! Do widzenia jutro! Teraz muszę ścigać inne zające, na przykład francuskiego agenta!

Uczył gest, który jest przywilejem rzymskich bandytów, mających przed sobą trudne przedsięwzięcia i bez wahania opuścił pokój Mestra Pastriniego.

X

Niespodzianka

Podczas rozmowy między Pastrinim a Pepinem, Benedykt przemyślał nad tajemniczością, jaką się osłaniał jego sąsiad; potem, jakby powziął niechybne postanowienie, siadł do pisania:

„Osoba, która Waszą Ekszelencję bardzo poważa i szanuje, dowiedziała się właśnie, że tajemnica Waszej Ekszelencji została w Rzymie odkryta. Wasza

Ekscelencja raczy mi pozwolić zawiadomić Ją o tym, bo nie chciałbym, by Wasza Ekscelencja była narażona na jakąkolwiek nieprzyjemność.

Uniżony,

hrabia Monte-Christo

— Ha, wyborna, dziwna myśl! — rzekł Benedykt podpisując list sławnym nazwiskiem — Ten człowiek jest wszędzie i cały świat go zna; mój tajemniczy sąsiad uwierzy tym bardziej wskazówce, której mu udzielę. Jeżeli to jest ktoś, kto pragnie ukryć swe rzeczywiste nazwisko, jakżeż się przestraszy, jaka bojaźń go ogarnie! W przeciwnym razie rzuci papier na bok, nie omieszkując uważać szanownego pana hrabiego Monte-Christo za lichego intryganta.

W tej chwili wszedł Mestre Pastrini, uprosiwszy sobie naprzód pozwolenie wejścia z całą śmieszną uniżonością.

— Chodź pan — rzekł Benedykt wsuwając list do koperty.

— Oto bilet do teatru Argentino, o który Wasza Ekscelencja kazał mi się postarać. Jutro opera „Semiramis”, w której obie młode damy d'Armilly wystąpią drugi raz. Czy Wasza Ekscelencja ma jeszcze jakieś rozkazy dla mnie?

— Masz pan ten list oddać zaraz swemu gościowi na pierwszym piętrze.

— Ekscelencjo! Ale on nie chce przyjmować żadnych listów!

— Co? Mestre Pastrini, to wybiegi, trudności. Ja każę! Co ja chcę, to chcę, rozumiesz pan? Oddasz ten list, bo ja tak sobie życzę.

— Słucham, Ekscelencjo — odparł Pastrini z udaną pokorą, rzucając spojrzenie na list — zwracam tylko uwagę, że na liście nie ma adresu, a list bez adresu jest czymś bardzo rzadkim. Jak wytłumaczę, że to rzeczywiście list do niego?

— Parbleu, Mestre Pastrini, masz pan twardą głowę. Nie masz pan u siebie czegoś takiego, w co ten list można zawinąć i potem podać na przykład w puddingu?

Mestre Pastrini potrząsnął głową i szepnął trochę zakłopotany:

— To byłoby haniebne nadużycie, które popsułoby sławę mojej kuchni.

— Uspokój się. Pański gość nie będzie o tym nikomu mówił, a sława pańskiej kuchni, przez to nie straci. Mestre Pastrini, pańskie powątpiewanie każe mi się domyślać, że pan jesteś w ściślejszym stosunku ze swoim tajemniczym gościem. Ja, jak pan wiesz, student podróżujący dla studiów sztuk pięknych, badający starannie pomniki dawnej i nowej architektury, nie mam zwyczaju tolerować tajemnic. Rozumiesz pan? Zresztą oświadczam panu, że pańskiemu gościowi nie dowierzam; innymi słowy, sądzę, że on zna bardzo dobrze, tajemnice chemii i fizyki doświadczalnej, a prócz tego jest jednym z najlepszych architektów europejskich. Idź pan, Mestre Pastrini, przypadek panu pomoże; może natrafisz pan na dobrą sposobność pomówienia z nim o nekromancji, może, za pomocą czarnej albo białej, ale każdorazowo nieomyłnej magii, przepowie dzień i godzinę pańskiej śmierci?

Mestre Pastrini, który w gruncie rzeczy marzył o możliwości pomówienia z gościem z pierwszego piętra, zastosował się do przepisów Benedykta i wziął na siebie oddanie listu.

Tymczasem Pepino znalazł łatwo dom biednego, zrujnowanego barona, obecnie portiera teatru Argentino, nie omieszkawszy atoli udać się wcześniej do swego bankiera (rymscy bandyci porozumiewają się zawsze z jakimś uczciwym lichwiarzem albo bankierem), aby zażądać od niego gotówki. Jako jeden z najbardziej doświadczonych bandytów, przypatrzył się dobrze drzwiom i oknom; nie przeoczył żadnego wyjścia. Przekonawszy się, że przemocą nie można dostać się do domu, uciekł się do podstępu i zapukał do drzwi.

W kilka chwil potem można było słyszeć głos Danglarsa, któremu Pepino odpowiedział:

— Mam oddać list. Ekscelencjo!

— Oho! Następny, który mnie Ekscelencją nazywa — rzekł Danglars do siebie, dodając głośno: — Mówisz pan, że masz list do mnie? Od kogóż to?

— Nie wiem, Ekscelencjo, wiem tylko, że z Francji.

— Z Francji! — powtórzył Danglars cicho, czując jak pot występuje mu na czoło — Prawdziwie, przyjacielu, to pomyłka! — dodał — Kto mi go przysyła? Pepino był w kłopotcie. Namyślił się jednak natychmiast i rzekł:

— Jakiś pan, który mieszka w hotelu Mestra Pastriniego na via del Corso.

— To Andrea Cavalcanti — pomyślał Danglars i otworzył drzwi.

Pepino wszedł do pokoju, zamknął starannie drzwi od ulicy, zbliżył się szybko do portiera i przytknął mu do piersi ostrze sztyletu.

— Jeżeli tylko słówko krzykniesz panie baronie, natychmiast cię przebiję.

Zdziwienie i przestach barona były tak wielkie, że na chwilę głos mu zamarł w piersiach. Pobladł śmiertelnie.

— Uspokój się, panie baronie — rzekł Pepino uprzejmie i łagodnie — nie chcę mieć honoru zabić pana; to tylko mała przestroga, która będzie niepotrzebna, skoro tylko Wasza Ekscelencja uzna za stosowne nie krzyżeć.

— Czego pan chcesz ode mnie? — zapytał Danglars usiłując pokonać przestach.

— Całkiem prostej rzeczy, mój panie — odpowiedział Pepino — wiem wszystko i znam dobrze cel pańskiej obecności w Rzymie; przy tym wszystkim istnieje tylko mała przeszkoda, którą chcę okupić w imieniu pana Ludwika Vampy, w którego ręce złożyłeś Ekscelencjo drobnostkę, sześć milionów.

— Piękna mi drobnostka — szepnął Danglars. — Pan popełniasz błąd nie do przebaczenia. Mieszasz słowo „rabować” ze słowem „dawać”. Bez tego błędu gramatycznego byłbyś pan powiedział: pana Ludwika Vampy, którego ręce zrabowały sześć milionów franków.

— Tak, Ekscelencjo, to jest nasza gramatyka, a ja oświadczam panu, że umrę spokojnie, bo mam zamiar przestrzegać jej tak długo, dopóki dobry Bóg udzieli mi życia. Ale wracajmy do naszego interesu! Wasza Ekscelencja doznałeś małej przykrości na rachunek pana hrabiego Monte-Christo i całkiem naturalnie gniewasz się pan za to na niego. Nie czynię Waszej Ekscelencji zarzutu z tego powodu. Co się mnie tyczy, to rzecz się ma całkiem przeciwnie i

skoczyłbym w ogień za niego. Widzisz pan, że obraliśmy wręcz przeciwne drogi. Pan poprzysięgałeś sobie zapewne dąb ten zwalić, ja, podpierać go. Kończmy, panie baronie. Ludwik Vampa ma zaszczyt proponować panu z całą uczciwością następujący interes: Wasza Ekscelencja wydasz mi imiona swoich wszystkich współników, za co otrzymasz tysiąc florenów.

Mowa ta, a właściwie plan bandyty zaciekał w najwyższym stopniu barona. Otworzył szeroko oczy i starał się przekonać, czy nie śni. Pepino zrozumiał to; podniósł jedną rękę, w której błyszczało ostrze sztyletu, a drugą dzwonił srebrem w woreczku.

— Mój panie — odparł Danglars — naprawdę nie wiem, o czym pan chcesz mówić. Mówisz pan o współnikach, ale jacy to współnicy? Czyż pan nie wie, że ja jestem obecnie tylko portierem teatru Argentino? Nie prowadzę żadnych interesów.

— Bajki, panie baronie. Źle obrana chwila do maskowania się. My wiemy bardzo dobrze, że pan jesteś agentem francuskiego rządu i pracujesz nad zgubą hrabiego Monte-Christo.

— Ja? Ja? Ja wiem o tym człowieku tylko tyle, że jest rodzajem mitu, podobnie jak zęby wróżki kumejskiej.

— Mów pan dalej, panie baronie.

— Słyszałem jak mówiono, że hrabia Monte-Christo padł ofiarą ogromnej kradzieży, wskutek czego interesy jego stoją teraz bardzo źle.

Pepino zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Cóż mu takiego ukradziono? — zapytał.

— Nie pieniądze, ale coś nadzwyczaj szczególnego; talizman, za pomocą którego osiągał, czego tylko sobie życzył.

— Co to było?

— Martwa ręka! — rzekł Danglars.

Pepino zbladł i zadrżał.

— Mówią — opowiadał baron dalej — że mniemany hrabia Monte-Christo,

który tak długo wprawiał w podziw całą Europę, od czasu jak mu ten talizman skradziono, wpadł w kłopoty. To wszystko, co wiem.

Pepino posiadał pewien stopień zabobonności właściwy wszystkim Włochom niższej klasy. Ów zuchwały i nieustraszony bandyta, mordujący z zimną krwią człowieka, gdy w jego kieszeniach domyślał się pieniędzy, nie miałby odwagi końcem szpilki dotknąć trupa. Można by go raczej zobaczyć klęczącego przy martwym ciele, odmawiającego modlitwę za spokój duszy, która je opuściła. Opowiadanie, które usłyszał, będące w związku z tym, co mówił Mestre Pastrini, usposabiało go więc raczej nieprzychylnie do hrabiego Monte-Christo.

Wszystkie uczucia sympatii i czci, które wpoił weń ten człowiek, wygasły natychmiast w sercu bandyty, kiedy pomyślał, że bezgraniczna potęga, która zdawała mu się być najwspanialszym przymiotem, opierała się na tej strasznej rzeczy, jaką jest posiadanie martwej ręki, odciętej z bezbożną zuchwałością. Lecz chociaż sympatia znikła, pozostała wdzięczność i Pepino poprzysiągł uratować życie hrabiego, gdyż zawdzięczał mu własne.

— Panie baronie — rzekł — jakkolwiek to, co mi pan opowiedział jest bardzo dziwne, jednak nie wpływa na przedłożoną propozycję.

— Ależ któż są ci współnicy? Powiedziałem panu, że nie prowadzę już żadnych handlowych interesów.

— Nie traćmy czasu, proszę pana — odparł bandyta. — Jeżeli mi pan odmówisz, to cię zabiję.

— Przysięgam panu, że się mylisz; źle pana poinformowano, ja nie ścigam hrabiego Monte-Christo.

— Wierzę panu, ale powiedz mi pan przynajmniej, kto, zrabował mu ową szczególną relikwię, ów talizman; dam za to tysiąc guldenów.

Propozycja podobała się Danglarsowi.

— A mogę liczyć na pańskie milczenie?

— Tak jest, Ekscelencjo — odparł Pepino.

— To dobrze. Daj pan sakiewkę.

— Do kroćset diabłów — rzekł Pepino licząc na stole pieniądze — pan się spieszy. Namysł się przynajmniej dobrze, baronie. Jeżeli mi Wasza Ekscelencja nie powie prawdy, to pożegnasz się z życiem! Oto pieniądze!

— I prawda także — dodał Danglars, który, nie zatrzymując się ani chwili, mówił — w hotelu Mestra Pastriniego, na drugim piętrze, mieszka jeden Francuz, który, jeśli mu można wierzyć, ma ukradzioną relikwię. Widziałem martwą rękę schowaną w hebanowym pudełku, na jej palcu złoty pierścień, na którym podobno wyryto jakieś nazwisko.

Baron połykał oczami pieniądze, które miał w ręku i dziwił się, że można za tak małą liczbę słów dostać tyle pięknych florenów.

— A teraz, panie baronie, jeżeli zadasz sobie trudu i opowiesz mi bliżej o człowieku, który ma martwą rękę, to ja, Pepino, porucznik Ludwika Vampy, przyrzekam ci potrojenie sumy, którą dopiero co otrzymałeś. Zwracam twoją uwagę na to, że każde oszustwo, każde najmniejsze kłamstwo, spowoduje twoją niechybną śmierć.

— Ależ ja nic nie wiem więcej o tym-człowieku, przysięgam.

— Więc jutro czegoś się dowiesz!

— No, kiedy tak, to dobrze; nasz interes zrobiony. Gdzie pana spotkam?

— Nie potrzeba. Ekscelencjo, oznaczać, miejsca spotkania, bo skoro tylko będziesz coś wiedział, przekażesz to temu, który powie ci hasło: Posłuszeństwo Vampie i Pepinowi.

— A gdzie spotkam tego człowieka?

— Wszędzie — odparł Pepino.

— A pieniądze?

— Otrzymasz je pan z jego ręki.

Po tych słowach pożegnał się bandyta, zadowolony w najwyższym stopniu i przekonany, że chciwość Danglarsa będzie bodźcem do szpiegowania. I rzeczywiście, zaledwie Pepino odszedł, Danglars zatarł rękę.

— Bez wątpienia — mówił do siebie — wypełnię te polecenia, bo mi przypadają do gustu; mało roboty, mało trudu, a wiele pieniędzy, to mi się podoba.

Postanowił natychmiast opuścić stanowisko portiera teatru Argentino. Zasnął spokojnie i spał do rana snem sprawiedliwych i niewinnych.

XI

Niespodziewane odwiedziny

Pani Danglars opuszczała Paryż z niezłomnym postanowieniem unikania Francji. Dla kobiety, która od młodości była przyzwyczajona do przyjemności, zbytków i elegancji stolicy, prowincja nie miała żadnej pociągającej siły ani nie budziła sympatii, wyjąwszy krótką porę wiosenną. Pani Danglars nie brała pod uwagę możliwości pędzenia nudnego życia w mieście drugorzędnym. Przybywszy do Lyonu, zabawiła tam tylko tak długo, dopóki Debray nie sprzedał jej pysznego pałacu w Paryżu i nie nadesłał należności. Pieniądze przeznaczyła na koszta podróży. Kiedy wszelkie formalności zostały wypełnione, opuściła Francję i pojechała do Włoch.

Wreszcie piękna kopuła kościoła św. Piotra zarysowała się na niebieskim niebie. Czar widoku Romy sprawił, że jej serce zabiło radośniej, jakby miała tu zacząć nową erę świetności. Paszport opiewał na imię młodego człowieka z rodziny Servierów, który był chory i podróżował dla rozrywki. Pod tym nazwiskiem znana była w hotelu Mestra Pastriniego, gdzie kobiece suknie ubierała tylko w nocy, gdy chciała iść do teatru.

Przypadek sprowadza czasem spotkania, które nie udałyby się nawet najbardziej bezwzględnemu prześladowcy. Zaraz drugiego dnia, gdy weszła do teatru Argentino, zobaczyła baronowa jedyną córkę, debiutującą!

Od tej chwili postanowiła nie bywać już nigdy na przedstawieniach, gdzie

duma jej była w tak srogi sposób raniona. Pragnęła za wszelką cenę znaleźć środek zawrócenia Eugonii z drogi, którą obrała. Środek ten podała jej duma.

— Pójdę do niej, będę z nią mówiła, a ona pod ciężarem wstydu upadnie mi do nóg i będzie prosiła o przebaczenie.

Dumna baronowa łudziła się. Następnego dnia po przedstawieniu „Semiramidy” udała się do pewnej starej kobiety, w której domu wynajęła sobie mieszkanie. Tu dokonała metamorfozy z chorowitego młodzieńca w silną i piękną kobietę, i owinąwszy się wielkim szalem, wsiadła do eleganckiego powozu.

— Do dam d'Armilly — zawołała do woźnicy głosem pełnym lekceważącej wszystko dumy.

Powóz szybko odjechał.

Obie przyjaciółki otrzymały właśnie bogate podarunki od impresaria i ściskając się płakały jeszcze ze szczęścia i entuzjazmu, gdy usłyszały turkot powozu i prawie w tej samej chwili głos dzwonka zapowiadający odwiedzin.

— Jeżeli się nie mylę — zawołała Eugenia — będzie to dopełnienie liczby dwudziestu czterech. Prawdziwie, to nużące, jak sądzisz moja droga? Dwadzieścia cztery powozy w jednym dniu, przy jednych drzwiach! Czyż nie można by pomyśleć, że tu mieszka jakiś minister, agent wyższej dyplomacji albo hrabia Monte-Christo?

W tej chwili otworzyły się drzwi salonu i weszła kobieta w średnim wieku, gospodyni obu dam d'Armilly.

XII

Matka i córka

Zaledwie gospodyni postawiła nogę w salonie, Eugenia, nie dając jej nic powiedzieć, zawołała z niecierpliwością i gniewem:

— Co tam, Aspazjo? Mnie się zdaje, że powiedziałam, by nam nie przerywać, gdy chcemy się uczyć.

— Przepraszam pannę — odparła Aspazja — ale nie moja wina, że przerywam. Ja wiem, że o tej godzinie nie można przerywać, ale na dole czeka jakaś francuska dama, która mimo mego oświadczenia, że nie może być przyjęta, chce koniecznie mówić z panną!

— Chce koniecznie? — powtórzyła Eugenia oburzona dziwnym żądaniem — Dobrze, ale ja nie chcę.

— Przepraszam cię, Eugenio — rzekła Ludwika, a potem zwracając się do Aspazji zapytała: — To jakaś francuska dama?

— Tak jest.

— Eh — zawołała Eugenia — jeżeli ona myśli, że ten fakt wystarczy, by była przyjęta przez ludzi, którzy sobie tego nie życzą, to myli się. Niech nam przyśle swoją kartę, jeżeli tego koniecznie chce. Idź Aspazjo i nie wracaj. Jeżeli da ci kartę, to połóż ją na mojej toalecie. Idź.

Eugenia powiedziała to tonem, który nie pozwalał na odpowiedź. Obie przyjaciółki zbliżyły się do fortepianu i próbowały duet Semiramidy. Ale zaledwie kilka pierwszych nut przeszło przez ich usta, drzwi ponownie się otworzyły i weszła gospodyni.

— O! — zawołała Eugenia niecierpliwie — W ten sposób będzie niemożliwą rzeczą uczyć się dzisiaj!

— Przepraszam pannę tysiąc razy — odparła Aspazja, — ale dama, o której mówiłam, kazała mi koniecznie oddać swoją kartę.

— Eh, coraz to lepiej! — zawołała Eugenia — Wkrótce wdrze się tu przemocą jeszcze! A to komiczne!

— Pokażcie nam tę kartę, Aspazjo! — rzekła Ludwika — Czyż to możliwe! — szepnęła pokazując Eugenii bilet.

— Baronowa Danglars! — rzekła ta zimno — Niech wejdzie — dodała dobitnie.

— Ty bledniesz! — rzekła do Ludwika — Uspokój się, moje serce. Ja jestem silna i nie boję się ataku, ani gwałtowności mojej matki. Niezawisła i wolna, nigdy nie pozwolę nałożyć na siebie więzów, które zerwałam.

Weszła baronowa; była ubrana w skromną, czarną suknię, blondynami wyłożoną, peleryna okrywała jej ramiona.

Eugenia wyszła powoli naprzeciw niej i schyliła się z uszanowaniem, jakby chciała ucałować rękę, ale pani Danglars stała nieruchomo.

— Aby panią w Rzymie zobaczyć — rzekła wreszcie baronowa Danglars — musiałam ci dać imię: Eugenia d'Armilly; stoi więc przed mną panna Eugenia d'Armilly, a panna Eugenia d'Armilly nie ma obowiązku oddawania mi dowodu szacunku, jaki pani oddać mi chciałaś.

Mówiąc to, rzuciła pani Danglars spojrzenie na przyjaciółkę swej córki, która zdawała się rozumieć dobrze, jak te słowa ją miały dotknąć i stała drżąca, niczym ofiara przed swym katem.

Baronowa ogładnęła się, jakby szukała krzesła.

— Proszę siadać — rzekła Eugenia żywo, ale nie dość prędko, by baronowej nie dać czasu powiedzieć:

— Nie wiem, czy artystki mają zwyczaje takie, jak wszędzie gdzie indziej, ale zwracam uwagę pań na to, że nie jestem przyzwyczajona mówić stojąc.

Na te słowa, wymówione tonem lekceważenia, Eugenia zbladła, a Ludwika zarumieniła się.

— Pani — odparła Eugenia, której cierpliwość przekraczała już granice — te same zwyczaje, jak gdzie indziej, panują i u artystek, a zwłaszcza we Włoszech, gdzie, jak pani może wie, arystokracja sztuki jest prawie równą arystokracji rodu.

— Ej — odrzekła baronowa z ironicznym śmiechem — jestem najmocniej przekonana, że nie tylko jest jej równą, ale ją nawet o wiele przewyższa! Bez wątplenia u arystokracji rodu nie zyskałaby pani tak wielkiej, tak powszechnej, tak publicznej sympatii.

Eugenia zadrżała z gniewu i obrażonej dumy; chciała coś odpowiedzieć, ale głos matki przerwał jej.

— Eugenio, pani ma zamiar pytać o cel mych odwiedzin? Zapewniam panią, że nie trudno to odgadnąć. Jeżeli my przez nasze urodzenie należymy do owej klasy wyższego towarzystwa, przed którą tłum się korzy, to nie możemy naszym kaprysom ulegać z taką łatwością, jak dzieci innych rodzin, które w świecie nie mają nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Obierając zawód artystki, czułaś się pani wszak zobowiązana rodzinne nazwisko ukryć. W oczach tych, którzy cię znają, będziesz się jednak zawsze nazywała Eugenią z Servierów Danglars. A nazwiska te nie mogą żadną miarą należeć do artystki, chociażby najlepszej.

— Moja matko — szeptała Eugenia ze łzami w oczach — ty jesteś dobrą i wspaniałomyślną, dlatego zawsze liczyłam na twoje przebaczenie. Zawodu, który obrałam z własnego popędu, bez obcej namowy, nigdy nie porzucę, aby zamienić go na wspaniałą nędzę etykiety i nic nieznaczącą monotoność zwykłego życia. Układając plan ucieczki i przeprowadzając go z odwagą i stanowczością, narażając się na tysiączne niebezpieczeństwa, nie myślałam wcale wracać do domu rodzicielskiego, jak mała, skruszona dziewczynka, która zbłądziła. Ja szanuję cię, matko, kocham bardzo, czegoż chcesz więcej ode mnie? W tym wolnym i pełnym sławy życiu spoczywa moja cała duma!

— Wystarczy Eugenio! — zawołała baronowa powstając — Wiem, komu mam przypisać twój błąd! Komu zawdzięczam boleść, którą cierpiałam owego przekłętego wieczoru.

— O, moja matko, litości, ty nie pojmujesz, co to znaczy mówić do śpiewaczki z powołania: przestań być artystką i powróć do życia zwykłej kobiety!

— Masz bardzo wysokie pojęcie o sobie, Eugenio — mówiła baronowa z szyderczym uśmiechem. — A czy ty wiesz, co to znaczy dla kobiety wysokiego rodu, dla kobiety wielkiego świata, mieć córkę na nieczystych deskach teatru? Córkę, którą ona kocha, córkę, na której wychowanie niczego nie szczędzono,

Eugenio, to przechodzi moje siły! Ta myśl mnie zabija! Jedna z nas musi ponieść ofiarę; słyszysz Eugenio? Nie przyszedłam tu, aby debiutować w scenie sentymentalności; podobne grymasy pozostawiam aktorom. Wy, aktorki, nie możecie już pojąć prawdziwego bólu i prawdziwej przyjemności, jaką my czujemy, bo natura wasza jest spaczona przez udawanie tego, co wam rola przypisuje.

— Moja matko, moja matko! — wołała Eugenia, drąc w zębach elegancką, batystową chustkę.

— Co ma znaczyć ten wybuch? Czy żeś mi nie powiedziała, że jesteś śpiewaczką? Dlaczego nie mam tak mówić do ciebie? Mówię z tobą tak, jakbym mówiła z każdą panną twojego zawodu — odparła pani Danglars. Potem, zwracając się do Ludwika d'Armilly, powiedziała: — Pozwól, panno Ludwiko d'Armilly, podziękować sobie za bezprzykładną pilność, jaką rozwinęłaś w nauce muzyki u mojej córki. Rzeczywiście, uczennica przynosi zaszczyt swej nauczycielce i teraz trudno byłoby rozróżnić, kto jest obecnie uczennicą, a kto nauczycielką.

Ludwika spojrzała błagająco na swoją przyjaciółkę, która natychmiast stanęła między nią a baronową.

— Jesteśmy obecnie zaufanymi przyjaciółkami — rzekła Eugenia — nierozdzielnymi towarzyszkami pracy, studiów, sławy i szczęścia. Ty, moja matko, nie miałaś nigdy sposobności poznać potrzeby pracy i uczenia się, aby pozyskać imię i środki do życia. Ty nie możesz pojąć, jak święta przyjaźń nas łączy! Ale szanuj ją przynajmniej. W świetnych komnatach twego towarzystwa przyjaźń taka nie istnieje. Dla niej porzucam nazwisko znakomitej rodziny, z której pochodzę, dla niej gardzę świetnym majątkiem, który do mnie należał.

Baronowa zadrżała słysząc ostatnie słowa.

— Dla niej wreszcie — mówiła Eugenia biorąc Ludwikę w objęcia — mówię ci: będę zawsze twoją córką, ale będę twoją córką i artystką!

Baronowa przekonała się, że po tych odwiedzinach niczego więcej

spodziewać się nie może i wyrzekłszy parę niezrozumiałych słów, wyszła prędko, z mieszkania obu przyjaciółek.

Nie pozostawało jej nic więcej, jak opuścić Rzym. Wystarczyłoby, żeby jakiś dziennik poznał życiorys nowych artystek i już jedna z d'Armilly byłaby znana jako Eugenia Danglars, która dla wzniosłego powołania wyrzekła się ojca, matki, krewnych, zaszczytów i majątku, aby wejść na trudną drogę pani Sonntag i Cinti.

Baronowa miała chwilę, w której straciła odwagę, chciała skłonić głowę przed przeznaczeniem, które zdawało się prześladować ją od pewnego czasu. Ucieczka męża, zjawienie się nieszczęśliwego, któremu dała życie; fatalny list pisany ręką jej dawnego kochanka w godzinie śmierci; zawód jej córki, wszystko to jakby zaprzysięgło jej zgubę. Ale baronowa nie była z tych, które dają się pokonać przeznaczeniu. Przysięgła sobie powstrzymać Eugenię i zamierzała rozpocząć tajemnicze zadanie, do którego użyła wszystkich środków swego sprytu, wszelkich wybiegów i sposobów kobiecych.

XIII

List Benedykta

Pani Danglars, która za małą sumę pieniędzy okupiła milczenie starej kobiety, wynajmującej jej mieszkanie, podwyższyła stawkę, aby pozyskać prawo żądania tajemnicy o większym znaczeniu. Zawołała ją do siebie i wywiązała się między nimi następująca rozmowa:

— Czy jest w Rzymie człowiek, który podjąłby się trudnego, lecz zyskownego przedsięwzięcia?

— O, jest ich dużo.

— A najlepszy z nich?

— Wyszukam go.

— Kiedy?

— Jutro.

— Dobrze. Człowiek ten musi chodzić do teatru, jako ktoś do widowisk teatralnych nawykły.

— O, ręczę za niego.

— Musi dokonać swego rodzaju uprowadzenia.

— Dwa, trzy, cztery, ile pani zechce.

— A kto zaręczy mi za jego posłuszeństwo?

— Jego własny zysk.

— A za jego milczenie?

— To, co ręczy za milczenie pani. Pani przyszłaś tu, a ja myślałam, że pani jesteś mężczyzną; potem zobaczyłam, że pani jesteś kobietą taką, jak ja. Od tego czasu chodzisz pani do mojego domu, w którym zmieniasz suknie i postać, ile razy się pani podoba; nie wiem, kto pani jesteś i nie staram się wiedzieć. Jeżeli pani jesteś zbrodniarką i pochwyca panią, to spodziewam się, że pani o mnie nie powie.

Baronowa musiała się tym zadowolić i czekać do następnej nocy.

Gdy noc nadeszła, opuścił hotelowe mieszkanie chory młodzieniec z rodu Servierów owinięty w płaszcz od stóp do głowy i udał się do domu starej Sybilli, gdzie wbrew zwyczajowi nie zmienił sukni i nie przeistoczył się w baronową Danglars. W chwilę później zjawiała się stara:

— Jest tutaj.

— Kto on jest?

— Człowiek wysokiego wzrostu, śmiały i odważny, jest gotów służyć pani do wszystkiego. Niech mu pani tylko dobrze rozkaże, a reszta pójdzie podług woli Boga.

— Nie powiedz mu pani tylko, że jestem kobietą.

— Dobrze!

— Ułóż pani tak zasłonę u lampy, bym była w cieniu i każ mu wejść.

Stara usłuchała, a mniemany młodzieniec owinał się starannie w płaszcz, i usiadłszy, wcisnął się o ile mógł w głębokie poręczowe krzesło.

W kilka chwil potem dały się słyszeć kroki mężczyzny idącego po schodach i wkrótce zjawił się w pokoju człowiek, którego fizjonomia zdradzała chytrą lisa, a odwagę lwa. Przelotnym spojrzeniem zbadał młodzieńca i poznał, z kim ma do czynienia prędzej, niżli baronowa znalazła czas, by uczynić to samo z nim.

Podczas której przybyły zdjął kapelusz z głowy i przyglądał ręką włosy, aby przywrócić im symetrię.

— Zapewniano mnie, że pan gotów jesteś wykonać plan połączony z trudnościami — rzekł młody Serviers starając się zmienić głos.

— Tak jest, Ekscelencjo! — odparł przybyły.

— Nawet gdyby zadanie, o które chodzi, było porwaniem?

Bandyta zaśmiał się i ruszył ręką z lekceważeniem.

— Dobrze — mówił Serviers dalej, namyśliwszy się przez chwilę. — Czy nie słyszy nas tu kto?

— Jestem sam — odparł bandyta.

— Jesteś pan przyzwyczajony chodzić do teatru?

— Znam doskonale wszystkie teatry, jakie tylko są we Włoszech.

— Objechałeś więc pan całe Włochy?

— Znam wszystkie kąty od Reggio aż do Aosty tak ze strony Morza Korsykańskiego, jak od Morza Adriatyckiego.

— Mówmy tymczasem o teatrze Argentino.

— Słucham.

— Znasz pan obie nowe śpiewaczki?

— Któż w Rzymie nie zna panien d'Armilly?

— Mówię o młodszej!

— O Eugenii?

— Tak jest. Pomyśl pan, że jeden mężczyzna namiętnie ją kocha! Przedstaw

pan sobie jedno z tych niepokonanych uczuć, które sprawiają, że depce nogami cały świat i nie zważa na żadne przeciwności, byle tylko dojść do posiadania ukochanego przedmiotu; jedno z tych uczuć, które wskutek lekceważenia wzrasta i wzmacnia się jeszcze bardziej.

— Rozumiem.

— Chodzi tu o uprowadzenie Eugonii d'Armilly.

— To łatwa rzecz.

— Kiedy?

— Proszę oznaczyć noc i godzinę.

— Jak?

— Powiedziano mi, że Ekscelencja dobrze płaci; muszę więc równie dobrze służyć. Powtarzam więc: proszę oznaczyć noc i godzinę, kiedy polecenie ma być wykonane.

— Ze wszystkich rzeczy polecam panu szczególnie jedną. — rzekł Serviers, wahając się przez chwilę.

— A tą jest?

— Najwyższy szacunek.

— Rozumiem.

— Gwałtowności, o ile można, jak najmniej.

— Proszę się nie obawiać.

— A kto mi zaręczy za pańskie posłuszeństwo?

— Ekscelencja zapłaci mi dopiero po dokonanym czynie; panna Eugenia opowie panu, czy wykroczyłem przeciw należnemu jej uszanowaniu.

— Gdzie pana spotkam?

— Zna pan katakumby św. Sebastiana?

— Nie — odparł Serviers; potem dodał: — Konieczne jest wywieźć Eugenię do Neapolu.

— Tego ja się nie podejmuję.

— Ha! Dobrze! Ale uprowadzisz ją do klasztoru, który wskażę?

— Bez wątpienia, jeśli tylko bramy otworzą się przed nami.

— Otworzą się!

— Proszę oznaczyć noc!

— Pierwsza, w której odbyć się będzie miało przedstawienie „Semiramidy” i to przed rozpoczęciem tegoż.

— A klasztor?

— Wskażę go jutro w południe.

— Dobrze! Dobrze! — szeptała, gdy bandyta odszedł — W klasztorze skończy się, Eugenio, twoje marzenie o wolności! Tam w samotności będziesz żałowała!

Następnego dnia wieczorem, za pośrednictwem Mestra Pastriniego, otrzymała pani Danglars list Benedykta.

Gdyby głowa Meduzy z włosami z węzów i ze strasznym wyrazem, który nadała jej zemsta Minierwy, nagle zjawiała się w powietrzu przed oczyma baronowej, z pewnością nie uczułaby ona większego przestachu, jak wtedy, gdy przeczytała bilet podpisany nazwiskiem hrabiego Monte-Christo.

Miałoż to być snem?

Przeczytała drugi raz.

Nie myliła się; było to prawdą! Trzymała w ręku list mówiący, że jej tajemnica została w Rzymie odkryta! Jaka tajemnica? Do jakiej innej odnosiły się te słowa, jeżeli nie do zamierzonego uprowadzenia Eugonii? Tak, nie można było wątpić, że to miał na myśli hrabia Monte-Christo! A ten człowiek; gdzie on był? Skąd mógł wiedzieć, że ona, baronowa Danglars, jest w Rzymie?

Usiadła szybko do stolika, skreśliła kilka słów, złożyła papier, włożyła do koperty, zapieczętowała i na odwrocie napisała słowa:

*„Do Jego Ekscelencji
pana hrabiego Monte-Christo”*

Jakże wielkie było zdziwienie Mestra Pastriniego, gdy otrzymał ten list, by go wręczyć sąsiadowi na drugim piętrze. Już chciał wracać i powiedzieć, że człowiek, który się tak nazywa, nie mieszka w jego hotelu; lecz przypomniał sobie Benedykta i sądził, że ten zagadkę wytłumaczy; udał się więc na drugie piętro i wszedł do pokoju swego gościa.

— Ekscelencjo — rzekł — jestem bardzo zmęczony.

— Chodziłeś może za dużo?

— Nie, Ekscelencjo — odparł Pastrini.

— Biegłeś po schodach?

— Per la Madonna! Jestem zmęczony ciężarem tego listu.

— Co znaczy ten żart, Mestre Pastrini?

— Żart! Żart! Tak się może Waszej Ekscelencji zdawać; ale ten list jest zaadresowany takim nazwiskiem...

— Jakim nazwiskiem?

— Hrabia Monte-Christo — zawołał Pastrini.

— Daj go tu — rzekł szybko Benedykt.

Nim Mestre Pastrini miał czas wyrzec bodaj jedno słowo, już list znajdował się w drżących rękach Benedykta.

— Ależ Ekscelencjo, pan nie jesteś hrabią!

— Wszystko jedno; jestem jego sekretarzem!

— Pan? — odparł Mestre Pastrini, zdziwiony — Pan jesteś jego sekretarzem? Czyż mi pan nie powiedział, że...

— Ej, mój kochany Mestre Pastrini — przerwał mu Benedykt — oświadczam panu, że nie będę ani godziny dłużej w twoim hotelu. Jesteś nadzwyczaj ciekawy!

Mestre Pastrini, który od kilku dni nie wiedział, co się koło niego dzieje, zmuszony był odejść do swego pokoju i czekać na sposobność mówienia z Pepinem, aby mu zapowiedzieć, że sekretarz hrabiego jest w Rzymie.

Benedykt opuścił hotel Mestra Pastriniego zabierając ze sobą tajemnicze

pudełko i mały kuferek skórzany. Udał się do mieszkania portiera teatru Argentino i otworzył drzwi tak gwałtownie, że biedny baron podskoczył na krześle.

— Hola, baronie — zawołał Benedykt.

— Znów ten sam żart, mój panie! Czyś pan sobie poprzysiągł mnie kompromitować?

— Jeżeli nazywam pana baronem, to dlatego, że jestem mocno przekonany, że pan znów odzyskasz swój majątek — odparł Benedykt stawiając kuferek w kącie pokoju, a pudełeczko zatrzymując w ręce.

— Co to ma znaczyć? — zapytał baron — Wybierasz się pan w podróż?

— W podróż? A, rozumiem. Ten kufereczek jest powodem takiego przypuszczenia? Nie. Wyprowadzam się!

— Pan zmienia mieszkanie?

— Tak jest.

— Ale...

— Powiedz mi, mój dobry panie, nie ma tu wolnego pokoju?

— Jak Boga kocham, nie ma — odparł baron nie bardzo spokojny, bo nie życzył sobie sąsiedztwa eksksięcia Cavalcanti.

— Bajki, panie baronie! Ach, teraz przypominam sobie; że mam coś zrobić. Bądź pan tak dobry dać mi papier, pióro i atrament.

— Mój panie, powtarzam, że nie mam w tym domu ani jednego wolnego pokoju. Patrz pan, pokój mieszkalny, jadalny, tu kuchnia.

— Ach panie, nie mam zamiaru przeglądać planów tego domu i nie żądam od pana żadnego objaśnienia. Chcę mieć papier, pióro i atrament.

— Chcesz więc pan pisać?

— Bez wątplenia, i to w pańskim interesie.

— To ciekawe, a można zapytać do kogo?

— Dlaczegoż nie? Do baronowej Danglars — odparł Benedykt.

Baron zadrżał.

— Pisać do baronowej?

— I cóż cię to tak dziwi, panie baronie? Czyż nie przyrzekłem oddać ją panu wraz z trzema milionami? Baronowa jest w Rzymie, pisała do mnie, a ja chcę jej odpowiedzieć.

— Ona pisała do pana?

— Znasz pan jej pismo?

— Doskonale!

— Czy to?

Pokazał mu list, który baronowa pisała do mniemanego hrabiego Monte-Christo.

— Ha! — rzekł baron przeczytawszy imię adresata — Pismo jej, ale list zdaje się skierowany jest na nazwisko...

— Nie moje? — wtrącił Benedykt z uśmiechem — Kochany baronie, pan zapominasz o mojej cudownej relikwii. A propos, pozwól mi pan postawić tu moje pudełeczko. Nie ruszaj go pan! Tam jest martwa ręka!

Danglars zadrżał mimowolnie. Benedykt zaś mówił dalej:

— Mój panie, poleciłem baronowej przyjechać do Rzymu i sprzedać pałac, i srebro w Paryżu, ona mnie usłuchała. Dziś wieczór czeka moich rozkazów.

Ton przekonania i prawdziwości, z jakim mówił Benedykt te słowa, zdziwił biednego barona, stojącego z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma.

— Zdaje mi się, że śnię — szeptał. — Czy przeznaczono mi, jak Danauszowi, zginąć od złotego deszczu?

Biedny człowiek wyobrażał sobie, że widzi w postaci kropli deszczowych spadające na dach jego domu piękne i lśniące talary. Czarodziejski obraz był piękny, ale był też tylko czarodziejskim obrazem.

— O, panie baronie — mówił Benedykt szorstko — nie opuszczaj tego stanu zdumienia. Piszę do baronowej i zapowiem jej pańskie odwiedziny.

— Ja? Nigdy!

— Rozumiem! Pan się obawiasz, by baronowa nie rzuciła ci w twarz

niegodnego zachowania, ale zapewniam pana, że się to nie stanie. Przeciwnie, będziesz pan bardzo dobrze przyjęty, baronowa rzuci się panu pierwsza w ramiona.

— O, to by dopiero było! Ona nigdy tego nie czyniła, przynajmniej nigdy z własnej woli.

— Uczyni to teraz! Pozwól mi pan pisać! — mówił Benedykt tonem rozkazującym i zaczął pisać list następującej treści:

„Łaskawa Pani! Nie chcę narzucać się z dobrymi radami, ale uważam, że nie ma powodu do zmartwienia. Dziś rano byłem na śniadaniu u pana barona Danglars w jego milej willi, gdzie pokazywał mi wiele przedmiotów dużej wartości i wybornego gustu; między innymi spostrzegłem także portret pani. Widząc go, nie mogłem się powstrzymać, by nie wyrzec słów: „Piękna baronowo, jesteś złośliwą, ale złośliwość pani podoba się wszystkim tym, którzy panią znają”. Udziel pani panu baronowi radosnej nowiny o swym pobycie w Rzymie, a nie wątpię, że on pospieszy sprawić pani jutro wieczór niespodziankę. Co się tyczy uprowadzenia, zaufaj pani moim słowom; nie dojdzie do skutku, bo jesteś zdradzona, ale człowiek najęty przez panią, nie powie nic takiego, co mogłoby narazić panią na nieprzyjemności.”

Gdy skończył, podpisał się nazwiskiem Monte-Christo, zapieczętował list i zaadresował do baronowej Danglars.

— A teraz — rzekł — trzeba mi kogoś, kto list zanieśnie.

— Tu nie ma nikogo, to znaczy, nie mam służącego — rzekł baron, który ciągle chodził po pokoju i myślał nad tym, w jaki sposób mógłby użyć trzech milionów baronowej, kiedy się pogodzą.

— Ach, biedny baronie! Podczas gdy ona ginie z namiętności połączenia się z panem, pan jesteś zimny, obojętny; zajmij się tylko najgłupszą rzeczą na świecie; wyszukaj posłańca, który zaniósłby jej list! Niewdzięczny! Co to?

Słuchaj pan! Ktoś puka do drzwi. Nieba zsyłają nam człowieka, on nam posłuży.

Baron zmarszczył brwi i zapytał:

— Kto tam?

— Posłuszeństwo... Ej, do diabła, panie baronie, otwieraj, są rzeczy, których nie można mówić przy oknie na ulicy — mówił jakiś męski głos.

XIV

Mniemany sekretarz hrabiego Monte-Christo

Niespodzianym gościem był nie kto inny, jak Pepino, który usłyszawszy od Mestra Pastriniego, że sekretarz hrabiego Monte-Christo jest w Rzymie, pospieszył do barona, aby dowiedzieć się od niego nowych wiadomości.

Pepino szedł powoli po schodach, a gdy wszedł do pokoju zakłopotał się spostrzegłszy obcego człowieka.

Danglars rzucił nań pełne wyrazu, błagalne spojrzenie, które miało znaczyć: Bądź roztropny i nie zdradzaj mnie.

Benedykt ujrawszy Pepina, którego strój zdradzał człowieka, jakiemu można zaproponować zarobienie pieniędzy, zbliżył się do niego i rzekł:

— Przyjacielu, będziesz tak grzeczny przyjąć małe zlecenie?

— Che cosa? — zapytał Pepino zwracając nań instynktownie oczy.

— List — odparł Benedykt, który ze stoicką obojętnością wytrzymał spojrzenie bandyty — list, który jeszcze dziś musi być zanieiony do hotelu na via del Corso!

— Do kogo, panie?

— Do pani baronowej Danglars. Musisz go pan oddać do rąk własnych gościa, który zajmuje numer pierwszy, drugi i trzeci na pierwszym piętrze.

— Nie mam nic przeciwko temu. A jeżeli zapytają, kto mnie posyła?

— To odpowiedz pan po prostu: Sekretarz hrabiego Monte-Christo.

Bandyta na te słowa cofnął się, uderzony uczuciem głębokiego szacunku, zadrzał i zbladł, jakby nazwisko, dochodzące jego uszu, obudziło w nim ciemne wspomnienia. Potem popatrzył na Danglarsa byстрыm spojrzeniem i znów patrzył na Benedykta.

— Wybacz pan, znasz pan tego, o którym mówisz?

— Sekretarza, czy hrabiego? — zapytał Benedykt.

— Jednego i drugiego.

— Znam, bo jednym z nich ja jestem.

— Pan jesteś więc sekretarzem pana hrabiego?

— Mnie się zdaje, że dosyć powiedziałem, aby potrzeba było coś dodawać. Ale jeszcze jedno słowo przyjacielu. Natarczywość, z jaką mnie pytasz, każe się domyślać, że znasz mego pana!

Pepino pochylił głowę.

— Służyłeś mu może?

— O — rzekł bandyta — to Jego Ekscelencja był łaskaw nam służyć.

— Nam służyć? O, o! To „nam”, wiele mówi mój przyjacielu i budzi we mnie chęć pomówienia z panem w stosownym czasie.

— Jestem na twoje rozkazy, panie; ale zdaje mi się, że pan musisz mieć jakieś hasło?

— Mam je.

— Jakie?

— Mój kochany baronie — rzekł Benedykt do Danglarsa — zrób mi tę grzeczność i zostaw mnie samego z tym panem.

Baron wyszedł do przyległego pokoju.

— Dobrze — rzekł Benedykt — pan wiesz bez wątpienia, jakim człowiekiem jest pan hrabia?

— O, to nadzwyczajny człowiek.

— Jak to można poznać po tym znaku, który mu wskazuje drogę i określa

jego los w świecie. Patrz pan.

Mówiąc to, otworzył pudełeczko, a bandyta cofnął się z przerażeniem widząc rękę:

— Ręka trupa!

Benedykt zamknął natychmiast relikwię, spostrzegając z radością wrażenie, jakie wywarła na Pepinie.

— Od teraz to będzie hasłem.

— Jakim hasłem, proszę pana? Między nami nie ma hasła takiego rodzaju i nie istniało nigdy. Ja żądam od pana znaku, gestu, jakiegoś słowa, które zapewniłoby mnie, że pan jesteś rzeczywiście wysłannikiem pana hrabiego. Ale wierzę panu, bo osoba pańska zdaje się zasługiwać na łaskę służby u pana hrabiego.

— Teraz przychodzi kolej na mnie, kim pan jest?

— Człowiekiem, któremu Jego Ekscelencja ocalił życie, i który poprzysiągł słuchać go we wszystkim. To wystarcza.

— Mimo to zdaje mi się, że pan należysz do jakiegoś związku; pan użyłeś słowa „nam”, gdyś pan pierwszy raz mówił o hrabim.

Pepino oglądnięt się, zbliżył do Benedykta i szepnął mu:

— Jestem przyjacielem i towarzyszem Ludwika Vampy.

— Ha! To imię, które znam od dłuższego czasu, bo słyszałem nie raz, jak hrabia mówił o nim do swego intendenta Bertuccia.

— Bertuccia? Znam go.

— No, to wybornie, mam instrukcje dla Ludwika Vampy.

— Ha! Masz pan instrukcje dla niego? W takim razie możesz go pan spotkać w Koloseum; tam pana przyjmie.

— Dobrze. Nasza schadzka będzie pojutrze. Teraz odnieś list do baronowej Danglars. Odpowiedzi nie będzie.

Pepino skłonił się i wyszedł udając się prędko na via del Corso.

— Brawo, baronie! — rzekł Benedykt.

— Ale czy pan jesteś samym diabłem? — rzekł Danglars stając przed Benedyktem.

— Będę nim, jeżeli taka będzie potrzeba, mój kochany; powiedz mi pan raczej, kto to jest ten człowiek, który wyszedł?

— To Pepino, porucznik bandy osławionego Ludwika Vampy.

Benedykt krzyknął.

— Co panu?

— Nic, baronie, nic. Chcę tylko powiedzieć, że martwa ręka niedługo dojdzie do celu, do którego dąży; pan wiesz, że zmarły, do którego należała, miał wypełnić na ziemi pewne posłannictwo. Tak — dodał z egzaltacją — z milczenia grobowego podnosi zemsta ramię sędziowskie w obliczu ziemi! Odwagi, odwagi! Dosięgniesz celu; tak, dosięgniesz go!

Mówiąc to, rozentuzjasmowany, wyjął z pudełka zeszlą rękę i całował ją z uszanowaniem, a łzy płynęły mu z oczu. Danglars patrzył nań ze zdziwieniem i przerażeniem, bo nie rozumiał ani znaczenia tych słów, ani szalonego entuzjazmu Benedykta.

— Mój panie — rzekł tenże, chowając do pudełka drogą relikwię — co to za człowiek, ten Ludwik Vampa?

— To on zrabował mi sześć milionów, które chciałem w Rzymie dobrze ulokować.

— Tak, wiem; miliony, o których Monte-Christo sądził, że nie są pańskimi.

— To był błąd w rachunku.

— Powróćmy do Ludwika Vampy.

— To człowiek, który przed niczym się nie cofnie, byle dotrzymać słowa i jak mi się zdaje, w rozkazach dla swoich podwładnych rozwija taką stanowczość, której nic się nie może równać.

— Czy wysoki?

— Nie, średniego wzrostu.

— Silny?

— Nie, nic nie wskazuje na nadludzką siłę.

Benedykt zdawał się być odpowiedziami Danglarsa w najwyższym stopniu zadowolony i myślał nad jakimś wielkim planem. Czasami marszczyło się jego czoło, a spojrzenie przybierało ponury i niemły wyraz, podobny do owego, kiedy postanowił zamordować dozorcę więzienia w La Force.

— A teraz, mój kochany panie — rzekł Danglars do niego, posuwając swą gościnność do tego, że wyjął z szafy butelkę Lacrimae Christi — mamy tu coś do zwilżenia gardła, a prócz tego mogę pana zaprosić na biskwit z Jamajki.

— Jestem mocno zobowiązany, baronie; ja lubię wzruszenia. Patrz pan, wydaje mi się, że już teraz widzę cudowny obraz waszego połączenia. Jakąż to patetyczną sceną będzie spotkanie pańskie z interesującą baronową! Chodź pan, muszę pana uściskać, bo potem będziesz mnie darmo szukał! Zniknę jak te ptaszki piękne, które blaskiem swych piór olśniewają i urokiem swej melodii odurzają, jak owe ptaki Juvenala, Fenikse.

— A dokąd skierujesz swe kroki?

— Ja? Pytaj pan raczej blasku pioruna, który wśród burzy bieży do punktu, przedziera chmury, przecina powietrze i pokazuje naszym olśnionym oczom swój szybki i gwałtowny zygzak! Pójdę, dokąd mnie zaprowadzi ta ręka!

— Na moją duszę, panie — odparł Danglars — skończ swoje bajeczki! Ja nie czuję najmniejszej skłonności do cudów i trudno byłoby mnie przekonać, że pańska droga wskazana jest przez wyschlą ręką trupa.

— Pan nie wiesz, jakie uczucia budzi we mnie ta relikwia! Ile myśli wywołuje w mej głowie, która pała pod żarem boleści i szału! Ach, daruj, mój panie! — mówił Benedykt dalej, zmieniając ton mowy i śmiejąc się ironicznie — To wszystko nic nie znaczy, mówmy o innych rzeczach.

— Właśnie chciałem to panu powiedzieć.

— Z tego co widzę masz stosunki z bandytami Vampy, kochany baronie! O, uspokój się pan, habit nie czyni jeszcze mnicha. Jakiż to związek zachodzi między panem a tym człowiekiem?

— Nie, mój panie, mylisz się; ja nie mam żadnych stosunków z nim. Od czasu owej sławnej przygody, rabunku, którego stałem się ofiarą, znam Pepina i ten próżniak przychodzi do mnie od czasu do czasu wypić butelkę *Lacrimae Christi*.

XV

Rabunek

Wspierany przypadkiem i zbiegiem okoliczności, syn dawnego królewskiego prokuratora szedł dalej drogą zbrodni. Szczęście ma czasem kaprys wybrać człowieka za swego pupila. Nieszczęście czepia się drugiego, aby go uczynić swoją ofiarą i aby mu całe życie, od pierwszego tchu aż do ostatniego westchnienia, naznaczyć piętnem zbrodni i hańby. Dla takiego człowiek nie ma ani Boga, ani miłości, ani ojczyzny; przypada mu w udziale zbrodnia i przekleństwo; prócz swego jestestwa widzi on na świecie tylko ustawiczną noc wieczności, nicość!

Benedykt zdawał się być jednym z tych dzieci przeznaczenia, dla których drudzy ludzie nie są braćmi, gdyż nie przyjęli go nigdy inaczej jak tylko śmiechem pogardy; odrzucili wszelkie obywatelskie i religijne związki, które mogłyby spowodować jego wejście do wspólnej rodziny.

Benedykt był *Pariasem*.

Ścigał człowieka, który grzeszył tym, że najpiękniejszy dar przedwiecznego, miłosierdzie, doprowadzał do negacji. Ach wy, nędzne robaczki, którzy uważacie się za tak mądrych i świątłych jak Bóg i za tak potężnych jak On! Biedne stworzenia, duma was zaślepiła! Patrzcie na siebie, a ujrzycie, że żar, który uważacie za święty ogień natchnienia, niczym innym nie jest jak tylko ogniem ziemskiej namiętności, która wami owładnęła! Głupotą swoją szydzicie potem z nieskończonej sprawiedliwości i z niezmierzonej dobroci Stwórcy, i

śmiecie mówić, że to właśnie ta nieskończona i wzniosła sprawiedliwość Wszechmocnego Boga was natchnęła! Człowiek, który jest najsprawiedliwszy na świecie, może posiadać najgorszy błąd ludzki: próżność!

Baronowa Danglars myślała po otrzymaniu listu, że hrabia jest w Rzymie i na skutek swoich licznych kaprysów chce pozyskać względy, nim się jej przedstawi. Gdy otrzymała pierwszy list, zapowiadający o odkryciu jej tajemnicy, drżała; teraz odzyskała zupełny spokój umysłu, skoro drugi list zapewniał ją, że nazwisko jej nie będzie skompromitowane. Myślała więc nad korzyścią pogodzenia się z mężem, którego majątek musiał być znaczny, skoro w liście znajdowały się słowa:

„Dziś rano byłem na śniadaniu u pana barona Danglars w jego miłej willi, gdzie pokazywał mi wiele przedmiotów dużej wartości i wybornego gustu”.

Słowa te przez cztery godziny pani Danglars studiowała, rozbierała i tłumaczyła.

Było rzeczą jasną, że baron musiał być bogaty, skoro posiadał miłą willę i miał w niej przedmioty wartościowe, i gustowne, które zwróciły uwagę człowieka takiego, jak hrabia Monte-Christo. W takim razie baronowa uważała za stosowne zapomnieć o wyrzutach i połączyć się z tym, który nie przestał być jej mężem.

O czwartej po południu następnego dnia tajemniczy młodzieniec zjadł obiad w hotelu na via del Corso i znikł, aby ustąpić miejsca damie o okazałej powierzchowności i arystokratycznej bladości, ubranej z wyszukaną elegancją.

Mestre Pastrini nie wiedział nic o tej metamorfozie, a to z tego powodu, że gdy przynosił obiad, nie zastawał nikogo w jadalni, po obiedzie zaś znów znajdował pusty pokój. Wszystko to były okoliczności, do których się przyzwyczaił i nie przychodziło mu nawet na myśl interesować się gościem, który zresztą bardzo dobrze i bez grymasów płacił, i miał przez to prawo do

wszelkich względów milczenia. Nie zważając na pogłoski o młodym. Serviersie, Mestre Pastrini ograniczał się do twierdzenia, że czas odsłoni całą tajemnicę.

Pani Danglars czekała spokojnie na odwiedzinę męża, gdy usłyszała nagle głos Pastriniego.

— Panie, panie!

— Che cosa?— zapytała pani Danglars, wzmacniając głos i nadając mu włoskiego wyrazu.

— Można?

— Wejść pan.

Mestre Pastrini, który zawsze zadawał to samo pytanie i zawsze otrzymywał przeczącą odpowiedź otworzył szybko drzwi i wszedł rzucając badawcze spojrzenia po całym pokoju.

— Na krew Chrystusa.— szepnął do siebie spostrzegłszy panią Danglars — młody Serviers ma w swoim pokoju piękne zabawki.

— Co tam, Mestre Pastrini! Czego pan chcesz?

— Pani, ja pytam, ja szukam— rzekł Pastrini wytrzeszczając szeroko oczy.

— Rozumiem, pan Serviers wyszedł. Ale jeżeli przynosisz pan zapowiedź jakiejś wizyty, możesz to pan uczynić.

— Czy to dzieło obrazy boskiej, Gzy czary? — pomyślał Pastrini — Głos tej damy podobny jest do głosu młodego Serviersa.

— No? Mów pan!

— Proszę popatrzeć na tę kartę.

Pastrini podał jej elegancką kartę wizytową „*Sekretarz hrabiego Monte-Christo*”.

Zdziwiła się bardzo, lecz mimo to dała ręką znak Pastriniemu, by gościa poprosił.

Tymczasem w drzwiach hotelu stał jakiś człowiek i zdawał się czekać na kogoś. Pepino, który zawsze chodził w pobliżu, aby dowiedzieć się nowin, zobaczył go, i zdejmując kapelusz, stanął przed nim.

— Panie! — szepnął cicho.

— To pan, Pepino? Czego pan sobie życzy?

— Przyszedłem po rozkazy.

Nic nie odpowiadając Benedykt poszedł w korytarz hotelu, a za nim Pepino.

— Sprowadź na usługi pana hrabiego Monte-Christo powóz za pół godziny i zatrzymaj go w pobliżu hotelu. Nie potrzebuję panu zalecać, by woźnica milczał.

— Jak niemy — odparł Pepino. — O, ja wiem, jak Jego Ekscelencja lubi być obsłużony!

— Jeszcze chwilę! — rzekł Benedykt — Znasz pan jakiegoś kapitana okrętu? Pepino zaśmiał się.

— Wiem dobrze, że znasz ich setki — rzekł Benedykt. — Jego Ekscelencja przedstawił mi pana jako człowieka, który prawie wszystko wie i umie. Hrabia potrzebuje małego jachtu do...

— Na wyspę Monte-Christo, założyłbym się — przerwał mu Pepino z wyrazem triumfu.

Benedykt zmarszczył czoło i jak człowiek, który zna doskonale przedmiot, o którym mowa, odparł natychmiast:

— Mówisz prawdę, panie Pepino.

— Nie troszcz się pan o to, znam w porcie kilku ludzi, którzy nie będą się wahali służyć Jego Ekscelencji i będą bardzo zadowoleni z zaszczytu, który ich spotka.

— Jesteś pan rozumny; wystarczy dodać, że statek musi odpłynąć jutro rano.

— Rozumiem panie. Spieszę i dziś wieczór powiem panu nazwisko kapitana.

— Gdzie? — zapytał Benedykt.

Pepino skłonił się na znak, że czeka na oznaczenie miejsca.

Benedykt szepnął mu dwa słowa do ucha.

Pepino pobiegł jak strzała;

W tej chwili zjawił się Mestre Pastrini.

— Per la Madonna! — zawołał Włoch obracając czapkę futrzaną w palcach — Mówię panu, że widziałem na własne oczy, jak młody Serviers zamienił się w kobietę.

— Jesteś krótkowidzem Mestre Pastrini — rzekł Benedykt z lekceważeniem.

— Przysięgam panu, że będziesz tak zdziwiony jak ja.

— Jesteś pan nudny! — odparł Benedykt przechodząc koło niego i udając się do pokoju pani Danglars, która z kokieterią rozciągnięta na sofie oczekiwała sekretarza Jego Ekscelencji i starała się wywołać na ustach miły i słodki uśmiech.

Benedykt wszedł ostrożnie i przezornie zamknął drzwi za sobą. Potem skłonił się baronowej z oznaką najgłębszego szacunku.

— Mam zaszczyt złożyć pani Danglars moje uszanowanie. Ona krzyknęła.

— Boże! — zawołała wpatrzywszy się w zbyt znane rysy sekretarza.

— Pani baronowo — rzekł Benedykt udając, że nie zważa na przerażenie damy — już dawno nie miałem przyjemności składać pani mojego uszanowania. Czy mogę spytać o zdrowie pani?

— Wybacz pan — jęknęła dama ze wzruszeniem — zameldowano mi kogo innego, dlatego nie mogłam ukryć pewnego... pewnego zmieszania.

— Pani baronowo, osobą, którą pani zameldowano jestem ja.

— Co? Pan jesteś sekretarzem hrabiego Monte-Christo?

— Może. — odparł Benedykt.

— Ależ pan jesteś Andrea Cavalcanti — mówiła dalej baronowa blednąc coraz bardziej.

— Tak, ja — odrzekł Benedykt zuchwale, widząc jak baronowa zasłoniła sobie twarz rękami. — Jestem ten sam Andrea Cavalcanti, który miał się ożenić z pani dzielną córką Eugenią Danglars, tyle, że ona uciekła tej nocy, której miał być podpisany kontrakt ślubny. W dodatku przybycie komisarza policji przeszkodziło temu, a Andrea Cavalcanti został aresztowany jako zbieg z

więzienia w Toulon.

— A więc, mój panie — rzekła baronowa po krótkim wahaniu — mogę myśleć, że pan wytłumaczyłeś komisarzowi jego pomyłkę?

— To było niemożliwe, proszę pani, bo ja rzeczywiście uciekłem z więzienia — odparł Benedykt z nieprawdopodobną bezwstydną. — Prócz tego zamordowałem człowieka stojącego w drzwiach pałacu, w którym mieszkał hrabia Monte-Christo. Za to morderstwo byłem ścigany i miałem być ścięty.

— W takim razie nie rozumiem pana.

— Nie wątpię pani baronowo.

— Czegóż pan chce ode mnie? — zapytała z widocznym zakłopotaniem.

— Chcę powtórzyć pani to, co miałem zaszczyt donieść pisemnie; to znaczy, że pan baron Danglars przyjdzie dziś do pani.

— O mój Boże — zawołała baronowa jakby coś przeczuwała — wyznaj mi pan otwarcie, pan nie jesteś sekretarzem hrabiego Monte-Christo!

— Dlaczegoż nie?

— O — mówiła dalej z egzaltacją — bo hrabia nie przyjąłby na poufnego sekretarza człowieka, który siedział w więzieniu i jest oskarżony o morderstwo. O, mój Boże! Mój Boże! Jakież przeznaczenie ciąży na mnie, Benedyckie, jakie przeznaczenie ciąży także i na panu!

— Benedyckie! — zawołał — Skąd pani wie, że nazywam się Benedykt?

— Skąd ja to wiem? Sama nie wiem, mój panie; nie, nie przypominam sobie, skąd się dowiedziałam. Ale pan nazywasz się Benedykt i cierpiełeś wiele, prawda?

— Pani baronowo, stan, w jakim panią widzę jest dziwny! Co to panią obchodzi, że ja cierpiełem? Dlaczego mówisz pani o tych cierpieniach? Czy tylko przypadek jest powodem tego?

— Przypadek, albo nie. Mnie się zdaje, że jeżeli spotkamy osobę, która zamiast wyrzutów zdaje się współczuć, to nie odpowiadamy z takim zinnem, jakie pan okazujesz!

— A kiedyż to żądałem, byś mi pani współczuła? Dlaczego mówimy o tym, kiedy ja w innym celu przyszedłem do pani?

— Cóż więc pana sprowadza? — powtórzyła baronowa z goryczą — Myślisz pan może, że ja wierzę oszustwu, jakiego się chwyciłeś, aby się czegoś o mnie dowiedzieć? Nie, ja nie wierzę, pan nie jesteś sekretarzem hrabiego Monte-Christo, lecz tym, czym zawsze byłeś.

— Czymże ja zawsze byłem? — zapytał Benedykt zdziwiony.

— O, nieszczęsny! — szeptała baronowa starając się ukryć łzy.

— A powód, który mnie tu sprowadza? Powiedziałaś pani, że znasz go także.

— Smutno go nazwać — odparła baronowa.

—Pani baronowo...

— O, pan widzisz, że ja wszystkiego się domyślam. Niedawno uzyskałeś pan wolność w Paryżu, ale...

— Ale?

— Ach, mój panie, pan chcesz wyznać mi jakąś straszną tajemnicę, nieprawdą? — zapytała baronowa.

— Nie rozumiem pytania pani, baronowo, i wszystko to, coś mi pani od kwadransa powiedziała, znajduję bardzo dziwnym. Nie mam żadnej tajemnicy do wyznania i proszę panią o podanie powodu moich odwiedzin, jeśli go pani rzeczywiście zna.

W tej chwili Benedykt wsunął rękę do bocznej kieszeni surduta.

Baronowa zadrżała.

— Panie Benedykcie, twoja gwiazda jest fatalna! Jeżelibyś jednak spotkał istotę, która by mogła i chciała uczynić pana szczęśliwym, to znaczy, zapewnić panu przyszłość zdolną zadowolić pańskie potrzeby, czy porzuciłbyś wtedy awanturnicze życie, jakie dotychczas prowadziłeś?

— O, takich istot nie ma na świecie! Miłosierdzie to kłamstwo, szyderstwo, oszustwo...

— Nie bluźnij pan!

— Doświadczyłem przykładów tego!

— Ale gdyby to, o czym mówiłam, stało się nie z miłosierdzia, lecz z poczucia obowiązku?

Benedykt zaśmiał się głośno.

— Z poczucia obowiązku! — powtórzył — Kto zważa na obowiązek? Pani baronowo, nie mówmy o tym. Pani wiesz, że moja gwiazda jest złą i będzie nią aż do mego ostatniego tchnienia. Jaki związek może być między mną, synem nieszczęścia, poświęconym śmierci i piekłu, a dobrem na świecie? Zbrodnia i rozpacz były moimi rodzicami chrzestnymi, a ja byłem chrzczony krwią i łzami.

— Dosyć, dosyć, litości! Zabij mnie! — szeptała pani Danglars przyciskając rękę do serca i padając na sofę.

— Ha! Moje słowa zabijają panią! To dziwne, bo byłaś pani bardziej energiczna, gdy donosiłaś, że starasz się porwać swą córkę Eugenię. Doszliśmy do punktu, proszę pani, o którym nie myślałem, gdy układał plan, tymczasem mamy z sobą jeszcze do pomówienia.

Wydobył z kieszeni zapisany papier i podał go baronowej.

— Będziesz pani łaskawa podpisać to?

— A co to jest? — zapytała baronowa wzruszonym głosem.

— Całkiem zwykła rzecz, na honor. Rozporządzenie do bankiera pani, by wypłacił mi za okazaniem tego trzy miliony franków.

— Oh! Jakim prawem pan tego żąda?

— Jakim prawem!?

Benedykt wymówił to pytanie takim ironicznym, a zarazem groźnym tonem, że baronowa zadrżała; mimo to powiedziała:

— Tak jest, mój panie, jakim prawem?

— Pani wiesz lepiej, niż ktokolwiek inny, że nie mam żadnego.

— Mogłabym odmówić panu.

— Bez wątpienia, ale w takim razie zabiję panią — odparł zimno Benedykt

przykładając szybko sztylet do piersi baronowej. — Musisz pani wiedzieć, że to żelazo jest zatrute, i że najmniejsza rana spowoduje w przeciągu pięciu minut śmierć pani.

— W takim razie pan nie dostaniesz mego podpisu — rzekła baronowa dając świadectwo swej rezygnacji.

— To byłoby to samo; skradłbym to, co znalazłbym, w sekretarzyku.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Słuchaj mnie, panie Benedyckie. Nie mam żadnego bankiera i nie mam kredytu na trzy miliony franków. Jestem biedna i możesz mi pan wierzyć, że nie mogłabym tego papieru podpisać nie oszukując pana.

— Bajki, baronowo! Gdy mąż panią opuszczał miałaś półtora miliona, pani duch spekulacyjny musiał sumę tą podwoić i masz pani teraz trzy miliony, nie licząc reszty. Podpisz pani i połącz się potem z baronem, który jest bogaty!

— Nie mogę! — szepnęła.

— Więc jesteś gotowa umrzeć? Musisz pani wiedzieć, że nie jest dla mnie trudną rzeczą popełnić zbrodnię.

— O, to byłaby zbrodnia, za którą wszystkie inne pozostawałyby w tyle — wyjąkała biedna matka, a obfite łzy trysnęły jej z oczu. — Panie Benedyckie, byłbyś schwytyany, uwięziony i ścięty.

— Mylisz się pani; jestem przezorny i oględny, baron wkrótce przyjdzie. Słuchaj mnie: Podczas gdy on czeka na dole, ja wysuwam się i wsiadam do karety, szybko się oddalam, znikam. On zaś, baron, będzie się niecierpliwił, że pani każe mu tak długo czekać i wejdzie do pokoju. Na widok pani zakrwawionego trupa przerazi się, na próżno chce krzyczeć, strach, przerażenie osłabia go. Potem wchodzi ktoś do pokoju, widzi człowieka obok zamordowanej kobiety, chwyta go i oddaje jako mordercę w ręce sprawiedliwości. Nie powiedziałem, panie baronowo, że wszystko przewiduję? Podpisz pani, albo cię zabiję.

— O, mój Boże! Mój Boże! Wybacz...

— Ale to na nic się nie przyda, podpisz pani.

— Benedykcie! Ten rabunek przynosi panu zaszczyt i daj Boże, abyś po jego dokonaniu wstąpił na prawą drogę! Oddam panu wszystko, co posiadam! Zostanę biedną i może jutro będę musiała prosić mego męża albo córkę o jałmużnę! Osądź pan moje upokorzenie i mój wstyd! Oblicz pan, jak mi to trudno przyjdzie; zostaw mi pan przynajmniej te sześćdziesiąt tysięcy franków, które dał panu w Paryżu królewski prokurator.

Benedykt zadrżał, ale niezdolny do żadnego uczucia wdzięczności odpowiedział:

— Nie starając się domyślić powodu, który skłonił panią do takiej anonimowej dobroczynności, sądzę, że dałaś to pani bardziej z kaprysu niż z litości; mimo to jestem gotów zostawić pani te pieniądze, a czynię to tak, jakbym spłacił dług.

— Dziękuję! — odparła baronowa z wyrazem, który zdradzał rozpacz i ironię — Tu są klucze do sekretarzyka, okradaj mnie pan, może kiedyś będziesz pan tego żałował.

— Żałował? Ja żałował? — zawołał Benedykt z szyderczym uśmiechem — Kto pani jesteś, że tak do mnie mówisz? Jeżeli dotychczas nigdy niczego nie żałowałem; to myślisz pani, że głos twój do tego mnie skłoni? Pani głos, głos zwykłej kobiety, której nie jest obca intryga, a może nawet i zbrodnia? Dość już! Do rzeczy! Otwórz pani sekretarzyk sama, baronowo, bo są szuflady, które posiadają takie tajemnice, że w tego, który nieostroźnie otwiera, strzelają całą baterią nabitych pistoletów.

Drżąca, chwiejna i śmiertelnie blada, zbliżyła się baronowa do sekretarzyka, otworzyła go i ukazała oczom Benedykta wielką masę złota i papierów wartościowych.

W kilka chwil potem złoto przeszło do kieszeni Benedykta, a baronowa nie miała więcej jak sześćdziesiąt tysięcy franków.

— A teraz zamorduj mnie. Widzisz pan, że domyślałam się jaka będzie

ostatnia scena tego dramatu — szepnęła.

— Może innym razem— szydził Benedykt. — Teraz pozwól mi się pani odprowadzić do przyległego pokoju, gdzie czeka na panią baron Danglars.

Uderzyła godzina szósta.

— Rzeczywiście, nie omyliłem się. Nie, zapominaj pani o tym, że gdybyś tylko chciała powiedzieć słowo oskarżające mnie, odegrałabyś groteskową rolę. Nikt, rozumie pani, nikt pani nie uwierzy, bo pani nie byłaś owym młodym Serviers, który jest chory i podróżuje dla rozrywki. Ten chory młodzieniec jest tylko fikcją, a takie fikcje są w najwyższym stopniu śmieszne. Chodźmy!

Baronowa upadła na kolana.

— Ach, miłosierdzia. Pozwól mi pan zostać tutaj. Idź i oby nieba dały, by te pieniądze zrobiły z pana porządnego człowieka!

W tej chwili dał się słyszeć głos Mestra Pastriniego, który z zewnątrz zapowiadał barona Danglars.

Baronowa westchnęła, Benedykt wyszedł z pokoju. Po drodze spotkał barona, który chciał go zatrzymać i mówić z nim, lecz Benedykt powiedział, że nie ma ani minuty do stracenia, bo w imieniu baronowej musi nająć Jeden z pałaców na via del Popolo. Na koniec dodał:

— Zalecam panu milczenie i życzę szczęścia. Baronowa jest bardzo bogata, o wiele bogatsza, niż myślałem.

— Do diabła! Ale jakąż pan grasz rolę u niej? — zapytał baron trochę zakłopotany.

Benedykt nic nie odpowiedział. Uścisnął podaną mu rękę i wybiegł szybko, podczas gdy baron szedł pewnym krokiem ku mieszkaniu baronowej.

Benedykt ujrzał w pewnym oddaleniu powóz, dał woźnicy znak, wsiadł i odjechał galopem.

XVI

Mąż i żona

W drzwiach pokoju eksmałżonki baron natknął się na Pastriniego.

— Czyś pan zapowiedział moje odwiedziny pani baronowej?

Pastrini oniemiał.

— Czemuż się pan tak gapisz Mestre? Pytam czy zapowiedziałeś damie moją wizytę?

— Ależ Ekscelencjo... tu nie mieszka żadna dama.

— A któżby inny?

— Młody człowiek z rodziny Serviers.

— Chyba oszalałeś mój panie! — Po pierwsze moja żona nie mieszkałaby z mężczyzną, po drugie nazwisko Serviers może przynależeć tylko do kobiety. Znam ten ród i wiem, że nie ma w nim męskiego potomka!

— Może i nie ma, ale w tym hotelu nie mieszka...

— Powtarzam panu, żeś oszalał, jesteś furiatem i należy cię zwięzać! Imię Serviers nie może już należeć do żadnego mężczyzny, a wiem, że dama, o którą pytam, jest pańskim gościem. Jest to bardzo miłutka dama — dodał baron wysilając się na jak najpowabniejszy uśmiech — więc Mestre puszczaj.

— W takim razie jeszcze słowo Ekscelencjo.

— Mów byle krótko.

— Panie baronie, czy Wasza Ekscelencja masz zupełną pewność, że wspomniany młodzieniec jest rzeczywiście kobietą?

— Też pytanie! — zawołał baron.

Mestre Pastrini nie stracił na odwadze i zapytał raz jeszcze:

— Per la Madonna! Ekscelencjo racz mi odpowiedzieć; wiesz pan z pewnością, że to jest kobieta?

— Jakże by inaczej! — wymówił baron rozpaczliwie i z widocznym

przerażeniem.

— Ach, mój panie — szeptał Pastrini blednąc i trzęsąc się — jeżeli mogę panu radzić, to nie wchodź pan tu.

— A to dlaczego?

— Oświadczam panu, że mój gość musi być jakiś nicpoń!

— Co u licha mówisz?

— On ma stosunki z pewnym jegomościem, który w skrzyneczce nosi przy sobie martwą rękę. .

Baron mimowolnie podskoczył, ale opanował się.

— Mówią, że to czarownik — ciągnął Pastrini.

— A dama?

— Na nią pada podejrzenie, że jest jego współniczką.

Danglars zaśmiał się nerwowo i rzekł:

— Głupstwa pan pleciesz.

— Śmieję się pan i kpil Ekscelencjo; mimo to mówi się o tylu nadzwyczajnych rzeczach, że niepodobna nie dać wiary przesądom. Przysięgam panu, że jutro o tym czasie, mieszkanie musi być opróżnione.

Baron wzruszył ramionami, wcisnął się przez próg do pierwszego pokoju zajmowanego przez panią Danglars i podążył do saloniku.

Baronowa układała właśnie fryzurę, na jej twarzy nie spostrzegłby nikt wzruszenia rozdzierającego przed pół godziną jej serce. Znowu przyjęła pozę dumnej i szlachetnej pani Serviers, baronowej Danglars.

Zanim baron zdołał spostrzec jej twarz, baronowa widziała. go już w lustrze i zaraz zauważyła zmieszanie, z jakim zbliżał się ku niej i wysiłek z jakim starał się je pokryć.

Poprawiając ciągle loki przy lustrze upatrzyła stosowną porę do ukończenia zajęcia, od lustra przeszła do biurka, jakby je chciała staranniej przymknąć; zabrzęczało złoto w zasuwanych szufladach; wtedy dopiero odwróciła się i udała zdziwienie zobaczywszy barona.

— Ach, pan byłeś tutaj? — zawołała, jak gdyby się dopiero wczoraj rozstali.

Baron postąpił kilka kroków i usiadł na krześle poprzednio zajmowanym przez Benedykta.

— Zimno jest dziś dość przejmujące — wybąkał.

— Nie miałam sposobności tego zauważyć; sądzę, że pisanie i myślenie rozgrzewa znakomicie!

—Więc pani pisałaś?

— Właśnie napisałam osiem listów w różne strony. Potrzebuję moich kapitałów, rada bym także i inne interesy dokończyć.

Kroplisty pot okrył czoło barona.

— Dziwi mnie, dlaczego pani baronowa nie używa maszyny piszącej pod nazwą sekretarza.

— Od czasu, gdy jestem sama, panie baronie, unikam wielu rzeczy, ku którym coraz to większą czuję odrazę.

Nastąpiła cisza, którą wreszcie baronowa przerwała.

— Pan byłeś łaskaw mnie odwiedzić; czym mogę służyć? — zapytała.

— Czy baronowa uważa mnie za tak wielkiego samoluba?

— Nie byłoby to zbyt dziwne — odparła z uśmiechem — Ależ przepraszam, czy pan nadal prowadzisz swój interes w Rzymie?

— Ważne interesy zatrzymały mnie w Rzymie — odparł jękając się baron.

— Klimat włoski służy panu, jak się zdaje? — pytała baronowa dalej.

— We Francji czułem się zdrowszym — odparł baron — mimo to mam przekonanie, że w Rzymie będzie dla mnie znośnie, skoro masz pani zamiar tu pozostać.

— Nie zostaję tu, wyjeżdżam do Civita-Vecchia — odparła baronowa.

Baron westchnął głęboko.

— W Rzymie, zauważyć muszę — dodała pani Danglars — przybrałeś pan inne zwyczaje, bo w Paryżu nigdyś pan nie wzdychał.

— Nic naturalniejszego; w Paryżu nie cierpiałem.

— To pan cierpisz w Rzymie?

— Oh!

— Czyż tu nie ma dobrych lekarzy?

— Pani baronowo, moje cierpienie przewyższa wiedzę lekarzy nie tylko w Rzymie, lecz i we wszystkich stolicach Europy — odparł baron Danglars. Na ostatnie wyrazy położył szczególny nacisk.

Baronowa zaraz też zapytała:

— Na czym polega to cierpienie? Może nerwy? To modna choroba.

— Nerwy, tak! Odgadłaś pani! — odparł baron — Zbyt wiele wzruszeń powoduje tę słabość.

— Oh, to o wiele gorzej, niż sądziłam. Panie baronie, jak się zdaje, masz pan bardzo gwałtowne, zbyt gwałtowne uczucia, to jest bardzo niebezpieczne!

— Dodaj pani jeszcze dolegliwe, a słodkie uczucie serca, smutek na przykład — mówił baron przyłączywszy do tych słów najgłębsze westchnienie, jakie tylko zdołał wydobyć.

Baronowa zmarszczyła czoło.

— Smutek? — powtórzyła — Smutek z jakiej przyczyny?

— Ach, pani baronowo, z jakiej przyczyny?

— Straciłeś pan może jakie sumy?

— Więcej jak to!

— Zaczynam coraz mniej pojmować! Jakież może drogocenne klejnoty?

— Jeszcze coś cenniejszego!

— Ha, to już nie wiem, co mam mówić.

— Ach, straciłem, wybacz pani, chcę powiedzieć, był czas, że byłem...

— Mówże pan.

— Wszak panią straciłem! — wyjąkał nareszcie baron z miną w najwyższym stopniu śmieszłą, która u baronowej wywołała zimny i szyderczy uśmiech.

— Jak to, więc pan, panie baronie, poniosłeś tak nadzwyczajną stratę i nie ogłosiłeś zaraz po wszystkich rogach ulicznych, jak to się zwykle dzieje,

przyzwoitego wynagrodzenia dla znalazcy? Jak widzę, mój drogi baronie, wyczekiwałeś aż do tej pory z cierpliwością!

— A tak, dotychczas wyczekiwałem! Pani jesteś aniołem, pani jesteś kobietą, jakich mało! Pani zasługi sięgają granicy cudowności!

— A pan, panie baronie, jesteś mężem tak miłym, że zachwycasz — odparła baronowa i po pewnym wyczekiwaniu, nieznośnym dla Danglarsa, dodała: — Wiesz pan, w rozmowie z panem znajduję nadzwyczajne upodobanie.

— Dziękuję pani po stokroć! Lecz powiedziałaś mi pani o podróży do Civita-Vecchia?

— Powiedziałam to? Doprawdy, nie przypominam sobie. Zresztą nie odważyłabym się już sama podróżować, to tak smutno!

— Oh, w istocie bardzo smutno; sam nienawidzę samotności. Czy mogę zatem proponować swoje towarzystwo?

— Doprawdy? O, w istocie pan jesteś godny miłości. Przyjmuję pana, panie baronie, przyjmuję całym sercem!

— Ach, pani baronowo! — zawołał baron, powstał i rozpostarł ramiona, jak gdyby chciał baronową przycisnąć do swej piersi.

Ona uczyniła to samo; nagle cofnęła się o jeden krok i usiadła ponownie. Ruch ten zmroził zapał biednego barona, w myśli bowiem już ni mniej, ni więcej tylko ścisnął trzy miliony.

— Jeszcze jedną chwilkę, mój panie — zagadnęła baronowa. — Skoro smutek tak silnie panem owładnął, jak pan twierdzisz, to w tej chwili przygniata mnie również smutne uczucie na wspomnienie dawniejszej sprawy z listem.

Słowa te, niespodziewanie wyrzeczone, były dla barona rodzajem śmiertelnego ciosu skierowanego z zasadzki. Zbladł okropnie.

— Gdyś pan opuszczał Paryż — ciągnęła baronowa dalej — otrzymałam list z podpisem pańskim; list ten zawierał godne uwagi wyrażenia, które pan przypominasz sobie bez wątpienia.

— Przysięgam pani, że pamięć o tym zupełnie straciłem.

— W istocie? Więc oto jest list. List ten, panie baronie każe mi o wielu rzeczach powątpiewać, a nawet o istnieniu dla mnie pańskiej osoby! Racz go pan więc wysłuchać.

„Pani i moja najwierniejsza małżonko!

Gdy pani ten list odbierzesz, nie masz już pani męża! Nie masz już pani więcej męża, tak samo jak i córki, to znaczy, że znajduję się na jednej z trzydziestu czy czterdziestu dróg prowadzących z Francji. Oto niektóre wyjaśnienia. Miałem do zapłaty pięć milionów dzisiejszego rana, drugą taką sumę winien jestem na jutro. Wyjeżdżam dziś w celu uniknięcia tego jutra. Niezawodnie pojmujesz to pani, moja najzaciejsza małżonko? Przypuszczam, że pani pojmujesz to, bo znasz moje interesy, może nawet lepiej ode mnie. Jeżeli pani podziwiasz nagłość mego upadku, to być może stopnienie mojej gotówki przeraża panią? Przyznaję, że sam widziałem tylko pożar, w pozostałościach spopielenych musiałaś pani odszukać nieco złota. Z tą otuchą oddalam się, moja bardzo skromna małżonko i pani; sumienie moje nie czyni mi wyrzutów. Pozostają pani przyjaciele, wspomniane zgliszcza i jako szczyt szczęścia wolność, którą spieszę pani niniejszym zwrócić. Nadeszła nareszcie chwila, by oświadczyć pani, że usiłowania podjęte dla dobra domu i mienia naszej córki, nakazywały mi nie widzieć wielu rzeczy. Gdy jednak zrobiłaś pani z domu mego ruinę, nie chcę dłużej służyć drugim za materiał do robienia majątku. Wziąłem panią bogatą, lecz niezbyt honorową. Wybacz pani, że z taką otwartością przemawiam. Pomnażałem nasz majątek przez piętnaście lat, aż do czasu katastrof wynikłych nie z mojej przyczyny. Pani, pani baronowo, pracowałaś nad powiększeniem swego majątku i jestem przekonany, że się to pani udało. Opuszczam więc panią taką, jaką wziąłem; bogatą, lecz niezbyt poszanowania godną. Żegnam panią, od dziś będę na swój rachunek pracował. Proszę być przekonaną, że przykład dany mi przez panią naśladować potrafię.

Pani najuniżeńszy małżonek

baron Danglars”.

W czasie odczytywania tego listu baron po kilkakroć rozglądał się po pokoju, byle uniknąć przeszywającego wzroku baronowej. Baronowa ani na chwilę nie spuściła z oka nieszczęśliwego małżonka, który teraz począł pojmować, jak lichą figurą był w jej oczach. Niepokój i osłupienie barona były karmą zemsty baronowej.

— Panie baronie! — zawołała z głośnym śmiechem — jakże być może, byś mi pan towarzyszył, kiedy wedle orzeczenia pańskiego nie godną jestem szacunku?

— Baronowo — odparł baron z uśmiechem pełnym fałszu na odstających, grubych, zbladłych ustach — wierz mi pani, ten list był owocem okropnej chwili, czułem się zgubiony, a pani, jak to miałem zaszczyt powiedzieć, przez swoje zasługi stoisz wyżej nad wszystkimi innymi kobietami, wszak to już mogłaś zrozumieć.

— Więc życzysz pan sobie przebaczenia? — zapytała.

— Ach, przyznaję, jest to moim najgłębszym pragnieniem! — zawołał baron omamiony cieniem nadziei.

— Mogę temu wierzyć?

— Ach czemuż nie!? Obraziłem panią, proszę o wybaczenie!

I baron uważał za stosowne ugiąć kolana, i łysą głowę nachylić aż do nóg baronowej.

Teraz poczuła się baronowa u szczytu przewagi i triumfu nad mężem. Odsunęła się gwałtownie o kilka kroków, roześmiała szyderczo, aż ciarki przeszły jej nieszczęśliwego męża.

— Lichy i nikczemny człowiecze! Widzę nareszcie twoją głowę u moich nóg i usta nieczyste żebrzące przebaczenia! Przebaczenia nie doznasz, bo i ja nie jestem bez winy! Powstań pan, mój panie! Raz na zawsze straciłeś majątek, widzę, że i talarka nie masz; a żebrzesz przebaczenia i pojednania w nadziei posiadania funduszów pozostawionych mi w Paryżu. Niestety, jestem uboga, mój panie, i widzę przed sobą kompletną ruinę! Idź pan, panie Danglars!

Jakkolwiek by było, nigdy nie żyłaby z panem kobieta, która panu tylko hańbę przyniosła! Nie czynię panu z tego powodu wyrzutu, lecz gardzę panem z przyczyny dzisiejszego postępu, ten mi pokazał, że pan nie posiadasz najmniejszego poczucia honoru i prawości!

Baronowa zamilkła i roześmiała się kurczowym, szalonym śmiechem.

Baron był kompletnie przybity.

— Bóg czy człowiek zaprzysiągł zagładę twego domu i kamień na kamieniu nie pozostał! — poczęła znów mówić baronowa z wzrokiem rozognionym i nieruchomo wyteżonym, jakby oszalałym — Bóg czy człowiek spowodował moją hańbę i moją nędzę! Oddal się panie Danglars, gdyż nasze tchnienia zatruwają się nawzajem!

Baronowa skryła twarz w dłonie i pochyliła głowę. Jej policzki paliła gorączka, w jej umyśle powstał szalony chaos. Minęła długa chwila nim podniosła głowę, rozglądała się długo; barona nie było. Z wolna wstała, poszła do biurka, otworzyła i przeliczyła machinalnie grosz pozostawiony przez Benedykta.

XVII

Rzymski bandyta i paryski oszust

Po rabunku Benedykta pani Danglars musiała rozpocząć inne życie. Sześćdziesiąt tysięcy franków w krótkim czasie mogły się wyczerpać; postanowiła więc złożyć skromny datek w jednym z klasztorów i tym sposobem znaleźć tam przytułek, i opamiętanie. Rychło znalazła się w zaciszu klasztornym, gdzie w samotności i w spokoju rozpamiętywała swoją przeszłość przepełnioną złymi i zarazem smutnymi sprawami. Tu wylewała łzy nad ofiarą minionej, występnej miłości, nad płodem jej grzesznego stosunku z Villefortem; nad tym dzieckiem zbrodni i zepsucia, któremu niebo zdawało się odmawiać

błogosławieństwa. Przyszłość tego młodego człowieka przerażała ją i przeczuwając może koniec jego okropnej egzystencji, niespokojnej i zbrodniczej, pytała siebie i Boga, czy ona, baronowa Danglars z rodu Serviers, nie znajdzie się czasem u stóp szafotu dla podniesienia głowy nieszczęśliwca wydanego przez nią na świat. Całą duszą zwróciła się więc ku Bogu, w którym widziała teraz jedyną nadzieję.

Baronowi Danglars nie udało się mimo wszelkich poszukiwań i trudów spotkać Benedykta.

Nie widział już innego sposobu, jak na nowo starać się o liche miejsce portiera w teatrze Argentino, gdzie spodziewał się z czasem pozyskać wspaniałomyślność Eugonii d'Armilly.

Benedykt znalazłszy się w posiadaniu znacznego majątku, nie zaprzestał zbrodniczego rzemiosła; przeciwnie, gdy dowiedział się, że rząd Jego Świątobliwości wyznaczył za głowę znanego bandyty rzymskiego Luigiego Vampy wysoką nagrodę, zaś za nim najmniejszych poszukiwań z urzędu nie czyniono, postanowił to wykorzystać i polecił Pepinowi, by zamówiony okręt czekał jeszcze kilka dni w przystani.

Nastąpiło spotkanie z Vampą, który podobnie jak Pepino widział w osobie Benedykta sekretarza hrabiego Monte-Christo.

Powoli starał się Benedykt ugruntować we wrażliwych i przesądnych umysłach bandytów wiarę w siłę i cudowność relikwii hrabiego Monte-Christo.

Benedykt zwierzył się nawet Vampie ze swojego postanowienia, by wyzwolić się z zależności od hrabiego, skoro posiadał od niego sztukę posługiwania się martwą ręką.

Vampą począł przemyśliwać nad korzyściami. Jak wszystkie dzikie natury, tak i Vampa był żądny bogactw; skarby hrabiego Monte-Christo wzbudzały w nim zazdrość, tę drażnić i podniecać uważał Benedykt za bardzo rozsądne. Rychło też poczęło się tworzyć między bandytami sprzysiężenie, by zdobyć skarby hrabiego.

Pierwszym jednak zamiarem Benedykta było zdobycie skarbów nagromadzonych u Vampy i uzyskanie nagrody za wydanie go władzom.

— Tak, tak — mówił do Vampy i Pepina — siła hrabiego spoczywa w moich rękach. Powinienem opuścić Rzym w celu oddania hrabiemu skradzionej mu drogocennej szkatuły; gdybyście mi jednak pomogli, zostanę w Rzymie i pracować będę na naszą wspólną korzyść.

Vampa i Pepino przyjęli wreszcie wniosek Benedykta, który z ich odpowiedzi poznał, że hrabia Monte-Christo znajduje się na wschodzie.

Tymczasem starał się wydać sprawiedliwości szajkę bandytów licząc na sowitą nagrodę. Spostrzegł ze zdumieniem, że Luigi Vampa wcale nie ukrywał się przed władzami i tym samym musi być w stosunkach z agentami policyjnymi, i z częścią ludności rzymskiej

Benedykt śledził wszelkie kroki Vampy, a gdy z nim trzy czy cztery wieczory spędził w teatrze Argentino, odkrył, że Vampa bardzo wrażliwy jest na powaby Eugonii d'Armilly. Za podniętą Benedykta coraz mocniej zwiększała się namiętność bandyty. Gorączka paliła go, dzięki i namiętne uczucie wzrosło wreszcie tak dalece, że postanowił, chociażby tylko na chwilę, posiadać kobietę, która go z desek teatralnych oczarowała. Benedykt śledząc go odgadł zbrodnicze zamiary.

Niedługo potem Benedykt spotkał się z Vampą w mało uczęszczanej gospodzie. Gdy usiedli za stołem, Benedykt zdawał się zamyślony aż wreszcie, po chwili, rozpoczął rozmowę.

— Wyobraź sobie, Mestre, miałem tu szczególne spotkanie. Poznałem w Rzymie Francuzkę, która okradła w Paryżu swego narzeczonego księcia Cavalcanti i uciekła ze swoim ojcem.

— Cóż to mnie może interesować? — zapytał Luigi Vampa.

— Rzecz jest o tyle ważna, że księżę Cavalcanti był nadzwyczaj bogaty i żył najpoufalej z hrabią Monte-Christo.

— I cóż dalej? Cóż mnie to może obchodzić, że księżę był niezmiernie

bogaty i żył dobrze z hrabią Monte-Christo?

— Chwileczkę, Mestre, wytłumaczę ci — powiedział Benedykt znacząco. — Primo, ponieważ książę był bardzo bogaty, więc zdobycz musiała być znaczna! Secundo, ponieważ hrabia nadzwyczaj księcia cenił, oznajmił mi nazwisko tej kobiety z poleceniem schwytania jej, gdziekolwiek bym ją znalazł. Więc oświadczam panu, że kobieta ta znajduje się ze swoim ojcem w Rzymie, a zamiast udać się do trybunału sprawiedliwości proponuję panu mały interes.

— Jak się nazywa ta kobieta? — zapytał Vampa widocznie zciekawiony.

— Imię jej — odpowiedział obojętnie Benedykt — nie należy do zwykłych plebejuszowskich i wcale nie jest nieznane. Jest z rodu Serviers po matce, a po ojcu Danglars, któremuś pan wedle instrukcji hrabiego Monte-Christo zabrał owe sześć milionów. Nazywa się Eugenia Danglars i jest obecnie w Rzymie znana pod imieniem Eugenii d'Armilly.

Przy tych słowach zachnął się Luigi Vampa, co niezgrabnie chciał późniejszym spokojem pokryć.

Benedykt udał, że tego nie zauważył i ciągnął dalej z całym spokojem.

— Ta młoda osoba jest niewątpliwie ową piękną śpiewaczką z Argentino; owa Circe oszołamiająca i oszukująca swoim gołębiem gruchaniem całą ludność rzymską. I cóż pan o tym sądzisz?

— A w czymże oszukuje, jeśli wolno spytać? — odezwał się Vampa z widoczną niechęcią.

— Ależ w niczym — odparł Benedykt. — Chciałem tylko zaznaczyć, że jak na nią patrzysz, ani pomyślisz, że sprytnie i zgrabnie dokonała zbrodni.

Vampa przez chwilę milczał.

— A jej ojciec, czymże on jest a raczej cóż porabia w Rzymie? — zapytał Vampa.

— O, ojciec jej to kuty i przebiegły towarzysz, zdolny do wszystkiego. Spotkałem go niedawno na spacerze w cytadeli Aquapendente, posiada tam dom z ogrodem.

— Żyje w zażyłości ze swoją córką?

— Cóż to może pana interesować, Mestre? — zapytał Benedykt.

— A to ciekawa rzecz — odparł bandyta siląc się na uśmiech. — zachciewa się panu proponować mi interes i dziwisz się teraz, gdy się domagam szczegółów.

— Przyjmujesz więc pan sprawę?

— Najpierw mi ją wyjaśnij, a potem zobaczymy.

— Potrzebujesz pan objaśnień? Niech będzie. Dwu sprzymierzeńców musi mieć do siebie zaufanie. Wiem, że możesz mnie pan zgubić, gdyby ci przyszła ochota hrabiemu, memu panu, donieść o niekoniecznie wiernej służbie mojej w Rzymie. Zarazem wiem, że mógłbym się pana czepić i w głos wołać: Ecce homo! Lecz mam przekonanie, że pan nie zdradzisz i tak samo ja ani marzę o czymś podobnym. Przeciwnie. Panna Eugenia d'Armilly, skoro narzeczonego, księcia Cavalcanti okradła, musi posiadać w swoim ręku spory kapitał; w tym wypadku robi się na pannę Eugenię napad, więzi ją i dopiero za okupem uwalnia. Potem się policzymy, kapitanie.

— Oh, Eugenio d'Armilly! — zawołał niebacznie Vampa uderzając pięścią o stół.

— No i cóż? — spytał Benedykt.

— Zgoda! — zawołał bandyta podając rękę — Jutro o tej godzinie w Koloseum.

— W Koloseum! — powtórzył Benedykt ściskając dłoń Vampy.

— Przy czwartym słupie wewnętrznego portalu.

— Będę tam.

— Sam!

— Do jutra, Mestre!

Benedykt i Vampa domawiając tych słów wyszli już z gospody; jeszcze raz podali sobie dłonie i rozeszli się w przeciwne strony.

— O — mruczał Vampa spoglądając za uchodzącym Benedyktem. —

Zdradziłeś tego, komu służysz, tak samo zdradziłbyś i mnie dla korzyści; dlatego odbierzesz nagrodę zdrajców, ale najpierw wysłuchasz się mi za podnózek.

Ta groźba przeraziłaby Benedykta, gdyby zauważył stanowczy ruch jej towarzyszący.

XVIII

Wieniec

Niezależna wyobraźnia prawdziwie natchnionego geniuszu artysty odsuwa przesady arystokratycznych klas.

Tak też między Eugenią Danglars i jej matką nastąpił zupełny rozdział.

Eugenia nie знаła nigdy tego zupełnego oddania się w rzeczach najdrobniejszych każdego dnia, każdej chwili, uwagi i troski, jakimi obdarza kochająca matka. Dla Eugenii wyraz „matka” oznaczał od najwcześniejszych lat tylko istotę, która dała jej życie. Nie mogła więc znać miłego uczucia związku krwi i nie mogła ta siła płynąca z niebios zaprowadzić ją w objęcia kobiety, którą w głębi swej duszy zbyt nisko ceniła.

Eugenia, odwróciła się od przeszłości, w której pomroce zatraciły się dwie postacie dające jej życie, a zwróciła się całą duszą do swej przyjaciółki, która ją kształciła i zastępowała jej macierzyńską opiekę; patrzyła swobodnie i z zachwytem w przyszłość, na portyku której jej młodociana fantazja widziała czarodziejski napis, płonące olbrzymie głoski: Sztuka i chwała.

W osiem dni po wiadomej rozmowie Vampy z Benedyktem, można jednak było zauważyć w usposobieniu Eugenii d'Armilly jakieś nienaturalne zamyślenie, a na jej szlachetnym czole zaledwie dostrzegalny cień smutku. Straciła jasność umysłu, stała się małomówna i wbrew swojemu zwyczajowi unikała towarzystwa. W chwilach takich po licu Eugenii płynęły łzy, które

Ludwika daremnie starała się osuszyć.

Pewnego wieczoru Eugenia skryła się w swym pokoju, chciała być sama. Rozmarzona i posmutniała usiadła przy oknie i patrzyła bezmyślnie na ostatnie odblaski zachodzącego słońca. Od czasu do czasu poruszała się jej pierś przytłumionym westchnieniem, a na długich i bujnych rzęsach jej pięknych oczu zawisły łzy niby rosa na kwiatach. Ludwika weszła niepostrzeżenie. Zbliżyła się do Eugonii, oparła się z lekka na jej ramieniu, pocałowała w czoło i szeptała:

— Moje serce!

— Ludwiko! — odpowiadała drżąco Eugenia wśród łez.

— Oddychasz w tym czarownym powietrzu Italii słodką trucizną Corinny czy Tassa, nieprawdaż droga przyjaciółko? — powiedziała Ludwika.

— Ach, czyż mogę mieć tajemnicę przed tobą Ludwiko? Kiedy się przekonuję, że uczucie moje nie jest tylko igraszką wyobraźni.

— Bolejesz, gdyż uczucie nie jest tylko igraszką fantazji, lecz prześciga siłę woli, rozpościerając posępną i ciemną chmurę na odważnym i pewnym czole.

— Mówisz prawdę Ludwiko! Tak jest, uczucie tak mną owładnęło, że pokonało mnie. Przypominasz sobie z jaką ironią patrzyłyśmy na zakochane oczy na nas zwrócone, z jakimż szalonym śmiechem przysłuchiwaliśmy się westchnieniom i wyznaniom; a teraz widzę, że jestem jak wszystkie kobiety, zaczynam cierpieć, bo kocham. Nie miałam tyle mocy, by ci wyznać moje uczucie; tyś je odgadła, więc teraz wysłuchaj mnie.

Eugenia milczała chwilę, jakby starała się myśli zebrać i uporządkować — wreszcie zaczęła:

— Poleciałś mi, gdy jestem na scenie, nie zwracać oczu na jedną osobę, lecz mieć je zawsze ponad orkiestrą i parterem w ciągłym ruchu. Przestrzegałam tej rady. Przedemną znajdowało się liczne audytorium i widziałam je niewyraźnie, jak widzimy ciemny obłok przeciągający u naszych nóg, gdy stoimy u szczytu stromej skały. Jednego wieczoru zobaczyłam mężczyznę, który wznosił się ponad tą ruchliwą i żywą masę; na jego czole odbijały się rozum i piękność;

oczy ciskały ogień, który mnie pochłaniał, doprowadzał do szaleństwa. Gdy nastąpiły nawoływania i klaskania, mężczyzna ten pozostał nieruchomy; lecz jego wzrok zdawał się więcej mówić, niż wszystkie wywołujące mnie uśmiechnięte usta! Ludwiko, kim on jest, mój Boże? Kto to? Jest mężczyzną, którego kocham; jest mężczyzną, który mnie napawa głębokim uczuciem.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, Eugenia skryła twarz w dłonie i szlochała. Ludwika patrzyła na swoją przyjaciółkę stroskanym wzrokiem i jej wargi poruszały się z cicha, jak gdyby szeptały słowa:

— Nieszczęsna?

Wreszcie zapytała:

— I ty nie znasz tego mężczyzny moja Eugenio?

— Wszak ci już mówiłam, nie znam go. Wiem tylko, że jest panem moich myśli od pierwszej chwili. Ach Ludwiko, moja dobra Ludwiko, gardziłam słowem wymyślonym przez mężczyzn na określenie ich błazeństw, to słowo „miłość” będące nieustanną błyskotką na ustach wszystkich modnisiów i modniś; a teraz słowo to dzierzę nie tylko na ustach, lecz i w sercu! Widzę, iż jestem tak zwykłą istotą, jak każda inna dziewczyna w moim wieku!

— Mylisz się, Eugenio, zwykła dziewczyna nie mogłaby tak kochać jak ty! Głęboka namiętność powstała w twej duszy pod żarem oczu mężczyzny, dodaje ci więcej poezji i uroku, bo cię unosi ponad twoją istotę. Pamiętaj jednak, że samo danie do poznania mężczyźnie wpływu jaki wywiera na umysł kobiety, nim ta jego charakter do gruntu zbadać jest w stanie, może być źródłem wielkich nieszczęść.

— Oh, on nigdy nie dowie się o sile mego uczucia i mocy jaką ma nademną! — zawołała Eugenia pełna dumy.

— Może! — wyszeptała Ludwika.

W tej chwili Aspazja zameldowała, że powóz nadjechał, by odwieźć panie do teatru.

Skoro weszły na scenę Eugenia postąpiła ku kurtynie, stała tak kilka minut i

zdawała się przewycięzać ciekawość, by nie spojrzeć przez otwór na salę; ciekawość zwyciężyła. Ludwika podeszła do kurtyny.

— On jest tu — szeptała młoda i piękna artystka — on jest tu! Zawsze górując nad parterem, stoi gotów do zwrócenia swego namiętnego spojrzenia na mnie. Patrz! Powiedz mi, nie jest to szaleństwem — zwróciwszy się nieco do Ludwiki szeptała dalej — dać się zawojować spojrzeniom mężczyzny, nie usłyszawszy nawet tonu jego głosu? Ach, patrz, czyż nie jest rzeczywiście piękny? Jego śniada twarz i hebanowa broda wyrażają siłę! Jego wielkie oczy pełne ognia mówią o sile ducha, o szlachetności i niezależności charakteru!

Ludwika chciała coś odpowiedzieć, lecz reżyser dał sygnał „scenę uprzątnąć” i nie pozwolił jej nawet zobaczyć mężczyzny odmalowanego z takim zachwytem przez Eugenię.

Przedstawiano po raz ostatni „Semiramis”. Teatr był przepełniony do ostatnich miejsc. Tak zwani *diletanti* nie chcieli utracić ostatniego uroczego wieczoru, w którym obie d'Armilly wywoływały z zamierzchłych wieków pełne życia i uczucia postacie Arsacesa i Semiramidy.

Eugenia śpiewała tego wieczoru jeszcze lepiej; lecz jej wzrok, zwykle obojętnie przesuwający się ponad parterem, zdawał się na kimś spoczywać, dając do poznania, że ten ktoś jest wybrańcem jej namiętnej duszy.

Gdy przedstawienie się kończyło, przeleciał ponad głowami widzów przepyszny wieniec i upadł u nóg Eugonii, która go podniosła i, jak to w zwyczaju bywa, do ust przycisnęła.

Kurtyna zapadła podczas szalonego aplauzu.

Wieniec otrzymany przez Eugenię, na którym nie było imienia Ludwiki, był stokroć bogatszy od dotychczas ofiarowanych.

— Naprawdę — mówiła Ludwika bez śladu jakiegokolwiek zawiści — tylko jakiś książę mógł ofiarować ci prezent, w którym błyszczą tyle złota i drogich kamieni.

— Może to podarek jakiegoś stowarzyszenia, zwykle tworzącego się w tym

celu. — wyszeptała Eugenia, chociaż daleka była od tego przypuszczenia; zaledwie bowiem znalazła się sama całowała z zapalem wstążki i kwiaty, poszukując drżącymi dłońmi jakiegoś znaku.

Nie omyliła się — mały, starannie złożony zwitek papieru ukazał się oczom Eugonii między kwiatami; oderwała go szybko:

Treść bileciku była taka:

„Pani! Pierwszy raz, gdym panią zobaczył, czułem czar twoich oczu i geniuszu. Zdawało mi się, że wrażenie, którego doznałem, było takie samo jakie pani wywarłaś na innych widzach i dlatego starałem się go unikać i zapomnieć. Moje starania były daremne. Obraz pani prześladował mnie nieustannie.

Obecnie nie ma ani jednej chwili, w której bym o pani nie myślał. Ważę się więc wyznać swą miłość.

Pani! W ciemni i w ciszy żyje człowiek kochający panią z głębi duszy, ubóstwiający panią, który w zamian za jedno słowo pani przyjąłby wieczność męczarni!”

XIX

Ojciec i córka

Następnego dnia obu pannom d'Armilly zapowiedziano wizytę barona Danglars. Eugenia poczuła się dziwnie przygnębiona, dostrzegłszy jednak niepokój Ludwiki rzekła:

— Uspokój się moja droga: znam pana Danglars i mogę cię zapewnić, że odwiedziny mego ojca daleko przyjemniejszymi będą od odwiedzin mojej matki. Zobaczysz!

Dała znak Aspazji i ta niebawem wprowadziła barona.

Danglars był wystrojony z wyszukaną elegancją wskazującą na wyśmienite

powodzenie. Swoboda malowała się na prostackiej i szorstkiej fizjonomii-
okazującej w najwyższym stopniu żądze chciwej i brudnej duszy.

— Moja córko! — zawołał — Byłoby zbytecznym pytać cię o powodzenie,
bo zdrowie i szczęście odbijają się na twojej twarzy.

Przy tych słowach Eugenia rzuciła porozumiewawcze spojrzenie na swoją
przyjaciółkę.

— Gdybym nawet miała cierpieć, mój ojciec — odrzekła Eugenia całując
rękę ojcowską — na mojej twarzy może się tylko malować radość spotkania z
tobą. Nadto przyjemność z ciągłego towarzystwa mojej drogiej Ludwicy i
studiowania sztuki, której poświęciłyśmy się, dodaje blasku zdrowia.

— Pozwól pani złożyć wyrazy uznania, panno d'Armilly i powinszować
szczęścia. Podziwiam poświęcenie i tego ducha, jakim zdołałaś natchnąć swoją
uczennicę! — mówił baron dalej, pochylając się przed Ludwiką.

— Ależ usiądź ojciec — powiedziała Eugenia wskazując fotel i siadając obok
Ludwicy.

Nastąpiła chwila milczenia, którą baron Danglars spożytkował na
przyglądanie włosów i rozglądnięcie się.

— A więc, mój ojciec, długo już bawisz w Rzymie? — pytała Eugenia z
nadmierzającym zaciekawieniem.

— No tak, jestem tu już od dłuższego czasu. Żyję jednak w zupełnym
zaczyniu, to jest, z dala od Rzymu. Na szczęście widziałem wczoraj ze
zdumieniem i zadowoleniem piękną Semiramis.

— Przepraszam ojca, wszak niezawodnie słyszałeś i widziałeś wczoraj także
moją przyjaciółkę Ludwikę.

— Ach, bez wątplenia, lecz jestem ojcem Eugenio i w moim sercu nie było
już miejsca na uczucie ku tobie niezwrócone, acz zaraz w pierwszym momencie
poznałem zasługę i niezaprzeczalny talent panny d'Armilly.

Ludwika skłoniła się, a baron począł mówić dalej:

— Wyobraź więc sobie Eugenio moje uczucia, gdy słyszałem głosy

zachwytu dla talentu i wyraz podziwu, jakie ci najlepsze towarzystwo Rzymu okazywało! To napawa dumą.

— Jak się ma moja matka? - spytała oziębłe Eugenia.

— Baronowa? — odparł baron zakaszlawszy — Baronowa... podróżuje.

— I nie chciałeś jej ojciec towarzyszyć? — zapytała Eugenia.

— Szanuję przede wszystkim spokój i swobodę, moja droga córko! — odparł baron — Jestem znużony i przywiązuję zbyt mało wagi do rozrywki, jaką nam podróże sprawiają obok tysięcznych przykrości i większych czy mniejszych złudzeń! O, w podróżach jestem bardzo cierpiący.

— Powiedziałeś mi, że żyjesz z dala do Rzymu!

— To prawda. Żyję w pobliżu małego miasta Aquapendente, gdzie posiadam mały domek, który ci zaraz dziś oddaję do dyspozycji.

— Po stokroć ci dziękuję mój ojciec; niestety twojej łaskawej ofiary nie mogę spożytkować, bo nieustanna praca, do której nakłaniają Ludwikę i mnie nasze zobowiązania, przeszkadza temu.

— Spodziewam się jednak, że sprawisz mi uciechę odwiedzinami, chociaż najkrótszymi!

— Więc pragniesz moich odwiedzin szczerze?

— Czy pragnę — zawołał baron. — Przywiązuję do tego największą wagę i oczekuję z największą niecierpliwością. Wiesz, jaką mi radość sprawiasz, więc nie omieszkasz wraz z twoją miłą, nauczycielką przybyć, by obejrzeć małą posiadłość, która od tej chwili jest tak samo twoja, jak i moja Eugenio.

— Jesteś naprawdę uprzejmy ojciec!

— Zapewniam cię, że już nie znajdziesz u mnie owych olbrzymich foliów zapisanych szeregami liczb, które cię przerażały niegdyś w mojej pracowni w Paryżu. Zupełnie usunąłem się od handlu,

— Życzę ojcu powodzenia w tej mierze — powiedziała Eugenia — liczby nienawidzą się z poezją.

— Zdaje mi się jednak, że liczeniu poświęćcie się panie czasem, np. gdy

odbieracie gażę, która nie może być mała.

— Na miłość Boską, mój ojczy, nie mówmy o tym! — zawołała Eugenia — Wierzę w rzetelność panów dyrektorów; zresztą czyż dziesięć lub dwanaście plastrów więcej lub mniej robi różnicę?

Baron zmarszczył czoło i rzekł:

— Ten błąd w rachunku dziesięć razy powtórzony czyni sto plastrów: a dziesięć razy znowu, dwieście i w końcu, gdy się tak dalej pomnoży...

— Na tym mało nam zależy — przerwała Eugenia z najzimniejszą krwią.

— Wyśmienicie, moja córko. Teraz, skorom cię uściskał, pozostaje mi tylko jeszcze wskazać ci moje mieszkanie; nie wątpię ani przez chwilę o przyjemności, jaką mi sprawi, gdy cię u siebie będę mógł ponownie uściskać niebawem.

Przy tych słowach wyjął baron elegancki bilet z pularesu i oddał Eugonii.

— Spodziewam się, panno Ludwiko d'Armilly — mówił dalej z wymuszonym uśmiechem — pani nie będziesz miała nic przeciw towarzyszeniu swojej uczennicy.

— O, my się nigdy nie rozłączymy, panie baronie — odparła Ludwika.

— Wyśmienicie!

Baron pożegnał się z Eugenią, skłonił przed Ludwiką i oddalił nadzwyczaj zadowolony z pozyskania, względów córki.

— A więc moja droga — powiedziała Eugenia do Ludwicy po odejściu barona — prawda jaki mój ojciec uprzejmy?

— Nie pojmuję tej zmiany — powiedziała Ludwika. — W Paryżu był skąpszy w słowach i nigdy nie miał na ustach wyrazów czułości.

— O, w Paryżu był w swojej roli.

— Jakim sposobem?

— Był bankierem.

— I...?

— Bankier nie ma ani córki, ani żony, ani przyjaciół; ma tylko liczby.

Od interesów usunięty bankier

Musimy teraz wyjaśnić w jaki sposób baron Danglars, nie mając grosza, stał się właścicielem małej willi w pobliżu cytadeli Aquapendente.

Gdy opuścił dom córki, udał się na Plac Hiszpański, potem na Via Frattina i idąc pomiędzy pałacami Fiano i Rospoli, doszedł do placu del Popolo, gdzie kogoś szukał.

Po chwili zobaczył człowieka, który obojętnie spieszył w kierunku miejsca, na którym zwykle wykonywano wyroki na skazańcach.

Był to Benedykt.

Baron podszedł ku niemu.

— Do licha, panie baronie — powiedział Benedykt — rychło odprawiłeś odwiedzin u panny Eugonii. Sądziłem, że więcej czasu będziesz potrzebował by uściskać córkę, której nie widziałeś od kilku lat. Spodziewam się jednak, żeś pan obowiązkowi dobrego ojca zadość uczynił.

— Widziałem, uściskałem, mówiłem. — odparł baron, — Zdaje mi się, że to wszystko, czego miałem dokonać.

— Ofiarowałeś jej przynajmniej swój nowy dom?

— Mogło być inaczej?

— Spodziewam się: nie przyjęła.

— Przeciwnie.

— A, to wiesz panu szczęścia, mój panie; gdyż byłoby istotnie smutne, jeśliby między córką a ojcem nie było pełniejszej harmonii! Zatem, panie baronie, powóz czeka na nas i zależy mi na wprowadzeniu pana na nowe stanowisko, by się zadość stało zamiarom pańskiej małżonki.

— Jesteś zbyt łaskaw panie— powiedział baron idąc obok Benedykta. — Umiem docenić pańskie zasługi, tylko masz pan ten mały feler, że nie jesteś

jasny w swych słowach. Zbyt tajemniczy jesteś czasem, mój kochany panie Andrea Cavalcanti.

— Im bardziej szczęście ci sprzyja, tym bardziej jesteś niezadowolony — odparł Benedykt. — Byłeś pan ubogi, żyłeś z małej pensyjki jako portier teatru; Spotykasz się pan z żoną i swojej sprawy nie potrafisz godnie załatwić.

— Mój panie, ręczę panu, żem. działał jak mogłem najlepiej! — zawołał baron przerywając mu. — Lecz baronowa była jak proch, który, gdy ogień zbliżymy; gotów wybuchnąć.

— Być może — powiedział Benedykt. — Wszakże przed ośmiu dniami odnalazłem pana, oświadczyłem zamiary pani. Danglars i wytłumaczyłem możliwość zdobycia niezależności. I jeszcze pan nie pojmujesz mojej roli! Zaprawdę trzeba mieć, panie baronie, bardzo tępą głowę!

W ciągu tej rozmowy doszli do małego powoziku stojącego przy rogu ulicy u granic miasta. Benedykt dał znak woźnicy, otworzył drzwi, zaprosił towarzysza; a gdy baron usadowił się przy nim z kwaśną miną, powóz ruszył szybko uwożąc obu poza mury Rzymu.

W ciągu podróży trwającej około godziny nie zamienili ze sobą ani słowa. Gdy minęli cytadelę Aquapendente, skręcili w lewo, w dolinę.

Powóz zwolnił. Baron wyglądając oknem, spostrzegł w pobliżu niewielki budynek, po części zniszczony, otoczony dookoła ogrodem zarosłym mchem i zielskiem.

W kilka chwil powóz zatrzymał się przed żelazną bramą, Benedykt i baron wysiedli.

Przy bramie stały dwie statuy kamienne pokryte mchem. Baron począł wywodzić jak należy je z mchu oczyszczać, by ich nie uszkodzić, gdyż niezawodnie muszą być dłuta znakomitego.

Benedykt przerwał mu:

— Wejdz pan, panie baronie i swoje spostrzeżenia pozostaw na inną okazję. Ta własność od dłuższego czasu nie jest zamieszkała.

Przeszli przez zaniedbane aleje i doszli do kamiennych schodów, które prowadziły do balkonu. Tu zatrzymał się baron i objął okiem ogród. Pomiędzy bukszpanem, przy ulicy i grzędach kwiatowych -sterczały statuy marmurowe rozmaitej wielkości. Staw wypełniony bagnistą wodą i zanieczyszczony mieścił w sobie tysiące żab. Wszystko było tu opuszczone i zaniedbane.

Benedykt otworzył drzwi przedsionka i pokazał baronowi salę o ścianach przedstawiających sceny mitologiczne: męczarnie Prometeusza, uprowadzenie Europy, wybór Parysa i *tuti quanti*.

Meble były tu starożytne, pokryte grubą warstwą pyłu i pajęczyną osnute. Przy oknach wisiały aksamitne festony spłowiałe od słońca; kominiek już od dawna nie był w użyciu, a zardzewiałe szczypce do ognia, porzucone na środku sali, świadczyły o spieszonym opuszczeniu tego miejsca przez ostatnią osobę jaka się tu znajdować mogła.

Wszystko to razem nie dawało obrazu zbyt uspokajającego.

Gdy baron wszystko ogarnął, zbliżył się do Benedykta z wyrazem zatrwożenia i przerwał mu rozmyślanie nad obrazem zawieszonym na ścianie.

— Tu — mówił Benedykt nie zważając na barona — tu przedstawiony jest sąd sądzący czyny nie wedle ludzi, lecz ludzi wedle czynów! Tu nie było szczęścia ni pieniędzy! Tu było tylko prawo, które światem rządzi i obdziela koroną głowę sprawiedliwego, a spuszcza miecz na głowę zbrodniarza. Wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Ha — mówił dalej — taki trybunał mógł tylko w bajce istnieć, i ludzie wskazali mu tam przynależne miejsce, uznawszy jak niedoskonałymi i niesprawiedliwymi są sami.

— Signor Andrea — zawołał zdziwiony baron Danglars — zdaje mi się, że oddałeś się pan cudackiemu dociekaniu moralności!

— Studiuję po trochę wszystkiego, panie baronie; moja droga na tym świecie jest bardzo uciążliwa, a muszę w mojej pielgrzymce dążyć do celu dla mnie właściwego. Lecz porzućmy wszelkie spostrzeżenia i przystąpmy do tego,

co pana interesuje. Ten dom należy od dzisiaj do pana; wręczam panu tytuły posiadania.

Benedykt oddał kilka dokumentów, które Danglars uchwycił i łączywie czytał, przy czym robił najpocieszniesze miny zadowolenia.

Bankier w Paryżu, portier teatru w Rzymie obecnie był posiadaczem w Aquapendente i rentierem.

Szczęście stanowczo przychyliło się znowu ku niemu.

A jednak w osobie i fizjonomii Benedykta było coś, co mu się nie podobało; prawdą jest, że nie ma szczęścia zupełnie pogodnego.

XXI

Droga Appijska

Benedykt obmyślił szatański koncept dla barona Danglars i przedstawił jako wolę baronowej.

Pod wpływem tajemniczej niechęci do świata postanowiła baronowa zupełnie usunąć się z widowni. Gdy jednak zauważyła, że jej mąż jest nadzwyczaj ubogi, chciała mu pewną niezależność zapewnić i dlatego upoważniła Benedykta do oddania byłemu mężowi w posiadanie willę, dołączając do tej posiadłości pewien kapitał, który w ręku pana Danglars mógł dać dochody i dostateczne utrzymanie. Wprawdzie było dla obdarowanego tajemnicą, jaką drogą doszedł Benedykt do stosunków z baronową, ale skoro jego położenie poprawiło się, nie tykał już tego przedmiotu i ograniczył się tylko do kilku pytań o swe nowe stanowisko.

Benedykt zbywał go jak mógł. Wszystko cieszyło barona, jednego nie mógł pojąć; wyboru domu tak daleko od Rzymu! Mimo to oddał się niezwłocznie nowym pomysłom. Nie minął tydzień, a już mała posiadłość nabrała cech porządku i pewnego dostatku. Ogród był oczyszczony; meble wytrzepane; na

kominku błyskał ogień, a dwu służących z pełnym uszanowaniem obsługiwało pana barona.

Benedykt kilka razy odwiedzał barona. W czasie jednej z takich, wizyt zastał pana Danglars zajętego przygotowaniami w domu.

— Ach panie Andrea, mam zapowiedziane odwiedziny pewnych, osób, nie wiem doprawdy, czy mogę pana prosić o łaskę towarzyszenia nam; nieszczęśliwe zdarzenie w Paryżu...

— W żaden sposób nie mogę jutrzejszym dniem rozporządzać — powiedział Benedykt — jednak dam panu radę o wiele skuteczniejszą niż moja obecność.

— A jaką?

— Przygotować jeden pokój i łóżko, aby móc przyjąć na jedną albo dwie noce pewną damę.

— Damę? — zawołał baron robiąc minę zdziwionego — Pewną damę? Ależ kochany gościu, co to ma znaczyć? Pan się mi przypatrujesz tak dziwnie! Kto jest tą damą?

— Pańska córka!

— Co też pan mówisz?

— Prawdę, panie baronie.

— Doprawdy, czy pan czarodziejem jesteś?

— Kto wie!

— To zapewne dzięki tej szczególnej relikwii, martwej ręce!

— Mój panie — zawołał Benedykt tonem, który zgasił wnet szyderczy uśmiech na ustach barona — gdybyś chociaż raz pojął, co ta martwa ręka oznacza, to zadrżałbyś pan przed myślą o strasznej i tajemniczej misji, którą ta ręka ma do spełnienia. Mój panie, sprawiedliwość nie może być czczą rzeczą oddaną na pośmiewisko człowieka! Sprawiedliwość me może być wyrazem bez znaczenia, bez względu na to, czy to się odnosi do sprawiedliwości wypływającej z niebios, czy dokonywanej tu na ziemi.

Przy tych słowach opuścił Benedykt szybko salon, dosiadł swego konia i

udał się pędem do miasta; zamiast jednak przez bramę wyjeżdżać, ruszył drogą *extra muros* i wstąpił na sławną *via Appia*, by zatrzymać się przy cyrku Caracalli.

Była już noc, księżyc zlewał swoje blade światło na olbrzymie, okrągłe wydrążenie u stóp Benedykta. Wrażliwy duch odtworzyłby sobie olbrzymią procesję białych duchów, które żalonymi głosami zdawały się napępiać powietrze, opowiadając okropne czyny, jakie imię tyrana na pamięć przywołuje.

Benedykt jednak nie zważał na te wizje i starał się w tej olbrzymiej przestrzeni rozpoznać kształty człowieka, z którym miał się spotkać.

W krótkim czasie zjawił się ktoś okryty ciemnym płaszczem; za nim postępowało dwu innych.

Benedykt podszedł kilka kroków ku nim, i rzekł:

— Pepino!

— Ekscelencjo! — odpowiedział Pepino.

— Instrukcje jakie ci udzieliłem?

— Wypełnione, signor!

— Opowiedz co robi Luigi Vampa?

— Popadł w tajemniczą namiętność, która opanowała go zupełnie; nie pokazywał się od ośmiu czy dziesięciu dni w katakumbach św. Sebastiana, gdzie założyliśmy główną kwaterę. Nasi towarzysze szemrają i wielu z nich umknęło. Pod nieobecność Vampy komenderowałem tą bandą; mam teraz zaledwie ośmiu ludzi pod rozkazami, a i ci są skłonni pójść za przykładem swoich towarzyszy, jeśli Luigi Vampa nie zjawi się rychło.

— Bardzo dobrze! — mruczał Benedykt — Możesz jednak na to nie uważać, by w nich obudzić niewiarę ku Luigi Vampie?

— Proszę wybaczyć Ekscelencjo, mówiłem im już o podziale; lecz kasa jest próżną, bo Vampa zabrał wszystko.

— To niech cię mało obchodzi, Pepino.

— To prawda. Ekscelencjo, wszak przyrzekłeś...

— Statek?

— Jest gotów do odpłynięcia.

— Ludzie?

— Są pewni i zdecydowani.

— Kapitan?

— Ach, Ekscelencjo — odpowiedział Pepino i westchnął — powiedziałeś pan, że statek powinien mieć tylko sternika.

— To prawda — odparł Benedykt. — Zatem masz wypełnić do joty, co ci teraz powiem.

Pepino skłonił głowę, a Benedykt mówił dalej:

— Pojutrze o piątej rano będziesz w porcie, na kotwicy stojący statek ma na mnie czekać do szóstej. Opuść katakumby, a twoi podwładni niech szukają zatrudnienia, które by mniej...

— O, Ekscelencjo — przerwał Pepino żywo — gdybyś pan ich znał, mógłbyś mieć z nich sporo pożytku. Oświadczam panu, że chwila zdobycia sobie ich przychylności jest teraz bardzo sprzyjająca.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytał Benedykt z wyrazem największego lekceważenia.

— Chcę powiedzieć, byś pan był tak dobry udać się ze mną do katakumb, gdzie na pana czekają; odważyłem się przyrzec im pańską pomoc i opiekę.

— To jest głupota! Moglibyśmy zostać zdradzeni!

— Widzisz pan, panie! — odparł Pepino wskazując na dwa cienie w oddali między pomnikami na via Appia — To są strażę, które nikogo nie wpuszczą, choćby to nawet był sam Vampa.

— I na cóż by mi się zdali twoi ludzie?

— Słuchaj pan. Jest ich ośmiu i wybrałem ich do obsługi statku. Czterech z nich było już na morzu i znają wszystkie szlaki, tak jak ja znam wszystkie drogi Italii. Z tymi ludźmi możesz się pan udać gdzie pan zechce; a gdybyś pan nas nie potrzebował to ruszylibyśmy na Morze Czarne, gdzie wyśmienite interesy

robić można.

— Widzę, żeś sprytny chłopak Pepino — odrzekł Benedykt po krótkim namyśle. — A więc idź naprzód; idę za tobą.

Przy tych słowach wyprzedził rzymski bandyta Benedykta, i zwrócił się na drogę wiodącą do otworu zrobionego w ziemi, przy którym stała straż.

Benedykt wszedł za bandytą zapadłymi schodami w dół.

Korytarz prowadził do obszernej sali. Tu na granitowym ołtarzu stała pochodnia, naprzeciwko znajdował się długi stół z czarnego marmuru, na którym niegdyś ustawiano trumny z ciałami pomarłych jak na katafalku; w tej chwili siedziało przy nim i piło kilku ludzi, których twarze w blasku jarzącej się pochodni świadczyły o życiu zbrodniczym i wyuzdanym.

Ludzie ci chórem śpiewali jakąś dziką pieśń, której koniec brzmiał:

— La vendetta!

Pepino zatrzymał się i odezwał się z cicha do Benedykta:

— Niech się wyśpiewają do końca; właśnie zaprzysięgają zemstę Vampie.

Po chwili Pepino wystąpił na środek sali, wyjął zza pasa pistolet i sztylet, i zawołał:

— Baczość przyjaciele! Jest tu wasz nowy naczelnik. Sporządźmy mu silne sklepienie na znak, że pośród nas jest bezpieczny.

Na te słowa ucichli bandyci i ustawili się w milczeniu w dwa przeciwne sobie rzędy, podnieśli ręce w pistolety i sztylety uzbrojone. Tak utworzyli szpaler, ku któremu Pepino poprowadził Benedykta. Benedykt przeszedł silnym krokiem pod sklepieniem. Ta zwykła ceremonia bandycka ukazywała nowemu naczelnikowi, że odtąd ramię i broń zgromadzonych służyć mu mają.

— Przyjaciele — powiedział Benedykt zwróciwszy się do bandytów — gdy mi się zawierzacie, to i ja wam zawierzam!

— Tak! Tak! Rozkazuj! Będziemy słuchać! — wołali bandyci.

— Luigi Vampa zdradził was i niebawem będziecie tu prześladowani przez zbirów sprawiedliwości. Trzeba opuścić to schronienie. Pepino otrzymał już

moje polecenie w tej mierze; słuchajcie go.

— Ha, a zemsta? — zawołali bandyci — My nie ustąpimy stąd, póki nie zemścimy się na Vampie.

— Uspokójcie się — odrzekł Benedykt.— Vampa otrzyma swoją karę; wyrok wasz wykona na nim rzymska policja uprzedzona już o wszystkim. Odtąd będziecie moją jedyną rodziną i zobowiązuję się poprowadzić was tam, gdzie znajdziecie pożytek dla siebie.

— Niech żyje nasz nowy przywódca! Śmierć Luigi Vampie! — wołali bandyci z wielką radością.

— Pepino — mówił dalej Benedykt — podaj mi szklanę wina; chcę wypić, za pomyślność dzielnych towarzyszy.

Po chwili otrzymał pełny kielich. Wszyscy, bandyci byli gotowi z zapalem ten toast uczcić. Syn Villeforta z okrzykiem „Hurra!” wychylił kielich do dna.

Wszyscy poszli za jego przykładem.

Benedykt odrzucił kielich, który roztrzaskał się o ściany sklepienia i zawołał:

— Przyjaciele, niech to będzie waszym pożegnaniem dla katakumb św. Sebastiana, dla Rzymu i dla Italii. Przyszłość czeka na nas daleko stąd! Chcecie złota? Będziecie mieli pod dostatkiem. Chcecie krwi? Będziecie ją przelewać strumieniami bez litości. Naprzód! Naprzód! Bóg zemsty powołuje mnie na wybrzeża wschodu, gdzie przygotowuje mi ołtarze sprawiedliwej i bezlitosnej zemsty.

Bandyci przytakiwali z dziką uciechą słowom Benedykta. W kilka chwil później katakumby św. Sebastiana stały puste.

Benedykt pospieszył do swego konia uwiązanego u jednego z pomników na via Appia, wskoczył na siodło i ruszył cwałem ku Rzymowi.

— Naprzód! Naprzód! — mrucał Benedykt przemykając pomiędzy ciemnymi monumentami — Jakiś demon wiedzie mnie, ożywia i widocznie sprzyja mi swoim piekielnym duchem. Jutro posiadę złoto Vampy, ofiarę łez i męczarni wszystkich jego zbrodni; nadto uzyskam nagrodę przyznaną za głowę

tego bandyty. A wszystko to ma być użyte dla dopełnienia dzieła zbrodni. Edmundzie Dantes, tyś nie mógł wybaczyć, więc daremnie błagać będziesz, by ci wybaczone. Miałeś czelność uważać się za tak możnego jak Bóg; a więc zobaczysz, że twoją dumę zgniotę w rękach, jak czerep dziecięcia. Edmundzie Dantes, grom przeszywający obłoki nie wybaczca wysokim cedrom, przeciwnie, godzi w nie z tym większą siłą.

Niebawem Benedykt znajdował się w pobliżu przepysznego gmachu Flawiusza Wespazjana. Zeskoczył z konia i zaraz otoczyło go sześciu czy ośmiu przewodników, którzy przybyszom obcym wyjaśniają pochodzenie, przeznaczenie i historię sławnych resztek starożytności, które tu są istotą księgi wieków.

Jeden z nich pochwycił konia za cugle, podczas gdy jego towarzysze otoczyli Benedykta, narzucając się z-najwyszukańszą grzecnością: „Ekscelencjo, noc jest piękna; możesz iść za mną”.

— Po co?

— Aby oglądać.

— Co?

— Per la Madonna! Pomnik Flawiusza, najdawniejszy pomnik Wioch i Europy. Chodź pan, pokażę panu cyrk zwierząt i objaśnię wszystkie zapory jakie przedsiębrano, by dzikie zwierzęta nie mogły się rzucać na widzów.

Benedykt milczącym ruchem odpowiedział na uporczywe narzucanie się, przeszedł pośród nich i zapuścił się w przestronne ruiny, by odnaleźć Vampę tak samo jak dwa lata temu, i może o tej samej godzinie, hrabia Monte-Christo szukał tego samego człowieka — dnia 21 lutego, w dniu poprzedzającym w Rzymie pierwszy dzień karnawału, który miał być uświetniony wykonaniem wyroku na Andrea Rondoli obwinionym o zamordowanie don Cezara Tarloni, kanonika przy kościele św. Jana z Lateranu. i Pepino zwanym Rocca Priori oskarżonym o przynależność do bandy głośnego kapitana Vampy.

XXII

Koloseum

Benedykt przeszedł schody wiodące do resztek trybuny Cezarów i z tego miejsca rozglądał się po obszernym amfiteatrze, jak gdyby wzrok jego chciał przeniknąć ciemność, jaką noc i upływ czasu nad tymi ruinami rozpostarły.

W miejscach, do których nie doszło światło księżyca, jarzyły się pochodnie pośród małych gromadek miłośników, którym cicerone objaśniał szczegóły przepysznego gmachu. Syn Villeforta zszedł po estradzie wiodącej z trybuny Cezarów do części ruin noszących nazwę cyrku dzikich zwierząt. Szelest jakichś kroków zatrzymał go.

Rychło ujrzał Benedykt w blasku księżyca mężczyznę okrytego ciemnym płaszczem.

— To ona — szepnął nieznajomy — to ona, kobieta, o której zapomnieć nie mogę ani na jedną chwilę! Biada mi! Do czego mnie to szaleństwo doprowadzi? Eugenio d'Armilly, musisz być moja!

U wejścia ukazały się dwie kobiety wyprzedzane przez przewodnika, który wznosząc rękę starał się pochodnią oświecać głębię cyrku.

— Widzicie panie — mówił cicerone — tu był cyrk dzikich zwierząt, gdzie z głodu i ze złości bestie ryczały, zanim je wyprowadzono na scenę i skąd wracały najedzone z paszczą skrwawioną, z oczyma roziskrzonymi, pełnymi srogości.

Wskazując na miejsce, promieniami księżyca oświecone, mówił dalej:

— O, tam dalej były drzwi, którymi wchodzili chrześcijanie i niewolnicy przeznaczeni na rozszarpanie dla zabawki Cesarza i świata rzymskiego. Zaś tam była trybuna Cezara, z której przypatrywał się zaciekłości zwierząt i z pogardą przysłuchiwał się błaganiom nieszczęśliwych.

Cicerone zamilkł, a dwie kobiety przyglądały się tym miejscom, pełne

smutku pod wpływem uczuć wywołanych opowiadaniem przewodnika.

— Ludwiko — przemówiła młodsza — mam wielką ochotę tam niżej zejść na miejsce, gdzie tyle ofiar zginęło pod szponami strasznych z zwierząt Azji i Afryki: na to miejsce nasiąkło krwią i łzami tylu tysięcy kobiet, które po raz ostatni obejmowały córkę czy przyjaciółkę, starając się je chociaż na chwilę ochronić przed kłami potworów. Chodź Ludwiko, chodź.

Cicerone zwrócił pytająco oczy na dwie przyjaciółki i nieruchomo czekał na znak czy ma im towarzyszyć. Lecz one nie dały mu żadnego znaku, więc nawykły do życzeń zwiedzającego pozostał na schodach.

Eugenia Danglars i Ludwika d'Armilly doszedłszy do areny doznały różnych uczuć. Eugenia rzucała dookoła śmiałym okiem; Ludwika, strwożona, zaledwie spojrzeć odważyła się tu i ówdzie.

— Ty drżysz, droga przyjaciółko? — pytała Eugenia — Dlaczego? Czyż nie wiesz, żeśmy zupełnie same? Smutne wspomnienia, jakie to miejsce wzbudza, sprawiają ci ból? Przyznaję, że źle uczyniłam namawiając cię do zwiedzenia Koloseum; zdawało mi się, że jesteś mniej trwożliwa. Któż by się spodziewał, że cienie nocy, masy granitu, taką siłę mieć będą, by wstrząsnąć twoją duszą. Te wspomnienia, jakie każdy kamień tu wywołuje, ta podłoga i ta arena, prawdziwe miejsce widowiska koronowanej tyranii i koronowanego męczeństwa; wszystko to harmonizuje teraz z moją duszą! Ach, Ludwiko, gdybyś tak kochała, jak ja Kocham! Wtedy i ty upodobałabyś sobie zmierzch, ciszę i samotność.

Vampa chwycił namiętnie słowa Eugenie. Benedykt słyszał wyraźnie gwałtowne uderzenia jego serca, bo kapitan oparł się o ten sam słup, po którego przeciwnej stronie syn Villeforta był ukryty.

— Eugenio — przemówiła Ludwika — pojmuję, co ci szepczą cisza, zmierzch i samotność, w których twoja dusza, wolna teraz od wszelkich innych wrażeń, oddaje się tylko miłości. Lecz ja, nie będąc pod wpływem tak ogromnego uczucia jak ty, nie mając tej stanowczości i siły charakteru, drzę za najmniejszym głosem. Każdy kamień napawa mnie trwogą, z każdego, zdaje mi

się, wygląda jakaś ciemna postać, rzucająca ku nam dzikie spojrzenia. Tak, cóż chcesz? Jestem bojaźliwa, słaba jak wszystkie kobiety. W jednym tylko różnię się od nich, nie kocham!

Nie zważając na swoją przyjaciółkę Eugenia rozmarzona przechadzała się dalej po cyrku; Ludwika musiała za nią podążać.

— Eugenio! Eugenio! — zawołała nagle, drżącą ręką chwytając się przyjaciółki.

— Jakież znowu widzenie prześladuje cię moja droga? — zapytała Eugenia uwalniając się z rąk Ludwika.

— O nie, to nie widzenie! — odparła Ludwika.

— Twoja ręka zimna jak lód — szepnęła Eugenia — boisz się?

— Nie bałabym się, lecz nie mogę zapanować nad sobą.

— Cóż wywołuje tak niezwykle niepokój w tobie?

— Patrz — rzekła Ludwika głucho, wskazując na jeden ze słupów — tam stoi jakiś mężczyzna.

— Gdzie?

— Tam przy czwartym słupie z lewej strony portyku.

— Nie widzę nic — odparła Eugenia rozglądając się we wskazanym kierunku.

— Musiał się bez wątpienia skryć. Lecz ja się nie myliłam; o tam, patrz, widzisz twarz mężczyzny?

— To było iluzją! Niezawodnie cień słupa.

— Eugenio, Eugenio, chodźmy stąd!

Ludwika chwyciła ramię Eugenie i zwróciła się ku schodom, by zawrócić; lecz raptem osunęła się z cichym jękiem przerażenia.

— O mój Boże! — wyszeptała Eugenia.

Luigi Vampa stał przed obiema śpiewaczkami.

Nieporuszenie, jakby skamieniały, wpatrzywszy się w twarz Eugenie, przenikliwym okiem więcej mówiący, niżby słowa wypowiedzieć zdołały, stał

tak długą chwilę.

Wreszcie zdjął kapelusz, zsunął płaszcz i rzekł:

— Pani, wyznałem ci, że w cieniu nocy i w ciszy żyje człowiek, który za jedno słowo z ust pani, gotów jest wiek cały najsroższe męczarnie znosić. Pani w cieniu nocy znalazłaś mnie. Mogę się spodziewać tego słowa!

— Mój panie — wymówiła z cicha Eugenia — korzystam z tej niespodziewanej sposobności, by panu podziękować za piękny upominek, jakim mnie zaszczyliłeś po ostatnim przedstawieniu „Semiramidy”. Racz przyjąć zapewnienie mojej głębokiej wdzięczności, kimkolwiek jesteś.

— I więcej nic? — zapytał Vampa stłumionym głosem z chmurnym spojrzeniem.

— To jest wszystko, co panu powiedzieć mogę.

Eugenia cofnęła się nieco, lecz bandyta ukląkł i chwycił jej rękę.

— Pani! Pani! — zawołał — Źle mi odpłacasz za serdeczne uczucie, jakim cię obdarzam.

— Zapomnij pan o tym. — odrzekła Eugenia, starając się usunąć od rozpalonych ust Vampy swoją rękę.

— Jest-że to prawdopodobne!? — mówił Vampa — Pojmujesz-że pani doniosłość słowa tylko co wypowiedzianego? Panią zapomnieć?! O nie! — Nie mogę!

— Wstań pan, odejź — rzekła Eugenia — bo ten chwilowy wybuch uczucia objawiony mi przez pana można by za szaleństwo uważać.

— Przynajmniej jedno słowo nadziei.

— Myślisz pan, że masz prawo domagać się tego? — zapytała Eugenia.

— Błagam panią na klęczkach!

— Mój panie, sędzę, że w pamięci pańskiej to spotkanie zaledwie taki ślad pozostawi po sobie, jak błyskawica w chmurze; należy je zagrzebać w tych cieniach i w tych ruinach, w których niezawodnie już po tysiącokroć wypowiedziano słowa podobne do pańskich. Jutro będziesz się pan sam z siebie

śmiały, lecz nie ze mnie!

— Ha, rozumiem panią — odrzekł Vampa z gorzkim uśmiechem — pani nie możesz moim słowom dać wiary, póki czas nie udowodni ich prawdziwości.

— Pan mówisz prawdę — zauważyła Eugenia. — Wszak przyznasz, że cię nawet nie znam.

Przy tych słowach powstał bandyta, a jego twarz pokryła się ciężkim smutkiem. Żarzące i namiętne spojrzenie paliło oblicze Eugonii.

— Masz pani słuszość; a przecież, gdziekolwiek się udasz, wszędzie pójdę za tobą!

Zarzucił płaszcz na ramiona, osłonił się nim i znikł pośród ruin.

Benedykt, będący świadkiem całej sceny, również opuścił swój schowek i podążył za Vampą mówiąc sam do siebie:

— No, robię wielkie postępy w archeologicznych studiach; poznaję na przykład, że Koloseum jest bardzo dogodnym miejscem dla schadzek miłosnych i to tak dalece dogodnym, że strony zainteresowane nie muszą go nawet wcześniej oznaczać. Trzeba to sobie napisać, bądź uczynić przedmiotem rozdziału pod tytułem:

„Rzymskie zwyczaje

Odróżniająca charakterystyka Koloseum”

— Moja Ludwiko — rzekła Eugenia potrząsając ramieniem panny d'Armilly.

— Ha, z przestachu odrętwiałam — wymówiła ta po chwili.

— Zapewniam, że byłaś ofiarą dziwnego, panicznego przestachu.

— A mężczyzna? — zapytała Ludwika drżąc na całym ciele.

— Jaki? — odparła Eugenia — Wszak widzisz, że tu nie ma mężczyzn, tylko noc, cień i samotnia. Chodźmy.

Obie przyjaciółki zawróciły ku schodom, na których najwyższym stopniu

stał wierny cicerone; powstał dla powitania powracających znaczącym uśmiechem, który mu zjednał z ręki Eugonii potrójną nagrodę przyrzeczoną za objaśnienie monumentu Flawiusza Wespazjana.

Benedykt przyspieszył kroku i rychło doścignął Vampę.

— Już zwątpilem o spotkaniu z panem — powiedział z udanym tonem zmartwienia. — Sądziłem, żeś pan udał się na miłosną schadzkę.

— Wybacz mi pan — wymówił Vampa. — Błądziłem wśród ruin i minęliśmy się, to wszystko.

— Mnie się znów wydawało, jak gdyby panu mało zależało na tym spotkaniu.

— Przeciwnie, oczekiwałem na nie z niecierpliwością, gdyż zdaje mi się, żeśmy się na to zgodzili, byś mi pan udzielił wszelkich możliwych wskazówek.

— Zatem dobrze, chcę je panu dać. Otrzymałem z rąk pańskich osiem tysięcy piastków, by nimi pozyskać względy barona Danglars: ten człowiek wziął pieniądze, przyjmie pana w swoim domu i z wszelką możliwą troskliwością będzie traktował, ukrywając właściwe imię pańskie. Jego córka Eugenia go odwiedzi...

Bandyta aż zadrżał z radości na te ostatnie słowa.

Benedykt prawił dalej:

— Jesteśmy bez wątpienia zgodni. Pan dokonasz uprowadzenia Eugonii i zażadasz za zwrócenie jej wolności sporego okupu. Potem uporządkujemy nasz rachunek, panie Vampa.

— Bardzo dobrze! — powiedział bandyta po krótkim namyśle, podczas którego Benedykt nie spuszczał go z oka — Bardzo dobrze! Udam się do domu barona; tymczasem trzeba niektóre

rozkazy przesłać Pepinowi, a to może nastąpić tylko przez zaufaną osobę. Chcesz pan to przyjąć na siebie?

— Dlaczegoż nie? Gdzie znajdę Pepina?

— W katakumbach św. Sebastiana — odrzekł bandyta. — Nie potrzebuję już

mieć tajemnic przed panem. Wiedz pan więc, że gdy na via Appia wejdiesz, po lewej stronie spostrzeżesz krętą ścieżkę w skale kutą. U góry tej ścieżki jest tajemnicze wejście do katakumb.

— Czy spotkam może straż, która mi drogę zastąpi?

— Powiesz straży hasło i zostaniesz wpuszczony.

— Jakież słowo?

— *Al su sommodo!* — odrzekł Vampa.

— A instrukcje dla Pepina?

— Oto są.

Vampa oddał Benedyktowi opieczętowany papier.

— Licz pan na moją pilność.

Benedykt opuścił spiesznie Koloseum, podczas gdy Vampa ścigał go złowrogim spojrzeniem szepcząc:

— Idź! Już nie wrócisz! Moja-tajemnica zagrzebana zostanie wraz z tobą.

XXIII

Komedia

Czytelnik sam się domyśla, że Benedykt nie udał się do katakumb św. Sebastiana. Vampa tymczasem, ten osławiony bandyta, który od wielu lat okolicę Rzymu do rozpaczki doprowadzał, Vampa, którego władze tajemniczo strzegły, wierzył ślepo w powodzenie swoich planów, więc mógł się ze spokojem oddać zaspokojeniu chuci, skoro Benedykt przy wejściu do katakumb, fałszywe hasło wypowiedziawszy, już zginął z rąk bandytów.

Vampa był oślepiiony przez uczucia nim miotające. Krew wrząca w nim gorączkowo przytępiła umysł, jego rozpalone oko nie przenikało już ludzi i rzeczy z tą bystrością, jaka go niegdyś charakteryzowała.

Benedykt tymczasem był wolny od wszelkiego uczucia, obliczał zimno

swoje plany i poznawał dokładnie, jak daleko może się posuwać, by się nie narazić; to znaczy, by nie popaść w ręce Vampy lub nie odkryć siebie w oczach sprawiedliwości.

Vampa opuścił więc Coloseum jakieś pół godziny po śpiewaczkach i okrywszy się szczelnie płaszczem zmierzał do hotelu na *via del Corso*.

Wyszukał Pastriniego, który go skrycie przyjął w swojej małej pracowni.

— Ach, signor Luigi — zawołał. — Od dawna nie miałem tego szczęścia i tego zaszczytu, powitać! Co pana sprowadza?

— Potrzebuję powozu z wszelkimi warunkami dobrej obsługi — odrzekł Vampa.

— Zdaje mi się, że ostatni, który panu służył, dopełnił wszelkich warunków?

Vampa skinął głową.

Mestre Pastrini mówił dalej:

— Może to pana zainteresuje. Niedawno zajechał tu powóz z jakimś Francuzem mającym w zanadrzu ogromną sumę pieniędzy otrzymaną pół godziny przedtem z domu Thomson & French; powóz udał się szybko do Aquapendente, gdzie konie nakarmiono; potem wrócił do Rzymu i zatrzymał się przy ulicy...

— Przy ulicy? — zapytał ostro Vampa słuchający tej relacji z widocznym niepokojem.

— To już tajemnica i woźnica zapewnia, że pod karą śmierci nie może tego powiedzieć — odparł Mestre Pastrini.

— Bardzo dobrze i pan też swoją ciekawość poskromisz, i o nic nie będziesz się dowiadywał. Na razie postaraj się o powóz.

— Kiedy panu potrzeba?

— Natychmiast.

— Jednak jeszcze dwie albo trzy minuty zechciej mi pan darować, bym przekazał panu wiadomość, którą uważam za bardzo ważną.

— Mów.

— Najpierw oświadczam — rzekł Mestre Pastrini — że pański porucznik nie pokazał się tu.

— Gdyby naszą główną kwaterę chociaż na chwilę opuścił, byłby działał przeciw moim rozkazom — odparł z sarkazmem Vampa.

— Kiedy Pepino nie przyszedł, otrzymałem od agenta domu Thomson & French Ważną wiadomość, a panu znana jest przychylność tego banku dla pana.

— Możliwe — odrzekł Vampa. — Często składałem do kasy tego domu pieniądze za małym wynagrodzeniem. Dom Thomson & French nic na mnie nie traci.

— To słuszne — odparł Patrini. — Dom ten stoi też zawsze na straży tego wszystkiego, co się tyczy pańskiego bezpieczeństwa. Wspomniany agent był więc wczoraj tu, aby poszukać Pepina i powiadomić go, że nieznany Francuz zjawił się u intendenta policji zainteresowany wynagrodzeniem wyznaczonym za pańską głowę.

— Ha! A więc ten człowiek jest już panem mojej głowy? — zapytał Vampa nie okazując najmniejszego niepokoju.

— Może roi sobie zostać panem tejże; bo uzyskał pomoc siły zbrojnej przyrzekając pana wydać.

— A to gdzie? — zapytał Vampa.

— To jest tajemnicą zdrajcy.

— Jak się nazywa?

— I to jest tajemnicą policji i jego.

— A kiedy to ma nastąpić?

— W jak najkrótszym terminie, signor Luigi; musisz więc pan pilnować się; rozważ, głowa nie jest rzeczą, której by tak lekko pozbywać się należało.

Vampa roześmiał się głośno, czego Mestre Pastrini nie zdołał zrozumieć.

— Zdrajca już otrzymał nagrodę! — zawołał Vampa — Zatem, Mestre Pastrini, mówiłem panu, że potrzebuję dobrego powoza i sprytnego woźnicę.

— A to co panu powiedziałem? — zapytał z przerażeniem Pastrini.

— Nie warte i garści plewy.

— A to dlaczego?

— Pastrini! — zawołał Vampa — Jesteś zbyt ciekawy! To bardzo źle, to mi się nie podoba.

Pastrini wybełkotał jakieś usprawiedliwienie, zawrócił w miejscu i wybiegł ze swego biura.

W pół godziny potem Vampa wyszedł z hotelu i wskoczył do powozu; Pastrini zbliżył się do woźnicy i z cicha powiedział:

— Do rogatek wolnym krokiem! Resztę Ekscelencja powie.

Woźnica zaciał konie, powóz ruszył.

O jedenastej powóz znajdował się już daleko poza murami Rzymu. Stangret zatrzymał się w miejscu, gdzie się trzy drogi krzyżują.

Vampa wychylił głowę i zawołał:

— Drogą do Aquapendente!

Po tych słowach powóz ruszył z podwójną szybkością. Podczas gdy Luigi Vampa dojeżdżał do małej cytadeli, baron Danglars, któremu służący jarzącą świecą przyświecał, oglądał swój dom od dolnych ubikacji po dach. Zarządził uporządkowanie całego zabudowania, bo spodziewał się następnego dnia przybycia Eugonii i jej przyjaciółki d'Armilly. W związku z tym doglądał swych dwu służących, od czasu do czasu wyrażając uwagi. Wreszcie, wszedłszy do sali kartonami wytapetowanej, rzucił się na fotel i rzekł:

— Muszę wam powiedzieć, to jest muszę wam oświadczyć, że moje rozkazy źle zostały wykonane.

— Myśmy zrobili co było można, Ekscelencjo — odrzekł służący. — Jednak sale zawsze się wydadzą zaproszonymi, bo meble już zużyte, a ściany dziwacko pokryte przykry efekt sprawiają. Gdyby wszystko tak było odnowione, jak firanki u okien, to byś pan widział, jak by się pokoje świeciły.

— Jesteś asan głupim bałwanem — zawołał baron — w przeciwnym razie ceniłbyś lepiej te starożytne sprzęty, jedyne pozostałości blasku jakiejś

znakomitej rzymskiej rodziny. Co tyczy ścian, musisz pan wiedzieć, że dają przepyszny obraz.

— Ach, niezawodnie Wasza Ekszelencja masz głębokie wiadomości — rzekł służący — dlatego nie dziwię się, że tym pozostałościom tak wysoką wartość przypisujesz.

— Zapewne nie trzeba się zbyt wysilać, aby poznać, że pochodzą one z czasów Aleksandra, te krzesła, na których niegdyś taki Spada na przykład siadywał, potomek książęcej rodziny, której bogactwa w Rzymie w przysłowie weszły, że tych krzesel mówię,

nie należy poniewierać. Ich złocenia szerniały? Aksamit wypłowił? To wszystko podnosi właśnie ich wartość. Na tym koniec! Zapytuję jeszcze, czyś się asan postarał o jaką starszą kobietę, zdolną przy mojej córce prace garderobiane wykonywać?

— Już przybyła Ekszelencjo. Jest dobrą kobietą z sąsiedniego miasta i ręczę za nią, jak za siebie.

— Dobrze, przynajmniej nie masz asan wady zapominania.

— Czynię wszystko co mogę, by panu służyć.

— Świeć pan. Jedzenie już musi być na stole.

— Właśnie chciałem panu oznajmić...

— Naprzód!

Baron, któremu przyświecał służący, opuścił salon, przeszedł przez mały korytarz i wszedł do sali jadalnej, gdzie przy kredensie oczekiwał go inny służący.

Wieczera już była na stole.

Baron usiadł przy jednym nakryciu.

— No, Danglars — myślał sobie — jesteś stary, lecz wygodnie ci tu i wkrótce będziesz mógł poprawić swoje położenie. Naprawdę jest coś na tym świecie, co mnie chroni. Sądziłem przez chwilę, że to moja żona chce mi ciężkie przejścia wynagrodzić; teraz złudzenie przeszło, poczynam wierzyć, że...

Silne uderzenie w dzwonek u bramy ogrodowej przerwało raptem rozmyślanie. Służący poruszyli się, spoglądając niezdecydowanie na bankiera.

Nim zdolali zapytać, powtórzyło się uderzenie w dzwonek.

— Co to jest? — zawołał baron powstając; usiadł nagle znowu.

— Dzwoni ktoś! — powiedzieli służący.

— Dzwoni ktoś! — powtórzył baron — No, dzwonek jeszcze nie pękł; po raz trzeci głos jego słyhać, ktoś bez ceremonii dzwoni. Biegnijcie, głupcy. Widzę, że będę was musiał jutro wyćwiczyć. Dzwonią, a wy jesteście przestraszeni, nieruchomi jak kamienie. To bez wątpienia panna Danglars, moja córka, która skorzystała z pięknej nocy, by jutro rano obudzić się w moim domu. Tak, tak, to tak będzie. Jeszcze dwa nakrycia do stołu dać; zapalcie w kandelabrach wszystkie świece; poustawiać fotele. Oh, pokażę jej, że serce ojcowskie zawsze jest oddane dla córki jedynaczki.

Baron chodził wzruszony i pilnował wypełniania rozkazów. Tymczasem usłyszał skrzyp bramy ogrodowej i turkot powozu, który zatrzymał się u schodów. Danglars zrobił kilka kroków, gdy spotkał się ze służącym wracającym z sali.

— I co?

— Ekscelencjo — odpowiedział sługa — to jakiś pan, który mnie upewnił, że należy do najbliższych pańskich przyjaciół, i który mi polecił wpuścić zaraz powóz do ogrodu, zaledwie bramę otworzyłem.

— Jakiś pan? — rzekł baron — Przynajmniej, spodziewam się, oznajmił swoje imię?

— Nie, Ekscelencjo!

— Błaźnie! Z asana nigdy nic nie będzie, tylko wiejski mazgaj! Naprawdę nie do darowania! Jak to jakiś pan melduje się jako mój bliski przyjaciel i nic! Boże! Proszę mi przynieść lepszy szlafrok od tego. Prędko, prędko! Wprowadzić go; oświecić salę! Głupie zwierzęta, cymbały! Ja wam pokażę, co to służba!

Gdy Danglars tak mówił i jeden rękaw szlafroka był już zdjęty, a drugi właśnie zdjąć usiłował, wszedł nagle gość do jadalnej sali i rzekł z ironicznym uśmiechem:

— Powoli, panie baronie; sutanna jeszcze nie stanowi mnicha!

— Ha! — zawołał pan Danglars cofając się pobladły, podczas gdy jedno ramię było nie ubrane, drugie utknęło jeszcze w rękawie szlafroka.

Przybysz śmiał się i pewnym krokiem idąc, usiadł przy stole. Baron ledwie na nogach mógł ustać; kolana ugięły się pod nim; cofnął się jeszcze jeden krok, by się móc oprzeć o ścianę.

— Panie Danglars — przemówił gość — decyduj się pan, to znaczy, ubierz pan szlafrok. Pan wydasz swojej służbie polecenia, spodziewam się, że z tym nie będziesz zwlekał; inaczej bylibyśmy zmuszeni spożyć zimną wieczerzę.

— To prawda, spotkałaby nas ta nieprzyjemność — powtórzył machinalnie baron łamiącym się głosem.

— Panie baronie, wydaj pan potrzebne polecenia. Zaprawdę, przypuścić by można, paraliż pozbawił pana zmysłów.

— Masz pan słuszność, mój panie. Tak! Pan sądzisz, że mam wydać niektóre rozkazy? Nie rozumiem dokładnie.

— Bądź pan łaskaw mój powóz do wozowni kazać wtoczyć; koło ogrodu masz pan małą stajnię. Nie życzę sobie, by moje konie na dworze stały.

— O, pan znasz dokładnie rozkład tej posiadłości, nieprawdaż? — zapytał baron z wytrzeszczonymi oczyma.

— Zgadł pan, baronie. Lecz szkoda niepotrzebnie tracić drogi czas. Jadło będzie zimne; a kiedy pan poleceń wydać nie chcesz to sam pójdę...

— Weź konie i powóz...

— Ależ to nie wystarcza! Słyszysz — zagadnął gość służącego, który właśnie ruszył do wyjścia. — Woźnica będzie z tobą jadł; potem trzeba mu dać latarnię i jaki płaszcz do nakrycia. Idź!

Potem, zwracając się do drugiego służącego, rzekł;

— Możesz się oddalić; pan baron pozwala.

Służący widząc, że baron się nie sprzeciwia, skłonił się i wyszedł.

Gość i gospodarz zostali sami.

Baron byłby chętnie wyrzekł się wieczerzy, jednak musiał przybrać wesołą minę, zbliżył się więc opierając o ścianę i usiadł przy stole, zostawiając pomiędzy sobą a gościem jedno nakrycie wolne.

— Jak widzę liczyłeś pan jeszcze na kogoś, możeś pan się spodziewał mego przybycia w towarzystwie?

— Prawdę powiedziawszy nie oczekiwałem tego wieczora nikogo; planowałem tym razem sam wieczerać.

— Tymczasem ja postanowiłem odwrotnie. Lubię podróżować nocą.

— O, ta jest istotnie tak piękna! Chociaż cokolwiek gorąco, zgadza się pan ze mną? — pytał baron ocierając chustką czoło i twarz.

— Eh, panie baronie, cóż pan robisz? Wszak położyłeś chustkę do nosa na talerzu, zamiast włożyć do kieszeni.

Baron poczerwieniał.

— Dawno już nie widzieliśmy się panie Danglars, jeszcze od owego wieczora, gdy miał przyjemność ugościć pana w moim małym pałacu.

— Piękny pałac, naprawdę! — mruknął baron — Ci przekłęci rzymscy bandyci mają zwyczaj jamy, w których się kryją, pałacami nazywać.

— Wprawdzie zrobiono tam małą psotę spowodowaną przez hrabiego Monte-Christo; jednak musisz pan przyznać, że ci doskonałą kolacyjkę kazał podać. Lecz po co mówić o przeszłości, skoro na to już nie ma rady! Przeszłość nie należy do nas, zajmujmy się więc teraźniejszością, jako naszym obecnym dobrem. Życzę sobie, by mi tej nocy posłano w pańskim pokoju.

Baron czuł jak mu włos dębem na głowie stawał, śmiertelny dreszcz ściał mu krew w żyłach.

— Panie, zwolnij mnie raz na zawsze! — zawołał Danglars — Zabij mnie, ale bądź pan przekonany, że w moim domu nie znajdziesz już sumy równającej

się owej, jakaś mi w swojej jaskini zrabował!

— Zabijać pana, panie baronie? — odrzekł Vampa powstając także — Zamordować pana? Ależ mój Boże, po co? Co to wszystko znaczy? Zdaje mi się, że pan cierpisz wizje. Zapomniałeś już o tym wszystkim, co panu powiedziano?

— Co to ma znaczyć?

— Eh, masz pan krótką pamięć, panie baronie. Przybył do pana człowiek, pański rodak, z imienia Benedykt. Po krótkiej rozmowie oddał panu coś znacznej wartości; nie wiem, czy to był dokument, czyli też brzęcząca moneta. Może jedno i drugie.

— I cóż dalej? — pytał baron to czerwieniejąc, to blednąc.

— Co dalej? Do licha! Pan nie pamiętasz, panie Danglars? Ten człowiek, o którym mówiłem, ten miły pan Benedykt, mówił panu o mnie i otóż jestem.

— Ależ w końcu — rzekł baron — jakież może być związek między panem a Benedyktem?

— Pytanie jest ciekawe! — odparł Vampa zimno — W tym momencie żaden.

— Czegóż więc pan żądasz ode mnie?

— Wypełnienia tego na coś się pan zgodził.

— Więc ja zgodziłem się coś spełnić?

— Eh, tego za wiele! Skończmy już raz panie baronie! — zawołał Vampa niecierpliwie.

— Skończmy już raz! — powtórzył machinalnie baron — Ja też z mej strony niczego więcej nie żądam.

— Pan sądzisz, że grosz, który otrzymałeś nie wystarcza i bez wątpienia zdawało ci się, że wraz z moim przybyciem dostaniesz więcej. Nie pytam się o takie głupstwa, bo nie byłem nigdy, jak pan, bankierem! Oto moja sakwa, panie baronie; weź i milcz.

Przy tych słowach rzucił Luigi Vampa na stół pełną sakwę. Zmieszanie

barona wzmogło się.

— O — mówił dalej bandyta widząc ociąganie się barona — zapewniam, że może dwójnasób tyle zawiera, coś pan już otrzymał. To jest trzos rzymskiego bandyty!

Vampa ruszył trzosem i posypało się złoto.

— A więc zgoda?

— Czegóż pan ode mnie żądasz, panie Vampa?

— Czegóż bardzo zwykłego: gościny na dziś i jutro.

Baron zadrżał, lecz ręce jego dotknęły już złota i metal zdołał uspokoić szlachetnego pana Danglars.

— Niech cię diabli, jeśli z tej całej historii co rozumiem — pomyślał baron gromadząc rozsypane złoto i dodał głośno: — Jestem na pańskie rozkazy, panie Vampa.

— Ja oczekuję pańskich, panie baronie — odparł Luigi Vampa szarmancko.

— Będę miał przyjemność umieścić pana w moim łóżku, sam położę się obok na sofie, na której zwykle w dzień sypiam.

— Ależ będzie panu źle leżeć.

— Gdzie tam, mój kochany panie; położę się później, mam jeszcze kilka listów do Francji napisać.

— Jak się panu podoba.

Baron zawołał służącego, kazał sypialnię oświetlić i łóżko przygotować.

W kilka chwil potem udali się do sypialni.

Vampa nie rozbierał się; okrył się kołdrą, czuwał i śledził czynności barona, który siedział przy biurku, przewracał różne papiery i w końcu z zajęciem jakiś list pisał.

Gdy skończył zamyślił się.

Przybycie Vampy zepsuło baronowi całą przyjemność, jakiej miał doznać tego ranka.

— Jednak cztery tysiące piastrów godne są ofiary. Eugenia uprzedzona tym

listem, że mnie interesy zmusiły do wyjazdu, przybędzie innym razem — pocieszał się w duchu baron.

Vampa poruszył się, jakby zgadywał myśli barona. Baron znów zadrżał, gdy jednak widział gościa spokojnie leżącego, puścił dalej wodze fantazji.

— Teraz znam już pierwszy akt komedii. Rzymskiej starszyźnie już się sprzykrzyły napady Vampy: ścigają go i skrył się u mnie. Udzieliłem mu schronienia. Jednak to niebezpieczny bandyta, za jego głowęznaczono wysoką cenę! Można by go wydać...

Bezsprzecznie, Danglars, szczęście ci sprzyja.

XXIV

Komedia wikła się

O świcie służący barona, otrzymawszy list od niego, wyszedł z domu i chciał właśnie przez ogród dostać się do drogi, gdy go Vampa zatrzymał.

— Hola! Czy mógłbyś mi waść oddać małą przysługę?

— Jestem na rozkazy Ekscelencji!

— Jak widzę, będziesz pan przechodził koło drzwi stajennych; zapukaj silnie, by śpiocha woźnicę obudzić i oddaj mu pan te pieniądze, aby się pożywił w sąsiedniej gospodzie.

— Nie zaniedbam, Ekscelencjo.

Służący, otrzymawszy monetę, odszedł, a Vampa ruszył do salonu, gdzie natknął się na barona.

— Nie mogę w łóżku wyleżeć — rzekł Vampa. — Powietrze poranne odświeża mnie.

— Ja również tego doznaję. Zaledwie dzień pocnie, zaraz wstać muszę.

— To przyzwyczajenie zupełnie niezgodne z usposobieniem milionera.

— Oh, już nie posiadam milionów, panie Vampa — rzekł baron z głębokim

westchnieniem.

W tym czasie służący barona uderzył do drzwi stajennych; pięć minut później zbudzony woźnica otworzył.

— A co tam?

— Wasz pan posyła te oto pieniądze, byś się uchronił przed chłodem poranka.

Woźnica odebrał pieniądze i uśmiechnął się znacząco...

— Czekaj przyjacielu — rzekł zapinając płaszcz. — Kiedyś mi ten pieniądz przyniósł, racz przyjąć połowę mojego śniadania.

— Bardzo dziękuję, muszę się spieszyć...

— Głupstwo! To wieczna mowa panów: prędko, prędko! A tymczasem człowiek musi sobie tak czas rozliczać, aby kilka minut chociaż zostało na wypitek. No chodź pan!

— Dziękuję, już powiedziałem, że to niemożliwe.

— Gdzież to ruszasz? Mnie się zdaje, że jakiś pilny list oddać?

— Zgadłeś pan. Idę ku miastu, a to kawał drogi!

— Piechotę?

— Tak. Trzeba będzie iść z godzinę, a może mniej, bo może nie będę musiał aż do Rzymu dotrzeć.

— A to dlaczego?

— Mam nadzieję na drodze spotkać się z osobą, której list mam oddać.

— Dobrześ pan zrobił mówiąc mi o tym, przyjacielu. Mogę panu przydać się bardziej, niżbyś sądził.

— Jak to?

— Jadę z powrotem do miasta, a że moje konie więcej rącości w nogach mają, jak który z nas, więc będziesz miał dosyć czasu, by wypić kieliszeczek, potem staniesz za powozem i przebędziesz drogę bez wysiłku.

— To bardzo dobry pomysł, dziękuję panu!

— A więc, rozweselmy się! — zawołał woźnica wzięwszy służącego pod

ramię i pociągnął go szybko do małej gospody znajdującej się w pobliżu.

Tymczasem mijały godziny. O siódmej Danglars i Vampa spożywali ze smakiem śniadanie, gdy zobaczyli przez okno powóz wjeżdżający do ogrodu.

Baron porwał się z siedzenia, Vampa zachował obojętność.

— Oczekujesz więc, baronie, odwiedzin?

— Ja! O! Daję panu słowo. Ależ któż to będzie? Nie pojmuję...

— Słyszę kroki służącego; zaraz panu powie, kto to jest.

— W istocie! Ależ to nie do uwierzenia, nikogo nie oczekuję...

— Panna Eugenia Danglars i panna Ludwika d'Armilly — rzekł służący otwierając drzwi.

— Co!?! — mruknął baron niby piorunem rażony.

— Panna Danglars jest pańską córką?

— Tak, tak, bez wątpienia — rzekł baron. — Pan, mój panie, nie zechcesz się zapewne pokazywać, na ten wypadek pozwól więc, że...

— Przeciwnie, panie baronie. Zrobi mi wielką przyjemność złożyć pannie Danglars moje uszanowanie.

— Ależ, pańskie imię! — powiedział baron cichym głosem, trzęsąc się na całym ciele — Imię pańskie jest tak znane! Jednak przychodzi mi na myśl: przyjmij pan obce nazwisko.

Vampa uśmiechnął się i odpowiedział:

— Zgoda, panie baronie. Radbym wiedzieć, jakie za stosowne uważasz.

— Jakiegoś znakomitego rodu, na przykład... Spada.

— Niech będzie — odrzekł Vampa, którego twarz nagle sposepniała.

Eugenia Danglars i jej przyjaciółka Ludwika, stojąc w sali, oglądały z ciekawością staroświeckie meble.

— Moja droga przyjaciółko — mówiła Eugenia — przepowiadam ci: wesoły dzień dziś będziemy miały i zobaczysz, że nie jestem złą wieszczką. Znam mego ojca, to zabawny człowiek; ubawi nas swoimi nowymi pomysłami.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, zjawił się baron. Fizjonomia pana

Danglars ujawniała największą radość, jednak przebijał w niej rodzaj przerażenia i trwogi, co nie uszło oku panny Ludwiki d'Armilly.

Eugenia ucałowała rękę ojcowską, a Ludwika skłoniła mu się najuprzejmiej.

— Widzisz, mój ojczy! — powiedziała Eugenia — Z jakim zapalem wybrałam się z wizytą do ciebie?

Baron chciał coś odpowiedzieć, gdy raptem zrobił ruch okazujący zmianę postanowienia; wreszcie rzekł:

— Nie odebrałaś mego listu?

— Listu? Nie, mój ojczy.

— Pisałem do ciebie! — rzekł baron — Na szczęście posłaniec nie spotkał się z twoim powozem.

— Cóż było w liście?

— Nie warto o tym mówić, zwykła rada.

— Rada? Rady twoje zawsze chętnie przyjmę.

— Moja droga — zawołał baron przycisnąwszy córkę do serca.

— Jak znajdujesz moją małą posiadłość, panno d'Armilly? — zapytał, zwróciwszy się do Ludwiki — Kupiłem to w bardzo zaniedbanym stanie, jak pani widzi. Lecz ten upadek i ta starożytność, taką czciami mnie napawają, że zdecydowałem się nie odnawiać tego.

— I dobrze pan robisz! Mam wielkie poszanowanie dla relikwii minionych stuleci — odrzekła panna d'Armilly — i sądzę, że Eugenia zgadza się ze mną.

— Jestem tym zachwycony — powiedział baron i pełen obawy spojrzął ku sali jadalnej, gdzie widział Vampę siedzącego przy stole z twarzą skrytą w dłoniach. Wreszcie po pewnym wahaniu chwycił rękę Eugonii i rzekł:

— Przyjmuję właśnie gościa. Będę miał przyjemność przedstawić ci go.

— Któż to taki?

— O! To potomek znakomitego rodu książęcego — odrzekł Danglars drżącym głosem, zirytowany, że mu na czoło kroplisty pot wystąpił: — To ni mniej ni więcej, tylko Romanelli Spada.

Gdy wymówił te słowa, opuściły go widocznie siły, bo zmienił się, jakby miał iść na stracenie.

— Nie znam go — powiedziała Ludwika.

Baron opuścił głowę i wolno postępował do sali jadalnej. Ludwika szła przed nim.

Ledwie doszli do końca korytarza, Vampa powstał i zdawał się oczekiwać prezentacji ze stoicką obojętnością.

— Moja córka i panna d'Armilly... mam zaszczyt paniom przedstawić — signor Romanelli Spada.

Eugenia zwróciła oczy ku Vampie i zadrżała; musiała się oprzeć o ramię ojca. Baron z przerażeniem spostrzegł wzruszenie córki.

— Ha — mruknął z cicha. — Coś mi się to płacze coraz bardziej. Czyżby się znali?

Eugenia starała się zachować przytomność umysłu, pozdrowiła mniemanego Spadę uprzejmym uśmiechem.

Nigdy córka pana Danglars nie spodziewała się, że dozna tak przyjemnej niespodzianki. Znajdowała się u boku ojca, który stał się tak uprzejmym i czułym. Znajdowała się również w towarzystwie swojej najszczęśliwszej przyjaciółki. Przed sobą widziała mężczyznę, który ją napawał tak gorącą miłością, jakiej się tylko raz w życiu i na zawsze doznaje.

XXV

Uwiedzenie

Chociaż Eugenia nie powiedziała nic Ludwice, ta domyśliła się szybko, kim jest nieznanemu.

Uśmiechała się więc czule do przyjaciółki i często posyłała jej znaczące, ważniejsze od wszystkich słów, spojrzenia.

Vampa zaś był ciągle ponury i smętny. Na jego zbrodniczym czole znaczyło się piętno dzikich namiętności. Jego nieczysty wzrok sięgał pożądliwie w skarby, obnażone przez falujące i wzburzone piersi Eugonii. Ona sama czuła, iż ogarnia ją powoli zgubny płomień. Oprzeć się temu było niepodobieństwem; ukryć niepokój spowodowany obecnością tego człowieka, przechodziło jej siły. Drapieżnik omamił swoją ofiarę. Vampa poznawał z dumą i triumfem całą moc uczucia, jakie wzbudzał w Eugonii.

— Ona mnie kocha! Kocha mnie! — wołał z zachwytem, gdy sam pozostał w ogrodzie — Już tego nie może ukrywać! Jej próżność kobieca, jej duma artystki, wszystko to ugina się i topnieje pod siłą moich oczu, którymi ją oczarowuję, i którymi ją pożeram!

Vampa, oddychając głęboko, stał nieruchomo. Zdawał się obmyślać zbrodnię; jego niespokojne i niepewne spojrzenie zdradzało dzikiego zwierza, oddanego namiętnej, trawiącej go żądzy...

W domu Eugonia zapowiedziała właśnie ojcu, że zamyśla w jego posiadłości spędzić noc i dopiero następnego dnia wyjechać. Danglars, widząc spełniające się przepowiednie Benedykta, począł nad tą całą komedią przemyślać. Od obiadu nie widział już bandyty, jego nieobecność niepokoiła go; ten niepokój rychło wzmógł się tak, że bankier postanowił poszukać Vampy. Poprosił więc o pozwolenie oddalenia się na chwilę, pod pozorem wydania niektórych rozporządzeń, co do uporządkowania pokoju dla pań.

Opuszczając salę, wiedziony obawą i instynktem niewytłumaczonym, udał się do swego pokoju, aby sprawdzić skrytki.

Gdy Eugonia pozostała sama z Ludwiką, podała jej ramię i przyjaciółki zeszły do ogrodu.

Jakaś myśl, tak samo niewytłumaczona, wiodła Eugonię przez ciemne i samotne ścieżki ogrodowe.

Mimo woli u jej powiek drżały łzy i spływając po rozpalonych policzkach wysychały. Ludwika nie odważyła się przerywać tych tęsknych marzeń. Szły

obydwie w milczeniu.

Nagle Ludwika zadrżała spostrzegłszy w pewnym oddaleniu ponurą twarz Vampy; jego oczy zdawały się iskrzyć w cieniu.

Eugenia także go spostrzegła. Przyjaciółki wahały się chwilę.

Cofnąć się, znaczyło obrazić człowieka, którego imię oznaczało szlachetnego kawalera. Ludwika szła więc obok Eugeniej naprzód i Vampa postąpił ku nim.

— Jakim wybornym powietrzem oddycha się w tym ogrodzie — powiedział.

— To prawda, mój panie — odparła Ludwika — ale chłód wieczorny wzmaga się i noce skłaniają raczej do umiarkowanego ciepła pokojowego, niżli do świeżego powietrza w ogrodzie. Właśnie wracamy do domu.

Eugenia zwróciła błagalne spojrzenie ku Ludwice.

— Będę miał szczęście paniom towarzyszyć.

Eugenia wolałaby korzystać z świeżości i ruchu w ogrodzie a nie w salonie; lecz nie potrafiła słowa wypowiedzieć. Vampa szedł obok nich.

Gdy doszli do schodów, Ludwika poszła przodem, a gdy Eugenia za nią wolno postępowała, Vampa rzekł drżącym i jakby z głębi serca wypływającym głosem:

— Racz mi pani pozwolić, bym się z nią pożegnał.

Eugenia zatrzymała się i obróciła ku niemu:

— Pan nas opuszczasz?

— Tak jest; może na zawsze...

— Co pan mówisz?

— Italia zabija mnie...

— Cóż pan chcesz znaleźć poza Italią?

— Gdy to możliwe będzie, siłę na zapomnienie gwałtownego, głębokiego i nadmiernego uczucia mną miotającego... W Italii jest to niemożliwe.

— Jakie masz pan powody, by zapomnieć o tym uczuciu?

Vampa rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Ach! Kto tak kocha i cierpi jak ja, ten ma do wyboru tylko dwie ostateczności: albo nagrody za cierpienia i miłość... albo zupełne zapomnienie!

— Więc pan chcesz koniecznie dążyć tą drugą drogą?

— Pani pytasz o to jeszcze raz?

— Czy ktoś byłby w stanie skłonić pana do zmiany postanowienia?

— Bez wątpienia... wystarczyłoby jedno słowo.

Po pewnym namyśle Eugenia wyszeptała:

— Osoba ta byłaby bardzo szczęśliwa.

— Zapewniam, że nikt, z wyjątkiem Boga i mnie, nie byłby w stanie tego szczęścia ocenić, skoro jedno słowo jest zdolne oderwać mnie od rozpaczliwego zamiaru...

— Mój panie, strzeż się dążenia poza granice prawdopodobieństwa! Miłość, tak jak ją ludzie czują, pojmujemy zbyt łatwo przez pojedyncze słowo; któżby dawał wiarę miłości objawianej tylko w jednym słowie?

— Masz pani słuszość, nikt by temu nie wierzył; ale szaleństwem też jest wystawiać takie uczucie na bezwstydnę pośmiewisko całego świata! — odezwał się namiętnie Vampa i dodał — Pani działasz w istocie, jak cały świat... Śmiejesz się z uczucia, które pani otwarcie wyznałem!

— Jak pan możesz żądać, bym jego uczuciu wierzyła?... Jakie dowody dałeś mi pan na to?

— Pani wymagasz może na rok cały obliczonych badań? Ze mną tak być nie może... ustąpię!

Vampa cofnął się o krok.

Eugenia poruszyła się ku niemu i mimowolnie wymówiła:

— Czekał pan!

Vampa z cierpkim wyrazem i chmurnie, a przy tym obojętnie, zapytał:

— Czego pani chce ode mnie?

— Wybacz pan!...

— Pani! Nie wążp o uczuciu tobie wyjawionym, bo to byłoby urąganiem

najwznioślejszemu dziełu Stwórcy!.... Kocham panią! Ograniczam moją całą dumę na posiadaniu tej tak miłej rączki, tej rączki, od której szczęście lub nieszczęście moje zależy!

Vampa wycisnął gorący pocałunek na rękę Eugenii.

— Jakże jestem szalony! Twój nieugięty, charakter, pani, nie chce się poddać szczerzej i głębokiej miłości, będącej w oczach pani tylko chimera! Zatem żegnam panią na zawsze, Eugenio! Bywaj zdrowa! Przynajmniej raz widziałem panią... przynajmniej jeden cały dzień oddychałem z tobą tym samym powietrzem, jeden dzień... jeden, jedyny, byłem szczęśliwy! Teraz niech mnie już nieszczęście ściga!

Vampa nagle puścił jej rękę, zawrócił i ruszył ku bramie ogrodu.

Eugenia uległa znowu jakiejś sile wewnętrznej i postąpiła za nim:

— Nie, pan tak nie możesz odejść... nie możesz odejść, bym nie wiedziała kiedy powrócisz!

Vampa pochwycił znowu jej rękę:

— Ileż to złudzeń miotało mną dzisiaj! Złudzenia i złudzenia! Eugenio pamiętaj o człowieku, który cię kochał, jak się tylko raz w życiu kocha!

Otworzył szybko furtkę i uczynił kilka kroków poza obręb ogrodu. Eugenia nie puściła jego ręki i szła u jego boku drżąca, pochłonięta silnym uczuciem, które wzmagając się burzyło w niej krew i wprawiało w gorączkę.

Vampa odezwał się raz jeszcze:

— A więc, moja panienko, poznajesz, że jesteśmy już poza ogrodem; wracaj pani i ta brama rozdzieli nas na zawsze!... Jutro może zapomnisz o mnie.

— Ach! Kocham cię, kocham pana... pan mnie nie opuścisz!... — odezwała się cicho Eugenia.

— Nie! — zawołał Vampa, i objąwszy ją silnym ramieniem, ruszył z nią szybko ku powozowi.

Eugenia wydała okrzyk wyrażający osobliwą mieszaninę przerażenia, radości i zdziwienia.

W tym czasie baron Danglars przeszukał skrytki i przekonał się, że wszystkie zamki były w nienaruszonym stanie. Powrócił zatem do salonu, a że Ludwikę d'Armilly samą zastał, zapytał o Eugenię.

— Eugenia spaceruje pod tarasem. Już się noc zbliża, chcę ją prosić, by zaniechała dalszej przechadzki.

Baron rzekł:

— Towarzyszę pani, panno d'Armilly.

Ludwika zbiegła prędko po niskich schodach, na końcu których spodziewała się zastać Eugenię, przysłuchującą się miłosnym słowom mniemanego księcia Spady. Jakież było jej zdziwienie, gdy nie zobaczyła nikogo.

Bardzo zaniepokojony był też baron, który zszedł już na dół.

— Gdzie Eugenia?

— Może jest w alei wiodącej do stawu...

Baron wołał:

— Eugenio!... Eugenio!...

Odpowiedziała mu cisza.

Ludwika i Danglars ruszyli aleją na wprost schodów; doszli już prawie do bramy ogrodowej, gdy przeraźliwy krzyk Eugenii doszedł do ich uszu.

— Mój Boże, co to jest?!

Ludwika pobiegła ku bramie.

Baron nagle przystanął, nie mógł się ruszyć, skamieniał.

Ludwika wołała:

— Mój Boże! Mój Boże! Spiesz pan, panie Danglars, spiesz pan; tu się stało jakieś nieszczęście, wyraźnie słyszałam głos mojej przyjaciółki.

Baron oprzytomniał, otworzył bramę i postąpił krok naprzód; lecz cofnął się zaraz, by nie wpaść pod kopyta koni, które w szalonym pędzie unosiły powóz.

— Ach, panie baronie — rzekła Ludwika zbliżając się strwożona — Eugenia nie pokazuje się, a ten powóz?... O, mój Boże... zmiłuj się na nami!

— Panno d'Armilly — rzekł baron — powiedz mi pani otwarcie, co się

stało?!

— Ja?

— Tak, pani! Eugenia była w ogrodzie, lecz nie tylko z chęci używania chłodu wieczornego.

— Co pan mówisz?

— Pytam, czy Eugenia była sama?

— Mój Boże, zostawiłam ją w towarzystwie księcia Spady.

— Niegodziwy potwór! — zawołał baron.

— Boże! — wymówiła Ludwika i osłabiona z przerażenia wsparła się o ramię barona.

— Panno d'Armilly — mówił baron — przed kilkoma dniami rozpoczęła się u mnie okropna komedia! Rozwiązanie jej nastąpiło teraz! Poznałem!

— Jakie rozwiązanie?

— Urowadzenie! Urowadzenie!...

— Moja najdroższa Eugenio! — zawołała Ludwika i upadła na kolana.

Baron skrzyżował ręce na piersiach, patrząc wzruszony, wściekły i przestraszony w kierunku drogi, skąd dawał się słyszeć szybki turkot powozu rzymskiego bandyty.

— Ha! Powinienem był to odgadnąć! — mruknął w końcu, uderzywszy się ze złości pięścią w czoło.

XXVI

W przybytkach ciemności

Pośród głębokiej nocy podążał powóz drogą via Appia przed cyrk Caracalli.

Vampa porwany uczuciem, wysiadłszy z powozu, uniósł w ramionach Eugenię i krocząc ku miejscu swej kryjówki nie zważał, że u wejścia nie było straży żądającej hasła.

Zatrzymał się chwilę, jakby dla wypoczynku. Żaden głos ludzki nie odezwał się, koło niego przelatywały nietoperze i muskały go swymi skrzydłami po rozpalonych policzkach... Żadne światło nie oświecało podziemnego sklepienia, mimo to ruszył pewnym krokiem naprzód aż do obszernej sali z resztkami ołtarza. Vampa znał dobrze to miejsce, złożył na nim Eugenię i przycisnął swoje namiętnością rozpalone usta do skostniałych i zimnych ust swojej ofiary. Rozdarł suknię...

Całe szkaradne okrucieństwo zbrodniczego występku ukazało się wyobraźni szybko zaspokojonego bandyty, gdy z ust zbezczeszczonej kobiety usłyszał gorzki i przytłumiony jęk.

Przeraźliwy, długi, dziki i nieokreślony krzyk, podobny do ryku dzikich zwierząt, wydobył się z jego piersi.

Rzucił dokoła siebie rozżarzoną okiem i pełen trwogi spostrzegł, że go ciemność i cisza otacza.

Ani jeden z jego skrytobójców nie pokazał się, by pochodnią przyświecać obrazowi gwałtu... lub w imieniu towarzyszy domagać się od niego części, należnej tym zbrojcom, z przyczyny dokonanego plugawego czynu...

— Nie! — zawył Vampa — Nie! Ani jeden z was nie może jej dotknąć!... Ta kobieta jest moja i tylko do mnie będzie należeć!... Biada pierwszemu, który by się ważył pozazdrościć mi jej!...

Po chwili zawołał:

— Pepino!

Tylko puste echo ciemnych podziemnych sklepień odpowiedziało mu.

Zawołał jeszcze silniej:

— Rocca Priori! Czyż wasz sen tak twardy, że głos przywódcy zbudzić was nie może?!... Przekleci, dajecie się snom obezwładnić... zapominacie o czujności

potrzebnej dla bezpieczeństwa waszego jedyne go schronienia... Wstawajcie!... Wstawajcie!..

Vampa dobył pistolety i oddał dwa strzały, których krótki błysk odbił się na twarzy Eugenie, leżącej jeszcze ciągle na fatalnej, czarnej, marmurowej płycie.

Odgłos przebrzmiewał z wolna.

Vampa śledził z napięciem ucha ostatnie brzmienie echa, które powtarzało głos wystrzelonej broni palnej...

Poznał teraz swoją zgubę. Jego zimne i drżące ręce dzierżyły jeszcze wypalone pistolety.

Opanowało go uczucie nieokreślonej obawy... Zimny pot okrył jego czoło. Po raz pierwszy doznał Vampa uczucia strachu. Jego całe ciało drżało; lodowate zimno przenikało jego żyły...

— Pepino! — mrucał — Miałebyś mnie zdradzić?... Nie, to nie może być!... Pepino wyruszył może z moimi ludźmi na korzystną wyprawę w przekonaniu, że rychło nie wrócę... Ale nie powinien był odejść bez pozostawienia dwóch ludzi na straży; od dłuższego czasu na moją głowęznaczona jest cena i chociaż są osoby chroniące mnie... przecież mam wielu nieprzyjaciół!

Mijały godziny i bandyta na próżno oczekiwał powrotu Pepina. Spostrzegł też dopiero teraz ze zdumieniem, że Eugenia popadła w jakiś głęboki, nienaturalny sen. Jej ciało spoczywające na marmurze, na którym niegdyś umarłych kładziono, przerażało go. Wyciągnął rękę i zawahał się. Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta:

— A gdyby sen, przytłaczający jej oczy, miał być snem śmierci?... Gdybym się u boku trupa znajdował?... Lecz nie, nie!... Czuję bicie jej serca... żyje... śpi... znużona przestrawem i rozkoszą! Niech śpi!... Jutro się obudzi!...

Umilkł. Kilka chwil później począł znów:

— Czyż już tej nocy końca nie będzie?... Jestem na zawsze skazany na ciemność i zgrozę?... Czyżby los złośliwy dał mi tę kobietę na towarzyszkę

wieczną, pogrążoną we śnie straszliwym umarłych?... Kobietę, której ramiona mnie nie obejmują, której usta są nieruchome, gdy je pocałunkami okrywam!... Tę kobietę, która na moje pieszczoty pozostaje nieczuła i zimna!... Ha, cóż mnie interesuje jej ciało, gdy jest z marmuru?... O Eugenio, Eugenio! Ty żeś to?... Ty żeś to, którą wczoraj do szaleństwa kochałem?... Ty żeś mnie twoim wspaniałym i przepyszny artyzmem oczarowała?... Eugenio, gdzież jest podniosła gibkość i powabność twego ciała? Oto spoczywasz tu nieruchomo i ociążale jak trup!... Cóż mi z twojej piękności, jeśli ta noc ma być wieczna?... Jakże mogę cię widzieć i upajać się twoim miłosnym szczebiotaniem?... O rozpaczy!... Niechby przyszła i śmierć, lecz niech i światło będzie; chociażby na chwilę!... Ciemność przygniata mnie!... Te sklepienia nie są niczym innym, tylko grobem!... Ileż to razy spokój umarłych mąciłem orgiami... i zbrodniami! I teraz mącę znów uroczystą ciszę ich spoczynku ostatnim moim występkiem! Ach tak!... Ostatnim!... Tak!...

Odrzucił od siebie wystrzelone pistolety.

— Precz ode mnie... zgubne, mordercze... przeklęte narzędzie!... Tak, teraz obudzisz się Eugenio... zaprowadzisz mnie do prawdziwego szczęścia!... Ach jaki jestem głupi!... Może jakaś istota ludzka kiedykolwiek bez obrzydzenia i gniewu, imię bandyty wymawiać, który od tylu lat rabował, zabijał, gwałcił... bez litości dla starców, dzieci, kobiet... byle zadośćuczynić swojej pysze i swoim dzikim namiętnościami?... Nie, potępienie będzie mnie prześladować wszędzie!... Jestem przeklęty w oczach ludzi i Boga!... Nieszczęsny!... Oczekuję, że ta kobieta obudzi się, że jej usta przemówią, że jej oczy rozjaśnią się i patrzeć będą!... A nie myślę o tym, że jej pierwszy krzyk, jej pierwsze spojrzenie... wywoła w jej duszy zgrozę i złorzeczenia... Eugenio!... wybacz!... Ach, wybacz mi!

Vampa upadł na kolana i skrył twarz w dłonie.

Ocknął go dopiero blask czerwieniejącego światła, które rozlało się nagle w podziemnym chodniku.

Wstał, odetchnął, jak gdyby nowe życie wciągał w swoje płuca i zawołał:

— Pepino!

Nikt nie odpowiedział, lecz blask światła zbliżał się.

— Pepino! — zawołał ponownie Vampa.

To samo milczenie.

Vampa zadrzał. Był rozbrojony, sam i nie mógł się obronić przed najściem. Przez głowę przebiegła mu myśl, że zna skrytki podziemnej pieczary i może się skryć w jednym z najdalszych zakątków groty. Nagle zjawił się przed nim człowiek i zatrzymał go słowami:

— Poznałem cię!....Trudno!

Światło pochodni, którą ten człowiek niósł, rozjaśniło ciemności. Vampa stał nieruchomo; nieznajomy zrobił kilka kroków naprzód. W rękę dzierżył pistolet.

— Benedykt! — wyszeptał Vampa i cofnął się.

— Cicho, Vampa, albo zginiesz — zawołał Benedykt wzniosłszy nad głową pochodnię, by dokładniej postać bandyty rozpoznać i wymierzył do niego z pistoletu.

— Zaspokoileś swoje obrzydliwe żądze... przychodzę więc upomnieć się o część mi należną.

— Pepino zdradził mnie! — wyszeptał Vampa i dodał głośno: — Ha! Więc po to przyszedłeś?... Nie tracisz, widzę, czasu Benedyckie!... Dokonałem porwania; co się zaś tyczy okupu... to otrzymam go później.

— Potrzebuję pieniędzy jeszcze dziś.

— Niemożliwe!

— Żądam natychmiast!

— Cóż mnie to obchodzi?

— Życie cię obchodzi, przyjacielu! U mnie następuje czyn zaraz po słowie. Widzisz przecież, że jestem uzbrojony.

— A ja?

— Ty?... Ty nie!

— Podśluchiwałeś mnie — mruknął Vampa wściekły. — Nikczemny!

Benedykt zaśmiał się głośno, jak ten, który bezsilny gniew dziecka wyśmiewa.

— Zdrajco! — jęknął Vampa.

— Wszak nie czynię ni mniej ni więcej, tylko to, co ty tysiącokrotnie czyniłeś... rabuję... Prędko, kapitanie. Nie ociągaj się! ... Pieniądze lub życie!...

— Ależ nie mam pieniędzy!

— Vampa!... Vampa!...

— Słuchaj — rzekł Vampa, rozglądając się dookoła — jesteś tym Francuzem, który rzymskiej policji moją głowę przyrzekł! Widzisz, że i ja wiem wszystko!

Vampa poruszył się, zdawało się, że zamierza rzucić się na Benedykta. Ten podniósł z wolna wylot lufy pistoletu i mierzył w pierś bandyty, który, trzęsąc się ze złości, posiniał i musiał, opuściwszy na piersi głowę, wysłuchać, co jeszcze podobało się powiedzieć synowi Villeforta.

— Obrabuję rabusia i dlatego otrzymam więcej lat wolności, niż mi na życie pozostaje; ty odpokutujesz swoje zbrodnie i dlatego także uzyskasz przebaczenie; tymczasem nie zwlekajmy już dłużej, Vampa. Pieniądze, albo życie! Znasz znaczenie tego wyrazu, bo jesteś mistrzem w tym zawodzie...

— Któż mi zaręczy, że mnie nie zamordujesz, gdy ci oddam moje pieniądze?

— Mógłbym to uczynić i uczynię, jeśli jeszcze jedną minutę ociągać się będziesz.

— Więc dobrze, przystąp bliżej.

— Połóż pieniądze na marmurze obok twojej ofiary i odstęp...

Vampa złożył swój trzos i odszedł o kilka kroków.

Benedykt zobaczył w trzosie pieniądze i schował je.

Rzymski bandyta bacznie uważał na każdy ruch Benedykta, lecz ten ani na jedną chwilę nie uchylił wymierzonego pistoletu. Cofając się doszedł do wyjścia z podziemi i zabrał pochodnię ze sobą.

Bandyta został znowu w ciemności, oddany na istne męki. Padł u stopni katafalku i rwał włosy.

Syn Villeforta doszedł do krańca podziemnego chodnika i gdy przechodził otworem wykutym w skale, zetknął się z oddziałem dziesięciu lub dwunastu zbrojnych. Nieco dalej zobaczył oddział kawalerii.

— Mój panie — powiedział Benedykt do jednego z tych ludzi — bandyta jest sam.

— Widział go pan!?

— Tak.

Usunęli się tajemniczo w kąt i tam prowadzili dalej rozmowę.

— Mój panie — rzekł Benedykt — oddaję bezsprzecznie całemu Rzymowi ważną przysługę; sądzę więc, że mi pan nie dasz stąd odejść bez eskorty kilku żołnierzy, chociaż policja powinna mi wierzyć. Otrzymałem już nagrodę za głowę bandyty i to wystarcza...

— Co pan chcesz powiedzieć?

— Weź czwartą część sumy i powiedz, że jakimś tajnym chodnikiem katakumb uciekłem.

Benedykt wcisnął mały rulon w rękę komendanta agentów policyjnych.

— Czy to złoto?

— Przekonaj się pan.

— Zdecydowanie. Teraz zaczekaj pan jeszcze chwilę, aż moi ludzie schwytają Vampę; potem możesz odejść.

Komendant przystąpił do zbrojnego oddziału i zawołał:

— Zapalić pochodnie i schodzić w dół. Ruszajcie towarzysze, w drogę i do dzieła!

Światła zajaśniały natychmiast i pikieta kawalerii zbliżyła się spieszenie do wejścia; dobyto szabli i policjanci zeszli w dół, aby odszukać Vampę.

W kilka minut potem we wnętrzu podziemnego sklepienia rozległ się rozpaczliwy krzyk, szalony, wściekły krzyk, pełen złości.

— Słyszysz pan?

— Słyszę.

— To krzyk lwa, który upada, by już więcej nie powstać; to znaczy: Luigi Vampa znajduje się w ręku rzymskiej policji...

— Ruszaj pan! Jesteś wolny!

Syn Villeforta znikł w ciemnościach.

XXVII

Sprawiedliwość Boża

Vampa, bandyta prześladowany tak długo okolice Rzymu, został wreszcie schwyty i miał otrzymać zasłużoną karę za swoje przestępstwa. Nikt się za nim nie wstawił.

Człowiek ten — zawsze głuchy na prośby swoich ofiar, obojętny na śmiertelne męczarnie nieszczęśliwych — widział z przerażeniem przed sobą rusztowanie przygotowane na jego stracenie i pomiędzy ciekawymi widzami nie spostrzegł ani jednej twarzy, na której malowałoby się współczucie.

Obojętność okazywaną zawsze ofiarom, poznał teraz w rysach tych wszystkich, na których patrzył... jak gdyby Opatrzność chciała mu dać odczuć, jak okropny jest ten ostatni moment ludzkiej egzystencji, gdy nie doznaje się ani prawdziwej przyjaźni, ani wpływu prawdziwej religii.

Gdy agenci policyjni dostali się do podziemnej sali w katakumbach św. Sebastiana, Vampa przywitał ich dzikim krzykiem, na który Benedykt odpowiedział głośnym śmiechem. Był sam jeden, bezbronny, mając przed sobą ośmiu uzbrojonych ludzi zdecydowanych na wszystko... Podał się więc; obalono go, związano i powleczono.

Vampa poznał też co go czeka... Szafot i kata z jego wielką żelazną maczugą miał ciągle przed oczyma; a chociaż mimowolnie przymykał oczy, zdawało mu

się, że wciąż widzi posępne przygotowania.

Nic nie mogło go już uratować; przyjaciół nie miał; złoto zrabowano mu.

Jego posępna twarz zwróciła się jeszcze raz ku miejscu, na którym leżało ciało Eugonii; gorzki uśmiech błąkał mu się koło ust. Jego osłupiałe wejrzenie, wejrzenie człowieka obudzonego z niepojętego, trapiącego snu, zdawało się zlorzeczyć godzinie, w której zobaczył tę kobietę.

Kiedy bandytę odprowadzono do Rzymu pod eskortą kawalerii, syn Villeforta dojechał już do małego dziedzictwa barona Danglars i zeskoczył z konia przed bramą.

Silnie pociągał za dzwonek tak długo, aż wyszedł jeden ze służących.

Na dworze zaledwie poczęło dnieć.

— Powiedz panu baronowi Danglars, że mam dla niego wiadomość najwyższej wagi!... Zdaje mi się, że nie pozwolisz, bym tu za bramą wyczekiwał?

— Wybacz pan, mam wyraźny rozkaz wpuszczać tylko znajome osoby; sądzę nawet, że jego Ekscelencja w tej chwili nikogo przyjmować nie chce. Zatem najlepiej pan uczynisz podając mi swoje nazwisko.

— Chociażbym moje imię wymienił, uchodzić będę za obcego; powiedz więc panu baronowi, że jestem agentem policyjnym i oczekuję od niego pewnych wiadomości z powodu katastrofy, której doznała tej nocy osoba bardzo panu baronowi bliska.

Służący odszedł, a Benedykt czekał.

Ludwika d'Armilly podczas tej fatalnej nocy ani oka nie zmrużyła; najmniejszy szelest przerażał ją, ciągle jej się zdawało, że dochodzi do jej uszu gdzieś z oddali krzyk przyjaciółki.

Leżała właśnie na sofie, gdy usłyszała dzwonek u bramy, a potem jakby ta się otworzyła i znów z łoskotem zamknęła.

Tysiąc domysłów przeleciało przez głowę Ludwiki; serce biło jej gwałtownie, głos zamierał na ustach, nie mogła powietrza zaczerpnąć.

Baron Danglars ciężko dotknięty uprowadzeniem córki, nie mógł się jednak oprzeć wymogom nocy i spał od kilku godzin, rzuciwszy się w ubraniu na łóżko.

Ludwika d'Armilly zatem pierwsza dowiedziała się o przybyciu jakiegoś obcego tak wczesnym rankiem.

Przy słowach: „Agent policyjny”, wymówionych przez służącego, zdawało się Ludwice, że zapewne krzyk Eugenie zwrócił uwagę przechodniów i powóz mniemanego księcia został zatrzymany przez policję. Pospieszyła sama do pokoju barona, zbudziła go, dając najpierw rozkaz służącemu, aby agenta policyjnego do salonu wprowadzić.

Baron zbudzony ze snu, dowiedziawszy się o agencie policyjnym, zbierał się do wyjścia ku niemu.

Ludwika pragnęła usłyszeć wszystko, co mówione będzie i dlatego stanęła przy drzwiach salonu. Nie słysząc jednak nikogo mówiącego, otworzyła drzwi, wołała, nikt nie odpowiadał.

Baron wychodził właśnie z pokoju, gdy go znany głos wstrzymał.

— Wyznać muszę, panie baronie, że pan w swych ruchach zawsze nadzwyczaj jesteś powolny.

Baron obrócił się raptownie i wydał okrzyk przerażenia. Naprzeciw niego stał Benedykt.

— Pan tu? — pytał — Skąd pan się tu wziął?... Wszak ten pokój ma tylko jedne drzwi!

— Zapominasz pan, że martwa ręka zdoła w ciemności drzwi odszukać, których żadna inna nie jest zdolna wykryć!

— Pan żartujesz, mój panie! Wytłumacz się pan... w ten sposób gwałcić moje prawa pana domu?... Mów pan, albo zawołam...

— Zupełnie bezcelowym byłoby myśleć o tym, gdyż nikt nie ma tu zamiaru wyrządzać panu żadnej przykrości.

— Lecz czego pan chcesz ode mnie?... Którędy pan wszedłeś? — zapytał

jeszcze raz baron.

— Odpowiem na pańskie pierwsze pytanie i spodziewam się, że rychło dojdziemy do porozumienia... Zamknij pan drzwi, panie baronie; mógłby nam ktoś przeszkodzić!

— Ależ mnie oczekują na dole... pan może nie wiesz... lecz nie, pan wiedzieć musisz...

— Nic mi nie jest niewiadome, mój panie... Wydarto ci pannę Eugenię... Wszak to jedna ze sztuczek pańskiego przyjaciela Vampy.

— Mego przyjaciela?

— Ofiarował panu złoto, a pan je przyjął.

— Ja?

— Tak jest, pan!... Cóż pan mogłeś oczekiwać, skoroś przyjął złoto z rąk bandyty mając u siebie młodą i ładną dziewczynę?... Zdaje mi się, pan znasz się lepiej na liczbach, niż na ludziach!

— Nie pojmuję ludzi nie wypowiadających jasno swoich myśli, jak pan na przykład!

— Chcę pana uspokoić; lecz najpierw zamknij pan drzwi.

— Zejdź pan ze mną do sali i czekaj aż się rozmówię z agentem policyjnym... Niezawodnie przychodzi, by mi powiedzieć o uwięzieniu uwodziciela... Życie Vampy spoczywa teraz w mym ręku!

— To bajki, panie Danglars. Jeżeli pan jesteś przyzwoitym człowiekiem, to unikaj zetknięcia się z agentem policyjnym.

— Dlaczego?

— Przynajmniej instynktem.

— Co pan chcesz powiedzieć?...

Baron zbladł i szybkim ruchem ręki przekręcił klucz w drzwiach.

— Bardzo dobrze, panie baronie, to rozumiejsze!... A teraz chodź pan bliżej i słuchaj pan.

W tym momencie zapukano z cicha do drzwi i głos panny d'Armilly zawołał:

— Panie Danglars!

Baron chciał odpowiedzieć, lecz Benedykt dał mu ręką znak milczenia.

— Panie Danglars!... Ach, cóż tu za tajemnice są?... Mój Boże, to wszystko przeraża mnie!

Gdy Ludwika d'Armilly spostrzegła, że jej nikt nie odpowiada, zeszła na dół i w kilka minut potem wołała głośno na służącego.

— Panie baronie — rzekł Benedykt — wiem wszystko, Vampa jest aresztowany; zeznał, że tu u pana spędził noc. Przyznał się do znajomości, więc nie zostawią pana w spokoju.

Pot kroplisty wystąpił na łysinie pana Danglars.

— Więc? — zapytał z przestachem, zwracając trwożliwie oczy ku drzwiom.

— Więc?... Więc rzecz bardzo prosta — odparł Benedykt ze stoicką obojętnością. — Skoro sprawa doszła do moich uszu, pospieszyłem zawiadomić pana o tym.

— Lecz cóż mam czynić? — pytał znowu baron coraz bardziej rozdrażniony.

— Lichą masz głowę, panie baronie.

— Ach tak, bez wątpienia, przyznaję, mój drogi przyjacielu, są jednak niektóre zdarzenia tak niespodziewane, że oddziałują na mnie osobliwie. Aczkolwiek rozumiem, że nie ma czasu do stracenia.

— Coś pan zrobił w Paryżu, poznawszy nadzwyczaj uciążliwe położenie pańskie i olbrzymi deficyt w księgach?

— Teraz wyjaśniasz mi pan położenie!... Podczas gdy prokurator wdów i sierot oczekiwał na swoje pięć milionów, umknąłem.

— Czegóż pan więcej żądasz? Pożegnaj się pan z wszystkim i zmykaj.

— Właśnie przemyślałem nad tym, mój najlepszy przyjacielu. Lecz jaką drogą?

— Wyprowadzę pana.

— Pod słowem? — pytał baron błagalnym tonem.

— Przysięgam! Naprzód!... Spiesz się pan. Za kilka minut wywalą drzwi...
Dzień się zbliża i niebawem nie będziesz pan w stanie uciec!

— Ten przeklęty Vampa! — mrucał baron, zdążając do swego biura i przy świetle lampy zaglądając w miejsce, gdzie złożył pieniądze.

— Zostaw pan te bagatele — rzekł Benedykt — mam pieniądze i pożyczę panu jaki grosz.

— Co?! Mam zostawić co do mnie należy, aby się tym sądy karmiły?...
Przenigdy!... — odparł baron, ładując do kieszeni wszystkie pieniądze i rzeczy wartościowe — Nie przeszkadza nam w ten sposób rzeczy uporządkować i czas nie napiera tak bardzo, by za dobrą garść piastrów nie poświęcić dwie czy trzy minuty... Teraz jestem gotów... możemy uchodzić!...

Przy tych słowach Benedykt nacisnął sprężynę w obrazie. Obraz obrócił się natychmiast na swych ramach i ukazały się wąskie schody prowadzące w dół.

— Tu, panie baronie — rzekł Benedykt. — Strzeż się pan; schody są mokre i z wilgoci oślizłe.

— Naprawdę jesteś pan czarownikiem! — zawołał baron prowadzony przez Benedykta — Niech mnie diabli porwą, gdybym kiedy przeczuwał to skryte wyjście... to jest naprawdę cudowne!...

Tymczasem Ludwika d'Armilly ponownie chciała widzieć się z baronem, zabrawszy ze sobą obu służących. Drzwi były zamknięte i żaden głos nie odpowiadał na wołanie.

Wpadała na najbardziej przesadzone domysły, z których jeden wydał się służącym możliwy; mianowicie, że barona apopleksja trafiła, zanim zdołał drzwi otworzyć... Służący zdecydowali się drzwi wyważyć.

Po nieznacznym nacisku spróchniałe drzwi rozpadły się w kawałki.

Ludwika d'Armilly wbiegła do pokoju oświetconego jeszcze słabym światłem lampy... Pokój był pusty.

Przestrach Ludwiki podwoił się.

Do domu przecież wkradł się człowiek, mieniający się agentem policyjnym;

ten człowiek gdzieś znikł, jakby zaczarowany. Barona nie było już w swoim pokoju, chociaż był w nim zamknięty.

— Ach — rzekła, próbując ukryć bojaźń — baron musiał niewątpliwie wyjść.

— Ależ panienko — odrzekł jeden ze sług — którądy mógł wyjść? Chyba oknem, a i to ma kraty.

— Nie wiem — odrzekła Ludwika — jednak musi tak być... Powiedz pan woźnicy, by zaprzęgał do powozu, bo chcę do miasta jechać, a gdy pan baron wróci, powiedz pan, że go bardzo przepraszam za wyjazd bez pożegnania, lecz nie mogłam dłużej czekać wobec obowiązków w teatrze.

Służący usłuchał i w kilka chwil potem z drzeniem wsiadła Ludwika do powozu, który ją zawiózł do Rzymu.

Zaledwie weszła do swego mieszkania, gdy pani Aspazja naprzeciw wybiegła z wiadomością, że jej przyjaciółka Eugenia z brzaskiem dnia do domu wróciła i zaraz udała się do łóżka czując się nieco chora.

Ludwika ze łzami w oczach pobiegła do pokoju Eugenii, rzuciła się na łóżko i wzięła Eugenię w ramiona.

Obie przyjaciółki wyściskały się wśród pocałunków i łez.

Gdy Benedykt i Danglars doszli do końca kręconych schodów, znaleźli małe drzwi wiodące do drugiego domu. Światło poranne cisnęło się już przez wysoko w murze umieszczone okienko.

Zaledwie doszli do tego miejsca, zwrócił się Benedykt raptem do barona, przyłożył mu pistolet do głowy i zażądał stanowczym głosem wszystkich pieniędzy i kosztowności.

Baron zeszywniał, głos mu zamarł i z nadzwyczajnym wysiłkiem zdołał wymówić:

— Aj, mój kochany przyjacielu, daj już raz spokój ze swoimi żartami... Przecież znam cię...

— W takim razie musisz przyznać, że bez najmniejszych skrupułów zabiję

pana, jeżeli mi natychmiast nie wydasz pieniędzy zabranych z twego biura... No, szybko, panie baronie!

— Mój panie! Naprawdę! — wybąknął baron — Pan chcesz kpić ze mnie... To nie jest pora ku temu!...

— Toś pan prawdę powiedział, bo w każdej chwili mogą dom otoczyć, ten schowek odkryć i pana schwytać.

— I pana także — odparł baron.

— Słowa pańskie są dobrą wróżbą, panie Danglars. Zatem chcę sprawę zakończyć bez straty czasu — odrzekł Benedykt obojętnie, odwodząc kurek pistoletu.

— Ha! Pan chcesz mnie więc rzeczywiście obrabować? — mruknął baron z największą rozpaczą.

— Jakiś zabawny baronie — odrzekł Benedykt. — Cóż jesteś?... Czym byłeś?... Czym będziesz zawsze?...

— J... ja... ja... nigdy... ani razu nie zrobiłem panu nic złego.

— Mniejsza o pytania i odpowiedzi, baronie Danglars... pieniądze lub życie!

— Czy jesteś pan rabusiem?

— Chcę panu wyjaśnić pańskie zaślepienie. Skoro pan poznałeś, że mogę panu w czymkolwiek być pożyteczny, miałeś pan tę słabostkę zapomnienia moich grzeszków, nazwania mnie swoim przyjacielem i uważania mnie za uczciwego człowieka! Słabostka pańska wynikała z braku czystości twego sumienia!... Nigdy nie mogło być czyste sumienie człowieka naruszającego rozmyślnie powierzony mu grosz wdów i sierot!... Sumienny nie był też człowiek, przebaczący żonie swej bezwstydu..., skoro się spodziewał znaleźć u niej majątek podwojony czy potrojony nie wiadomo jakimi nieuczciwymi środkami... Sumienie nieczyste miał człowiek, przechowujący u siebie najstraszniejszego rzymskiego bandytę, biorący z jego zbrodniczych rąk pieniądze, nie zastanawiając się nawet nad powodem takiej niespodzianej hojności!... Pojmujesz pan teraz, jaka to opaska zakrywała panu oczy, panie

baronie!...

— Ha! A pan, który tak pięknie mówisz... Kimże jesteś?... Skąd się wzięłeś?... I czego chcesz?

— Bardzo pięknie!... Trzy pytania... Trzy odpowiedzi. Jestem człowiekiem bez imienia, bez rodziny, bez religii, bez Boga, bez ojczyzny i bez przyjaciół!... Wziąłem się, a raczej wyszedłem z ciemnicy grobowej, niosąc w sercu rozpacz, na ustach złorzeczenia, a w ręku szczególną relikwię, rękę, która w chwili, gdy pierwsze tchnienie życia tego świata wciągał, to tchnienie zdusić chciała, tę rękę zarazem, która mnie potem błogosławiła, tę rękę, którą całowałem i łzami zrosiłem!... Teraz mój panie pozostaje mi jeszcze odpowiedzieć na ostatnie pana pytanie: czego chcę?... To, czego chcę, jest wypełnieniem sprawiedliwej i nieprześląganej zemsty!

— Kiedy pana obraziłem? — spytał Danglars czując, jak się pod nim kolana uginają.

— Nigdy!

— Ach! I mimo to... obrabowujesz mnie.

— Mój panie, rabuję, gdyż droga, jaką mam do przebycia, jest drogą kosztowną! Człowiek, z którym mam sprawę, jest możny; potrzeba więc wiele pieniędzy, by go pokonać!... Rabuję z potrzeby, z koniecznej potrzeby! Lecz zbrodni tej nie poświęcam osób szlachetnych w moim pojęciu... Mój panie, czas upływa... Położenia pańskiego nie da się poprawić, wybieraj pan więc: twoje pieniądze albo twoje życie!

Benedykt wyciągnął rękę po pieniądze i kosztowności, które mu Danglars oddawał z ciężkim westchnieniem.

Nastąpiła chwila milczenia, Benedykt z pistoletem w ręku patrzył przez szparę w drzwiach na zewnątrz.

— Nie ma nikogo — powiedział. — Chodźmy!

Blady i trzęsący ślizgał się baron po murze, póki Benedykta nie doścignął.

— Miłosierdzia — mówił. — Jestem stary i mój siwy włos musi u pana

współczucie wzbudzić. Co pan chcesz, bym teraz począł?... Wszak najmniejszy krok w Rzymie i zostanę uwięziony!

— Wtedy będziesz miał mieszkanie za darmo, panie baronie. Czy to źle? — odparł Benedykt starając się drzwi otworzyć.

— Zmiłuj się pan nade mną, na miłość Boga!

Benedykt wpatrzył się w Danglarsa, jakby chciał wejrzeć w najskrytsze zakamarki jego duszy.

— Do licha, jesteś bardzo nabożny, mój stary towarzyszu! — zawołał. Po czym dodał: — Nędza jest przyrodnią siostrą dewocji, lecz zdąża przynajmniej otwarcie obok tejże!

— No to dobrze, jeżeli nie w imię Boga, to w imię posłannictwa twego, litości! — prosił Danglars.

— To przynajmniej zrozumiałem lepiej!... Lecz czegoż pan właściwie żądasz ode mnie?

— Byś mi pan dopomógł.

— W czym?

— Ależ we wszystkim... we wszystkim!... Ratuj mnie pan, chroń mnie pan!

— Cóż to!... Chcesz pan może, bym pana wziął ze sobą, stary bezwstydniku?... Opuszczam Italię, należący do mnie okręt oczekuje w porcie.

— Okręt! — powtórzył zadyszany baron, wyprostowując się raptownie — Okręt?...

Zdawało się, jak gdyby w niego nowe życie wstąpiło.

— Co panu jest?... Co się z panem dzieje? — powiedział Benedykt zauważywszy poruszenie Danglarsa.

— Wszak powiedziałeś mi pan, że okręt należący do pana czeka w porcie?

— Tak.

— Masz pan sternika?

— Niezawodnie.

— Ach!

— Więc?

— Prosiłbym pana o to miejsce.

— Pan?

— Tak jest, ja! Lecz gdy zdecydowałeś się pan podróżować, chcesz niezawodnie handlować... Zapewne zechcesz na pokład zabierać przemytniczy towar na Morzu Śródziemnym. Ofiaruję się panu na sternistrza.

— Więc znasz się pan na kierowaniu statkiem i na stosunkach handlowych, panie baronie?

— Czy się na tym znam! Pierwszy mój zawód znalazłem na morzu, leżąc między pokładem i pakami!

— Co pan mówisz? A herb, jaki zdołał pańską kołyskę?... Imię pańskich przodków?

— Najpierw byłem marynarzem; potem postępowałem wyżej, wzniosłem się na stanowisko, na jakim mnie pan widział... Teraz będę znowu w tym miejscu, z którego wyszedłem.

— Przysięgnij mi pan na swoje życie, że prawdę mówisz!

— Tak jest.

— Rozważ pan, że znajdziesz grób w paszczy rekina, gdybyś się okazał nieudolny.

— Ręczę za siebie.

— Więc skryj swój wysoki tytuł szlachecki do kieszeni i chodź za mną. Pańska historia zaciekała mnie. Opowiesz mi ją na otwartym morzu!...

XXVM

Jedna noc na morzu

Gdy jakiś człowiek zdobędzie sobie stanowisko i imię, komuż by kiedy na myśl przyszło, aby poniżyć go, przypominać mu niepewność jego urodzenia?

Lecz gdy człowiek z nicości zagadkowym sposobem wzniesie się wyżej, gdy ze swej nicości za przyczyną zbrodni wypływa... któż wówczas upadkowi takiego człowieka nie przykłaśnie?

Daleko jednak od tej pięknej teorii odbiegły sprawy.

Danglars towarzyszył Benedyktowi i następnego poranka znalazł się na pokładzie jachtu, który od zatoki Tybru w kierunku Korsyki odpływał.

Jacht, którego obydwaj żagle zachodni wiatr rozpiął, nachylił maszty ku białej pianie łagodnych fal, oddalając się z lekkością od brzegów Italii.

Pepino stał oparty o przedni maszt i patrzył ciekawie na człowieka przy sterze, który nie odwracał oczu od chorągiewki i małego kompasu.

Benedykt okryty płaszczem stał przy tym człowieku, jak gdyby strzegł jego czynności.

Wiatr stał się silniejszy pod wieczór i jacht począł szybciej płynąć.

Gdy człowiek u steru to spostrzegł, rzekł do Benedykta:

— Wejdziemy w linię wiatru. Moim zdaniem możemy tylko pod głównym żaglem płynąć, a żagle łatyńskie ściągnąć.

— To wszystko jest dla mnie greką, a co się greki tyczy, to miałem poprzednika, który z żądzy nauczania się greki umarł, Mestre Danglars — odrzekł Benedykt. — Lecz zawołam kogoś, kto się rozumie na pańskiej mowie: hola! Rocca Priori, zawołaj pilota.

— Jestem! — zawołał jeden wysuwając się spieszenie z koła majtków.

— Sternik Danglars mówi, aby łatyński żagiel zwinąć.

Pilot zaśmiał się szyderczo, patrząc z ukosa na Danglarsa.

— A to dlaczego?

— Weszlibyśmy w linię wiatrów...

— To pięknie! Zdaje się, pan nie lubisz oszczędzać rąk załogi okrętowej. Dlaczego, śmiem pytać, dostaniemy się na linię wiatrów?

— Znasz pan położenie wyspy Elby? Nie uważasz pan, że południowo-zachodni wiatr coraz silniej dmie?

Pilot ruszył ramionami i mruknął:

— Zdaje mi się, że towarzyszy boi się wiatru...

— Ruszcie się chłopcy na swoje miejsca. Sternik Danglars będzie komenderował! — zawołał Benedykt.

Potem zbliżył się do Danglarsa ze słowami:

— Bacz pan na to, co czynisz! Przypomnij sobie, że zrobię z pana podarunek dla ryb, skoro okaże się pan niezaradny na pokładzie. Powiedziałem już panu, że mi spieszno dostać się do wyspy Monte-Christo...

— Uspokój się pan, stan Morza Śródziemnego znam dobrze i chociaż położenia wyspy nie znam, znajdziemy ją przecież.

Danglars zbadął kompas i począł rozkazy wydawać.

Pilot przechadzał się po pokładzie i coraz zjadliwsze spojrzenia rzucał na Danglarsa.

Jacht płynął prawidłowo i Benedykt nie zważał już więcej na sternika. Majtkowie zaczęli nucić powolny, chóralny śpiew, powtarzając strofy wyśpiewywane przez Pepina stojącego pośród nich. Ton tej pieśni wywierał jakieś nieprzyjemne wrażenie na Benedykcie. Czuł potrzebę samotności i rad by wokoło siebie nic nie słyszeć, prócz gwizdu wiatru i szumu rozcinanych fal. Po burzliwym życiu stanął wreszcie przed zadaniem bardzo trudnym; w duszy jego igrały rozpacz, może skrucha i żądza zemsty — gdy przed sobą miał bezmierny obszar morza.

Zawołał Pepina, rozkazał mu usunąć majtków i nie powoływać ich do straży; sam bowiem chciał tę pierwszą noc na morzu czuwać.

— Więc pan ufasz zdatności Danglarsa? I liczysz na jego spryt? — zapytał Pepino.

— Dlaczegoż by nie? Rzecz nie jest mu obcą, a mogę cię zapewnić, że jeśli się wiatr nie zmieni, jutro o świcie będziemy przy Elbie. Możesz iść Pepino!

Pepino usłuchał i w kilka chwil nikogo nie było widać. Tylko dwie osoby pozostały na pokładzie: Benedykt i Danglars. Jeden z nich marzył o przyszłości,

drugi o przeszłości. Benedykt zbliżył się z wolna do Danglarsa i zatopiwszy weń badawcze spojrzenie, ruszył lekko jego ramię.

— Nic nowego — wymówił spiesznie Danglars patrząc na igłę magnesową.
— Łódź bieży w kierunku dobrego wiatru...

— W tej chwili byliśmy obydwaj daleko od łodzi! — rzekł Benedykt przerywając mu.

— Zaręczam panu...

— Dosyć! — przerwał Benedykt — Co nas obchodzi, tak pana, jak i mnie, w tej chwili, łódź, morze, pośród tej ciemni? Ja myślałem nad tym, co ma być, a pan — bez wątpienia — o swoim przyszłym życiu. To jest w porządku. Jeden z nas ma się oddać ściganiu pewnego człowieka. Drugi ma zgłębiać, który z jego wszystkich czynów całego życia spowodował straszny los, jaki od pewnego czasu go przygniata!... Mów pan... mów pan... czuję potrzebę słyszenia kogoś, kto popełniał zbrodnie!... Chcę zbrodnie poznać z różnych stron... chcę znać wszelkie sposoby, dzięki którym człowiek na tym świecie cierpieć może! Mów pan!... Bo ja chcę, ja muszę, z każdym tchnieniem, wszystkie najdroższe żądze człowieka niszczyć, by z jego serca najboleśniejże jęki wydobywać!... Biada mi, gdy mego celu chybię! Gdy cios wymierzony nie trafi, gdy moje ramię opadnie bezbronne!... Gdy mnie mój rozum zawiedzie!... Mój ojciec, nie byłbyś pomszczony!

Danglars patrzył ze zdziwieniem na Benedykta; nigdy jeszcze takiej mowy z jego ust nie słyszał.

Nastąpiła chwila milczenia. Benedykt płakał i szerokimi krokami przechadzał się po pokładzie. Nagle stanął przy baronie.

— Mój panie — zapytał — ten hrabia Monte-Christo, ten Edmund Dantes, kto to był? Odpowiadaj pan! Skąd brał tą moc? Tą siłę zemsty niemiłosiernej?

Danglars zadrżał.

— Mogę panu wyjawic tajemnicę, która tylko między nim a Bogiem jest?

— Czegóż nie mówisz: między nim a piekłem? — zapytał Benedykt.

— Bo zaczynam wierzyć w wyższe prawa, z których rzeczywista sprawiedliwość wypływa!

— Więc wierzysz, że Edmund Dantes natchniony był tym wyższym prawem?

— Wierzę w to! — wyszeptał Danglars.

— Pan?

— Tak jest, ja. I podzielać będziesz moją wiarę, jeżeli mnie zechcesz wysłuchać.

— Mów pan.

Danglars zamyślił się przez chwilę, by uporządkować wspomnienia, wreszcie począł mówić:

— Między rokiem 1814 a 1815 był w Marsylii statek, należący do domu Morel & Syn. W lutym 1815 zmarł kapitan statku na wysokości Porto-Ferrajo, a 25 tego samego miesiąca okręt zawinął do portu w Marsylii, prowadzony przez młodego marynarza, w którym kapitan całe swoje zaufanie pokładał. Łatwo pan zrozumiesz, że miejsce opróżnione przez śmierć kapitana nie w jednym sercu wzbudziło żądzę! Począłem pracować, by to miejsce pozyskać. Moja służba długoletnia na statku, moje doświadczenie na morzu, wszystko przemawiało za mną. Mimo to chciał traf, że tego młodego marynarza zaproponowano na to miejsce. Wtedy poprzysiągłem zgubić go. Ten młody człowiek zwał się Edmund Dantes. Kochał się on w młodej Katalonce i gdy ta go wybrała, wzbudził zazdrość jednego z krajowców, niepohamowaną zazdrość. Znałem usposobienie tego Katalończyka i gdy zauważyłem, jak dalece rozplomienić się może ta zazdrość u niego, starałem się tak rzecz prowadzić, by Edmunda Dantes zgubić.

— Jakże ci się to udało? — zapytał Benedykt.

— Wykorzystałem wypadek jeden w podróży. Napisałem oskarżenie przeciw Edmundowi Dantes, że ten, wracając do Marsylii, zatrzymał się przy wyspie Elbie, gdzie wysiadł, i oddałem to oskarżenie władzom, dodając różne inne wiadomości, by na Edmunda Dantes naprowadzić podejrzenie, że jest on

agentem Bonapartego. Dlatego został aresztowany w tej samej chwili, gdy zasiadł do stołu na swoim ślubie z piękną Katalonką. Od tego dnia zniknął człowiek stojący mi na przeszkodzie — lecz rozważ pan — nie mogłem uzyskać miejsca kapitana statku. Piętnaście lat upłynęło od tego czasu. Piękną Katalonkę zaślubił Katalończyk i została hrabiną Morcerf. Jeśli zaś o mnie chodzi, to wdowa po panu Narbon wyszła za mnie i otrzymałem miano barona Danglars, i posiadałem moje miliony! Jednak pewnego dnia, nie wiadomo, czy z wnętrza ziemi, czy z głębi morza, pojawił się nadzwyczaj bogaty i możny człowiek! Tym człowiekiem był hrabia Monte-Christo. Od tej pory począł nas los prześladować. Ja musiałem z powodu nieograniczonego kredytu, jaki na mój dom otwarty został, Paryż opuścić i uciekać, by resztki majątku ratować. Co się zaś tyczy hrabiny Morcerf, to ta kobieta, która niegdyś była jego narzeczoną, widziała straszną dłoń nieszczęścia burzącą jej dom! Boleść, ucisk i niedostatek dosięgły ją!

— Wstrzymaj się pan — rzekł Benedykt. — Dlaczego chciał Edmund Dantes kobiecie, którą kochał, cierpienia sprawiać? Co zrobiła ta kobieta, by na taką karę zasłużyć? Wymagał od niej dotrzymania przysięgi, od której uwolniła ją jego długa nieobecność? Mógł Edmund Dantes żądać od biednej kobiety pozostawania w wiecznym wdowieństwie, gdy nie należała ona do niego, jak żona do męża? — oto był twój pierwszy błąd, Edmundzie Dantes!

— Zapominasz pan, że Edmund Dantes mógł się mścić na hrabim Morcerf — zauważył Danglars.

— I ten człowiek, uważający się za sprawiedliwego jak Bóg, nie pojmował, że miłosierdzie jest najwyższą cnotą chrześcijańską? — odparł Benedykt.

— Nie! Nie! — mruczał Danglars trzęsąc się ze wzruszenia — Bóg uczynił go moźnym, by zbrodnie karać. Wierzę w takie posłannictwo.

— Więc dobrze, niech będzie; przeczę takim bogom, jeśli ich sprawiedliwość taka jest, jak ta objawiona nam przez Edmunda Dantes! — wołał Benedykt, wznosząc ręce zaciśnięte ku niebu.

Danglars szarpnął go silnie:

— Co pan wygadujesz? W chwili, gdy się unosimy ponad przepaściami morza, oddani na pastwę wichrów i fal, odtrącasz w ten sposób jedyną nadzieję żeglarza? Szalony! Rozważ sprawy i ich następstwa, a poznasz w rzeczywistości wszechmocnego Boga! Byłem milionerem i tysiąc razy wierzyłem już, że uszedłem plebejskości mego pochodzenia... widziałem moje miliony znikające jak tuman kurzu i gdy teraz stałem się znowu tym, czym byłem, przypomniałem sobie moje pierwsze kroki na ścieżce zbrodni! Oh tak, jest wszechmogący Bóg; wierzę w niego, wierzę w Boga z całej głębi mojej duszy!

— Dobrze — powiedział Benedykt po chwili milczenia. — Pragnę wierzyć w Boga! Tak jest, mamy sprawiedliwego i wszechmogącego Boga, bo on mnie posyła, by ukarać człowieka, który urągał jego nieskończonemu miłosierdziu, gdy go wszystkim na ziemi odmawiał. Czuję potrzebę wierzyć w tego wszechmogącego Boga, gdyż nie czuję w sobie żadnej siły ani mocy pośród niezmiernej przestrzeni nas otaczającej!... O Boże! Boże! Jeżeli moje uczucia w tej chwili są zbrodnicze... jeżeli zemsta, którą poprzysiągłem, nie jest zupełnie sprawiedliwa — to mnie rzuć na zawsze w przepaść, ponad którą płynę!

Po raz pierwszy w życiu padł Benedykt na kolana i wznosił oczy ku niebu.

W tej chwili nastąpiła zupełna cisza w powietrzu. Powierzchnia wody zamieniła się w jednostajne zwierciadło i nim Benedykt miał czas ludzi wołać do roboty, nim Danglars był w stanie rozporządzić, co czynić należy, ukazała się czerwona wstęga na firmamencie i rychło nastąpiło zjawisko dość częste na Morzu Śródziemnym.

Na wszystkie cztery strony niebieskiego stropu zdawało się niebo rozrywać i wyrzucało z siebie krocie piorunów. Firmament robił wrażenie olbrzymiego pożaru.

Koło łodzi, omal nieruchomej, biły pioruny w wodę jeden po drugim.

XXIX

Katastrofa okrętu

Cała załoga zbiegła się na pokład.

Danglars trzymał drżącą ręką ster i patrzył pełen strachu na Benedykta stojącego nieruchomo z założonymi rękoma. Wydawał się demonem, którego postać zdawała się przedrzeźniać wzburzone siły natury.

Pilot skorzystał ze sposobności, by Danglarsa zgubić. Był przyzwyczajony do widoku wzburzonych żywiołów, nie bał się i nie tracił nadziei aż do ostatniej chwili. Pobiegnął do steru, odtrącił barona, chwycił za ster i zawołał z całej siły:

— Na miejsca, towarzysze! Ten nędznik oszalał ze strachu! Chce nas zgubić!

— Litości! — zawołał nieprzytomnie Danglars.

— Ha, ty prosisz o litość! — odrzekł pilot dobywając noża. — Zabijcie łotra, który w tak niestosownej chwili swoim krzykiem was przeraził! — nawoływał — Zabijcie łotra, który trzęsie się jak pies, gdy widzi wokoło siebie grę ognia z wodą!

Pośród walki żywiołów rozpoczęła się inna walka.

Przy świetle błyskawic widać było człowieka, który w rozpacz trzymał się lewą ręką burty statku, a prawą, uzbrojoną w topór, odpierał uderzenia dwu ludzi — pilota i Pepina. Załoga zbiegła się przestraszona, gestykulowała, lamentowała, wszyscy potracili głowy.

Statek kołysał się na wodzie. W końcu rozległ się przeraźliwy jęk i ten przemógł cały hałas.

Po tym jęku ucichły wszystkie głosy i rychło potem usłyszano nawoływanie Pepina:

— Do roboty, towarzysze! Do roboty! Zdaje się, będziemy mieli burzę... lecz odważnie! Nie ma co mówić. A ten, co stoi przy sterze, nie jest żeglarzem

słodkich wód.

Załoga usłuchała i jacht kierowany sprytną ręką pilota uspokoił się nieco.

Benedykt stał nieruchomo w tym samym miejscu. Słyszał, że się coś koło niego działo, lecz nie umiał sobie z tego zdać sprawy. Jego myśl harmonizowała z burzą.

— O mój Boże — mówił Benedykt — poznaję nieograniczoną moc Twej woli poruszającą w głębinach żywioły, by je cisnąć aż ku niebu. Jeszcze nigdy nie przyglądałem się temu zjawisku groźnemu i pięknemu, zdziałanemu siłą twej chwały. Wybacz mi, jeśli Twemu istnieniu przeczyłem.. Jeżeli nie potępiasz człowieka, którego prześladuję, jeśli on zasłużył na twoją opiekę pomimo przelania krwi niewinnej, to rozbij i zniszcz te kruche deski na których płynę!

Jak przewidział pilot bardzo silny wicher spiętrzył bałwany morza, łódź z gwałtownością rzucona była do nadzwyczajnej wysokości — to spadała w czeluście wzburzonej fali... pościągano wszystkie, nawet najmniejsze żagle. Burza rzucała łodzią z nadzwyczajną szybkością. Nagle ze zgrozą zobaczyli wszyscy przy świetle błyskawicy ciemną masę, którą olbrzymi bałwan wody wznosił ponad łódź.

Wiele głosów żałosnych dało się słyszeć. Zderzenie z obcym okrętem zdawało się nieuniknione.

Benedykt, trzymając się masztu swej łodzi, dokładnie rozróżnił jeden głos i słowa dobiegające z oddali:

— Moja matka, moja biedna matka! Boże, dozwól mi zobaczyć ją!

Słowa te boleśnie odbiły się w sercu Benedykta. Słowo „matka” wstrząsnęło nim.

— Ach — wymówił — los nie pozwolił mi widzieć kobiety, której życie zawdzięczam! Jak pomóc temu biedakowi?

Pilot z całą siłą starał się przeszkodzić zetknięciu obu statków, lecz bezskutecznie. Okręt wzniesiony ponad statek runął nagle w przepaść i zwałił

się na niego.

Wszyscy nieszczęśliwi wydali okrzyk przerażenia, ostatni. Jakiś czas żaden głos ludzki nie odezwał się.

— Szalupę do morza! — zawołał nagle Benedykt, odcinając sam sznury, na których była uwiązana.

— Na takie bałwany szalupę? — zapytał pilot.

— Kto to mówi? — odezwał się Benedykt groźnym głosem.

Nikt się nie odezwał.

— Za mną Pepino! — zawołał znów Benedykt — Teraz nadeszła chwila okazania odwagi. Kto się nie lęka, wskoczy za mną do łodzi i powiosłuje!

Nikt się nie ruszał.

— Jesteście lękliwi jak dzieci. Więc dobrze, ruszam sam do szalupy, gdyż mnie nie przestrasza ani morze, ani ciemność nocy. Rocca Priori chodź za mną... znów słyszę głos człowieka, wołającego o pomoc!

Pepino bez wahania wskoczył ze swym panem do szalupy i chwycił za wiosło. Wiosłowali z natężeniem.

Łódka to wznosiła się do szczytu szumiących fal, to spadała; mimo to wiosłowali obydwaj w kierunku skąd dochodziło wołanie.

Benedykt odezwał się silnym głosem:

— Odwagi! Bóg zsyła ci pomoc!

XXX

Kobieta bez imienia

W najnędniejszym miejscu Zatoki Marsylskiej, tego miasta handlowego, którego okręty bezustannie przecinają wody śródziemnego morza od Tunisu aż do Wenecji, a od Malagi aż do Konstantynopola, na jednym z granitowych szczytów stała od niejakiego czasu chata sklecona z nieociosanych kamieni.

Koło tej chaty mieściły się inne podobne budowle, mieszkania ludzi, urodzonych między niebem i ziemią, i umierających bez żadnego celu, prócz tego, by codzienny chleb dla siebie i dla rodziny uzyskać... ludzi tych zowią rybakami.

W niedalekiej przeszłości, to jest w czasie poprzedzającym studniowe cesarstwo Napoleona I, służyło to miejsce za schronienie dla ubogiego szczepu rybaków, którzy, podobni do gromadki przelatujących ptaków, pewnego dnia na tym wybrzeżu wylądowali. Nikt nie wiedział skąd przybyli i nikt nie rozumiał ich mowy, która ani francuską, ani hiszpańską, ani baskijską nie była, ni też którymkolwiek z dialektów dwu sąsiadujących z sobą narodów Hiszpanów i Francuzów.

Mała ta kolonia rybaków otrzymała od władz francuskich pozwolenie osiedlenia się na bezludnym wybrzeżu. Zwano ich „Katalończykami”.

Gdy Napoleon Bonaparte z wyspy Elby ponownie wstąpił na ziemię francuską i bez względu na wiek, i zajęcie, wszystkich zdolnych do noszenia broni w swoje szeregi powołał, rybacy katalońscy opuścili swoje chaty, zmuszeni stanąć pod chorągwiami dzielnego Korsykanina.

Od tej pory opustoszała mała osada, a po tym pokoleniu pozostała obecnie zaledwie pamięć.

Na tym też miejscu stała wspomniana chatka, zamieszkiwana przez kobietę.

Tapczan, stół, dwa stołki i wielki krzyż z wyobrażeniem Chrystusa wyrzeźbionym w kości słoniowej; oto całe urządzenie jednej izby.

Naprzeciw drzwi było dość wielkie okno, przez które, nawet leżąc na tapczanie, można było widzieć Morze Śródziemne i liczyć maszty krzyżujące się na nim.

O mieszkance tej chaty chodziły różne wieści między ciekawymi próżniakami w Marsylii. Jedni sądzili, że była kiedyś wielką panią, którą zubożenie zupełne zmusiło do zamieszkania w tej nędznej chacie. Inni dostrzegali ślad o wiele groźniejszego nieszczęścia niż utrata majątku. Po tych

wszystkich wersjach i przypuszczeniach zgodzili się jednak wszyscy, by nieznaną nazywać: „Kobieta bez imienia”.

Czasem siedziała przy otwartym oknie i spoglądała z głębokim smutkiem na morze, i co chwilę spływały jej łzy z oczu. Innym razem wychodziła nad morze i przechylała się ku falom, jak gdyby chciała z szumu tychże zasłyszeć jakiś tajemniczy głos, jej stroskanej duszy tylko zroszeniały.

Tak mijały dni.

Wróciwszy do izdebki, niezawodnie krzepiała się w nocy nadzieją — by znów ulec złudzeniu następnego dnia.

A gdy nią rozpacz owładnęła, napisała na kartce papieru kilka słów i wyprawiła do Marsylii. Po godzinie zbliżył się do osady staruszek ksiądz, którego postać znamionowała upór i miłosierdzie. Doszedł do jedyne go mieszkania tej wioski, a gdy drzwi zobaczył otwarte, wszedł, dając znak swej obecności nieco silniejszym stąpieniem.

Nikt nie odpowiadał. Czekał chwilę i gdy przez okno wyjrzał, spostrzegł na szczycie małego wzniesienia klęczącą kobietę, z wyciągniętymi ramionami ku morzu i z oczyma wzniesionymi ku niebu. Powoli zbliżył się ku niej i ze wzruszeniem usłyszał słowa:

— Nie, już go nigdy nie zobaczę! Los tak chce, bym ten kielich goryczy wychyliła aż do ostatka! Albercie! Albercie! Przyjmij ten mój uścisk, nie wiem żywy czy umarły, bo czuję, że już śmierć zbliża się. Lecz nie, ja nie umrę. Nie mogę, nie powinnam umrzeć. To niemożliwe tak zwątpić w dobroć Boga, Boga zasmuconych!

— Nie, nigdy! — wyszeptał ksiądz, wskazując ręką ku niebu.

Zauważyła go kobieta, a widok tej poważnej i wzniosłej postaci uspokoił ją.

— Jest sprawiedliwy i wszechmocny Bóg w niebie, niewidzialny naszym oczom, lecz naszemu pojęciu znany. — przemówił ksiądz głośnie. — Chcesz zwątpić w Boga? Raczej zwątp w siebie, jeżeli zdołasz!

— Ojczy! — zawołała — Lecz tak cierpieć bez końca...

— Przed chwilą mówiłaś o śmierci!... Śmierć jest ważną częścią cierpienia!

— Co mówisz panie? Mam umrzeć nie widząc chociaż, jeszcze jeden raz mego syna!... Pan nie wiesz, co to jest miłość matki!... Pan nie możesz mojej boleści ocenić i uszanować.

— Przybyłem, by panią wysłuchać i będę się starał utwierdzić panią w jej wierze. Mów pani.

— Racz wstąpić do mnie, ojcze. Czuję potrzebę słuchania cię. Moja wiara chroma pod obuchem straszego losu!

Ksiądz podążył w milczeniu do domu tej tajemniczej osoby. Gdy przyszli do izdebki, ksiądz zajął miejsce, a ona usiadła naprzeciw niego i zwróciła się ku oknu, przez które rozglądała się po dalekiej przestrzeni morza; po czym zwróciła oczy na prześliczny krzyż wiszący na ścianie. I poczęła mówić:

— Mój ojcze, pozwól mi powierzyć ci sprawy mego życia. Odbierasz tajemnicę, która między Bogiem, mną i jednym jeszcze człowiekiem zachowaną być musi, a tego człowieka już nigdy nie zobaczę!... Edmund Dantes. Ofiara zemsty, doznałam ciężkiego ciosu nieszczęścia, które niespodziewanie na mnie spadło! Jako uboga wdowa, nie miałam innej podpory, prócz jedynaka syna i losy chciały, że ten syn był zmuszony opuścić mnie na kilka lat, jak gdybym w zupełnym osamotnieniu miała opłakiwać błąd mego przeszłego życia! Teraz, gdy matką jestem, nie opłakuję już tego błędu, nie mogę go już opłakiwać.

— Możesz mi pani przynajmniej powiedzieć, na czym polegał ten błąd? — zapytał ksiądz.

— Zapomniałam o mężczyźnie, któremu swoją pierwszą miłość poświęciłam. Po kilku latach oczekiwania na jego powrót, na fałszywą wiadomość o jego śmierci, opłakiwałam go; a w dzień potem oddałam rękę jako żona jego byłemu rywalowi, który w owej chwili był jedyną moją podporą. Teraz płaczę nad przedłużoną nieobecnością mego syna... bo czuję, że moje życie zamiera i skończy się, nim on wróci. Jego powrót jest moim życiem!

— Ufaj! Dobroć Boga jest nieskończoną!

— Ufać? Ach, a cóż czyniłam od tak długiego czasu? — zagadnęła z cieniem uśmiechu serce rozdzierającym — Ufać! Pan nie pojmujesz co za wrażenie robi to słowo na tym, który nieprzerwanie ufa w miłosierdzie Boga — lecz bezowocnie!... Czy Najwyższy już zupełnie mnie opuścił?

— To co mówisz, jest bluźnierstwem! Bóg nie zapomina o swoich stworzeniach! — zawołał ksiądz.

— I dlaczego odmawia mi Przedwieczny tego jedyne szczęścia na ziemi: przyciśnięcia syna do serca macierzyńskiego, które tylko dla niego żyje?... Czy nie widzi ten Bóg, jakie katusze znoszę?...

Przy tych słowach pełen słodczy uśmiech zaigrał na obliczu księdza i nagle z cicha wymówił:

— Matka Ukrzyżowanego nie mniej cierpiała od ciebie... i ona użyła ci sił na wytrwanie; a jeślibyś, i umierać musiała przed widzeniem się z synem...

— Cóż, ojczy?... Miałabym i wtedy nie rozpaczać?

— Wierz w sprawiedliwość Najwyższego! Ta jest tak doskonałą, iż jej pojąć nie możemy!

— Ach prawda! Nie pojmuję jej!

— Na kolana padnij, ty rozżalona, na kolana! Oto ten, z koroną cierniową na głowie, ukrzyżowany dla spełnienia wspaniałego dzieła wyzwolenia ludów i wszystkich strapionych. On może ci wybaczyć!

Na te słowa padła nieszczęśliwa przed krzyżem na kolana, a łzy spływały jej obficie z oczu.

— O Boże miłosierdzia — wołała — cóż uczyniłam, żeś mnie tak ciężko pokarał?

Skryła twarz w dłonie i w ciszy myśli, jej rozmawiały z Bogiem.

Milczenie to miało w sobie coś uroczystego. Za ledwie cicha modlitwa księdza mąciła je.

Kobieta powstała. Na jej obliczu widać było rezygnację.

Kilka razy odwiedzał nieszczęśliwą pasterz i ta zdawała się poddawać

wyrokom Opatrzności.

Lecz jeszcze nie było końca jej cierpieniom.

Wszystek grosz jaki posiadała wyczerpał się; zabrakło jej wszelkich możliwych źródeł pomocy, chyba ucieczka do miłosiernych, dobrych ludzi. Prosić u przechodniów? Żebrać? Lepiej tysiąc razy umrzeć! Ona nie mogła od drzwi do drzwi chodzić, by łyżkę stawy wyprosić!

Biedna kobieta nie wiedziała jeszcze, co to są męczarnie głodu. Nie wiedziała, że wtedy i u najsilniejszego słabnie odwaga i gdy cię dotknie straszliwy głód wszystko poświęcisz... z wyjątkiem uczucia honoru!

Z żalonym uśmiechem zamieniła swój ostatni grosz na skąpe środki pożywienia.

Z jaką oszczędnością spożywała je!... A przecież ubywał zapas z każdym dniem... Minęły dni i nie zostało nic więcej prócz połowy bochenka chleba i tanich owoców.

Cóż miała począć?

Podzieliła tę pozostałość tak, by wystarczyła na osiem dni. Któż mógł przewidzieć, może w tym czasie jakaś pomoc przyjdzie?

Wreszcie minęło i te osiem dni. Nastąpił głód.

Pierwszy dzień zdawał się okropnie długi... następny jeszcze dłuższy — godzina stawała się wiekiem, nieszczęśliwej poczęło serce bić gwałtownie, jakaś straszna gorączka zaczęła ją trapić, czuła brak tchu, opadła z sił zupełnie, nastąpił ciężki zawrót głowy.

Podniosła się, pozbierała skrzętnie okruszyny chleba, jakie tu i ówdzie znalazła na stole.

Czwartego dnia jakiś promień nadziei oświetlił jej duszę.

Chciała umrzeć raczej z głodu, byle nie prosić łaski. Wtedy już, gdy zbliżał się szybko moment ten, zmieniła postanowienie...

— Nie! — odezwała się — Nie! Chcę jeszcze poczekać osiem dni, chociażby był tylko cień życia w mej piersi. Muszę czekać!

Nieszczęśliwa wyszła z chaty i jakimś nieokreślonym instynktem wiedziona, skierowała swe kroki ku portowi.

Z wolna poruszała się pomiędzy ludźmi i po stokroć zatrzymywała się... zanim raz odważyła się wyciągnąć rękę ku przechodniowi obcemu, lecz usta jej nie otworzyły się, a oczy **sztywnie** wlepiła w ziemię.

Tak zaszła aż do miasta, **nikt** nie domyślił się, by **przyjść** nieszczęśliwej z pomocą. Nie dostała żadnej jałmużny.

Czuła **głód**, głód sięgający już ostatecznych granic; piła wodę nadaremnie, potrzeba spożycia chociażby odrobiny wzmogła się. Wzrok jej począł nagle słabnąć, już nawet nie odróżniała przedmiotów ją otaczających, jakaś chmura, podobna do kurzu, zdawała się ją otaczać, budowle, ludzie i wszystko wokół zdawało się kołować.

To był początek szaleństwa.

Tak doszła do samego portu. Patrzyła nic już nie widząc, słyszała nie pojmując głosu ani mowy. W tym stanie zapytała kogoś czy to już noc i odpowiedziano jej głośnym śmiechem.

Słońce świeciło.

Już nie widziała, nie pojmowała i nie poznawała, głód zmorzył ją do ostatka... przemogła rozpacz, jakiś gwałtowny instynkt, właściwy także zwierzętom — żądza zaspokojenia głodu popchnęła ją o kilka kroków naprzód. Dwu obcych, właśnie przybyłych do portu, przechodziło mimo; padła przed **nimi** na kolana i głosem zamierającym odezwała się:

— **Głodnam!** Na miłość Boga, pomóżcie mi.

To było jej pierwsze wołanie o jałmużnę.

Dwaj podróżni, którzy zaledwie co wyszli z malej łodzi na ląd, zatrzymali się na rozpaczliwy dźwięk tego głosu.

Jeden z nich wyjął z kieszeni zdawkową jakąś monetę, **zbliżył** się do **żebraczki** i rzekł:

— Wstań pani, oto jest małe wsparcie.

Pieniądz wpadł do ręki żebraczki.

Ta nie podniosła się z kolan, nie mogła, jeszcze słabszym głosem wymówiła:

— Dziękuję!... O mój Boże!

Pochyliła się ku ziemi, okropny jęk rozpaczony wydobył się z jej piersi... padła uderzywszy głową o bruk.

XXXI

Pomoc nieba

Na jęk żebraczki zatrzymali się obaj podróżni, młodszy rzekł:

— Wybacz pan, muszę jeszcze jedną powinność wypełnić jak widzę.

— Jaką? — zapytał starszy.

— Pierwszy krok stawiam na ląd po burzy strasznej; z toni morza uratowałeś mnie pan po rozbiciu okrętu, sądzę więc, że nie mogę z obojętnością słuchać głosu nędzy.

— Co pan chcesz zrobić?

— Z nieszczęśliwą podzielić się groszem, jaki zachowałem w zanadru.

Młodszy wyjął pieniądze. Podszedł do żebraczki i spytał:

— Co ci jest, czego tu oczekujesz na kolanach, oparłszy twarz o ziemię?

— Czekam na mego syna — odpowiedziała ta zaledwie dosłyszalnym głosem i podniosła nieco głowę.

— O nieba! Moja matka! Moja matka! Wielki Boże! — wołał młodszy podnosząc żebraczkę.

Słodki uśmiech na twarzy żebraczki był jedyną odpowiedzią, jaką dać mogła.

— Co pan mówisz, panie Morcerf?

— Chodź pan... chodź pan... zabierzmy stąd nieszczęśliwą! O, mój przyjacielu, niebo karze mnie niemiłosiernie. To moja matka!

Młody człowiek złożył gorący pocałunek na czole omdlałej.

Benedykt patrzył chwilę na ten obraz synowskiej czułości. Potem zawołał ludzi i zarządził, aby żebraczkę zaniesiono do sąsiedniego hotelu.

Po kilku godzinach otworzyła oczy dzięki gorliwym staraniom jednej z siostr miłosierdzia.

Syn chciał z nią mówić, chciał jej swój powrót oznajmić i pieczytami ukoić. Benedykt zwrócił mu uwagę, że biedna kobieta niezdolna jest w tej chwili do wytrzymania silnych wrażeń.

Albert, tak było na imię młodemu człowiekowi, przybyłemu w towarzystwie Benedykta, nie opuszczał ani na chwilę pokoju, w którym umieszczono jego matkę.

Doktor, po opatrzeniu słabej, zapewnił, że chora w ciągu kilku dni wróci do siebie, lecz najzupełniejszy spokój zalecał.

Słowa lekarza dodały otuchy Albertowi. Zwrócił się do Benedykta, który właśnie rozmawiał z Rocca Priori.

— Mój przyjacielu — zagadnął Albert ściskając dłoń Benedykta — doktor dał mi zapewnienie, że o życie mojej matki nie ma obawy. Mój Boże! dziękuję Ci...

— Tym lepiej, panie Morcerf — odrzekł Benedykt. — Jestem tym bardzo ucieszony. Właśnie poleciłem memu porucznikowi okręt na nowo zaopatrzyć i być w pogotowiu, by móc bez zwłoki wypłynąć na morze.

— Masz pan zamiar opuścić mnie? — zapytał Albert żywo.

— Niezaprzeczalnie — odparł Benedykt. — Moją misję, dotyczącą osoby pana, spełniłem; jesteś pan na lądzie, u boku swej matki. Jesteś szczęśliwy; mogę więc oddalić się.

— Proszę — odezwał się Albert. — Rad byłbym, gdyby moją matka cię poznała; by ci podziękowała za heroizm, z jakim wśród okropnej burzy wydobyłeś mnie tonącego.

— Nie byłem tym, który pana uratował — odparł Benedykt — to ręka Boga

wydobyła pana z wzburzonej topieli morza i utrzymywała ponad przepaścią wód. To prawda, którą już tylekroć powtarzałem ci, że nie powinienes o niej zapominać! Co za powód mógłby mnie skłonić, by na głos twój rozpaczliwy wśród toni fal wzburzonych, z pogardą mego własnego życia, zdążać do miejsc, gdzieś na próżno walczył z wzburzonym. żywiołem? Mój panie, nie masz mi za co dziękować!

— Jeszcze mi pan poświęcisz kilka dni, o tę łaskę proszę pana. Nie odmówisz mi jej.

Szyderczy uśmiech zacisnął usta Benedykta:

— Nie wiesz pan, że każda chwila jest mi drogą, że nie mogę się zatrzymać na drodze mi wskazanej?

— Tak mówisz pan zawsze do mnie — przerwał Albert. — Mowy tej nie rozumiem, lecz ukazuje mi coś groźnego w egzystencji pana... może jakiś gorzki i ciężki smutek gniecie cię!

Benedykt zwrócił na Alberta badawcze spojrzenie i po chwili rzekł:

— Droga, którą idę, jest tajemnicą. Szukam człowieka, wiem, że się gdzieś znajduje; lecz gdzie go znaleźć, nie wiem.

— Nie będę natrętnym, jeśli śmiem spytać, co pana skłania do tego poszukiwania?

— Prosta rzecz: martwa ręka! — odrzekł Benedykt.

Albert patrzył na Benedykta po otrzymaniu tak dziwnej odpowiedzi ze współczuciem i zarazem z trwogą; podobna odpowiedź granicyła z szaleństwem.

— Wybacz pan, lecz taka odpowiedź zaciekawia mnie bardziej, niżby należało. Czynisz na mnie osobliwe wrażenie.

— Wierz mi, mój drogi przyjacielu, nie jestem szaleńcem, gdy ci mówię, że przeciw żyjącemu skierowana jest ręka trupa.

— To musi być zapewne jakiś bardzo niebezpieczny człowiek, przeciw któremu tak niezwykle przewodnik kieruje panem!

Benedykt obejrzał się, jakby się chciał przekonać, czy kto nie słucha rozmowy; chwycił silnie ramię Alberta i zapytał cichym, lecz wyrazistym głosem:

— Słyszałeś kiedy imię: Monte-Christo?

W sekundzie Albert zbiegał jak ściana i wzniosłszy ręce ściśnięte, w głos zawołał:

— Przeklęty!

— Znasz pan tego człowieka? — zapytał wzruszony Benedykt.

— Raczej pytaj skazańca, czy zna swego kata!

Albertowi łzy cisnące się do oczu przerwały dalszy wątek mowy, otarł oczy i wyszeptał:

— O moja matko, wybacz mi, jeśli równo z tobą nie szanuję imienia tego człowieka.

Benedykt otarł zimny pot z czoła.

— Wielki Boże — mrucał — znowu jęk, potępiający tego szczególnego człowieka.

Nastąpiła chwila milczenia.

Benedykt rozpoznał w sposobie mówienia Alberta, że ten dokładnie znać musiał hrabiego Monte-Christo. Pragnął więc poznać bliżej przyczynę złożeń. Zbliżył się ponownie do Alberta i słodko zapytał:

— Mój przyjacielu, wybacz, że zapytuję: Jaki rodzaj związku zachodzić mógł między tobą a hrabią Monte-Christo? Między nim a mną jest pomsta krwi i muszę dopiero poznać tego człowieka, na którym mam zemstę spełnić.

— Zaspokoję pana ciekawość — odrzekł Albert. — Pozwól mi jednak wpierw zobaczyć, co się dzieje z moją matką; pragnę jak najszybciej zabrać ją stąd.

— Idź pan... pamiętaj o radzie i porzuć każdy zamiar, mogący ją wzruszyć. Może w tym hotelu zostać aż do zupełnego wyzdrowienia.

Albert udał się do pokoju matki; ukląkł przy łóżku, na którym spała,

przypatrzył się jej przez kilka chwil, złożył pocałunek na czole. Po czym wrócił do Benedykta i rzekł:

— Jestem, panie. Chcę panu wszystko opowiedzieć. Powiedziałaś, że między nim a tobą jest dług krwi, a ty jako wierzyciel występujesz. Wina, jaka między mną a nim zachodzi, nie mniej jest okropna; a jednak złożyłem uroczystą przysięgę, że się mścić nie będę.

— Kto żądał od pana tej przysięgi?

— Moja matka — odpowiedział Albert z nadzwyczajną czcią.

— Więc, słucham pana.

Na to wezwanie usiadł Albert w fotelu. Po dłuższym namyśle począł mówić.

XXXII

Żmija

W roku 1838 była we Francji rodzina, której głową był mój ojciec, hrabia Morcerf. Rodzina ta składała się z hrabiego, mojej matki i mnie.

W tym samym roku, należąc wówczas do pierwszych rodzin, miałem wstęp do najlepszych towarzystw w Paryżu. Mimo to ja i jeden z moich towarzyszy, Franciszek Epinay, zaplanowaliśmy wówczas karnawał spędzić w Rzymie. Ruszyłem więc do Florencji, gdzie spotkać się mieliśmy. W Rzymie poznałem hrabiego Monte-Christo, który na pierwszy dzień karnawału 22 lutego ofiarował nam swój powóz. Ten człowiek, którego Franciszek już znał, bo był z nim w sławnej grocie Monte-Christo...

Przy tych słowach zmarszczył Benedykt czoło i zapytał z niedowierzaniem:

— I pan wierzysz w istnienie tej sławnej groty?

— Franciszek przysięgał mi, że istnieje — odparł Albert. — Przysięgał, że tam przyjmowany był przez hrabiego.

— Dobrze!... Mów pan dalej.

Albert kontynuował:

— Dnia 22 lutego 1838 zaczęła się moja znajomość z hrabią Monte-Christo! Wyobraź pan sobie, rzeczywista przyjaźń, jaka w pełnym znaczeniu tego słowa istnieć może. Gdy dowiedziałem się, że ma zamiar udać się do Paryża, pospieszyłem ofiarować mu gościnę w domu ojca. Hrabia przyjął moją propozycję.

W jakiś czas potem, w dniu i godzinie, jakie oznaczył, zjawił się u mnie. Wytworny w każdym calu, śniadał ze mną i z przyjaciółmi, których na tę okazję zaprosiłem. Gdy śniadanie się skończyło, przedstawiłem go moim rodzicom.

Ileż to razy ze łzami w oczach i ze smutnym uśmiechem pytała mnie moja biedna matka, spostrzegłszy moje zaślepienie, czy się aby przekonałem, że ten człowiek rzeczywiście jest przyjacielem? Ileż to razy upewniałem ją o przyjaźni hrabiego Monte-Christo.

Ten przeklęty posiadał chytryść zmił i magnetyczną siłę.

Zdawało mi się, że ten człowiek nie ma przede mną tajemnic i że w godzinach melancholii odkrywa mi najskrytsze tajniki swego serca, tego serca pełnego dobroci i sprawiedliwości.

Niebawem jednak zasłona została rozdarta, koniec moich iluzji nastąpił bardzo szybko! Niegodziwe oskarżenie, opublikowane w gazecie przeciw memu ojcu, ogarnęło smutkiem moją rodzinę. Paryż nie miał już dla mnie uroku, gdy ujrzałem imię, które dotąd z dumą nosiłem, obrzucone błotem!

Monte-Christo przybył mi znów z pomocą, chociaż mnie matka ostrzegała, że hrabia nie może być tak szczery, jak to sobie wyobrażam. Uparł się, bym w jego towarzystwie przedsiębrał małą podróż dla rozrywki. Uściskałem moją biedną matkę i odjechałem.

Nie było nic, czego by hrabia nie robił, by mnie rozerwać. Polowania, rybołówstwo, konne wycieczki... Zawsze czynił to z tym samym, obleśnym, fałszywym uśmiechem na ustach. Kilka dni potem otrzymałem list od jednego z moich przyjaciół donoszący mi, że sprawca wystąpienia przeciw honorowi

mego ojca został wykryty.

Pożegnałem się z hrabią i pospieszyłem do Paryża.

Istotnie, wszystko było wykryte! Czytałem papiery udowadniające zbrodnie mego ojca, widziałem jego imię i moje na zawsze zniszczone, ku wielkiej uciechu i na pośmiewisko naszych nieprzyjaciół. Widziałem drzwi salonów dla mnie i dla mojej matki zamknięte!...

Ja... przekonany, że noszę sławne imię wojownika, że mogę czoło stawić tym, którzy się uważali za potomków najszlachetniejszych i najbardziej szanowanych rodów — oh!... Musiałem zejść do stanu człowieka, który żadnego imienia nie ma. Szalony, zbity okropnym ciosem hańby, słyszałem bolesne łkania mej matki i prawie złamany głos mego ojca, który wzywał bym go pomścić.

Porwałem się wściekły z gniewu, by śmiertelnego wroga znaleźć, który bez litości przedłożył przed publiczny sąd czyn popełniony przez mego ojca, nie zważając, że mój ojciec połączony był z kobietą, której los z jego losem był związany, i że ten ojciec miał syna niewinnego jego błędowi. Ten człowiek bez serca, by zgubić jednego człowieka, jednocześnie zgubił jego żonę i syna.

Pytałem się, kto był przyczyną mojej hańby... Wyobraź pan sobie... Hrabia Monte-Christo! Zrazu nie chciałem wierzyć... jednak to okropne imię stało w papierach, które przeglądałem!

Tak igrał ze mną ten człowiek! To było przyczyną czułości, jaką mi od dłuższego czasu okazywał! Tak odpowiedział wymogom najszczerzej przyjaźni, jaką mu ofiarowałem.

Zdrajca!... Po tysiackroć zdrajca!

Honoru mego ojca nie mogłem już odzyskać, lecz mogłem go pomścić. Wyszukałem hrabiego. Znalazłem go w loży, w operze; wszedłem, by go obrazić, bo nie było innego sposobu, by go zmusić do pojedynku ze mną. Ten przeklęty przyjął mnie z uprzejmością i przyjaźnią! To roznieciło tym bardziej gniew, który mnie pożerał. Wytłumaczyłem mu powód mego przybycia.

Zamiast odpowiedzi zaśmiał się tylko. Wszyscy mieli oczy zwrócone ku nam. Zgorszenie było publiczne, chciałem więc i zemstę spełnić publicznie. Moja rękawiczka przesunęła się po policzkach hrabiego Monte-Christo. Za kilka dni miał być pojedynek.

— I ramię pana nie było dość silne, by hrabiego Monte-Christo pokonać? — zapytał z troską Benedykt.

— Nie, mój panie — odrzekł Albert spokojnie. — Na miejscu spotkania byłem rozbrojony i w obecności świadków ucisnąłem mu rękę.

— Podły! — zawołał nagle Benedykt porwawszy się z miejsca, rzucając pełne pogardy spojrzenie na Alberta, który nieporuszenie siedział. Rychło zmiarkował swoją popędliwość, usiadł i zapytał drżącym głosem:

— Oszalałeś pewnie?

— Nie — odparł Albert.

— Jakże się to stało?

— Rano przed pojedyńkiem wszedł ktoś do mego pokoju i zażądał ode mnie przysięgi, że nie będę dążył do pojedynku z hrabią Monte-Christo.

— I któż miał tę siłę, by wymagać od pana takiej przysięgi?

— Kobieta, którą kochałem jak Boga!... Kobieta, której łzy moje serce skruszyły. Moja matka!

XXXIII

Dwie niewinne ofiary strasznej zemsty

Gdy Albert skończył pierwszą część opowiadania, był tak wzruszony, że brakło mu siły, by mówić dalej. Wstał i poszedł do swojej matki.

Z niewypowiedzianym zadowoleniem spostrzegł, że jej oddech był wolniejszy i sen spokojniejszy. Powrócił więc do salonu i zasiadł do obiadu z Benedyktem, który zdecydował się pozostać w Marsylii aż do zupełnego

wyzdrowienia matki Alberta, hrabiny Morcerf.

Nie zbadawszy przyczyny postępu hrabiego Monte-Christo, uznał Benedykt, że nic nie uniewinniało tego człowieka, który grozę tak daleko prowadził, że nieszczęścia ciskał na głowy osób, które go w niczym nie obrażały. Miałby hrabia Monte-Christo powody za zniewagę, rabunek, zbrodnię popełnioną przeciw niemu lub komuś z jego rodziny, mścić się? Być może.

Lecz najpiękniejszą cnotą prawdziwego chrześcijanina jest wybaczać. Jeżeli człowiek mści się na drugim za wyrządzoną krzywdę, świat nie dziwi się temu! Lecz poświęcać zemście osoby, które nigdy nie dopuściły się takiej krzywdy, to jest ohydne!

Następnego dnia Benedykt, zaciekawiony opowiadaniem Alberta, pierwszy prosił o dokończenie. Albert, uspokojony stanem swojej matki, usiadłszy obok Benedykta w pokoju hotelu „Pod Dzwonem i Flaszka”, który obydwaj zamieszkiwali, zaczął znów opowiadać:

— Kiedy wróciłem z miejsca spotkania z hrabią Monte-Christo, zebrałem grosz jaki posiadałem, sprzedałem moje rzeczy i przygotowałem wszystko do wyjazdu. Moi przyjaciele, gdy nie zmierzyłem się z hrabią, wydali na mnie jednogłośnie wyrok potępienia. Więc nie pozostawało nic innego, jak na zawsze Paryż opuścić.

Gdy się już spakowałem, poszedłem pożegnać się z matką. Mieliśmy jednak te same myśli, gdyż i ją zastałem gotową do podróży. W pół godziny potem byliśmy już w powozie pocztowym.

— A ojciec pański? — zapytał Benedykt — Opuszczali go syn i matka bez pożegnania?

— Mój ojciec — odparł Albert — nie był tego rodzaju mężem, aby takie pożegnanie uznać za wystarczające. On swoje dopełnił. Wystrzał z pistoletu rozległ się, gdy z matką do karety pocztowej wsiadałem. Hrabia Morcerf własnymi rękami wykonał na sobie akt sprawiedliwości. Od tej chwili byłem jedyną podporą dla mojej matki. Rychło począł nam dokuczać niedostatek.

Zaciągnąłem się, uzyskany grosz dołożyłem do małej sumki jaka pozostała, a sam postanowiłem udać się do Afryki... Chciałem dowieść, że moralne zboczenie nie jest dziedziczne w rodzinie Morcerf... Ach, przepraszam, przestałem się tak nazywać, przyjąłem imię inne, pojedyncze, plebejskie... Albert Mondego. Pod tym imieniem znano mnie w pułku.

— Mogłeś pan przyjąć imię lub tytuł szlachecki po matce —zauważył Benedykt.

— Moja matka była córką ubogich rybaków! — odparł Albert i mówił dalej: — W miesiąc po moim wstąpieniu do pułku odpłynąłem do Afryki, gdzie do tej pory pozostawałem. Moja matka cierpiała głód!... Moja matka była zmuszona wyciągać rękę o wsparcie, o kawałek chleba!... To nie może się dziać za wolą Boga!... To jakiś demon prześladowuje nas swoim złowrogim tchem!...

Albert skrył twarz w dłonie, by ukryć łzy cisnące mu się do oczu.

Benedykt przyglądał mu się w milczeniu, jak gdyby nie czuł się w mocy tego nastroju młodego człowieka, który nad niedolą swej matki rozpaczał, przerywać.

Po dłuższej chwili odezwał się Albert znowu:

— Teraz, mój panie, wie pan już, jaki stosunek zachodził między mną a hrabią Monte-Christo. Również wiesz, kim jestem; zowię się Albert Mondego i jestem synem pani Mercedes. Nie posiadam żadnego majątku, małe oszczędności, jakie wiozłem z Afryki, prawie wszystkie postradałem w czasie sztormu. W Marsylii nie mam ani przyjaciół, ani znajomych; mimo to we wszystkim, w czym bym tylko mógł być użyteczny, licz pan na mnie.

Przy tych słowach podał Albert swoją rękę Benedyktowi, a ten ją serdecznie uściskał.

— Opowieść pana wzruszyła mnie mocno! — powiedział — Miłość, jaką pan matce okazujesz, jest godna podziwu... Jednak jest wielu takich, którym nawet nie było dane, by na grobie matki zapłakać mogli!

— A to dlaczego? — zapytał Albert.

— Gdy na przykład jakiś człowiek nie wie, która kobieta dała mu życie! — odpowiedział Benedykt.

— Ha!

— Gdy wie, że zaraz po swoim urodzeniu był opuszczony!... Wierz mi, panie Albercie, są ludzie jeszcze nieszczęśliwsi od pana!... Są stokroć straszniejsze przeżycia, niż pańskie!

— Może! — wyszeptał Albert.

Benedykt zaśmiał się ironicznie. Po chwili z goryczą powiedział:

— Czy wiesz, co to jest egzystencja skazańca, wyklętego wyrodka bez rodziny, bez ojczyzny... bez wszelkiej nadziei w duszy?... Czy wiesz pan, co to jest wściekła rozpacz... pragnienie i uczucie zemsty?... Widziałeś ciemne nieba wśród burzy, moc rozbujających toni, zygzaki piorunu, które nieustannie rozdzierały spiętrzone ponad tobą chmury i, prawda, byłeś igraszką głębi... Więc przypominasz sobie rozpacz, jakiej doznawałeś. Jakiś czas byłeś bez wszelkiej nadziei, czuleś ramiona śmierci... Podobne położenie wyobraź sobie przedłużone jak męczarnie Prometeusza... Powiedz teraz, czy ofiara takiej męczarni nie jest nieszczęśliwsza od ciebie?

— Czy może podobny męczennik gdzieś jeszcze istnieć?

— Istnieje. Stoi przed panem! — zawołał Benedykt — Nie mam ani przyjaciół, ani obrońców, ani krewnych, gdyż ci mnie żywcem zakopali, ledwie urodzonego. I teraz wszyscy pomarli!... Moją spuścizną jest zgnilizna, a moim testamentem — zemsta, w której z wolna lubować się będę, wymyślając coraz nowsze tortury, by z piersi jednego człowieka wydobyć okrzyk bóleści, jakiego jeszcze żadne echo nie powtórzyło.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Albert — Często słyszę pana o Bogu mówiącego i zaledwie pojąć mogę, jak pan, wierzący w Boga i uważający go za wszechmocnego, sprawiedliwego i miłosiernego, poddajesz się tak obrzydliwemu uczuciu jak zemsta!

— Czyż nie mówiłem panu, że człowiek, który mnie taką zemstą natchnął,

nigdy przebaczać nie umiał?... Tym człowiekiem jest hrabia Monte-Christo.

Zaledwie te słowa zostały wypowiedziane, gdy z przyległej sali rozległ się krzyk okropny i rozpaczliwy.

XXXIV

Dom gościnny „Pod Dzwonem i Flaszka”

Mercedes stała w progu. Na jej bladych policzkach gorączka wypieczęła czerwone plamy. W napadzie gorączki zerwała się z łóżka i okryła kołdrą. Rozrzucony włos, roziskrzona oczy, w nieładzie okryte zaledwie ciało — wszystko to nadawało jej wyraz przerażającego szaleństwa. Do drzwi salonu doszedłszy, usłyszała ostatnie słowa Benedykta i wydała przeraźliwy krzyk, gdy ten wymienił imię hrabiego Monte-Christo.

Gdy pierwszy moment przerażenia minął, podbiegł Albert ku matce, lecz ta odtrąciła go, postąpiła ku środkowi salonu i poczęła się po nim rozglądać.

— Edmund — przemówiła żalonym głosem — czyś mego syna zamordował?... Po co sprowadziłeś na mnie wdowieństwo, upadek, cierpienia i głód?... Jakże okropnie odplaciłeś mi za moje łzy, które przelałam za tym, którego tak bardzo kochałam. Gdzież on jest?... Nie wraca...

Albert przykląkł u nóg matki.

— Matko... tu jestem!

Mercedes, zdając się go nie widzieć, poczęła szybko mówić znowu:

— Ach tak, jakże cię kocham Edmundzie!... Tyś nie wracał... pozostawiłeś mnie i piętnaście lat minęło... piętnaście lat... to wiek cały?... Ileż to cierpień przeżyłam... ile łez wypłakałam!... Zapytaj chat katalońskich — te ci opowiedzą o moich cierpieniach... Zapytaj wianka, który miałam na czole w chwili moich zaślubin i na nim jeszcze znajdziesz ślady łez!... Idź do mego łóżka małżeńskiego i to ci jeszcze powtórzy moje jęki, które zbrodnicza małżonka posyłała ku temu,

który nie był jej mężem!... A tym człowiekiem byłeś ty!... Czym zasłużyłam na twój gniew? Co ci mój syn zawinił?... Edmundzie, ty nie wypełniasz sprawiedliwości Bożej!... Lecz słuchaj... oto idzie!... Tak, idzie... to mój syn!... Mój syn, za którym tęskni moja dusza... to on!...

Mercedes wymawiała te słowa nieprzytomnie i wyciągała ręce, jakby chciała syna, w śnie gorączkowym ujrzanego, uścisnąć.

Albert podniósł się, rzucił w objęcia matki i zawołał:

— Jestem tu! Jestem, moja matko, moja najdroższa matko!

Pocałunek i szalone, gwałtowne uściśnięcie były odpowiedzią Mercedes.

W milczeniu starał się Albert pieścizotami ukoić gorączkowy napad. Mercedes zdawała się uspokajać, gorączka wskutek takiego wzruszenia straciła na sile; jednak myśli jeszcze nie były w porządku, jej pojęcia i wzrok jeszcze były błędne.

Od czasu do czasu ścisnęła rękę Alberta, opierała rozpalone czoło o jego piersi.

W oczach Alberta stały łzy nieopisanego szczęścia i smutku zarazem.

— Albercie — wymówiła w końcu Mercedes — ty żeś to? Jesteś istotnie moim synem? Ach tak, czuję to, serce nie oszukuje matki!... Ty jesteś tym synem, który się sprzedał, by mi dopomóc, ty jesteś tym synem, za którego życie oddać gotowam!... O, teraz nie opuścisz mnie już!

— Uspokój się matko, na zawsze zostanę przy tobie! — odpowiedział z rozrzewnieniem Albert.

— A gdyby ten mściwy człowiek jeszcze się zjawił, by nas rozłączyć? Ach, ty nie wiesz, że w twoich żyłach płynie krew jego rywala i że Edmund na pocałunek, jaki na twym czole składam, bez zawiści nie patrzy!

— Nie, nie — zawołał Albert gwałtownie — Edmund jest stąd daleko, Edmund przestał nam szkodzić!...

I dodał z cicha:

— O Boże! Ulituj się nad moją biedną matką!

— Powiedz mi Albercie... gdzie my jesteśmy? — zapytała matka rozglądając się trwożliwie.

— W Marsylii moja matko. Przypominasz sobie Marsylię?

— O tak, przypominam sobie... A ten dom?

— Ten dom? To jest dom gościnny „Pod Dzwonem i Flaszka”.

— Co ty mówisz? — zawołała Mercedes chwyciwszy silnie ramię syna i trzęsąc się na całym ciele.

Albert powtórzył nazwę domu gościnnego.

— Oh! — jęknęła Mercedes, jak gdyby uczuła raptowny ból.

Po chwili spokojnym tonem mówiła dalej:

— Mój synu! Jakież okropne zajście miało tu miejsce! Tu oto w tej sali... tak... to jest ten sam stół, na którym przygotowany był bankiet na cześć moich zaślubin... O tam... tam widzę namiętą twarz Edmunda!... A tu... tu... zazdrosną i zdradziecką fizjonomię Ferdynanda Mondego.

— Ależ moja matko! — przerwał Albert z wyrazem najgłębszego smutku.

Mercedes mówiła dalej, zaprowadziwszy Alberta ku oknu:

— Słuchaj... słuchaj... Czy słyszysz głos dzwonka? To będzie ślub. Czy widzisz tę w bieli ubraną dziewczynę, z czołem przybranym w wieniec z białych kwiatów? To panna młoda, która niesie na palcu ślubny pierścień... Patrz, ona stoi u boku Edmunda, którego rozradowane oblicze wypowiada co w sercu czuje. Zaraz za ślubną parą... czy widzisz młodego człowieka ze zwieszoną głową, niepewnym wzrokiem w ziemię zwróconym, z chmurnym czołem noszącym na sobie piętno zdrady?

Gdzież się podział ten wesoły orszak ślubny?... Tam, w domu gościnnym u stołu „Pod Dzwonem i Flaszka”. U stołu siedzą, pan młody obok panny młodej... A zdrajca, pełen zazdrości, przenika ich swoim mściwym i złośliwym wzrokiem!...

Boże! Boże! Toż nagle wydzierają mi mego oblubieńca, mego męża! Ferdynand Mondego oskarżył go o sprzyjanie Bonapartemu... Porwali go

żołnierze... Pozostałam wdową, nim doń należałam!

Zaledwie Mercedes wymówiła te słowa, upadła bezsilna w ramiona Alberta, który ją do jej pokoju zaniósł i na łóżku złożył.

Benedykt wybiegł po doktora.

Szczęściem leki usunęły gorączkę. Albert mógł swoją matkę odwiedzić do domku w Katalońskiej osadzie.

Obecność syna, świeże, czyste powietrze przyczyniły się do rychłego wyzdrowienia.

Tymczasem zbliżał się wyjazd Benedykta. Człowiek ten taką sympatię w Albercie wzbudził, że go nazwał swoim przyjacielem.

— Mój panie — powiedział Benedykt jednego poranku — co pan myśli zrobić?

Na takie pytanie nie był Albert przygotowany. Wpatrzył się w oblicze Benedykta, lecz to nie mówiło mu nic. W sztywnych rysach nie dała się zauważyć żadna myśl, żadne uczucie, jak gdyby był z marmuru.

— Wybacz pan — dodał Benedykt zaskoczony milczeniem Alberta — lecz leży to już w naszej naturze, gdy nas jakiś człowiek obchodzi, chcemy wiedzieć, jaka przyszłość go czeka.

— Dziękuję panu za współczucie — odrzekł Albert. — Wyjaśnię to panu. Ponieważ otrzymałem pozwolenie w służbie w Afryce dać zastępcę, wróciłem stamtąd z pewną kwotą zaoszczędzoną. Myślałem przywrócić mojej matce spokój. Bóg, a może tylko zwykły przypadek zrządził, że wszystko to postradałem w czasie rozbicia okrętu; przy sobie mam jeszcze zaledwie tyle, by pokryć wydatki niezbędne przez jakiś czas, zanim sobie mieszkanie skromne znajdę!

— A gdy takiego pomieszczenia nie uzyskasz?

— To będę pracował jako najemnik — odpowiedział Albert i dodał z pewną dumą: — Mojej matce — zapewniam pana — niczego brakować nie będzie!

— Zazdroszczę panu takiej miłości do matki, zazdroszczę panu uczucia,

takiego uporu!

— Pracować muszę przede wszystkim dla tej, która mi życie dała, to jest przecież całkiem naturalne — odrzekł Albert ze wzruszającą naiwnością.

— Więc jesteś zdecydowany pracować?

— Nie inaczej.

— To wystarczy, Albercie. Jak widzisz jestem w twoim wieku; wierz jednak słowom moim, bo te dyktuje doświadczenie! Musi istnieć wyższa siła, która niewinność wynagradza!

— Czyś pan już nagrodę takiej niewinności otrzymał? — zapytał Albert z wdzięcznym uśmiechem.

— Nie — odpowiedział Benedykt ponuro — nie, bo jestem zatwardziałym grzesznikiem. Wierzę też dlatego w ukaranie moich zbrodni, skoro spełni się moja misja; bowiem poznałem, że źli otrzymują karę za swoje występki już na tym świecie. Dlatego też wiem, że szlachetni również tu za swoje cnoty nagrodę otrzymują. Żyj pan w spokoju; Albercie, nad tobą, nade mną jest niezaprzeczalnie Bóg, który nas sędzi!

Przy tych słowach opuścił Benedykt pokój Alberta, który uroczystym tonem mowy, serdecznością. Benedykta ujęty, chociaż poznał, że te słowa zawierały w sobie pożegnanie — tak był przejęty, że mimo, iż widział Benedykta wychodzącego, nawet mu ręki nie uścisnął.

XXXV

Odjazd

Pół godziny potem Mercedes przywołała syna.

— Powiedz mi, Albercie — pytała matka — co to za okręt, który w tej chwili wypływa? Widziałam go od wczoraj naprzeciw naszej skały.

Albert spojrział we wskazanym kierunku, mały jacht, zgrabny i lekki jak

łabędź, przepływał spokojną powierzchnię morza.

— Ach — zawołał — to jacht Benedykta! Szczególny człowiek... rzucił się w rozburzone bałwany, by mnie ratować, podobny do dobroczynnego ducha. — Bywaj zdrów! Bywaj zdrów!

— Módlmy się za nim! — rzekła Mercedes klękając przed krucyfiksem.

— Tak, módlmy się... módlmy się, matko... Niezawodnie w tej chwili i on myśli o nas!...

Albert ujrzał mały biały obłok na pokładzie jachtu i bezpośrednio potem usłyszał huk jednego z moździerzy; właśnie jacht opływał szczyt skaty i znajdował się naprzeciw domku Mercedes.

To było ostatnie „do widzenia” Benedykta.

Albert długi czas stał przy oknie i patrzył za statkiem mknącym chyżo z pomyślnym wiatrem.

Mercedes nie przestawała się modlić.

Okręt odpływał coraz dalej i dalej — aż zniknął za horyzontem.

W tym czasie ten sam duchowny, który przed kilku tygodniami był we wsi katalońskiej u Mercedes, wszedł do jej domu i spytał o Alberta.

— Tu jestem, panie — odpowiedział Albert skłoniwszy się.

— Pan jesteś Albert Mondego?

— Tak, ojciec.

— Syn Katalonki Mercedes?

— Ten sam.

— Daj mi pan jeszcze jakieś dowody, że istotnie jesteś pan tym, którego znaleźć obowiązek mi nakazuje.

Albert myślał przez chwilę, wpatrując się badawczo w poważną twarz księdza, jak gdyby chciał zgłębić powód jego pytań. W końcu zdecydował się powiedzieć:

— Wracając z Afryki zostałem uratowany cudem przez człowieka imieniem Benedykt podczas silnej burzy. Płynąłem trzymasztowcem, który, jak mi

mówiono, należał do domu handlowego „Morrel” w Marsylii.

— Należałeś pan do załogi?

— Nie, panie, byłem pasażerem. Służyłem w Afryce i wracałem zaopatrzony w mój paszport służbowy.

— Istotnie jesteś pan tym, o którego pytam.

Przy tych słowach ksiądz oddał pismo i oczekiwał, by je Albert otworzył.

Albert jednak ociągał się. Adres pisma nosił jego pełne imię.

— Czytaj pan! — zagadnął ksiądz.

Albert otworzył pismo i odczytał szybko, potem wymówił:

— Mój Boże!... Dzięki Ci!

Odczytał jeszcze raz list i rozważał każdy wiersz, każde słowo, by się przekonać, czy się nie myli lub czy nie jest zabawką iluzji.

— Ależ to byłaby pierwsza jałmużna, którą przyjąłbym z ręki człowieka! — zawołał Albert — Jałmużny mi nie wolno przyjmować! Benedyckie, twoja wspaniałomyślność obraża mnie; są ubożsi i nieszczęśliwsi ode mnie, tym dawaj jałmużny! Ja jeszcze mogę pracować!

— Rozważ pan, do jakiego stopnia zaślepienia doprowadza pana pycha! — powiedział ksiądz.

— Pycha? — powtórzył Albert — Pycha? Gdy o ludziach mówię uboższych ode mnie?

— Młody człowieku — odparł ksiądz — powtarzam ci, pycha przez ciebie mówi. Jeszcze coś w tobie pozostało z dawnej niepohamowanej dumy, gdyż to, co nazywasz jałmużną i odsuwasz, obraża Boga, obraża człowieka zajmującego się tobą i obraża mnie, gdyż mnie polecono doręczyć ci ten dar.

— Znasz więc, ojcze, treść tego listu? — spytał Albert.

— Dyktowałem go sam, bo tak chciał Benedykt.

— Znasz pan tego człowieka?

— Nigdy go wcześniej nie widziałem.

— Wiesz przynajmniej, jakie uczucia nim miotają.

— Bez wątpienia, głębokie uczucia opanowały jego istotę... i to jest tajemnicą między nim a Bogiem... mój synu! Tymczasem mogę cię zapewnić, że w chwili, gdy mi sumę wręczał, którą ci oddaję, czynił to w najczystszyim przekonaniu, że spełnia tym samym wolę Boga. Przyjmij więc ten dar. Benedykt jest w tej chwili daleko. Żadna chełpliwość ni duma nie kieruje nim; czyn spełniony, uczynił dar. Przyjmij go.

Przy tych słowach oddał Albertowi mały, opieczętowany rulon papieru. Po czym odezwał się:

— Teraz przyrzeknij mi, że na zawsze zrezygnujesz z wdzięczności, jaką jego postępek wzbudzić może!

— Wspaniałomyślny mężu! — zawołał Albert. Po czym, po chwili namysłu dodał: — Jeżeli twoje życie jest jakąś zbrodnią splamione, niezawodnie znajdziesz przebaczenie u Boga.

W kilka chwil potem Albert miał w swym pularsie sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

XXXVI

Wenecja

W pierwszych dniach 1841 r. przebywał w Wenecji młody Francuz wykwinny w sposobie bycia i wykształcony. Młody ten człowiek nazywał się Maksymilian Morrel. Był żonaty, jego żona Walentyna była córką byłego urzędnika i pochodziła po matce ze znakomitej rodziny Saint Meran.

Ani jedna chmurka nie powstała dotąd na horyzoncie ich małżeńskiego życia; żyli w najzupełniejszej zgodzie i harmonii, zdawało się, że wszystkie ich myśli pochodzą z jednego tygla.

Walentyna nie miała jeszcze dziecka. Od tak niedawna była zamężna, że nie odczuwała jeszcze tej żądzy macierzyńskiego uczucia, jakie opanowuje z

czasem kobietę starszą. Nigdy nie rozstawała się z Maksymilianem, widziała go zawsze przy sobie, miłego, kochającego, pieszczącego.

Maksymilian miał około dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat, a Walentyna siedemnaście lub osiemnaście. Małżeństwo to żyło, od czasu połączenia się, wyłącznie we Francji. Zapragnawszy poznać prócz salonów arystokratycznych Paryża jeszcze i inne towarzyskie koła, wyruszyli w świat.

Wenecja była pierwszym punktem, do którego przybyli.

W tym starym mieście, którego dawny przepych zaginął, Maksymilian i Walentyna zażywali czystego powietrza i błękitu nieba.

— Moja droga — rzekł Maksymilian — noce Wenecji są ciepłe, spokojne i zachęcają do wycieczki kanałami, w których odbija się księżyc.

— Weźmy gondolę, Maksymilianie — odpowiedziała Walentyna, spoglądając trwożliwie na jakiegoś mężczyznę w płaszczu, zakrywającego twarz olbrzymim rondem kapelusza.

Maksymilian nie zważał na Walentyne, która ścigała wzrokiem człowieka w ciemnym płaszczu i wielkim kapeluszu.

— Ileż to gondoli pływa po kanale — powiedział Maksymilian. — Kanały są ulicami Wenecji, gondole są jej powozami. O, tu jest gondola, zdaje mi się, dla nas odpowiednia. Patrz, gondolier odgadł nasz zamiar.

Walentyna milcząco szła u boku męża ku schodom, jej wzrok jednak ciągle spoczywał na owym nieznanym, który szedł za nimi, nie odrywając ponurego spojrzenia od małżonków.

Tymczasem ci zatrzymali się przed gondolierem, który, sądząc po porządnym czerwonym kaftanie i czystej czapce, był w służbie jakiegoś znakomitego domu.

— Czy twoja gondola wolna? — zapytał Maksymilian.

— Wolna, Ekscelencjo, byłby to dla mnie wielki zaszczyt przyjąć państwa — odparł gondolier.

— Zauważ, droga Walentyno, jaka uprzejmość, jaka nadzwyczajna

delikatność charakteryzuje Wenecjan. Coś podobnego trudno gdzie indziej pomiędzy klasą roboczą znaleźć — powiedział Maksymilian.

— Przyjacielu, zdajesz mi się być uczciwym człowiekiem — zauważył Maksymilian.

— Tysięczne dzięki za to niebu i patronowi Wenecji, łaskawemu panu świętemu Markowi! Co się mnie tyczy, to zawsze będę tylko niedołągą obok Waszej Ekscelencji i Signory, która mi łaskę wyświadcza patrząc na mnie — odrzekł przewoźnik.

— Aha! To bez wątpienia z tej przyczyny, że ogląda twoje porządne i czyste ubranie, i obuwie.

— To prawda — odezwała się Walentyna — Podziwiam tą nadzwyczajną schludność u człowieka takiego stanu.

Gondolier nie odpowiedział już nic, tylko się pokłonił bardzo nisko.

— Jak się zowie twoja gondola? — zapytał Maksymilian.

— Walentyna — odrzekł gondolier.

— Co on mówi? — zapytała pani Morrel, popatrzwszy ze zdziwieniem na męża.

— Powiedział, że jego gondola nosi imię Walentyny. Moja droga, tym bardziej musimy zrobić wycieczkę tą gondolą!

Gondolier nie dał sobie dwa razy powtarzać, pośpieszył ku schodom, naciągnął łańcuch od gondoli, by Maksymilian i Walentyna mogli bez trudu wejść.

Chociaż Walentyna zaledwie krótki czas była w Wenecji, od razu poznała, że gondola, w której się znajdowała, o wiele bogatsza była niż inne. Ten maleńki statek miał bowiem, w swej tylnej części, złocenia, piękny jedwabny namiot i bogate poduszki.

Jednak w tej chwili Walentyna nie podzieliła się z mężem swym spostrzeżeniem; jej myśl zdawała się być czymś innym zajęta. Gondola kierowana wprawną ręką ruszyła już, a Walentyna jeszcze oglądała się

badawczo ku Piazza.

Gdy tylko Maksymilian i Walentyna odpłynęli, nieznajomy człowiek zahuczał podobnie do wołania sowy i zaraz mu ktoś w ten sam sposób odpowiedział. Niebawem zbliżył się ten, kto odpowiedział na wołanie.

— Vecchio! — zagadnął pierwszy do zbliżającego się — Wykonałeś rozkazy?

— Wykonałem, łaskawy panie — odpowiedział drugi cichym głosem z nadzwyczajną tajemniczością. — Miałem długą rozmowę z gondolierem w czerwonym kaftanie i wiem, że od kilku dni jest w służbie bogatego Francuza, który niedawno do Wenecji przybył.

— Kim jest ten Francuz?

— Eh, przebiegły gondolier udawał, że nie zna jego imienia.

— Cóż więcej?

— Jakże gwałtowny jesteś, Signor! — odezwał się zapytany.

— Do rzeczy! — przerwał pierwszy z niecierpliwością — To jest ten twój spryt, którym się szczycisz? Zaprawdę, twoja chępliwość zasługuje na wyśmianie.

— Cierpliwości, Signor! Jeszcze wysłuchaj... Skoro gondolier imienia swego pana nie znał, skierowałem więc moje dociekania w inną stronę i tak udało mi się wreszcie dojść do nazwiska tego Francuza.

— Jak się nazywa?

— Bardzo zwyczajnie: Morrel.

— Morrel? — powtórzył pierwszy, jak gdyby to imię nie było mu obce.

— Tak mi powiedziano.

— Gdzie mieszka?

— W pobliżu Giudecca, w małym pałacyku dotykającym z jednej strony do kanału, a z drugiej do Villi Sanct Martin.

— Dobrze. Łódź?

— Gotowa.

— Każmy się więc zawieźć w kierunku Giudecca!

Obaj rozmawiający zniknęli w tłumie.

Tymczasem gondola Maksymiliana i Walentyny odpłynęła daleko od brzegu.

Kto nie oglądał ciepłej i spokojnej nocy księżycowej w Wenecji, ten nie ma wyobrażenia o jej piękności. Walentyna, zapewne na skutek niewytłumaczonego rozradowania duszy, rozplakała się. Maksymilian przycisnął ją do siebie i zapytał:

— Moja najmilsza, ty płaczesz? Cóż na świecie może wycisnąć łzy z oczu twoich?

— Czy myślisz, że to łzy bóleści? Nie, to łzy szczęścia; nieskończonego szczęścia, jakiego doznaję od chwili połączenia się z tobą! Daj Boże, by tak zawsze było! — odpowiedziała Walentyna.

— Dlaczego nie miałoby być? — zapytał żywo Maksymilian.

— Wybacz mi. Może to dziwactwo z mojej strony wyznać ci, że jakaś dziwna bojaźń mną owładnęła! Czasem budzi się we mnie wspomnienie naszego dobrodzieja, a wtedy drzę cała, sama nie wiedząc dlaczego!

— Im więcej kochamy tych, którym nasze szczęście zawdzięczamy, Walentyno — odrzekł Maksymilian — tym bardziej obawiamy się o ich szczęście i ich dolę; tymczasem jest to bezpodstawne: Edmund Dantes jest błogosławiony przez tych wszystkich, którzy znają jego sprawiedliwość i dobroć jego duszy. Uspokój się moja droga i mówmy o innych rzeczach.

— Nie, mój przyjacielu. Chcę o Edmudzie Dantes mówić, albo raczej o hrabim Monte-Christo! Rada bym także mówić o grocie Monte-Christo należącej do nas od czasu, gdy otrzymaliśmy ją w podarku z ręki hrabiego.

— Mów, Walentyno.

— Powiedz mi, Maksymilianie, czy to prawda, że jesteśmy bardzo bogaci?

— Bez wątplenia, jesteśmy bardzo bogaci, dzięki naszemu dobroczyńcy.

— Chciałeś utrzymać grocie Monte-Christo w tym przepychu barbarzyńskim,

w jakim ją nam hrabia oddał.

— To jest obowiązkiem wdzięczności, Walentyno.

— Słusznie! Lecz wdzięczność, mój drogi, można okazać i w inny sposób.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Walentyna nic nie odpowiedziała, dopiero po chwili zawołała pełna trwogi:

— Ach, to całe bogactwo i barbarzyński przepych przestrasza mnie, mój dobry Maksymilianie.

— Powiedz mi! Czemu bogactwo groty Monte-Christo tak cię przeraża?

— Maksymilianie! Wszędzie gdziekolwiek jesteśmy są tysiące rodzin, dla których bogactwa tam nagromadzone byłyby źródłem szczęścia. Rodziny, którym codziennego chleba brak, rozumiesz, mój przyjacielu, i którym przez cały rok ten chleb dostarczony by mógł być, jeśliby sprzedać jeden drobiazg z groty Monte-Christo! Wysłuchaj proszę snu, który trapi mnie od trzech nocy.

— Mów, Walentyno — odparł Maksymilian z posepnym wyrazem twarzy.

XXXVII

Sen w grocie Monte-Christo

— Przypominasz sobie zapewne, że w chwili kiedyśmy wstępowali do groty Monte-Christo, świat zdawał się dla nas kończyć, a rozpoczynał się jakiś nowy i bajeczny! Przypominasz sobie dobrze i nie zapomniałeś z pewnością, że pewnego wieczoru, jednego z ostatnich, któreśmy spędzili w tej czarodziejskiej grocie, wyszedłeś na polowanie na dzikie kozy, których tam wśród stromych skał tyle przebywa. Zostałam sama i po raz pierwszy doznałam kurczowego, niewytłumaczalnego drżenia! Osłabłam, nie wiedząc dlaczego, i usnęłam. Wtedy miałam szczególny, dziwny sen! Widziałam przepyszne sale groty oświetlone, jak gdyby jej ściany przenikały promienie jasnego słońca! Przepyszne słupy z ich złotymi kapitelami, sklepienie ustrojone drogimi

kamieniami, najpiękniejszymi tureckimi dywanami wyścielona podłoga, prześliczne posągi dłuta Michała Anioła — wszystko to było tak nasiąknięte światłem, że aż raziło! Wonne kadzidła Orientu ulatniały się ze srebrnych waz i napawały wonią powietrze, a ja, poddając się czarowi tej woni, popadałam w miłe uśpienie. Tym razem nie doznałam przyjemnych iluzji. Przez jedwabne makaty, pokrywające ściany, przez skały, w których była wykuta grota, widziałam mnóstwo żebraków i robotników, w najokropniejszej nędzy, otoczonych mnóstwem kobiet i dzieci, które głośnym krzykiem domagały się chleba! Ich wołania, hymn grobowy głodu i rozpacz, sprawiały, że trzęsłam się z przerażenia! Widziałam jak ta cała masa, wiedzona przez jakiegoś nieznajomego, zbliżała się do groty, otaczała ją i szukała wejścia. Chciałam uciekać, ale brakło mi siły i odwagi, nie mogłam się podnieść z miękkich poduszek, na których leżałam. Krzyk nędzy i głodu dochodził aż do mnie... zbliżał się, aż w końcu zobaczyłam

całą falę tych nędzarzy tłoczących się do groty schodami i wypełniających całą przestrzeń. Przypominam sobie krzyk dzieci, kurczowy śmiech matek, dzikie głosy mężczyzn omamionych przepychem bogactwa sal naszej groty. Na znak nieznajomego, który zdawał się tę bandę prowadzić, ucichł krzyk i głęboka cisza otoczyła mnie. Nieznajomy wystąpił, stanął na miejscu, z którego go wszyscy widzieć mogli, podniósł rękę, w której złoty klucz trzymał. „Bracia — zawołał donośnym głosem — bogactwa od wieków we wnętrzu skały spoczywające, pomnożyły się tyle razy, ile poddani łez przelali, nękani nędzą i głodem. Bóg ukarał tę rodzinę skąpców, jej członkowie mieli żyć w nędzy, mając jeden cel: ze stulecia na stulecie zaspokajając żądzę chciwości, gromadzić coraz to więcej skarbów w tej grocie z granitu, aż tajemnicę o miejscu, gdzie znajdują się skarby ostatni potomek tego przeklętego rodu zabrał do grobu. Długo, bardzo długo potem, Bóg wybrał człowieka spośród klasy robotniczej, by był tłumaczem jego wszechmocnej woli. Człowiek ten, którego cierpliwość, wiara i wytrwałość wypróbowane były przez długie lata nieszczęścia, otrzymał objawienie o

istnieniu skarbów ukrytych na bezludnej wyspie. Objawienie to otrzymał w chwili, gdy go otaczały mury więzienne — na zawsze dla niego przeznaczona trumna. Później wydobyło go ramię Boże z tego grobu i postawiło na skale tej pustej wyspy, i usłyszał wewnętrzny głos nawołujący go: Zejdź do wnętrza ziemi i wróć potem na świat, gdzie łzy niedoli koić będziesz. Tak uczynił! Zstąpił tu i zobaczył skarb, spoczywający tu od wieków. Lecz szatan stał u jego boku i by go oślepić, szepnął mu do ucha zdradzieckie słowa: Jesteś odtąd najpotężniejszym człowiekiem na ziemi! Rozkazuj, a będziesz widział nawet królów słuchających cię! Słowa te miały swój skutek. Człowiek ten, owiany samolubstwem, pełen dumy, wrócił na ziemię i patrzył na świat z pogardą; widział się wielki i możny, nie bacząc na podstawę, na której wyniósł się ponad swoich braci! Dał się porwać ułudzie potęgi, zamiast z ubogimi podzielić bogactwa, które przez ubogich tu powstały. Bóg opuścił tego człowieka i znalazł innego. Ja nim jestem! W moim ręku spoczywa złoty klucz, który otrzymałem z nieba! Nim otworzyłem tajemniczy skarb, dla was go otworzyłem, jest wasz”.

Nieznajomy przestał mówić, zapadło głębokie milczenie; po czym wybuchł okrzyk szalonej radości i szczęścia. Raptowny ogień zniweczył na zawsze całe bogactwo groty Monte-Christo, z wszystkich przepychów nie zostało nic, prócz ciemnych skalistych ścian i gołej ziemi.

Gdy Walentyna skończyła, po długim milczeniu, pośród którego tylko plusk fali morskiej dawał się słyszeć, Maksymilian zrozumiał, że nie powinien dać odczuć Walentynie, co go wewnątrz nagle trapić zaczęło.

Przemówił więc:

— Pojmuję Walentyno, że takie sny zdolne są najzdrowszy umysł porwać, ale nie mogą niepokoić tego, który ufa sprawiedliwości wszechmocnego Boga.

— Wierzysz w to — odpowiedziała Walentyna z uśmiechem powątpiewania i pospieszyła dodać: — Jestem przekonana, że te sny, których nie raz, lecz po kilkakroć doznajemy i zawsze są takie realne, pod pewnym względem są przestrogą, jaką nam niebo zsyła.

— Walentyno! — zawołał Maksymilian, chwyciwszy żonę za rękę.

Walentyna podniosła oczy na posępną twarz Maksymiliana. Jej wzrok zdawał się pytać:

— Cóż mamy począć?

Milczeli oboje.

Niebawem dobili do portu i Maksymilian dał gondolierowi znak, by skierował łódź na mały kanał wiodący ku Guidecca.

XXXVIII

Poszukiwania

Zaledwie dotarli do pałacyku, Walentyna udała się do swego pokoju, padła na kolana przed obrazem Najświętszej Panny pędzla Rafaela i modliła się gorąco.

Maksymilian był wówczas w swoich apartamentach i wydawał polecenia.

Walentyna, pod wpływem snu opowiedzianego mężowi, ze łzami w oczach polecała siebie i męża opiece Matki Najświętszej i miłosierdziu Bożemu, nie mogąc sobie wytłumaczyć przecucia i snu, i nie wiedząc jaki los może spotkać ją i jej męża.

Maksymilian wszedł do apartamentów żony, ale nie odważył się w modlitwie przeszkadzać. Gdy Walentyna powstała z klęcznika i jeszcze w jej oczach błyszczały łzy rozrzewnienia, Maksymilian pocałunkami starł ślady łez z jej oczu i przemówił:

— Moje drogie serce, jeżeli wspomnienia zwodniczych snów...

— Nazywasz zwodniczymi moje sny, sny powtarzające się tak często? — przerwała Walentyna — A gdybym ci powiedziała, że oprócz tego coś słyszał, widziałam już tego człowieka, który nieszczęśliwych i zgłodniałych do naszej groty Monte-Christo zdawał się we śnie wprowadzać?

— Co ty mówisz, Walentyno? Czy odchodzisz od zmysłów? — zawołał Maksymilian, poblądwszy na widok przerażenia, jakie się malowało na twarzy jego żony,

Ona zaśmiała się nerwowym śmiechem i mówiła dalej:

— Nie, nie jestem szalona, nie. Powiedziałam ci, że widziałam tego człowieka, który objawił mi się w snach; tak jest, widziałam go.

Wyraz oczu, którymi w moim śnie zdawał się pochłaniać nasze bogactwa, miał taki sam, patrzył na mnie i czułam jak promień ognisty przenika moją pierś, jakby odkryć chciał moje najskrytsze myśli. Ten człowiek, słyszysz Maksymilianie, nie jest widziadłem wywołanym przestraczem. Nie, ten człowiek od trzech wieczorów przypatruje mi się z uwagą, gdy przechodzę z tobą przez Piazza. Jego widok wprawia mnie w drzenie.... Zdaje się do mnie przemawiać:

— „Walentyno, spełnisz wolę Boga? Chcesz, żeby tyle rodzin proletariuszy, których dziedzictwem głód jest, kobietę bez serca przeklinało, która we wnętrzu nagiej skały przechowuje skarby, których połowa wystarczyłaby by ich uszczęśliwić. Walentyno, największą chwałą, jaką otoczyć się możesz, będą błogosławieństwa wszystkich tych rodzin, które od głodu możesz uchronić, gdy podzielisz z nimi skarby”.

Po tym przemówieniu Walentyna zamilkła, jej spokojne jasne oczy spoglądające na Maksymiliana pytały, czy zgodzi się z jej zamiarem.

Maksymilian spostrzegł coś wyższego, nadziemskiego w obliczu Walentyny i uchylił czoła przed tą siłą, ukorzył się przed władzą, która go pokonała, aczkolwiek on jej pojąć rozumem nie zdołał.

Walentyna odniosła zwycięstwo.

Postanowili zerwać z wszelkim przepychem, jaki bogactwo z sobą przynosi, to co mieli ponad miarę, podzielić pomiędzy biednych. Jednak decydując się na taką przemianę, Maksymilian nie chciał zniszczyć niezwykłego bogactwa, jakim obdarzył ich Monte-Christo.

— Walentyno — rzekł pewnego dnia — przypuśćmy, że jutro nasze dzisiejsze bogactwo na zawsze dla nas przepadnie; jakie wówczas będzie dziedzictwo naszego dziecięcia, gdy Bóg obdarzy nas potomkiem?

— Jakie dziedzictwo miałby mieć, jeśli nie imię, które na ziemi przez wiele rodzin będzie błogosławione, imię, które ojcowie dzieciom przekazywać będą przez pamięć i miłość! — powiedziała Walentyna. Po czym z uczuciem niewysłowionej słodyczy dodała: — Wierz mi, mój przyjacielu, gdybym nie miała pewności, że wspaniały dar, jakiśmy otrzymali z rąk hrabiego Monte-Christo, miał swój początek w cierpieniu ludu, to bym się nie wahała zachować go, nawet powiększać, by bogactwo pozostawić naszym dzieciom, ale....

— Co chcesz przez to powiedzieć, Walentyno? — przerwał Maksymilian — Zapominasz już, jaką bezinteresowność okazał hrabia Monte-Christo ratując nas? Miałaby jego dobroć, jego wspaniałość, szlachetność charakteru, nie zasługiwać na wdzięczność?

— Jak bądź jest — dodała Walentyna — to przecież uczucie wdzięczności, jakie winnam dla Monte-Christo, nie ma nic wspólnego z życzeniem odsunięcia od siebie blasku, jakim chciał nas otoczyć. Mój Maksymilianie, ten blask przeraża mnie; nie zasługuję na niego, nie chcę go; podzielimy się z nieszczęśliwymi i tak spełnimy najświętsze przepisy naszej religii — miłosierdzie.

Maksymilian zrezygnował z dalszej rozmowy, a Walentyna żywiła nadzieję, że będzie w stanie spełnić swoje życzenie. Oczekiwała z troską chwili, w której bogactwa z grotty Monte-Christo użyte zostaną dla ulżenia niedoli nieszczęśliwych.

Dowiedzmy się tymczasem, kto był owym człowiekiem, który tak zainteresował się Walentyną, gdy szła z Maksymilianem.

Zaledwie małżonkowie przeszli schody wiodące do ich pałacyku i gondola oddaliła się od portu, druga łódź prędko zbliżyła się do niej.

Gondolier począł krzyżeć, lecz sztylety przyłożone mu do piersi zdławiły

głos...

— Milcz, albo śmierć! — zawołał napastnik.

— Czego chcecie ode mnie? — zapytał gondolier.

— Twego uszczęśliwienia.

— Szczególny sposób uszczęśliwiania kogoś! — odparł gondolier, uważnie przypatrując się człowiekowi, który mu szczęście podawał na końcu sztyletu, po chwili powiedział:

— Jeżeli chodzi o milczenie, to przysięgam na św. Marka, osiem dni ust nie otwierać nawet na zmówienie jednego Zdrowaś.

— Umiesz milczeć? — zapytał obcy.

— Jak kanał Orfano, który wedle legendy, nigdy nie zdradził tajemnicy! — odrzekł gondolier.

— Dobrze! — obcy rzucił kilka monet na poduszki gondoli i zwróciwszy się do swego towarzysza, zagadnął rzymskim dialektem: — Rocca, tego człowieka powierzam tobie. Umocuj gondolę przy łodzi i wiosłuj ku jachtowi.

Gondolier, tą nocną przygodą z razu przestraszony, gdy dobili do jachtu, wdrapał się ochoczo na pokład.

— Towarzyszu — rzekł do niego człowiek, zdający się być kapitanem okrętu — będę cię przesłuchiwał i mówię ci z góry, że kłamstwa drogo opłacisz, a także gdybyś prawdę przemilczał. Odpowiadaj więc — kto jesteś?'

— Giacomo z Lido, z łaski św. Marka, a od kilku dni gondolier signora Morrel.

— Co to za człowiek?

— Wiem, że jest Francuzem. Jeżeli to prawda, co na Piazza mówią, to jest milionerem.

— Czy masz podstawy wierzyć temu?

— Ja? — odparł gondolier — Bóg świadkiem, nie! Wprawdzie słyszałem, że Francuz ma wielkie bogactwa, lecz w jakim kącie świata, tego nie wiem.

— Jak można dać wiarę temu, co mówisz? Wszak najłatwiej pamięta się z

rozmowy nazwy miejscowości.

— Gdy o żadnej miejscowości wzmianki nie było, cóż mógłbym panu powiedzieć! — odrzekł gondolier.

— Bardzo dobrze! Lecz jakie to słowa były, które słyszałeś? Powtórz mi.

— Tego wieczoru — mówił gondolier — wypłynąłem ponad Lido z panem Morrel i jego żoną; a co słyszałem, to powtórzę, bo mówiono nie w celu zachowania tajemnicy, więc i gniewu św. Marka za to na siebie nie sprowadzę.

Gondolier począł opowiadać to wszystko, co Walentyna o śnie mówiła.

Kapitan jachtu nie uronił ani jednego słowa. Gdy gondolier skończył opowiadanie, zaśmiał się i rzekł:

— To opowiadanie z tysiąca i jednej nocy! Ale mniejsza o to. Czy rzeczywiście na Morzu Śródziemnym istnieje wyspa zwana Monte-Christo?

— Mało kiedy wychylałem się poza Morze Adriatyckie, nie znam innych miejsc, prócz głównych punktów Morza Śródziemnego i mogę tylko powiedzieć, że wyspa Monte-Christo nie znana jest w świecie handlowym.

Kapitan myślał nad czymś kilka chwil, potem dał rozkaz, by zapalono lampę w kajucie. Wpatrzył się w weneckiego gondoliera badawczo. Potem, widocznie zadowolony, oparł głowę o ręce i powoli począł mówić, nie zwracając już na Wenecjanina oczu:

— Prawdą jest! Na wyspie Monte-Christo znajduje się olbrzymi skarb, ukryty tam przed wiekami! Ten skarb, obecnie do nikogo nie należący, stanie się zdobyczą pierwszego, który go odkryje. Morze Śródziemne znam słabo, gdyby mi jednak ktoś drogę ku wyspie wskazał, przysięgam zapewnić mu szczęście!

— Ach! Jakże można skarbami tam znajdującymi się rozporządzać, gdy te należą do mego pana? — zauważył gondolier.

— Kto mu je dał? — zapytał kapitan — Mówię ci, że one jemu ani mniej, ani więcej przynależą jak tobie, mnie i każdemu innemu, który odkryje tajemnicę wydobywania tych skarbów z ziemi. Jeżeli jest jakiś prawdziwy właściciel tych skarbów, to są to biedni, wierz mi. Bo czym są te skarby, jak nie

trudem ubogich zamienionym w złoto i drogie kamienie w rękę jakiegoś możnego pana. Jeśli jesteś człowiekiem myślącym, to przyznasz, że praca ubogich do ubogich należeć powinna! Lecz nie mówmy o tym! Dam ci szklanę wina, by cię wynagrodzić za wyrządzona szkodę.

Kapitan uderzył w stół na znak, aby ktoś się zjawił. Po chwili gondolier wychylił szklanę wina, rozkoszując się nim jak znawca, zapalił fajeczkę, pogładził się po gęstej brodzie i wlepił oczy w gospodarza z rodzajem porozumienia, co kapitan zdawał się akceptować.

— Znam kilku tęgich chłopców od Bando — rzekł gondolier.

— Jakiego Bando? — zapytał kapitan.

— Tak jest, od Bando.

— Cóż to znaczy?

— To pan nie wiesz, co to Bando?

— Nie wiem.

— Nigdyś pan nie słyszał o kontrabandzie? — wymówił gondolier, szczególny nacisk kładąc na ostatnie słowo i wymawiając je przeciągle i wyraziście — Rozumiesz pan?

— Poczynam pojmować.

— Wiesz więc — contra bando — co ma znaczyć?

— Nie wiem.

— A więc: oznacza ludzi, którzy zajmują się contra-bandą.

— Tak jest i nie trzeba być prorokiem by to odgadnąć.

— Znam kilku ludzi, którzy są w stanie wysokość każdego tajemniczego punktu na Morzu Śródziemnym oznaczyć, jak ja panu najtajniejsze miejsca kanałów weneckich oznaczyć jestem w stanie.

— Cóż dalej?

— Co dalej?

— Na cóż mi ci ludzie od Bando?

— Oni muszą znać wyspę Monte-Christo!

— Cóż z tego?

— Możesz przecież pan rozmówić się z nimi.

— Ręczysz za nich?

— Najpierw ja muszę z nimi mówić.

— Za rozmowę ty odpowiesz.

— Dlaczego?

— Nie lubię zawodu.

— Dobrze! Jeszcze dziś w nocy. Abyś pan nie miał wątpliwości, to musi ci być wiadomo, że ci ludzie są tak dobrymi przyjaciółmi grosza, jak stary rabuś jest przyjacielem tego doskonałego wina, które wypiliśmy.

— Jeżeli więcej o nic nie chodzi, to jest to rzecz najmniejsza.

— Więc mam się z nimi rozmówić?

— Jeszcze tej nocy.

— Przy takiej odpowiedzi nie ma już żadnej trudności — odrzekł gondolier.

— Co się mnie tyczy, jestem gotów porozumieć się z panem i bezpośrednio donieść panu to, co oni mi powiedzą.

— Dobrze! Spiesz się rozkaz wypełnić i pamiętaj, jeśli nie jesteś szalony, że nie potrzebuję ci zalecać milczenia.

Kapitan zrobił przy tych słowach gest znaczący, na który gondolier równie znacząco odpowiedział.

Na odchodnym zapytał:

— Imię pańskiego statku?

— „Burza” — odrzekł kapitan.

— Na św. Marka, wybrałeś pan imię o złej wróżbie — zauważył gondolier skłoniwszy się i wszedł na schody wiodące na pokład.

Zaledwie wskoczył do gondoli i odbił od jachtu, kapitan zawołał swego porucznika.

— Rocca Priori! Jutro ma być wszystko gotowe do odjazdu przy pierwszym sygnale. Ten człowiek powiedział mi, co wiedzieć chciałem.

Kontrabandyści

Zaledwie gondolier Giacomo umieścił swoją gondolę przy schodach Giudecca blisko pałacu zajmowanego przez Maksymiliana Morrel, wyskoczył i pobiegł w wąską uliczkę. Tam zapukał do drzwi małej szynkowni.

— Madre de Dio! — odezwał się głos kobiety wewnątrz. — Gdybym nie oczekiwała tego szelmy Giacomo, założyłabym się, że to są odwiedziny Donany, która chce nasze drzwi rozwalić, aby donieść o jakimś zazdrośniku! To ty, Giacomo?

— Tak, tak! Prędko.... Otwieraj...

— Tak ci spieszno? Musisz poczekać, gdyż aby wejść, musisz o to z większą grzecznością poprosić, poza tym rygle u drzwi są ciężkie, szczególnie na moje ręce.

— Ot, tracimy czas na bagatelach! — zawołał Giacomo z wzrastającą niecierpliwością.

— Widział to kto!... Pan przychodzisz może, aby mi oznajmić dzień, w którym odbędą się nasze zaślubiny w katedrze św. Marka? Powiedzże Giacomo, czy tak?

— Żarty stroisz sobie ze mnie, a istotnie, może mało brakuje ci do odgadnięcia prawdy.

— Istotnie? — odpowiedział głos kobiety z ironicznym śmiechem, na co gondolier aż zatrząsł się z oburzenia.

— Otwierasz czy nie?

— Zobaczymy. Chcę się dowiedzieć, co cię sprowadza.

Drzwi otworzyły się i Giacomo stanął naprzeciw ładnej dziewczyny.

— Gdzie jest twój brat, Pietro?

— To jest przywitanie na dobry wieczór? Zrób mi więc tę przyjemność,

pożegnaj się jak najszybciej i idź precz, bo chcę się spać położyć! Piękna rzecz, tracić czas na oczekiwaniu takiej poczwary.

— Nie masz podstaw tak mówić, moja Rozyno! Gdybyś wiedziała, o co chodzi, to nie dziwiłabyś się, że zapomniałem powiedzieć dobry wieczór!

— Istotnie!

— Wierz mi.

— Trzeba przyznać, że jesteś kompletny nicpoń!...

— Ależ...

— I nicponiem na wieki zostaniesz!

Rozyna koniec fartuszka przyłożyła do oczu. Giacomo zawołał:

— Rozyno, nie bądź zazdrosna, przysięgam ci, że twój Giacomo nie zasługuje na to!

— Proszę!

— Chcesz wiedzieć, dlaczego zaraz pytałem o twego brata?

— To mnie nie obchodzi.

— Pytam, chcesz wiedzieć?

— Nie!

— Nie?

— Nie!... Nie chcę nic wiedzieć!

— Cóż chcesz?

— Chcę tylko, abyś mnie zostawił w spokoju.

— Co?

— Tak, zostaw mnie w spokoju i nie naprzykrzaj mi się więcej.

— Ależ wysłuchaj mnie i nie bądź taka. Pytałem cię najpierw, gdzie Pietro, bo...

— Powiedziałam już panu, panie Giacomo...

— Bo...

— Panie Giacomo, powiedziałam raz, że nic nie chcę wiedzieć! Rozumiesz mnie pan?

Rozyna przy tych słowach wypowiedzianych z ferworem siadła na stole.

— Czego to zazdrość nie potrafi! — gwałtownie odezwał się Giacomo.

Oczy zaiskrzyły się Rozynie, zsunęła się ze stołu, stanęła naprzeciw Giacomo, wyprostowała się, podparła się rękami pod boki i z wyrazem pogardy powtórzyła:

— Zazdrość?

— Tak, zazdrość przez ciebie przemawia — powtórzył Giacomo.

Rozyna tym gwałtowniej odezwała się:

— Zazdrość!... Eh, chyba pan zupełnie głowę stracił.

— Dlaczego?

— A o kogo to mam być zazdrosna, o pana?... Żeby zazdrościć, trzeba kochać, a to mi wcale na myśl nie przychodzi. Rozumiesz pan? — zagadnęła Rozyna ostro, patrząc w oczy Giacomo.

— Co to? Ty, tak rozumna dziewczyna, możesz mieć takie myśli? No chodź, bądźmy przyjaciółmi; chcę ci opowiedzieć, co mi tak głowę zawraca, że zapomniałem cię pocałować.

— Mnie pocałować! Chciałabym to widzieć! — z głośnym śmiechem powiedziała Rozyna.

Giacomo zaczął się naprawdę irytować. Rozyna nie omieszkała z gestem znaczącym dodać:

— Musisz pan raz na zawsze wiedzieć, że moje całusy nie są dla ludzi pańskiego pokroju, Giacomo!

— Naprawdę, to już za wiele skromności...

— Stajesz się bezczelny, miej się na baczności, nie drażnij mnie, inaczej wybuchnę z całą siłą, a gdy raz proch zapalę, będzie źle!

— Aj!

— Mówię ci, licz się ze słowami, bo poznasz Rozynę!

Giacomo stwierdził, że rozmowa przyjęła taki zły obrót. Usiadł i zaczął sobie swoją fajeczkę nakładać. Gdy już fajeczka była nabita, chciał ją zapalić

przy starej lampie miedzianej. W tym momencie Rozyna podsunęła lampę pod nos Giacoma, podciągnęła knot wysoko.

I święty mógłby się zniecierpliwic, cóż dopiero gondolier.

Giacomo nie powiedział jednak ani słowa. Odłożył fajkę na stół, jak człowiek, który postanowił uniknąć nieprzyjemnej sprawy, nie popadając przez to w złość.

— Do diabła! — mruknął, chodząc po pokoju.

Rozyna przyglądała się mu z ciekawością.

Giacomo począł głośniejszym głosem mówić:

— Do diabła! Spodziewałem się zastać Pietra. Rzecz wymaga szybkiego działania, każda zwłoka jest szkodliwa; a sprawa jest nie do pogardzenia. Chcę więc czekać! Pietro zapewne przyjdzie?

Mówiąc to, zbliżył się do stołu, wziął szklanekę do ręki, drugą wyciągnął po dzbanek. Rozyna w tym momencie wsparła się o jedną stronę stołu, aż stół się przechylił i wino wylało się. Giacomo odstawił szklanekę i odwrócił się plecami do Rozyny. Cierpliwość i poddanie się, z jakimi młody gondolier wytrzymał złościwości, zawsze miłe mu ze strony pięknej tyranki, przyczyniły się niemało do zwycięstwa jej złego usposobienia. Nastąpiło z obu stron przydługie milczenie. Wreszcie ona pierwsza odezwała się:

— Więc pan Giacomo, gondolier z Rialto, rad by u mnie noc spędzić?

— Ponieważ masz zwyczaj nie kłaść się spać póki twój brat nie wróci, nie chcę ci zawadzać — odrzekł z determinacją Giacomo.

— A gdyby mój brat tej nocy zupełnie nie wrócił?

— Byłoby to wielkie nieszczęście, Rozyno. Muszę się koniecznie z nim rozmówić jeszcze dziś! — odparł Giacomo.

— Cóż mnie to obchodzić może?

— Powinno.

— Więc dobrze, rada bym wiedzieć, o co właściwie chodzi?

— Wyobraź sobie, odkryto zaczarowany skarb na jednej wyspie, którą tylko

twój brat znać może!

— Ach, to mamy cudowną historyjkę? Bajki, przy których usnąć można?... Idź w swoją drogę, mój przyjacielu; straciłam już dziecięce mleczne zęby, u mnie bajeczki piastunkowe już nie są na czasie!

Giacomo wpatrzył się z całą powagą w Rozynę i rzekł:

— Rozyno, nie jestem dzieckiem, które się daje bajeczkami zabawiać. Wiem, co mówię i myślę rozumnie.

Rozyna spojrzała nań z kokieterią i wyszeptwała:

— To prawda, my to wiemy, ty jesteś zawsze mądry.

Giacomo poczerwieniał z irytacji, nie dał się jednak zbałamucić; odezwał się więc uroczyście:

— Śmieję się, żartuję, kpiję ile chcesz, lecz wierz mi, Rozyno. Przed rokiem przyrzekłem ci ożenić się z tobą.

— Proszę kogo — przerwała mu Rozyna — jeżeliś tak rozumny, dlaczego do tej pory nie wynalazłeś sposobu na to?

— Gdyby nie nasz święty patron, który mi dał tyle cierpliwości, że mi wszystko znosić pozwala, to byłbym już niejedno głupstwo popełnił, byle cię tylko zmusić do milczenia. Lecz szczęście przedstawia mi się teraz w postaci pięknego ptaszka ze złotym upierzeniem, schwyciłem go i tak jestem pewny, że trzymam go w garści, jak tego, że skrzydlaty lew mieści się na placu św. Marka.

Przekonanie, z jakim gondolier te słowa wypowiadał, wzbudziło ciekawość pięknej Rozyny, co zresztą było najmnijszym jej grzechem.

Rozyna, wpatrzywszy się swymi cudownymi czarnymi oczami w Giacoma zapytała z przymilnym uśmiechem:

— Niezawodnie masz pragnienie, Giacomo? Już od dawna powinnam ci była szklankę wina podać. Wyczekiwanie pomnożyło to pragnienie, a więc i przyjemność będzie większa, gdy je zaspokoisz.

Gdy tak mówiła, otworzyła szafę w murze i wyjęła z niej flaszkę wina.

— To mi się podoba! Za twoje zdrowie, moja Rozyno! Na drugi raz nie

złość się!

— Ja się złoszczę? — spytała.

— Tak, czasem, bardzo i troszkę — odparł Giacomo.

— Jestem złośnicą. Ciagle to mówisz.

— Czasem, czasem!

— No, dajmy temu spokój teraz i pomówmy spokojnie — przymilała się Rozyna.

— Więc mówmy.

— Oto mówiłeś mi, że szczęście, ten ptaszek złoty, ciągle umykając, koło ciebie lata?

— Powiedziałem ci, że tego ptaszka mam w garści — odparł Giacomo, sadowiąc się obok Rozyny i obejmując jej smukłą kibić muskularnym ramieniem.

— Jakim sposobem? — zapytała Rozyna.

— Kazano mi odnaleźć skarb znajdujący się na jednej z wysp Morza Śródziemnego.

Rozyna zmarszczyła czoło i poruszyła głową przecząco. Nieco później zapytała:

— Na której wyspie?

— A gdy ci powiem, zachowasz tajemnicę?

— Piękne pytanie!

— Wybacz mi Rozyno; lecz tajemnica w ustach kobiety, a korek w morzu, to jedno i to samo.

— No widzisz, jest to bardzo dowcipne — rzekła Rozyna, pozwalając się gondolierowi pocałować. Rada z pocałunku, szepnęła słodziutko: — Napij no się jeszcze lampeczkę, gotowam myśleć, że ci moje wino nie smakuje?

— Twoje wino takie, jak ty sama! — odezwał się Giacomo.

Potem nalał sobie szklanekę wina i wychylił duszkiem.

Rozyna popatrzyła nań zalotnie i zapytała:

— No, powiedz mi, ta wyspa leży daleko stąd?

Gondolier napił się jeszcze szklaneczkę i nic nie odpowiedział.

— Jakaż to wyspa? — zapytała znów słodziutko Rozyna.

— To wyspa Monte-Christo! — wymówił uroczyście gondolier.

Rozyna porwała się z miejsca na te słowa i zawołała:

— Co ty mówisz?

Giacomo zdziwił się.

— Znasz tę wyspę?

— Nie, zupełnie nie... Tylko imię jej bardzo mi się spodobało.

Po chwili dodała:

— Monte-Christo! Powiedz mi jednak, Giacomo, do jakiego kraju należy ta wyspa.

— Doprawdy nie wiem.

— Więc cóż wiesz?

— To tylko, że na tej wyspie jest wielki skarb, należący do biednych, bo pochodzi z ich pracy i trudu. Dlatego i my, nie opływający w dostatki, mamy prawo do tego skarbu... A gdy go już w ręku mieć będę, moja Rozynko, wtedy... wtedy... ot, kościół katedralny św. Marka niedaleko i wyciąga ku nam ramiona. Teraz oczekuję twego brata Pietra, aby powiedział, gdzie ta wyspa leży; bo on zna Morze Śródziemne, jak ja znam Lido.

Po chwili milczenia Rozyna rzekła stanowczo:

— Pietro tej nocy nie wróci do domu! Chodzi o ładunek dobrego wina cypryjskiego dla hrabiego Gradenigo, który wydaje wielki bal na cześć jednego ze swych przyjaciół.

— Niech diabli porwą bal i przyjaciela hrabiego Gradenigo! — zawołał gondolier.

Wybiła północ.

Rozyna odezwała się z ubolewaniem:

— Twój pobyt nie może się już dziś przedłużać. Jest północ, a ja muszę

równy z dniem wstać.

— Więc to prawda, że twój brat Pietro nie wróci dziś wieczór?

— Może nawet i jutro go nie będzie.

Rozyna zrobiła minkę dającą do poznania Giacomowi, że czas do wyjścia.

Giacomo odezwał się:

— Dobranoc, moja Rozynko; nie pozostaje mi nic innego, jak odejść.

Pamiętaj, co ci Giacomo powiedział, dzień naszych zaślubin jest jużznaczony!

Rozyna odpowiedziała na takie oświadczenie Giacomu pożądliwym spojrzeniem i ze słodkim uśmiechem skinęła główką.

Giacomo wyszedł.

Rozyna zamknęła starannie drzwi, nadsluchiwała jeszcze chwilę stąpania kroków gondoliera. Gdy się przekonała, że ten istotnie odszedł, pobiegła do drzwi pokoju znajdującego się w głębi domu, zapukała i zawołała kilkakrotnie:

— Pietro!... Pietro!

— A co tam? — odezwał się z wnętrza męski głos.

— Wstawaj, mój drogi Pietro; bo mi się zdaje, że nadszedł moment, kiedy możemy być użyteczni dla naszego obrońcy!

Rozyna musiała raz jeszcze powtórzyć te słowa, zanim brat jej zdołał zrozumieć ich znaczenie.

Pietro był młodzieńcem w wieku dwudziestu czterech, dwudziestu pięciu lat, średniego wzrostu, śniadej cery i wyrazistych rysów twarzy.

Pietro otworzył drzwi, przecierając oczy zapytał:

— Cóżś więc chciała powiedzieć, Rozynko?

— Słyszysz teraz? — zapytała Rozyna.

— Słucham — odrzekł Pietro.

— Proszę cię, zbierz całą uwagę.

— Mów, słucham.

— Pietro — odezwała się Rozyna — nim nasz ojciec zmarł, zażądał od nas

przrzeczenia pod przysięgą, że zawsze będziemy szanowali człowieka, który nasz handel winem ochraniał.

— Tak jest. Cóż więcej?

— Wyspa Monte-Christo była, jak ci wiadomo, własnością Sindbada Żeglarza. Wszyscy kontrabandziści zaprzysięgli temu człowiekowi wieczną uległość! Wiesz także, że Sindbad Żeglarz ma na tej wyspie podziemny pałac, który nasz ojciec widział i mówił, że w tym pałacu są wielkie bogactwa.

— Istotnie, słyszałem go często opowiadającego o tych cudach, chociaż nie wierzyłem w to.

— Myśl o tym, co chcesz, Pietro — odrzekła Rozyna. — Faktem jest, że w tej chwili wielu myśli nad tym, jak pałac zrabować.

— Szczególne!

— Lecz prawdziwe!

— Jest jednak mała przeszkoda, mianowicie, by do pałacu wejść, trzeba znać pewien sposób.

Rozyna przerwała:

— Sposób lub nie... nie jestem tym uspokojona i obawiam się!... Giacomo był tu przed chwilą i tak przemawiał do mnie, że podejrzewam utworzenie się bandy rzezimieszków, która chce napaść na wyspę.

— Być może!

— Wierzaj mi. Pietro, nie byłoby od rzeczy poradzić się co począć; bośmy przysięgli spraw Sindbada Żeglarza chronić, jak on naszych chronił!... Giacomo pytał o ciebie, powiedziałam, że zajmujesz się dostawą wina dla hrabiego Gradenigo.

— Na szczęście ta sprawa już załatwiona! — odparł Pietro.

— Cóż poczniesz z drugą?

— Bądź spokojna, Rozyno; jutro zobaczymy co począć, by rabunkowi przeszkodzić.

Rozyna odeszła uspokojona do siebie, a gdy się już położyła, wyszeptała:

— Ach! Może zagrzebuję moje własne szczęście, ale pozostaję wierna przyrzeczeniu, jakie złożyliśmy.

Następnego dnia, po krótkiej modlitwie przed ołtarzem swego patrona w katedrze św. Marka, Pietro przechodził przez Piazza ku portowi i rozglądał się, widocznie kogoś szukając. Spozregł gondoliera Giacomo, jak przymocowywał swoją łódź do żelaznego pierścienia zapuszczonego w kamień. Pobiegnął ku niemu.

— Hola! Giacomo!

— Patrzcie, Pietro!... O tej porze?...Skądże to?

— Wracam właśnie.

— Sądziłem, że jeszcze będziesz zajęty dostawą wina dla hrabiego Gradenigo.

— Uporałem się z tym szybciej, niż się spodziewałem.

— Wybornie, Pietro; gdyż mam dla ciebie propozycję.

— Mówiła mi Rozyna i dlatego przyszedłem. Jakaż to sprawa?

— Mam okręt przyprowadzić do małej wyspy Monte-Christo. Znam wprawdzie wody Morza Śródziemnego, lecz nie znam położenia tej wyspy.

— Niedawno zabrałem stamtąd kilka beczek wina do Wenecji — pospieszył poinformować Pietro.

— Bez wątpienia... bez wątpienia! —zawołał Giacomo.

— Do rzeczy — odparł Pietro.

— Wiem, że synowie Bando tą wyspę znają, jak ja moje palce!... Chciałbym, żebyś mi naznaczył linię, jakiej do wysokości tej wyspy trzymać się należy...

— Więcej nic? — zapytał Pietro.

— Pamiętaj Pietro, że to sprawa nie kończąca się na słowach...

— Więc przynosi pieniądze?

— Tak pewnie, jak to, że św. Marek nigdy nie chciał nic wiedzieć o Turkach, jak długo Wenecja, Wenecją była.

— Wyśmienicie.

— Jeśli chcesz mi dziś do pewnego miejsca towarzyszyć, to będziesz miał dowód tego, o czym mówię.

— Jestem gotów.

— Dobrze.

— Kiedy to ma nastąpić?

— Będę cię oczekiwał w mojej gondoli wieczorem na wybrzeżu kanału Orfano...

— Do licha!

— Cóż takiego?

— Złe sobie miejsce wybrałeś.

— Dlaczego?

— Bo koło kanału Orfano mnóstwo strasznych historii przypomina mi się, na ich wspomnienie drzę!

— Żartujesz sobie!... Czy przypadkiem nie przywidują ci się duchy?

— Nie. Możesz na mnie liczyć!... Przyjdę!...

— Więc do widzenia.

— Bóg niech cię ma w swej świętej i mocnej opiece, Giacomo.

Pietro i Giacomo uścisnęli sobie dłonie. Niebawem zgubili się wśród tłumu.

W tej chwili ukazał się człowiek, przedtem za słupem stojący w pewnej odległości. Człowiek ten nie spuszczał wzroku z rozmawiających, podbiegł teraz do gondoliera, uderzył go po ramieniu.

— Ha!... Pan tu? — odezwał się gondolier, odwróciwszy się raptownie.

— Tak jest, niech cię to nie dziwi, bowiem jestem wszędzie tam, gdzie chcę być. Innymi słowy jestem wszędzie i widzę wszystko!

— Dio!... Czegoś podobnego nie spodziewałem się po zwykłym kapitanie okrętu...

— Zapomniałeś zapewne, że jacht jest „Burzą”; nie wiesz, że jego kapitan spełnia wolę Boga.

Gondolier z podziwem spoglądał na człowieka, którego słowa tak wydawały

mu się osobliwe.

— Nie patrz na mnie tak trwoźnie, Giacomo.

— Wybacz pan...

— Zaledwie opuściłeś okręt, oczy moje ścigały cię wszędzie, gdzie się tylko ruszyłeś... Widziałem cię, gdy spałeś i widziałem cię zachwyconego snem, jaki miałeś o bogactwach wyspy Monte-Christo.

— To prawda mój panie... istotnie prawda!... Chociaż nie jestem zazdrosny, przyznaję, nie byłbym rozgniewany, gdybym mógł owe skarby z bliska widzieć!

— Będziesz je widział!

— Znalazłem sposób, by wysokość wyspy i drogę do niej oznaczyć.

— Bardzo dobrze.

— Tego wieczoru, po oddzwonieniu na Anioł Pański w katedrze św. Marka, oczekuj mnie pan na pokładzie „Burzy”.

XL

Przestrach

Rodzina Gradenigo należała do najstarszych i najszlachetniejszych w Wenecji. Wszyscy ojcowie tej rodziny zajmowali, następując jeden po drugim, najznakomitsze miejsca w senacie. Kilku z rodziny Gradenigo ubiegało się nawet o godność Doży.

Wystawność pałacu Gradenigo, przepych, jakim się otaczali, podziw w świecie publicznym, dumne lecz grzeczne obejście, w ogóle wszystko przyczyniło się do tego, by signor Gradenigo doznawał tej powagi, którą zyskuje w wyższym towarzystwie człowiek, którego pochodzenie znaczą wspomnienia pełne sławy.

Właśnie w tej chwili przygotowywano się w pałacu Gradenigo do jednego z najwspanialszych przyjęć. Hrabia wydawał bal na cześć przyjazdu jednego ze

swych przyjaciół.

Maksymilian znajdował się także pomiędzy zaproszonymi. Walentyna nie tęskniła za głośnymi zabawami, zbytnia wystawność raziła ją, z obojętnością też oczekiwała na zbliżający się czas zabawy.

Tydzień przed bale u signora Gradenigo, wydarzyło się coś, co ponownie poruszyło umysł Walentyny. Pewnego poranka zjawiono się dziewczę z ludu z usilną prośbą widzenia się z panią Morrel.

Walentyna poleciła niezwłocznie wprowadzić dziewczynę i wyszła nawet naprzeciw niej. Młode dziewczę padło do nóg Walentyny.

— Miłosierdzia pani, dopomóż mi, bo jestem zgubiona.

Walentyna dała służącemu znak, by się oddalił. Zaledwie ten odszedł, zapytała skwapliwie.

— Co panienkę dotknęło?... Kto jesteś?... Powstań dziewczę; tylko przed obrazem Najświętszej Panny na kolana upadać należy, by w takim upokorzeniu o opiekę prosić.

— Jak dobrą i miłą jesteś pani... mówiono mi o twojej łagodności i uprzejmości! — odrzekło dziewczę powstając i ucałowało rękę Walentyny.

— Wy tłumacz mi twoje łzy, twój niepokój i twoje ubranie żałosne, wszystko wskazuje mi, że musiałaś ojca lub matkę utracić... zostałaś sierotą w kwiecie wieku!... — przy tych słowach szczerze westchnęła Walentyna.

— Istotnie pani, jestem sierotą, bez ojca i bez matki od pół roku niespełna, lecz nie to nieszczęście nagli mnie do wezwania twojej pomocy.

— Mów!

— Miałam brata, brata będącego moją podporą i jedyną opieką, ten brat... obawiam się... padł ofiarą strasznego podstęp!.. Tak zostałam sama, całkiem sama... nie mam nikogo, kto by mi mógł w tym nieszczęściu pomóc.

— Mój Boże... Co mówisz, moje dziecko? Jakiej pomocy mam ci udzielić? Wszelkich starań dołożę...

— Tak, pani — przerwała dziewczyna — chcę mówić, chcę pani wszystko

powiedzieć... wszystko...

— Mów... mów.

— Zowię się Rozalia, lecz powszechnie znają mnie na Giudecca i na Rialto pod imieniem Rozyna — powiedziała siostra Pietra, rzuciwszy wpieryw uważne spojrzenie dokoła.

— Mów dalej Rozynko.

— Mój ojciec był gondolierem, a mój brat Pietro odziedziczył po ojcu zarobek i gondolę. Przed kilkoma dniami przyszedł do nas gondolier Giacomo...

— Giacomo?...

— Ten sam gondolier, który służy twojemu mężowi... — ten więc Giacomo, jeśli mogę dać wiarę jego mowie, wszedł w związek z bandą złoczyńców i chciał, by mój brat wskazał mu wśród Morza Śródziemnego wyspę mało znaną i niezamieszkałą, na której, jak utrzymuje Giacomo, ma być ukryty skarb!...

— Wyspa...

— Wyspa ta nazywa się Monte-Christo.

— Monte-Christo...

— Wyspa ta należy do osoby, której moja rodzina wdzięczność jest dłużna i dlatego nie chciałam, by mój brat Pietro widział się z Giacomo.

Niepokój Walentyny rósł coraz bardziej przy tych słowach, czego Rozyna nie spostrzegła, opowiadając przygodę brata, więc mówiła dalej:

— Na nic nie przydały się moje zabiegi. Mój brat Pietro rozmawiał z Giacomo, a że był zdecydowany złe zamiary złoczyńców uniemożliwić, udał przed nim, że mu wskaże drogę do wyspy Monte-Christo...

— Drogę do wyspy Monte-Christo? — przerwała Walentyna.

— Tak, drogę do wyspy Monte-Christo.

Przy tych słowach rozplakała się Rozyna i ledwie zdołała wśród łez dodać:

— Wszystko zdawało się układać dobrze, ale przedwczoraj odebrałam list od mego brata Pietra, oto on, chciej pani go przeczytać.

Walentyna z trudem zdołała nad sobą zapanować, by odczytać pismo jej

wręczone.

„Moja droga siostró!

Stałem się ofiarą podstępu, spowodowanego przez Giacoma, gondoliera z Rialto. Pozostaję, jako jeniec, na pokładzie okrętu „Burza”. Okrętu nieznanego, którego kapitan zmusza mnie do pilotowania go do wyspy Monte-Christo, gdzie niewątpliwie ma być dokonany rabunek. Więcej nie mogę powiedzieć. Spiesz zawiadomić o tym pracodawców Giacoma i każ go uwięzić.

Twój nieszczęśliwy brat Pietro”.

Walentyna wydała przeraźliwy jęk po odczytaniu tego listu, a Rozyna nie znając przyczyny, podbiegła ku niej i chciała ją ująć w ramiona.

— Co pani, signora? — zapytała Rozyna, spostrzegłszy na twarzy Walentyny śmiertelną bladość.

— To nic — odpowiedziała cichym głosem Walentyna.

— Miej litość nade mną... na Boga... pomóż mi! — z największą obawą, z uczuciem rozpacz, złożonywszy ręce, błagała Rozyna.

— Ależ moje dziecko, czego chcesz?... Co ja, słaba kobieta, mogę zdziałać wobec przeznaczenia, jakie na nas ciąży?

— Ależ to nie może być!...

— Niestety, tak jest.

— To każ pani uwięzić gondoliera. Może się da potem wszystko ujawnić, a złoczyńcy zostaną schwytani i uwięzieni. Może mój brat powróci wówczas do mnie, a Sindbad Żeglarz nie stanie się ofiarą rabunku na wyspie Monte-Christo.

— Więc znasz Sindbada Żeglarza? — zapytała Walentyna.

— Osobiście nie widziałam go nigdy... lecz jak już pani mówiłam, był on opiekunem niebezpiecznego handlu, jaki prowadziła nasza rodzina i pozwalał bezkarnie zatrzymywać się na wyspie.

— Boże! Cóż to za rodzina, której handel jest niebezpieczny?

— Oh, signora!... Jestem dzieckiem kontrabandystów! — padłszy przed Walentyną na kolana, wzniosłszy ku niej ręce i zanosząc się znów od płaczu, zawołała Rozyna.

— Dziecię...uspokój się... powstań!

— Łaski... Miłosierdzia!

— Mówię ci, uspokój się... brat twój powróci.

— Lecz nie jako zbrodniarz?

— Uspokój się, uspokój się, moje dziecko.

— Dzięki ci!

— Wszystko jakoś będzie!

— Trzeba szybko i stanowczo działać, bo mój brat...

— Twój brat powróci do ciebie. O resztę nie troszcz się...

— Wyspa i skarby to dobro naszego opiekuna.

— Wyspa nie należy już do waszego dobroczyńcy... źli ludzie mogą wszystko rabować, co się w grocie znajduje, bo skarby należą do ubogich, jako owoc ich pracy.

— Co pani mówisz? — zawołała Rozyna, zdziwiona słowami Walentyny, tak podobnymi do słów gondoliera Giacomo.

— Wracaj do domu, pomówię z moim mężem. Proszę cię tymczasem, nie mów o tym nikomu ani słówka.

— Lecz gondolier Giacomo, czy będzie aresztowany?

— Nie.

— Więc te łotry mają dokonać rabunku?

— Tak.

— A mój biedny brat?

— Wróci.

— Możesz mi pani dać słowo, że tak się stanie?

— Mogę... Przysięgam!... — wymówiła przytłumionym głosem Walentyna podając rękę Rozynie, którą ta ucałowała na znak wdzięczności i oddaliła się.

Walentyna odeszła do swoich apartamentów, uspokoiła się i postanowiła nie mówić mężowi o rozmowie z Rozyną, lecz działać sama. W porze, gdy słońce zapadać poczynalo za górami Tyrolu, Maksymilian zwykł zażywać wieczornej przechadzki na Piazza. Pod pozorem niedyspozycji, Walentyna tego wieczoru wymówiła się od towarzyszenia mężowi. Siedząc przy oknie swego pokoju, bacznie śledziła wody kanału, gdzie kilka łodzi spokojnie, niczym łabędzie na jeziorze, unosiło się.

Jedna z tych łodzi zwróciła jej uwagę. Zdawało jej się, że poznała gondoliera, dała mu znak ręką, by się nie oddalał. Tym gondolierem był Giacomo.

Walentyna zarzuciła na siebie szal i zeszła do kanału Giudecca. Giacomo czekał tam w swej gondoli. Zaledwie spostrzegł Walentyne, wbiegł na schody i z uniżonością zdjął czapkę.

— Zbliź się — wymówiła Walentyna cichym głosem, rozglądając się dokoła, by się przekonać, że nie ma nikogo w pobliżu.

Potem, podszedłszy do jednych z bocznych drzwi swego domu, otworzyła je i weszła do izby służącej za magazyn na sprzęty potrzebne do gondoli.

Giacomo, jako gondolier wenecki znający od dzieciństwa wybryki pięknych Wenecjanek, wcale nie dziwił się tej tajemniczości. Pozostał cichy i bez żadnego ruchu czekał, aż Walentyna pierwsza poczęła mówić.

— Ty jesteś Giacomo, gondolier z Rialto?

— Do usług Waszej Ekscelencji — odpowiedział Giacomo.

— Od dawna?

— Od piętnastu lat, sumiennie licząc. Wróciłem z dalekiego morza, gdzie służyłem na handlowym statku i od tej pory widział mnie św. Marek na kanale przy Lido i strzegł mnie, signora.

— Sądząc po tym, Giacomo, znasz od piętnastu lat kanały Wenecji, więc musisz znać wszystkie statki jakie się tu zatrzymują.

— Prawie wszystkie, signora.

— Znasz więc nie tylko statki, lecz i ich kapitanów.

— Po większej części.

— Dobrze więc. Mam cię zapytać o jeden statek. Zapewniam przy tym, że czasu nie stracisz darmo, Giacomo.

— Per la Madre de Dio! Gotów jestem być pani posłuszny.

— Powiesz, co wiesz?

— Wszystko, co wiem, powiem pani.

— Pamięci swojej nie będziesz potrzebował trudzić, by mnie objaśnić. Tyczy się bowiem okrętu, który jest dopiero od ośmiu dni w przystani przy Lido.

— W tym wypadku mógłbym pani z zamkniętymi oczami odpowiedzieć.

— Jest to jacht „Burza”.

— Jacht „Burza”? — powtórzył gondolier z niepokojem.

— Kto jest kapitanem? — zapytała Walentyna, nie dając gondolierowi czasu na zorientowanie się.

Ten jednak nie dał się tak łatwo złapać i odzyskawszy zimną krew, odparł:

— Per Bacco! Mówisz pani o statku, którego imię nie jest mi znane.

— Widzę, że twojej pamięci muszę przyjść z pomocą. Jacht „Burza” zawinął tu, by zasięgnąć informacji o wyspie Monte-Christo, na której znajdować się ma ukryty skarb...

— Ten skarb jednak w rzeczywistości nie znajduje się tam? — przerwał Giacomo.

— To jest pytanie osobne i mało cię to obchodzi. Teraz odpowiadaj, o co się pytam.

— Signora, po tym coś mi pani powiedziała, przypominam sobie ten mały statek i jego kapitana, z którym wypilem szklanek wina. Przyznaję, że omal nie przyprawił mnie o trwogę. Był to człowiek o śniadej twarzy, siwizną przyprószone miał włosy i czarne oczy. Miał taki sposób mówienia, że damę, jak Wasza Ekscelencja, mógłby zabić, gdybyś go pani chciała wysłuchać.

— Cóż on mówił? — zapytała raptem Walentyna.

— O rzeczach, których w ustach najpodlejszego Wenecjanina nie wybaczyłby św. Marek! A cóż dopiero jego czyny.

— Więc mów.

— Jego czyny, podług mego prostego mniemania, uważałem za równie karygodne jak jego słowa. Mówił, że ma w szkatułce jakąś martwą rękę... chciał ją nawet pokazać...

— Wyjaśnił ci cel tak osobliwej relikwii? — przerywając zapytała Walentyna.

— Diabeł go tam zrozumiał, ot, mówił mi na przykład: Ręka umarłego miała się podnieść na żywego i taka ma być wola umarłego, który podniósł się z grobu i przez Boga jest strzeżony.

Chociaż Walentynę przejmowały trwogą słowa Giacomo, ciekawość jej była silniejsza. Po chwili też zagadnęła:

— Jak mnie zapewniano, człowiek ten zapłacił marynarzowi imieniem Pietro, by mu wskazał drogę do wyspy Monte-Christo?

— Istotnie, tak jest.

— Więc wiesz o tym?

— Pietro duszą i ciałem zaprzedał się kapitanowi jachtu i wyruszył z nim na Monte-Christo.

— Kapitan ten, jak mi mówiono, ma zamiar wyspę obrabować.

— Lecz sądzę, że ten kapitan nic tam nie znajdzie, prócz olbrzymich mas kamienia. Wprawdzie mówią, że skały te kryją skarby należące do biednych, nabyte ich pracą, lecz jakie by tam skarby mogły zawierać kamienie!

Walentyna zadrżała z przerażenia. Znalazła bowiem w słowach Giacomo zupełną zgodność ze snem, jaki ją trapił. Mimo to, będąc zupełnie zdecydowana rabunkowi wyspy nie zapobiegać, pamiętna na dane Rozynie przyrzeczenie, zapytała:

— Sądzisz, że Pietro wróci do Wenecji?

— Co się tego tyczy, to mógłbym moją rękę w ogień włożyć! — odparł Giacomo.

— Tak jesteś pewny jego powrotu?

— Kapitan okrętu nie wyrządzi mu nic złego.

— Kiedy jego misja na pokładzie „Burzy” spełni się?

— Najpóźniej za czternaście dni będzie z powrotem.

— Jesteś tego pewny?

— My polegamy w tej mierze na łasce i miłosierdziu naszego Boskiego patrona. Dlatego mówię, signora — nie jestem przekonany, lecz spodziewam się, że tak.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Walentyna zdawała się układać jakiś nowy projekt.

W końcu rzekła:

— Giacomo, słyszałam często pochwały o sprawności gondolierów św. Marka...

— Słyszałaś pani tylko prawdę, signora!

— Możesz rozporządzać statkiem zdolnym Śródziemne Morze przepłynąć?

— Bez wątpienia.

— Bardzo dobrze. Oto pieniądze. Jutro, o tej samej porze, przybądź tu znów, udzielię ci dalszych wskazówek co do usługi, jakiej od ciebie wymagam.

Przy tych słowach Walentyna oddała do rąk Giocoma pełną kiesę i dała znak ręką, by się oddalił. Sama udała się natychmiast do swego buduaru.

Maksymilian siedział tam i zdawał się najspokojniej coś czytać. Na widok Walentyny zimno spytał:

— Jakże się masz, Walentyno? Bez wątpienia lepiej?

Chociaż oziębły ton mowy Maksymiliana nie uszedł uwadze Walentyny, przypisała to raczej zwykłej namiętności męża do czytania i dlatego odpowiedziała najprzyjaźniejszym tonem:

— Istotnie mój przyjacielu, czuję się lepiej i sędzę, że szybko będę ci mogła

znowu towarzyszyć.

— Tak?

— Istotnie!

Na to Maksymilian, nie odwracając oczu od książki, odpowiedział:

— Lecz ja nie chcę, byś się teraz narażała na wilgotne powietrze na kanałach i na Piazza.

— To słusznie, przyznaję, że nieznośne jest dla mnie powietrze w Wenecji.

— Chcesz więc Wenecję opuścić? — zapytał Maksymilian.

Walentyna nic nie odpowiedziała, lecz dotknęła palcami oprawy książki i przymknęła ją. Maksymilian oparł się w fotelu, założył ręce i opuścił głowę na piersi.

— Co ci jest, mój drogi? — zapytała Walentyna opierając się o ramię Maksymiliana i nachylając swoją twarz ku jego twarzy.

— Ach wybacz, Walentyno, wybacz mi! — zawołał nagle Maksymilian, zrywając się i z widocznym, wewnętrznym wzburzeniem chodząc po pokoju.

— Coś powiedział? — zapytała znów Walentyna, przypatrując się ze zdziwieniem rozdrażnieniu męża.

— Mówię, że nie ma zupełnego szczęścia na tym świecie! Pojmujesz to, Walentyno? Gdy czujemy się szczęśliwymi, gdy nasza głupia wyobraźnia dotyka już najwyższego szczytu błogości, jawi się wówczas demon i rwie zasłonę iluzji tkaną przez naszą duszę!... Oh, wierzyłem, więcej może niż ktoś inny, w trwałość szczęścia, jakiego doznałem... Zawiodłem się więcej, niż kto inny na tym świecie! I teraz...

— I teraz? — przerwała Walentyna, zaniepokojona już istotnie stanem męża.

— Teraz, Walentyno!... Teraz... co ci mam powiedzieć? — z gorzkim uśmiechem wymówił Maksymilian, stanąwszy naprzeciw żony.

— W żaden sposób nie mogę zrozumieć tego, co mówisz, mój drogi — powiedziała Walentyna, zaskoczona niespodziewanym wybuchem męża i pospieszyła dodać:

— Gdybyś jednak uważał, że moje... że twoje szczęście cierpi z przyczyny pożądlivosti, jaką ci już raz wytknęłam, pozostawienia ubogim bogactw w Monte-Christo lub opuszczenia Wenecji przeze mnie...

— Ach, potrójnie, poczwórnie tyle, ile posiadamy na Monte-Christo, oddałbym z lekkim sercem, by dzisiejszy dzień można było cofnąć lub szatanowi zeń podarek zrobić.

— Boże! Ty bluźnisz, Maksymilianie!

— Nie... nie... niech mi Bóg wybaczy i ty także wybacz, jeśli bluźnię! Lecz na miłość Boga, zaklinam cię, nie pytaj mnie o nic więcej, Walentyno!

Pierwszy raz Maksymilian z taką goryczą i dwuznacznością do żony przemawiał. Walentyna widziała, że niemożliwym jest poznać myśli Maksymiliana. Nie naciskała już dalej na wyjaśnienia i rozmowę, lecz płakała całą noc — pierwszą, podczas której między nimi nie panowała zupełna harmonia.

XLI

Giovanni Gradenigo

Następnego dnia Maksymilian wyszedł, jak zwykle, na Piazza. Walentyna czekała na zajście słońca za Alpami i śledziła przez okno swego pokoju przybycie gondoliera.

Giacomo dobił do schodów, wskoczył na pierwszy stopień, przymocował łódź, podszedł aż do przedsionka, a kilka chwil potem Walentyna stała naprzeciw niego i pytała:

— Cóż, Giacomo?

— Wybacz, signora! Wybacz signora! Racz się ukryć! — mruzczał gondolier, rzucając badawcze spojrzenia po kanale.

— Ukryć się? — przerwała Walentyna.

— Ależ, racz się ukryć, by pani nie widział niezdolny człowiek, siedzący tam w swojej gondoli. Na św. Teodora, miałem wielką ochotę kazać mu szukać prawdy na dnie kanału!

— Kto mnie strzeże i dlaczego mam się ukrywać?

— Santa Madre de Dio! Więc pani nie wie, że to w Wenecji godzina wieczornych schadzek; jesteś pani młoda, przez łaskę świętych, piękna; jestem tu, tam jest moja gondola.

— Giacomo!

— Wybacz, signora. Mam Rozynę, którą kocham i jakkolwiek uznaję, że jest to całkiem przeciętna dziewczyna, nawet szorstka, to nie czułbym się dobrze, gdyby mi powiedziano, że ją widziano o tej porze koło gondoli, rozmawiającą z gondolierem. Oh, signora, wszystko to stąd, że w Wenecji z wszystkiego robią pieniądze, a nieszczęściem gondolierów są pewni towarzysze szatana, którzy na wszystko uważają i wszystko mężom, ojcom, braciom i kochankom opowiadają, chociaż pni słuchać nie chcą.

— I ty znasz tego człowieka, który mnie strzeże?

— Wczoraj, gdy do brzegu dobiełem, widziałem go na wybrzeżu kanału, a gdy wróciłem do mojej gondoli, po rozmowie jaką miałem zaszczyt odbyć z panią, zawołał mnie, by z nim odpłynąć.

— Kto to jest? — zapytała Walentyna z całą naiwnością niewinności.

— On jest synem signora Gradenigo! Nazywa się Giovanni Gradenigo. Niezawodnie słyszałaś pani o tej rodzinie, znanej z bogactw i rozrzutności, która spuściznę dziedziczy od niepamiętnych czasów, syn po ojcu. Oh, mało jest dziewcząt z ludu w Wenecji, które by się odważyły zajrzeć w twarz signora Giovanni Gradenigo.

Walentyna zadrżała pod wpływem uczucia, albo raczej nieokreślonej myśli, którą trudno byłoby w słowa ująć. Usunęła się w cień przedsionka, podczas gdy gondolier śledził ruch nocnego wędrowca po wodach kanału.

— I cóż, Giacomo? — zapytała Walentyna.

— Możesz pani mówić, signora.

Signor Giovanni oddalił się.

— Więc dobrze. Poleciałam ci wczoraj przygotować okręt na Morze Śródziemne.

— Jest już gotów, signora.

— Więc kiedy wyruszamy?

— Per Bacco! Pani zapewne nie znasz pośpiechu marynarzy św. Marka!

— Nie znam.

— Wprawdzie dni sławy i potęgi naszej floty dawno przeminęły, jednak ślady jej jeszcze pozostały.

— Jak się nazywa statek? — zapytała Walentyna.

— „Bonace”.

— Jaki to statek?

— Jest to lekki jacht, ładujący zwykle wino, przybyły niedawno na Lido.

— Dobrze! Teraz słuchaj, co ci powiem, Giacomo. Gdy w ciągu dwu dni, z okna, które wychodzi na tę część kanału, zobaczysz wywieszony biały welon, będzie to oznaczać, że odpłyniemy następnego dnia. Musisz, w takim razie, być tu wczesnym rankiem, gdy zaś okna będą zamknięte i okiennice przymknięte...

— To będzie sygnałem, że nie udacie się państwo w podróż?

— Zgadłeś.

— Święty Teodor niech nam pomaga, signora — mówił gondolier z uroczystą miną.

Walentyna dała mu kilka sztuk monet i udała się do swoich apartamentów. Giacomo wskoczył do gondoli, lecz gdy chciał odbić od brzegu, jakiś człowiek z całym impetem wskoczył do łódki.

— Matko Boża! — zawołał Giacomo i wyjął wiosło z wody, stanąwszy w postawie obronnej.

— Co słyhać, Giacomo? — zapytał impertynencko ten, co zajął gondolę.

— Ach, signor Gradenigo! — zaledwie zdołał wyszeptać Giacomo,

zdejmując czapkę.

— Musisz wiedzieć, mój chłopcze, że gorzej bym cię potraktował, niż traktowano kacerza w czasie republiki, gdybyś najmniejszy krzyk podniósł, mogący mnie skompromitować.

— Ależ... miałbyś się pan może tego bać? — ze złością zapytał Giacomo.

— Nie, zupełnie nie!

— Wiedziałem o tym!

— Jestem przekonany, że musiałeś słyszeć, jak każdego urwisa traktuję, który nie chce robić, tego co chcę.

— Oh, co się tego tyczy, to jestem przekonany, że we wszystkich więzieniach św. Marka na próżno szukano by kogoś, kto by się sprzeciwił Waszej Ekscelencji!

— Wyśmienita odpowiedź, Giacomo! — klepiąc po ramieniu gondoliera, odparł Giovanni Gradenigo i dodał: — Znasz zatem moją hojność, jeśli wedle mego życzenia bywam obsłużony.

— Wybacz Ekscelencjo! Lecz, chociaż w rodzie nie miałem chociażby kuzyna odbywającego studia na uniwersytecie w Padwie, mimo to, tyle mam w głowie logiki, że wątpię o rzeczach, których sam nie widziałem lub nie doznałem.

Zaledwie te słowa wypowiedział, usłyszał upadek małego woreczka napełnionego złotem.

— Milcz psie! — z cicha wyrzekł Giovanni Gradenigo.

— Ach, teraz mam zaszczyt poznać pana po mowie — odrzekł Giacomo, schylając się po woreczek z pieniędzmi i chowając go szybko.

— Giacomo!... Giacomo!...

— Słucham.

— Pilnuj się, bo moja cierpliwość jest bardzo ograniczona.

— Mówią to w istocie dziewczęta z Rialto, signor Giovanni.

— Dosyć!

— Czekam rozkazów, signor.

— Wiosłuj silnie!

Rozmowa urwała się. Silne ramiona Giacomo przecinały wiosłem wodę, gondola szybko oddalała się od pałacu. Skoro Giovanni zobaczył, że dopłynęli do wielkiego kanału, okrył się starannie płaszczem i usiadł na poduszkach, wyczekując chwili, kiedy niepowołane uszy nie usłyszą słów rozmowy, jaką zamierzał rozpocząć.

— Giacomo, dama, która z tobą rozmawiała, nie jest ani twoją ulubienicą, ani moją krajanką.

— Ona jest Francuzką.

— Wiem wszystko; jest żoną Francuza, którego nieznane imię nie może się pomieścić w pamięci Gradenigów!...

— Zapewne.

— Ależ, uważaj, co ci powiem.

— Z całą bacznością uważam.

— Tysiące może być przyczyn, skłaniających tę damę do rozmowy z tobą przez dwa następujące po sobie wieczory, najprawdopodobniejszą z wszystkich może być jakaś skryta miłość, do której potrzebna jest twoja pomoc i twoja gondola. Kobieta, dopuszczająca się w chwili nieobecności męża podobnych małych sprawek, musi się poczuć bardzo szczęśliwa, gdybym na nią moją uwagę zwrócił...

— Pojmuję dokładnie, co pan chcesz powiedzieć — wybąkał Giacomo tonem znawcy.

— Więc cóż dziwnego? Kto o złym marzy, tego złe spotyka, a jeżeli się to przysłowie na niej sprawdzi, tym gorzej dla niej, sama siebie musi wówczas oskarżać.

— Jeszcze nie ma powodu.

— Już od dłuższego czasu myślę o tej kobiecie; mówiłem czasem z nią... lecz potrzebuję nowych tematów do rozmowy... Powiedz mi więc wszystko, co

ci mówiła i czego od ciebie żąda.

Giacomo namyślał się. Gradenigo z niecierpliwością oczekiwał jego słów, wreszcie, zniecierpliwiony, zawołał:

— Ależ mów!

Giacomo, po chwili, ubrawszy swoje opowiadanie w najrozmaitsze spostrzeżenia, zdolne żądnę Gradenigo podniecić, opowiedział jakiego rodzaju usługi wymaga od niego Walentyna.

Po chwili rozmowy z gondolierem, Gradenigo kazał się zawieźć na Piazza, zarzucił płaszcz z elegancją i ruszył w stronę Broglio. Tam gromadzili się wszyscy próżniacy Wenecji i tam też obmawiano wszystkie panie wielkiego świata.. Giovanni Gradenigo powitany został przez znajomych z uniesieniem i otrzymał zaraz prawo głosu, w celu opowiedzenia całkiem nowej historyjki. Wiadomo bowiem było, że potomek Gradenigów lubował się w różnego rodzaju przygodach i wybrykach.

Gradenigo znalazł u słuchaczy szalone powodzenie, bowiem rozbrzmiewał dokoła nieskończony i dziki śmiech. Przerywano mu jego opowiadanie uwagami:

— Naprawdę, jesteś pan wyśmienity!... To jest cudowne, z jaką szybkością przeprowadzasz pan swoją rzecz!...

— Istotnie, szalonym pędem, wyprawiasz pan szalone rzeczy! — przysłuchujący się opowiadaniu Maksymilian odezwał się z pewnym przekąsem.

— Cóż pan chcesz! To moja słabość, mój kochany panie Morrel! — odparł Gradenigo.

— Szczęście w grze lub w miłości jest często dziedzictwem u niektórych rodzin — zauważył jakiś młody Wenecjanin.

— Podobno mówiłeś, mio caro Gradenigo, że syt będąc w naszej pięknej ojczyźnie różnego rodzaju przygód, pragniesz udać się za granicę? — zapytał inny młody Wenecjanin.

— Powiedziałem prawdę, a każdy niech sobie te moje postanowienia tłumaczy według upodobania — odparł Gradenigo z głośnym śmiechem.

— A można wiedzieć, w którym kraju następna pańska awanturka będzie mieć miejsce? — zapytał z rodzajem zainteresowania pan Morrel.

— Niezawodnie... w pańskim, panie Morrel! Pańskie krajanki są bardzo piękne i mają nadzwyczajną chęć ofiarowania mi kilku przyjemnych chwil — znaczącym tonem odrzekł Giovanni Gradenigo.

Maksymilian zagryzł wargi i musnął ręką wąsy. Gradenigo począł mówić dalej:

— Po tym, co mnie moje studia nauczyły, zdaje się, że francuskie damy, które mają tę przyjemność, czy jeżeli pan wolisz, to szczęście być zamężne, przyjmują za zasadę zmianę! Dowodem tu jest fakt, że jak mnie zapewniono, w Paryżu jest o wiele więcej modystek, niż w jakimkolwiek innym mieście Europy! Pochwalam to bardzo i decyduję się te panie we wszystkim wspierać.

— Dziwię się, signor Gradenigo, że jesteś tak sprytnym moralistą pod względem obyczajów i zwyczajów francuskich dam, kiedy ojczyzny swojej jeszcze nigdy nie opuściłeś — wymówił w stanie podrażnienia pan Morrel.

— O tym wiele można by powiedzieć, panie Morrel. Lecz sądziłem zawsze, że i nie podróżując, można pod tym względem bardzo dokładne i pewne mieć informacje. Wyobraź pan sobie, na przykład, że jest tu w Wenecji, jak to już wczoraj panu opowiedziałem, pewna dama, pańska krajanka, która posunęła swoją łaskawość aż do udzielania mi lekcji przy świetle księżyca.

Zimny pot okrył skronie Maksymiliana, którego wargi zacięły się w wymuszonym uśmiechu, jak gdyby tym chciał odpowiedzieć piekielnemu chórowi szatańskiego śmiechu młodych notabli weneckich.

— Na tym świecie nie ma nic niemożliwego! — prawił dalej Gradenigo — Gdybyś pan nie był mniej więcej w równym wieku ze mną, to bym panu nigdy nie powiedział, że w Wenecji znajduje się pewna obca dama, która w podziwiiu godny sposób i z całą delikatnością uczucia smaku, jaki ją charakteryzuje, umie

spożytkować krótkie chwile wolności pod nieobecność męża. Starzec nie zniósłby takich słów!... Moi panowie, zgadzacie się ze mną?

Powszechny aplauz nastąpił po słowach Gradenigo. Morrel, starając się upozorować zupełny wewnętrzny spokój, odezwał się również:

— Przyjmij pan także i moje życzenia szczęścia, signor Gradenigo! Pozwól pan jednak uczynić mi małą uwagę. Gdy mąż tej damy, tak wzajemnej panu, jest jakim starym szlachcicem, spodziewać się pan musisz zelżenia, a nawet więcej, bo gotów by pana obić i potem każe zamordować pana swoim sługom! Gdyby to był młody człowiek, tak jak pan lub ja, to przez chustkę musiałbyś mu pan z nabitym pistoletem zdać sprawę. Może być także i inny przypadek, moi panowie: różnica położenia i stanu. Francuz jednak, chociażby był mieszczaninem lub plebejuszem, dzierży przeciw szlachcie głęboką nienawiść, gdy zostanie obrażony, zamorduje napastnika, w przekonaniu, że działa zupełnie słusznie!

— Dio! — zawołał Gradenigo z uśmiechem pełnym słodyczy — Dio! Signor Morrel, jakże się pan zapalasz! Musisz pan. wiedzieć, że nasze zwyczaje są zupełnie odrębne od innych krajów, tak samo jak nasze miasto odbiegło od stałego ładu, podczas gdy inne miasta go szukają! U nas nie ma obawy śmierci i dla zwykłej igraszki zdołałbym jej czoło stawić. Idę nawet dalej. Pan nie pojmujesz, jak miłą rozrywkę by mi sprawiło z tej małej intrygi miłosnej urządzić publiczną bójkę. Mąż wspomnianej damy, mogę pana zapewnić, jest młodym człowiekiem, mniej więcej w pana wieku. Mógłbym więc pokazać moim przyjaciołom scenę pojedynku.

Maksymilian skorzystał z chwili, gdy rozmowa przyjęła inny obrót i opuścił Broglio, udając się na Giudecca, gdzie go oczekiwała Walentyna.

— Przechadzka twoja trwała dziś dłużej niż zwykle — ściskając męża powiedziała Walentyna.

— To z powodu drogiego opowiadania Gradenigo, któremu się przysłuchiwałem — odrzekł obojętnie Maksymilian.

— Giovanni Gradenigo! — mimo woli zawołała Walentyna.

— Tak, Giovanni Gradenigo — znów obojętnie odpowiedział Maksymilian.

Nastąpiła po tym długa chwila nieznośnego milczenia. Walentyna z pewnością obawą, widząc posępną twarz męża, zapytała wreszcie:

— Cóż to mówił Giovanni Gradenigo?

— Przedmiot był bardzo interesujący i czułem się w obowiązku wyjaśnić mu, jak Francuz gotów zmyć zniewagę — odrzekł Maksymilian oziębło i ponuro.

Stan taki coraz bardziej napawał Walentyne obawą. Ponownie nastąpiła chwila milczenia, po czym Walentyna z wyrazem wstrętu oświadczyła:

— Nie lubię Wenecjan!

— Niesłusznie mówisz; są bardzo mili.

— Rada bym uwolnić się od nich! Powiedz mi Maksymilianie... pojedziesz ze mną na Monte-Christo?... Zdaje mi się, że samotność dobrze by mi zrobiła.

— A bal u Gradenigów?

— Bal nie ma dla mnie żadnej wartości! — powiedziała. Walentyna z całą naturalnością i bez wymuszenia.

— Zdaje mi się jednak, że nie znajdziemy żadnej wymówki, Walentyno.

— Jak to, nawet moje zdrowie? Zresztą niech się stanie jak chcesz. Będę na balu u Gradenigów.

— Nie... nie... i tysiąc razy nie! — zawołał Maksymilian powstając raptownie — Nie pójdiesz na bal do hrabiego Gradenigo! Wyjeżdżamy z Wenecji! Powietrze tutejsze sprawia mi jakieś dziwne cierpienia, dotychczas nigdy nie doznawane.

Gdy tak mówił, dwie strugi łez spłynęły mu po policzkach i zatrzymały u jego wąsów. Jego namiętne oczy spoczęły na łagodnej twarzy Walentyny. Walentyna podała mu rękę.

Na drugi dzień Walentyna pozostawiła otwarte okno, by dać gondolierowi umówiony znak.

O zmroku gondola zatrzymała się w niedalekiej odległości od pałacu. W gondoli było dwóch ludzi.

— Wyskocz na ląd i uchodź, Giacomo.

— Nie zapomnij pan imienia jachtu, ani miejsca, gdzie zarzucił kotwicę.

— To jacht „Bonace”?

— Tak jest. Ekscelencjo.

— Oto masz przyrzeczone wynagrodzenie.

Giacomo otrzymał sporą sakwę złota i wyskoczył na ląd.

— Dobranoc! Święty Antoni niech pana wspiera.

Drugi gondolier pozostał w gondoli i popłynął aż do drzwi przedsienia. Walentyna, wsparta na ramieniu Maksymiliana, w milczeniu zstępowała po schodach pałacu.

— Oto nasza gondola, mój przyjacielu. Wsiadajmy i szczęśliwej podróży! — mówiła Walentyna.

— Cóż to?

— Ruszamy w podróż!

— Jak to?

— Opuszczamy Wenecję. Podobałoby ci się to?

— Pomiędzy wykonaniem a zamiarem jest jeszcze często wielka przepaść! — odparł Maksymilian. — Lecz przyjmijmy hipotezę, by ci się przypodobać... Jestem gotów do wyjazdu.

— Dokąd chcesz?

— Na przykład na Monte-Christo?

Maksymilian wszedł do gondoli i podał rękę Walentynie.

Gondolier spostrzegłszy Maksymiliana, odstąpił krok i stał nieporuszenie.

— Możesz wiosłować! — zawołał Maksymilian.

— Zdaje się, że nie słyszał twego rozkazu — po krótkiej chwili odezwała się Walentyna.

— No, Giacomo, czyś ogłuchł? Wiosłuj w kierunku Lido — zawołał

Maksymilian.

Na te słowa gondolier chwycił za wiosło, z taką jednak niezgrabnością i z taką niewprawnością, o jakiej Giacomo dotychczas nie dawał świadectwa.

XLII

Grota Monte-Christo

Gdy gondolier spuściwszy głowę, by jego twarzy nie można było widzieć, wiosłował z rażącą niezgrabnością, Maksymilian zwrócił się ku Walentynie, wskazując mały statek handlowy.

— Co to za okręt, ku któremu nasza gondola zdaje się zdążać?

— Ach! — powiedziała Walentyna — To jacht „Bonace”.

— Zdaje się, że gondola wprost na niego płynie!... Łąd już daleko za nami?

— Gdy gondolier tak sobie ciągle będzie obcierać pot z czoła, jak to dotychczas czyni, to nie dopłyniemy do tego jachtu! — powiedziała Walentyna.

— Czy chcesz zamiar swój wykonać?

— Cóż byś powiedział na to, Maksymilianie, gdyby ten jacht wywiózł nas z Morza Adriatyckiego?

— Pojmuję teraz, że jestem twoim jeńcem — powiedział Maksymilian, gdy dobili już do małego jachtu.

Gdy Walentyna wyszła z gondoli na pokład statku, księżyc, który dotąd osłaniały chmury, zaświecił jasno i Maksymilian roześmiał się nagle w głos, zajrzawszy w twarz gondoliera.

— Signor Giovanni Gradenigo!... Co to ma znaczyć, mój panie? Istotnie masz dziwne nawyki. Jakiemu to zdarzeniu zawdzięczam honor być przez pana wiezionym? Nie chcę, by taka usługa pozostała cieniem nocy osłonięta, poproszę moją żonę, by również wyraziła panu głośno swoje podziękowanie.

Maksymilian chciał wołać ku Walentynie, lecz zamilkł na widok

blagającego wzroku Gradenigo.

— Panie Morrel — odezwał się Giovanni Gradenigo — lubię wszystko, co jest ekscentryczne. Przywiozłem tu państwa z chęci nabrania wprawy w wiosłowaniu jako gondolier.

— Jako gondolier?

— Tak jest.

—Więc tak dalece zrujnowałeś się majątkowo, że takiej pracy chcesz się poświęcić? — odezwał się drwiąco Maksymilian — Czynisz bardzo słusznie mój panie. Miałem zaszczyt już raz wyjaśnić panu, w jaki sposób Francuz karze tego, kto go obraża. Teraz chcę panu dać dowód, że serce Francuza, na widok cudzego nieszczęścia, jest szczodre.

Przy tych słowach rzucił do stóp Giovanni Gradenigo swoją złotem napełnioną sakiewkę. Dumny panicz aż zadrzał ze złości, jak gdyby policzek otrzymał. Maksymilian zawołał wyszedłszy na pokład:

— Dobranoc, Gradenigo! Św. Antoni niech cię ma w swojej opiece.

Po dwu dniach podróży jacht „Bonace” opłynął wyspę Elbę i znalazł się naprzeciw stromej skały, której zębate szczyty, przy brzasku wschodzącego słońca przedstawiały fantastyczny widok.

Była to wyspa Monte-Christo.

Walentyna, wsparta na ramieniu Maksymiliana, spoglądała ze spokojem na te samotne skały. To, co działo się teraz w sercu Walentyny, było wręcz przeciwne temu, czego doznawał Maksymilian. On był wzruszony widokiem tych skał, które były stróżami olbrzymiego skarbu. Walentyna zdawała się lubować myślą, że te skały są już tylko martwym głazem i niczym więcej, że mieszczą w sobie już tylko kupę gruzów i popiołu. Gdy jacht zarzucał kotwicę w małej przystani; Maksymilian pragnął jeszcze tego dnia wylądować.

Walentyna z trudem wytłumaczyła mu, że jest za późno i że na drugi dzień będzie na to czas.

Popatrzmy teraz, co działo się na wyspie.

U stóp jednej ze skał był portal podparty dwoma marmurowymi słupami. Po tym następowały schody prowadzące do podziemnej sali, w której było kilka drzwi.

Do sali światło wpadało przez cztery otwory wykute w skale, które zarazem służyły do cyrkulacji powietrza. Widoczne były niedawne zniszczenia, które zbrodnicza ręka, burząc tu wszystko, spowodowała. Na ścianach tu i ówdzie wisiały resztki drogich makat z adamaszku i brokatu. Piękny perski dywan leżał zwinięty w kącie. Miękkie poduszki, tu i ówdzie porozrzucane, dopełniały obraz nieporządku i zatraconego bogactwa, jaki wewnątrz groty Monte-Christo przedstawiało.

Benedykt był jedynym mieszkańcem tego miejsca. Przechadzał się z jednego końca sali w drugi. Nagle wbiegł jakiś człowiek i zawołał:

— Panie! Odkryto jacht, który zawinął do małej przystani od wschodu.

— To wszystko, Pepino? — zapytał Benedykt.

— Nazwa okrętu jest znana; Pietro, którego wzięliśmy z sobą z Lido, mówi, że zna jacht pod nazwą „Bonace”.

— Ja zaś mogę zapewnić, że to nie jest jacht Sindbada Żeglarza. Wszystko idzie więc dobrze. Czy paki już wyładowane?

— Wszystkie! Nasz statek jest, jak panu wiadomo, przy zachodnim brzegu wyspy. Tym sposobem nowo przybyli nie będą widzieć naszych ruchów. Byłoby rozsądnie odpłynąć teraz, jeśli pana już nic tu nie zatrzymuje. Grota jest wyprzątnięta, to co zawierała jest już w naszym ręku, cóż więc mielibyśmy jeszcze do czynienia w grocie Monte-Christo?

— Rocca Priori — odezwał się Benedykt po pewnym namyśle — wszak mówiłeś mi, że droga prowadząca do zatoki zachodniej o wiele krótsza jest od wiodącej ku wschodniej zatoce?

— Bez wątpienia!

— Więc sporządź z resztek tu pozostałych stos.

Pepino, nawykły do posłuszeństwa, spełnił rozkaz Benedykta.

— Teraz dodaj proch. — rozkazał Benedykt.

I to wykonano z równą szybkością.

— Więc uroczystość już przygotowana, by właściciela tego cudownego pałacu godnie przyjąć — zawołał Benedykt. — Niech przybywa kiedy chce, by przy blasku płomieni odczytać słowa, jakie tu na murze wypiszę.

Gdy to mówił, chwycił kawałek okopconego drzewa i napisał wielkimi literami na głównej ścianie kilka słów, których Pepino nie mógł rozpoznać z powodu ciemności rozpościerającej się już w grocie.

Następnego dnia Walentyna i Maksymilian wylądowali i udali się sami ku wejściu do groty.

Gdy tak szli objąwszy się, ramię w ramię, śledził ich jakiś człowiek skryty za krzakami. Człowiek ten miał fałszywy wyraz oczu, świecących jak u tygrysa, gdy swoją zdobycz upatrzy. Puścił tych dwoje ludzi naprzód, skoro zmiarkował, że zdążają ku grocie. Gdy byli w pewnej odległości, zszedł szybko na bok i spuścił się ze skały po ścieżce wiodącej nad przepaścią. Stąd spostrzegł jacht w przystani od zachodniej strony wyspy. To był jacht „Burza”. Czółno z dwoma ludźmi oczekiwało na kogoś u brzegu. Na ten widok Benedykt odetchnął i zawrócił w prawo ku wejściu do groty.

Ciężkie masy czarnych obłoków, posuwające się z wolna w ciemnych kłębach od zachodu na wschód, zaciemniały od czasu do czasu jasne promienie słońca, a wyspa zdawała się pokrywać jakąś tajemniczą osłoną, którą dzika przyroda jeszcze bardziej potęgowała.

Walentyne przejmowała mimowolna trwoga im bliżej byli wejścia do groty. Nagle pokazał się przepyszny portal. Walentyna zatrzymała się.

— Czujesz się zmęczona? — zapytał Maksymilian — Już niedaleko do naszego podziemnego pałacu.

— To prawda! Nie opodal leży świątynia naszego szczęścia. Maksymilianie, tam to wybudowano cały gmach ułomnego szczęścia, jakiego dotąd używaliśmy... Pozwól niech odetchnę... Te nagie skały, ta samotność, ta głęboka cisza — to wszystko przeraża. Portal groty Monte-Christo przedstawia w tej chwili jakby tajemnicze wejście do jakiegoś grobu.

— Walentyno! — zawołał Maksymilian. — Skąd te smutne słowa? Dlaczego te łzy? Jakież to zbrodnie popełniliśmy, by nieszczęścia doznać, o jakim śniłaś?

— Jakie zbrodnie... Żadne — odrzekła Walentyna — Lecz człowiek, który nam tego szczęścia użyczył, nie miał prawa darować nam go. Czyż nie sądzisz, mój drogi, że tych darów dłużej używać nie możemy?

— Walentyno!... Twoje słowa, jakich w Wenecji słuchałem z obojętnością, tutaj przejmują mnie do głębi!... Jesteśmy sami pomiędzy morzem a niebem, pomiędzy przepaścią a Bogiem.

— Dlatego ślubujemy temu Bogu oddać ubogim ten przepych barbarzyński, jakim nas obdarzył hrabia Monte-Christo!... Odtąd będziemy żyć tym, co nam nasze szczupłe fundusze i praca dać mogą.

Gdy Walentyna te słowa domawiała, byli już u wejścia do groty i zaczęli schodzić po schodach na dół.

Nagle dał się słyszeć głośny huk, a bezpośrednio po tym płomienie oświeciły podziemną salę.

— Walentyno! — zawołał Maksymilian — Uciekajmy stąd!

— Zostańmy jeszcze...

— Uciekajmy, Walentyno! — zawołał ponownie Maksymilian — Czy widzisz ten straszliwy napis?

Maksymilian wskazał główną ścianę, na której wypisane były słowa:

„Ubogim, co ubogim należy! Martwa ręka skierowana jest przeciw Edmundowi Dantes!”

— Cóż to za straszna tajemnica? Czyja to ręka zagraża Edmundowi

Dantes?...

— Chcę ci to powiedzieć, Maksymilianie Morrel! — odezwał się głos z wnętrza groty — Ręka skierowana przeciw Edmundowi Dantes, jest ręką człowieka, którego Edmund Dantes skrzywdził ponad miarę! To ręka Villeforta.

— Mój ojciec! — zawołała Walentyna i padła zemdlona w ramiona Maksymiliana.

Ogień niszczył do reszty bajeczne bogactwa i przepych groty. Niebawem dwa jachty odpływały z tajemniczej wyspy Monte-Christo prawie równocześnie. Jacht „Burza” opuszczał Italię. Jacht „Bonace” ruszył ku Porto-Vecchia.

XLIII

Bal u hrabiego Gradenigo

Wielka nowina poruszyła całą Wenecję. Chodziło o bal maskowy, prześcigający wszystko, co dotąd widziano. Przyjaciół, bogaty jak Krezus, przybył z Orientu do hrabiego Gradenigo. Hrabia otworzył dlań bramy swego pałacu, oświetlił swoje salony i przepyszne ogrody, roić się miało mnóstwo gości, wszystko co było szlachetne i bogate w Wenecji, przygotowywało się, by uczcić gościa, którego imię przechodziło z ust do ust: hrabia Monte-Christo!

Któż to ten hrabia Monte-Christo?

Bogacz, nabab pochodzenia francuskiego, który od dłuższego czasu wybrał sobie Wschód za ojczyznę i tam ożenił się z jedynaczką paszy z Janiny.

W całej Wenecji o niczym nie rozmawiano, tylko o tym szczególnym gościu, na którego cześć urządzone bal. Żaden przedstawiciel znakomitych rodów weneckich nie zaniedbał złożyć swojego uszanowania hrabiemu Monte-Christo, składając kartę wizytową na płycie złotej lub z kości słoniowej, jak to było w zwyczaju. Osobiście bowiem przyjmował hrabia tylko osoby, z którymi był na przyjacielskiej stopie.

Zanim obszerniej zajmiemy się balem u hrabiego Gradenigo, powiedzmy wprzód kilka słów o człowieku, którego zwano hrabią Monte-Christo, a który użyczył nazwy powieści, której niniejsza książka jest dalszym ciągiem.

Hrabia Monte-Christo był jedną z tych osób, u których czas spowodował prawdziwą rewolucję. Gdy hrabia po raz pierwszy pojawił się na widowni, zajął pozycję, jaką przyroda stworzyła dla osób, w których księdze żywota obok siebie egzystują równocześnie — Bóg, człowiek i diabeł.

Hrabia Monte-Christo miał jeszcze przed oczami przeszłość nieszczęśliwego Edmunda Dantes, jakby całun żałobny, pokrywający jego długoletnią męczarnię, na którym krwią i łzami wypisane były imiona jego katów. Głos sędziwego Abbe Faria, głos nauczający go tajemnice wiedzy ludzkiej odkrywać, brzmiał mu jeszcze w uszach!

Nie było w jego życiu nic, co by gorycz koilo. Teraz, gdy czas na cały ów obraz przeszłości rozpostarł cień zapomnienia, gdy pod tą osłoną nie kipiała już lawa nieokiełznanych namiętności, teraz hrabia Monte-Christo nie był już tym samym człowiekiem. Domowe ognisko, domowy spokój, przyszłość dziecka zaprzętały go jedynie, to było jego szczęście. Gdyby nie wyjątkowa okoliczność, hrabia Monte-Christo nigdy nie zbliżyłby się do gwarnego życia Europy. Jednak jego żona, Haydee, cierpiała wskutek febry, którą tylko zmiana klimatu, zdaniem lekarzy, pokonać mogła. Hrabia opuścił więc Orient, by wrócić do Europy, gdzie spodziewał się poprawy zdrowia małżonki.

Przypomniał sobie przyjaciela — hrabiego Gradenigo, napisał więc do niego z zawiadomieniem o swoich odwiedzinach.

Jakkolwiek natarczywe i szczere były zaproszenia szlachetnego Wenecjanina, który chciał koniecznie, by hrabia Monte-Christo w jego pałacu zamieszkał, mimo to, wierny dawnemu zwyczajowi, wysłał hrabia naprzód sługę, który miał jakiś pałac przygotować, i odmówił w najdelikatniejszy sposób. Zajął na Giudecca ten sam pałac, który dotychczas zajmowali Maksymilian i Walentyna.

Haydee była jeszcze młoda, nie straciła nic ze swojej piękności. Jej twarz wprawdzie świadczyła o fizycznym osłabieniu, lecz zawsze błyszczał na niej ten miły i słodki wyraz, który tak mocno tych wszystkich zajmował, którzy ją kilka lat przedtem w Rzymie i w Paryżu widzieli. Jej syn miał zaledwie trzy i pół roku. Mimo tak dziecięcego wieku, można było w jego twarzyczce wyczytać stanowczość i odwagę hrabiego Monte-Christo, połączone z łagodnością i szczerością Haydee. Był też w istocie aniołem piękności, który miał w sobie zjednoczyć wszystkie skarby najtroskliwszego i umiejętnego wychowania. Haydee nigdy nie opuszczała swojego dziecka; hrabia wiele się utrudził, zanim skłonił ją do towarzyszenia mu na bal u hrabiego Gradenigo i pozostawienia syna po raz pierwszy samego.

Bal, jak już wspomnieliśmy, był połączony z maskaradą. Bogactwo i różnorodność kostiumów przedstawiały wspaniałe widoki. Pełno było ruchu i gwaru, pośród których nastąpiła cisza, gdy ktoś oznajmił przybycie hrabiego Monte-Christo i jego uroczej małżonki, pięknej Haydee. Damy i panowie pospieszili zaraz naprzeciw nowym gościom.

Haydee, ubrana w bogaty strój wschodni, weszła wsparta na ramieniu męża, który miał na sobie strój Beduinów.

Powaga, naturalność w obejściu, naiwność i lekkość uroczej postaci Haydee — wszystko to przyczyniało się do zwrócenia powszechnej uwagi. Signor Gradenigo, powiadomiony o przybyciu swego przyjaciela, podał z galanterią ramię hrabinie i uściskawszy rękę znakomitego Beduina, poprowadził ją do salonów.

Hrabia Monte-Christo pozostał sam i, by usunąć się przed nudnymi rozmowami bez znaczenia, zgubił się pomiędzy gronem zamaskowanych dam, usiłując daremnie tę lub ową rozpoznać. Potem udał się do ogrodów, gdzie również tańczono lub przechadzano się i swobodnie rozmawiano. Tu usłyszał rozmowę, która go zaciekawiła.

— Więc jesteś przekonana, że obie d'Armilly są w Wenecji?

— Czy pewna tego jestem? Jeszcze bardziej...

— Cóż więc, Lauro?

— Są tu na balu.

— Jak to!? Byłyby tu?... To nie jest prawdopodobne. Po sprzeczkach, jakie hrabia Gradenigo miewał z moim ojcem na temat praw szlacheckich naszych obu rodzin!... Jakże można przypuszczać, by przy takich poglądach zapraszał śpiewaczki?

— Słyszałam, że artystyczna kariera obecnie jest szanowana.

— Cóż może być w tym złego?

— Nic, Lauro, lecz są ludzie tak drażliwi... co do mnie, wcale nie czuję się urażona obecnością tych dwu dam, jednak...

— Są jeszcze inne powody przemawiające na korzyść panien d'Armilly.

— Jakie?

— Mówią, że należą do bardzo dobrych rodów, zwłaszcza młodsza, Eugenia, ma pochodzić z francuskiej rodziny Serviers.

— W tym wypadku nie mówimy już więcej o tym! Szlachetność krwi i szlachetność talentu są tu połączone i muszą najzacofańszych zaspokoić.

— Mówisz prawdę!

— Lecz jakby je można pomiędzy tylu maskami rozpoznać?

— Za pomocą prostej zasady!

— Jakiej zasady? Mów!

— Giovanni Gradenigo jest jednym z wielbicieli obu d'Armilly! Gdy tu były, nim się do Rzymu udały, nie miał dość pochwał dla nich; był nimi zachwycony, oczarowany do szaleństwa! Bądź więc przekonana, że tego wieczoru nie opuści ich ani na chwilę. Giovanni Gradenigo da się zaś poznać mimo przebrania.

— Sądzę, że go poznam... widzę go przecież co dzień. Wszak jest moim kuzynem.

— Więc dobrze. Ta, u której boku on się znajdzie i będzie jej nadskakiwać, niezawodnie będzie jedną z pań d'Armilly.

— Bardzo słusznie mówisz! A propos, słyszałaś coś o hrabi Monte-Christo?

— Przybył już.

— A jego żona?

— Jest jakąś Greczynką wysokiego rodu, jeszcze jej nie widziałam.

— Co się stało z Francuzką, która tu przed kilku dniami była, z żoną Maksymiliana Morrel, pana wyspy Monte-Christo?

— Jeżeli można dać wiarę słowom gondoliera Giacomo, będącego obecnie u nas na służbie, to Morrel i jego żona opuścili Wenecję, by w samotności czas spędzać na wyspie, gdzie mają ponoć piękny pałac.

— Oh, gdybym była właścicielką wyspy, nigdy bym jej nie opuszczała — zawołała towarzyszka Laury. — Szczególnie, jeśli się tam znajduje piękny pałac. Zaludniłabym go najładniejszymi i najdowcipniejszymi kawalerami, by tam bale dawać! Tam tańczyć... pośród dzikich skał, u których stóp morze szumi! Naprawdę można głowę stracić, zaledwie się o tym pomyśli! Lecz tymczasem przybierz maskę, moja droga Lauro i pójdźmy poszukać obu d'Armilly.

W tej chwili hrabiemu Monte-Christo wskazywano potomka znakomitego rodu Gradenigów, ale stracił go z oczu z przyczyny jakiegoś czarnego domina, które mu drogę zaszło i wpatrując się weń badawczo stało nieruchomo.

— Kto pan jesteś? Czego żądasz? — zapytał dumnie Monte-Christo.

— Widzisz! — odrzekło domino tonem, na który mimowolnie Monte-Christo zadrzał.

— Dziękuję — odparł Monte-Christo — lecz zwracam pańską uwagę, że czas tracisz, a tym samym i mnie daremnie czas zabierasz.

Po tych słowach zrobił krok naprzód, lecz czarne domino ponownie zaszło mu drogę.

— Jesteś człowiekiem, od którego wiele wymagać można... wiesz o tym dobrze!

— Proszę ton zmienić i sposób traktowania. Jeśli pan mnie zna, to nazwij mnie pan po imieniu!

— Chętnie, lecz jakież imię mam ci dać?

— Pytanie to brzmi szczególnie!

— Tym razem nazwę cię Edmund Dantes.

Po tych słowach hrabia Monte-Christo cofnął się o krok i zmierzył niespokojnym okiem mówiącego od głowy do stóp.

— Poznajesz, że wiem, kim jesteś? — zapytał mężczyzna w czarnym domino.

— To jest obojętne — odparł Monte-Christo, tłumiąc w sobie niepokój — skoro pan nie raczysz swego imienia wyjawić.

Okryty w czarne domino zaśmiał się w głos.

— Daj mi pan wskazówkę, znak — dodał Monte-Christo, nie mogąc ukryć swojej ciekawości.

— Niech i tak będzie... przypominasz sobie Mercedes? — odpowiedział człowiek w czarnym domino.

— Mercedes! — wyjąkał Monte-Christo przytłumionym głosem, który zdradzał, ile bólu samo imię w jego sercu wznieca. Po chwili zawołał:

— Ach, któż jesteś!?!... Nie oddalaj się... mów pan, znam cię.

— Któż jestem?

— Albert Morcerf!

— Mylisz się. Wszak sobie przypomnij, że tamten wyższy ode mnie.

— To prawda — wymówił pełen smutku hrabia Monte-Christo, opuścił głowę i w zamyśleniu, pełen bolesnych wspomnień, stał w milczeniu przed nieznanym.

— Dobranoc, Edmundzie! Do rychłego zobaczenia! — powiedział nieznanemu i zniknął w gwarnej i wesołej tłumie innych masek.

Na próżno starał się go hrabia Monte-Christo oczyma ścigać, nieznanemu zniknął. Jakby dla uwolnienia się z przykrego uczucia, jakie to spotkanie

wywołało, hrabia Monte-Christo rzucił się machinalnie w tłum, by odszukać obie d'Armilly. Po półgodzinnym, daremnym błędzeniu, natrafił na swego starego przyjaciela, hrabiego Gradenigo, z którym rozpoczął rozmowę.

— Tłum gości zaprawdę czarujący! A pański syn w najwykwintniejszy sposób i z wyszukaną delikatnością honory domu czyni.

— O, Giovanni robi co może — odparł patrycjusz. — Tymczasem starość ma swoje prawa, wiek dopełni wychowania, taką przynajmniej mam nadzieję! Widziałeś go pan?

— Wskazano mi go, lecz straciłem go z oczu i teraz sędzę, że mógłbym inne maski za niego uważać.

— Widzisz pan tam, na prawo! — powiedział Gradenigo. — Podaje rękę zgrabnej Czerkiesce.

Monte-Christo pospieszył we wskazane miejsce, by pomówić z synem hrabiego. Gdy zrobił kilka kroków, ktoś zamaskowany zaszedł mu drogę i odezwał się:

— Witaj, hrabio Monte-Christo! Źle uczyniłeś odsłaniając twarz, bowiem jest tu ktoś, kto na pana czeka.

— Co pan chcesz powiedzieć?

— Teraz mało, przyjdzie jednak dzień, w którym wiele powiem.

— Nie znam pana i nie mam chęci poznania go. Dobranoc!

— Jeszcze chwilkę, hrabio! Nie jest w zwyczaju w ten sposób odpowiadać człowiekowi, który od dłuższego czasu na ciebie czeka.

— Sędzę, że między nami nie ma żadnych stosunków.

— Obecnie nie ma, lecz były i dlatego moja wdzięczność pozostaje niewygasła.

— Nie mówmy o przeszłości dawno minionej, mówimy o terażniejszości. Kim pan jesteś? Mów otwarcie, bo widzisz, że wcale się nie silę, by odgadnąć pańskie nazwisko.

— To wszystko jest śmieszną historią, mój drogi marynarzu Faraona. Jestem

posłańcem pana Villeforta, by ci od niego przynieść pozdrowienie!

— Ha! — wymówił Monte-Christo, przesuając ręką po chmurnym czole — Ktokolwiek jesteś, źle wybrałeś przedmiot żartu!... Szanuj tych, którzy może snem wiecznym drzemią.

Zaledwie hrabia Monte-Christo te słowa wymówił, osoba, do której były skierowane, odstępiała i zniknęła w tłumie.

Monte-Christo uczuł się mocno dotknięty tą niegodziwą igraszką, jakiś zamiar powziął w myśli i dlatego począł na nowo szukać Giovanniego Gradenigo. Długo usiłowania jego były daremne, w końcu zobaczył go, gdy nagle inna maska zbliżyła się i zaintrygowała Monte-Christo.

Maska ta miała na sobie strój urzędnika francuskiego i mówiła poprawnie po francusku. Zamaskowany człowiek przemówił:

— Dzień dobry, hrabio Monte-Christo!... Czy powracasz do Europy, by się zemścić na kilku rodach? Można by sądzić, żeś Korsykaninem z rodu, bo słowo vendetta wywołuje w tobie okropną żądzę.

Hrabia Monte-Christo wpatrywał się z największym zaciekawieniem w przebranego, który, pod postacią urzędnika, tak poufale go zagaduje.

— Jakże się ma twoja żona Haydee? — mówił dalej rzekomy urzędnik — Czy podołasz wzniosłym wymogom jej szlachetnej duszy? Biedna Haydee! Bardzo wątpię, by długo szczęśliwa być mogła.

— Oh! Oh! — odparł hrabia z wymuszonym uśmiechem ironii — Wpadasz w rolę złego proroka, mój interesujący merze, może to wybryk złego humoru, jakiego cię nabawił twój urząd?

— Mój urząd królewskiego prokuratora nie sprawia mi nigdy zmartwienia, mój panie — odparł z fantazją zamaskowany. — Znajduję nawet pełno uroku w moim urzędowaniu, które już długi czas sprawuję w Paryżu, tak że zyskałem szacunek wszystkich, którzy mnie znają. Czekam teraz na sprawę, która mi przyniesie sławę niewygasłą.

— Jesteś cokolwiek fanfaronem! — zawołał hrabia.

— Widzę, że nie są ci znane sprawy, o które chodzi oraz imię mającego cię sądzić!

— Tłumacz się jaśniej.

— Pan jesteś tym, który ma być sądzony i osądzony, kochany hrabio Monte-Christo! Pojmujesz teraz powód mojego proroctwa względem Haydee. Co?

— Bardzo słusznie! Lecz o co jestem oskarżony? — zapytał Monte-Christo, przyjmując rolę oskarżonego.

— Jesteś oskarżony o zapomnienie praw Bożych! Nad grobami Saint-Meran i Villefort unosi się straszna skarga, a jeden z umarłych wyciąga swoją martwą rękę przeciw tobie, by cię przed światem napiętnować. Miej się więc na baczności, panie hrabio, odsłoniła się potępiająca cię karta w księdze przeznaczeń. Jestem powołany słowo nieubłaganej sprawiedliwości Bożej wyłożyć i będę, panie hrabio, bezwzględny.

— Za pozwoleniem, panie, słowa twoje śmiem uważać za wyskok rozigranej fantazji, gwałtownego napadu szaleństwa. — całkiem obojętnie odrzekł Monte-Christo.

Po chwili zimno i z naciskiem zamaskowany odpowiedział:

— Być może, jednak nie zawadzi panu tymczasem przypomnieć sobie różne okoliczności i wprowadzić w nie pewien ład. Oto widzisz pan jedną z ofiar pańskich czynów. Zapominasz, panie hrabio! Gdym pana, jako agenta Bonapartego, do zamku If zaprowadzić kazał, wymówiłeś w ciemnym więzieniu, do którego wrzucić pana kazałem, moje imię! Jestem Villefort!

— Wyśmienicie! Bardzo mnie cieszy spotkanie z panem, mój panie! Czy mogę pana zaprosić na dłuższą rozmowę, z dala od hałasu i ciżby tych sal?

— Jestem na pańskie rozkazy, lecz oświadczam panu, że ta rozmowa będzie bardzo krótka.

Po tych słowach domniemany Villefort udał się do ogrodu, gdzie skierował swoje kroki w jedną z cienistych alei i doszedł do miejsca, dokąd dochodził tylko cichy szmer zabawy, dźwięki muzyki i śmiech gości. W miejscu tym

stał naprzeciw hrabiego,
mierząc go pełnym nienawiści spojrzeniem. Monte-Christo odezwał się z
flegmą:

— Teraz mam prawo zażądać od pana, byś zdjął swoją maskę, skoro moja
twarz jest odkryta.

Zamaskowany odrzekł ponuro:

— Poza maską, którą pan widzisz, panie hrabio, nie ma ludzkiego oblicza!

— Dostyc już tej zabawy. Kim pan jesteś? — poruszywszy się nieco naprzód,
odezwał się hrabia.

— Powiedziałem już panu, Edmundzie Dantes, kim jestem.

— Powtarzam panu, zaprzestań dalszej zabawy. Jestem Edmund Dantes,
hrabia Monte-Christo, kim pan jesteś?

— Sędzią twoim, mój panie!

— Uważam, że jest pańskim zamiarem przedłużyć tę komedię! Źle robisz,
niewiadomy mi panie. Zdaje się, że nie wiesz kim jest hrabia Monte-Christo.

— Wiem dobrze, kim jesteś. Jesteś człowiekiem, który dał się porwać
uczuciu barbarzyńskiej zemsty, i który w ten sposób nierozumnie sponiewierał
miecz sprawiedliwości powierzony mu przez Boga! Kobiecie, która cię kochała
z głębi duszy, kobiecie tej, która dotąd jeszcze wylewa krwawe łzy żalości na
wspomnienie o tobie, odwdzięczając się jej za głęboką i prawdziwą miłość,
zapewniłeś długoletnie męczeństwo i przyszłość wśród czarnej nędzy
wdowieństwa. Przyjacielowi, powierzającemu się tobie zupełnie, nie mającemu
przed tobą żadnej tajemnicy, zgotowałeś rozpacz i hańbę. Zdradziłeś go!
Niezadowolony tym jeszcze, żywiłeś w zbrodniczym sercu płomień nowej
zemsty i śmiałeś się, gdy padały jej ofiary. Krew zaledwie dziewięcioletniego
chłopczyka wypiekła na twoim zbrodniczym czole nigdy niezatartą plamę. Po
tych zbrodniach sądziłeś, że zwykły czyn miłosierdzia wystarczy, by ukoić
sumienie i żyjesz spokojny, skoro twierdzisz, żeś spełnił słowo Boże... Oto w
kilku słowach zawarte kim jesteś, hrabio Monte-Christo: zdrajcą, nielitościwym

mordercą, obłudnikiem na próżno silącym się swoje zbrodnie i głupotę pokrywać pompatyczną nazwą sprawiedliwości Bożej. Drżyj więc obłudniku, czekają cię męczarnie i grób już bliski, potoczysz się weń, przeklęty przez Boga i ludzi.

Obcy zamilkł.

Wsluchując się w wypowiedziane słowa, Monte-Christo zasepił swe oblicze i pozostał przez chwilę w głębokim zamyśleniu.

Z wolna chmurne czoło hrabiego rozpogadzało się, delikatny, zaledwie dostrzegalny uśmiech wewnętrznego zadowolenia osiadł koło ust, a hrabia odezwał się poważnie:

— Ktokolwiek jesteś panie, przyjmuję twoje oskarżenie i spodziewam się, że udzielisz mi prawa obrony. Odstępując od ciemnych myśli, od fantastycznych mitów, jakimi się posługiwałeś, poznaję, że po zanalizowaniu wszystkich uczynków z mego życia w Paryżu, potępiłeś uczucie, jakie mnie wówczas opanowało. Być może, przysługuje to panu. Nie utrzymuję i nigdy nie twierdziłem, by ludzie sprawiedliwość moich uczynków przyjmowali jako dogmat wiary. W tym momencie nawet znalazłbym pewną rozrywkę w wyłuszczeniu panu kulisów niektórych moich spraw, wydających się panu najdrażliwszymi, by stwierdzić, że moje sumienie wolne jest nawet od cienia żalu. Ale nie miejsce tu do takiej rozprawy. Skoro trudziłeś się pan, by mnie wyszukać, zaledwie wstąpiłem na ląd europejski, nie będzie to dla pana zbyt wielką przeszkodą, gdy się do mnie pofatygujesz do Giudecca, gdzie o każdej porze będziesz przyjęty z wszelką możliwą grzecznością. Możesz pan, skoro to panu podoba się, zachować swoje incognito.

Przebrany urzędnik wzruszył na te słowa ramionami i dodał:

— To pewne, że któregoś dnia taka rozmowa nastąpi, panie hrabio, lecz chociaż tak prawdziwe wydają się pańskie argumenty, nie ma przecież filozofii w świecie chrześcijańskim, która by je uznała.

— Przekonamy się o tym! — dobitnie zawołał Monte-Christo.

— A więc do owego dnia! — zawołał równie dobitnie zamaskowany.

Monte-Christo mimowolnie uściskał podaną dłoń, lecz wydał cichy krzyk przerażenia i cofnął się o krok. Odezwał się po chwili drżącym głosem:

— Ręka pana jest zimna jak lód.

— To zimno grobowe! — wystawiając rękę na promienie światła, odezwał się zamaskowany przytłumionym głosem.

— Ha! Martwa ręka! — zawołał Monte-Christo.

XLIV

Pierwszy cios przeciw kolosowi

Gdy pierwszy moment przerażenia minął, Monte-Christo odzyskał swój zwykły spokój, lecz daremnie szukał człowieka, który doń przemawiał.

— Nikt nie może się tak dalece za mego wroga uważać, aby miał powody do zemsty. Nic w moim przeszłym życiu nie pozostawiło cienia żalu!... Kim więc może być ten człowiek?

To pytanie nasuwało się hrabiemu po długim rozważaniu i nie mógł na nie znaleźć odpowiedzi.

Następnego dnia po balu u hrabiego Gradenigo, hrabia Monte-Christo oczekiwał odwiedzin swojego oskarżyciela, lecz nadaremnie... Mijały dni i minął już cały tydzień. Znekany ciągłym poszukiwaniem nieznanego i różnorakimi dociekaniem, postanowił rozerwać się. Na myśl przyszły mu obie d'Armilly i do tych wybrał się w odwiedzin.

Obie przyjaciółki, wskutek słabości Eugonii, rozwiązały umowę z teatrem Argentino w Rzymie i przybyły do Wenecji. Monte-Christo anonsował się pod przybranym nazwiskiem i po niejakiach trudnościach został przyjęty. Ludwika d'Armilly ukazała się pierwsza.

— Mój Boże! — zawołała zobaczywszy hrabiego — Mam szczęście mówić

z panem hrabią Monte-Christo?

— Tak jest, moja pani; chciałem pamięć pani wypróbować i dlatego proszę o przebaczenie. Gdy sami nie zasłużymy sobie na pamięć innych, to sądzymy po dłuższym niewidzeniu, że nas nie poznają.

— Tak nigdy nie powinieneś mówić o sobie, panie hrabio. Moja przyjaciółka Eugenia i ja umiemy cenić szlachetność pańskiego charakteru, gdyby nawet cały świat pana potępił.

— Wstrzymaj się pani! Gdy cały świat człowieka potępia, jesteśmy zmuszeni zgodzić się z ogółem — przerwał Monte-Christo. — Sądzę, że zdrowie pani przyjaciółki Eugenii polepszyło się.

— Ach tak — odrzekła Ludwika. — Eugenia ma się lepiej i dlatego widzi mnie pan tak zadowoloną.

— Słyszałem, że przybywacie panie z Rzymu. Czy może pobyt w Rzymie miał szkodzić pani przyjaciółce?

— Uczuła do Rzymu niepohamowaną odrazę! Stała się ofiarą obrzydliwego podstępu, który na nieszczęście stał się głośny. Lecz wybacz, panie hrabio, gniewałaby się na mnie, gdybym chociaż minutę zwlekała z oznajmieniem jej pańskich odwiedzin. Biegnę do niej.

W kilka minut później ukazała się w salonie Eugenia Danglars. Monte-Christo spostrzegł z boleścią w obliczu Eugenii ślady łez, z jej twarzy przebijał głęboki smutek.

Wyraz jej oczu, niegdyś tak jaśniejący blaskiem, stał się martwy i niespokojny. Wszystko zamarło w Eugenii Danglars i hrabia Monte-Christo nie poznałby jej, gdyby nie wiedział, że jest to córka pani Danglars.

Eugenia słuchała z roztargnieniem powitania hrabiego i zaledwie zdołała odpowiedzieć na pytania, jakie bezpośrednio do niej kierowano. Po niespełna półgodzinnej rozmowie prowadzonej prawie wyłącznie przez hrabiego, podczas której nadaremnie dowiadywał się o niektóre osoby znane mu z Paryża, pożegnał się z obu przyjaciółkami, oświadczając im, że ma zamiar udać się do

Rzymu.

— Do Rzymu? — zapytała Ludwika, rzuciwszy na Eugenię znaczące spojrzenie.

Monte-Christo odezwał się jeszcze:

— Spodziewam się w Rzymie cokolwiek rozerwać; nuda bowiem, to największe zło jakiego możemy doznać.

— Nuda, o jakiej pan mówisz jeszcze zwiększy się w Rzymie — powiedziała Ludwika.

— A to dlaczego?

— Prowadzi się tam proces, w którym imię pana często się przewija.

— Cóż to za proces? — zapytał Monte-Christo.

— W Rzymie prowadzi się proces przeciw znanemu bandycie Luigi Vampie i ten niebezpieczny człowiek zeznał wobec sądu, jakoby miał stosunki z panem.

— Istotnie? Jest to szczególna galanteria ze strony pana Vampy. To prawda, że ten człowiek miał ze mną stosunki, i że jestem jego przyjacielem! Nie mam więc czasu do stracenia, by jego głowę ocalić i nie zaniedbam tego — mówił hrabia zimnym, obojętnym tonem.

Dwie strugi łez spłynęły po policzkach Eugonii. Hrabia chciał jeszcze coś mówić, lecz Ludwika dała mu znak, który on zrozumiał i zamilknął. Eugenia osunęła się na sofę. Ludwika pobiegła ku niej i wzięła ją w swoje objęcia. Hrabia Monte-Christo pożegnał się i odszedł głęboko wzruszony stanem Eugonii, zdecydowany wszelkich środków użyć, by ją do dawnego zdrowia i świeżości doprowadzić. By tego dokonać, pragnął przede wszystkim zbadać przyczynę cierpienia Eugonii i to wstrzymało go na razie od zamiaru udania się do Rzymu w sprawie Vampy.

Po kilku dniach Eugenia Danglars i Ludwika d'Armilly odwiedziły jego żonę, Haydee. Panie jakoś od razu przylgnęły do siebie i hrabia cieszył się, że stworzył kółko przychylnych i serdecznych przyjaciół. Niebawem jednak hrabia Monte-Christo spostrzegł, że dotychczasowy spokój i szczęście w domu zostały

zmacone jakąś niepojętą dlań siłą i ciemne chmury gromadzą się na dotychczas jasnym i pogodnym horyzoncie jego domowego życia. Nagle Haydee, pod pozorem ciągłej niedyspozycji, nie chciała osobiście przyjmować Eugonii i Ludwiki. Im więcej przyjaźni i względów miał dla nich Monte-Christo, tym bardziej zwiększała się domniemana słabość Haydee. Chociaż Haydee wychowana była wedle zwyczajów europejskich, zachowała jednak usposobienie kobiet Wschodu; szybko zazdrość opanowała jej serce, a tym samym zachowanie stało się nieznośne. Często, gdy hrabia rozmawiał z Eugenią, Haydee ściagała go spojrzeniem podrażnionej lwicy. Pewnego wieczoru, gdy Eugenia zdawała się być mocniej nieszczęściem przybita niż zwykle, hrabia chciał koniecznie powód jej załamania poznać i powiedział:

— Moje dziecko, w pani wieku nie można rozpaczać. Cóż to nęka twoją duszę, że we wszystkim, co cię otacza, nie możesz natrafić na jakąkolwiek radość? Jesteś piękna, młoda, świat cię wielbi; dlaczego więc usuwasz się od świata, który korzy się u twoich stóp?

— Słowa twoje, panie hrabio, oznaczają, jak zwykle, szczerą przyjaźń; wiem o tym i wdzięczna ci jestem za to!... Lecz ten świat, o którym mówisz, cóż może mi ofiarować, by żalu, miłości i cierpieniom, jakich doznaję, ulżyć! — wymówiła Eugenia, wzniosłszy załzawione oczy ku niebu.

— Odwagi!... Mówisz dziś, moje dziecko, nieco zrozumialej — odparł hrabia. — Mówisz o żalu, miłości i cierpieniu... te trzy słowa wyrażają uczucia stojące wysoko na stopniach ludzkich uczuć.

— Tak... tak... panie hrabio, zrozum, jeśli potrafisz, uczucie i żałuj mnie — wymówiła Eugenia z westchnieniem, pochyliła czoło i otarła łzę z oka.

— Przeciwnie, moje dziecko; rad bym obiecać ci przyszłość usłaną szczęściem i rozkoszą.

— Ach! Nie, nie... Dla mnie wszystko stracone.

— Słuchaj pani — mówił hrabia, z wyrazem łagodnego uśmiechu zadowolenia — przypuśćmy, że się czuję zupełnie szczęśliwy. Mam żonę

kochającą mnie; żonę, której pieśszoty są dla mnie najwyższą rozkoszą; mam dziecko, którego niewinne usteczka wymawiają moje imię. W ciągu piętnastu lat, piętnastu lat rozpacz i odosobnienia, mówiłem to samo, co pani w tej chwili. Dla mnie wszystko stracone! Byłem wtedy młody, jak pani obecnie i podobnie jak pani odwracałem oczy od przyszłości ku ziemi, w której sądziłem szybko znaleźć wieczny spoczynek. Jednak jakiś wewnętrzny głos odzywał się we mnie: „Wierz i miej nadzieję!”. Otóż, wierzyć i mieć nadzieję, w tym spoczywa cała mądrość ludzka, o czym się później przekonałem.

— Lecz być może, że okoliczności są bardzo odmienne! — odrzekła smutno Eugenia.

— Byłem zamknięty w murach wieży otoczonej oceanem. Ciemne sklepienie było moim widnokretem. Ojciec, przyjaciele, kochanka na zawsze ode mnie oddzieleni. Moje najdroższe marzenia były zburzone, lecz moja wiara, chociaż na chwilę zwątpiłem, utrwaliła się w celi więziennej i pośród mąk śmiertelnych widziałem świat i szczęście przez mury mego więzienia.

Eugenia zamyśliła się. Zdawała się zbierać myśli. Po chwili odezwała się cichym głosem:

— Mój panie, pan jesteś mężczyzną, a ja tylko kobietą, uczucia naszych serc są odmienne. Pan mogłeś widzieć swoje szczęście zgruchotane na zawsze, a mimo to na gruzach tego szczęścia mogłeś stać silnie i mieć nadzieję. Ja muszę z tego świata zejść, bo w przyszłości świat ten przedstawia mi się piekłem! Oh, hrabio, nie... nie... nigdy nie mogłeś myśleć, że z głową twojej ukochanej jedyna nadzieja twojej duszy upadnie.

— Eugenio!... Mów, czas mija!... Mów!... Bóg jest miłosierny. Bóg posiada nieskończoną moc!... Mów pani! — zawołał hrabia, usłyszawszy rozpaczliwe słowa Eugeniei.

— Nie mogę — wyszeptała Eugenia. — Boleść i hańba duszą mnie.

Po tych słowach oparła się o poręcz balkonu, a wyraz jej oczu przygasł. Księżyc wzeszedł ponad Lido, dwie gondole płynęły cicho. Oba czółna

zatrzymały się pod pałacem. Potem odezwał się łagodny melancholijny głos pieśni z towarzyszeniem gitary. Mężczyzna śpiewał łamanym językiem włoskim.

Słowa były następujące:

*Dumnych zamków mur się wali,
Chatki biedne się podnoszą;
Mali z nędzy powstawali,
Dumni z nędzy litość proszą.*

*Każdy człowiek ma swą dołę,
Wszystkich losy jednak znam,
Prawdę wam powiedzieć wolę,
Za nic — gdy dłoń waszą mam!*

*Niewiniątka dzieci,
Hrabiów, co w miłości grzeszą,
Żon, z których oczu świeci
Zazdrość, niechaj do minę spieszą.*

*Wszystkich losy się dowiem,
Wszystkich życie znam,
Wszystkim prawdę opowiem,
Gdy dłoń waszą widzę sam.*

Śpiew ustał. Jakiś człowiek machnął chustką ku balkonowi, na którym stał hrabia i Eugenia.

Gdy hrabia nachylił się przez poręcz marmurową, by usłyszeć słowa z gondoli, przybiegła Haydee i dotknęła go lekko po ramieniu. Gdy się Montecristo oglądnał, zobaczył koło siebie Haydee z dzieckiem na ręku.

— Trzeba ich zawołać! — powiedziała Haydee z naciskiem.

Hrabia zrobił ruch przeczący i chciał coś odpowiedzieć, Haydee

przeszkodziła mu jednak mówiąc:

— Jak tylko ten śpiew usłyszałam, wzięłam syna na ręce, by usłyszeć ich wróżbę. Zawołaj ich, życzę sobie ich słyszeć.

— Chcesz tego Haydee? Jakże często mówią ci awanturnicy nieprawdę!

— Pani d'Armilly — zapytała Haydee, zwracając się do Eugenii — nie rada by pani także tych ludzi słyszeć?

Hrabia spostrzegł z widoczną niechęcią gwałtowność, z jaką jego żona do Eugenii mówiła; by więc nieznośnego tłumaczenia uniknąć dał znak chustką ludziom w gondolach, by się zbliżyli.

XLV

Cygan

Rodzina hrabiego Monte-Christo, w towarzystwie Eugenii i Ludwika d'Armilly, zgromadziła się w jednej sali pałacu. Sala była obszerna, umeblowana starożytnymi meblami i kilkoma obrazami, które, wedle zapewnienia właściciela pałacu, były pędzla Tycjana, Tintoretto i Veroneze. Haydee trzymała swoje dziecko na rękach, Eugenia i Ludwika siedziały obok niej, hrabia stał obok. Światło francuskiej lampy pokrywała zielona zasłona; w sali panowała głęboka cisza. W kilka minut przybył Cygan. Był to młody człowiek słusznego wzrostu, zgrabnej i ujmującej postaci. Miał na sobie prosty, lecz schludny strój hiszpański. Jego pewne ruchy, ożywiona twarz, tajemniczy wyraz oczu, wzbudzały u kobiet zaciekawienie. Monte-Christo nieporuszenie stał przy marmurowym stole na uboczu.

— Dobry wieczór, signor! — odezwał się Cygan złym włoskim akcentem, starając się nadać wyrażeniom hiszpański akcent — Czy prawdą jest, że tu zawołany zostałem, by tajemnicę przyszłości wyjawić, piękne panie? Czy odsłonić mam, co oczekiwać panie może złego lub dobrego?

— Zaczynaj pan! — odezwał się Monte-Christo.

— Od pana, signor, jeśli zezwolisz? — zapytał Cygan.

Hrabia uśmiechnął się z lekceważeniem. Cygan zaczął mówić:

— Piękny mężu! Posiadasz siłę geniusza, a popatrzysz na ciebie, widzę, że porównać cię można z nieustraszonym okrętem wśród morza życia. Na twojej twarzy widzę ślady burzliwej przeszłości! Z nieco rozszerzonej źrenicy twoich oczu, z ust nieregularnie zaciśniętych poznaję uczucie silne. To roślina, która nie jest dość dojrzała, by mogła rozkwitnąć!

— Tracisz pan czas na rzeczy małej wagi. Pozostaw pan przeszłość w spokoju, ta już dawno minęła, a mów o przyszłości, skoro masz tyle odwagi, by znać ją, chociaż ona tylko w ręku Boga leży — odezwał się hrabia z niecierpliwością.

— Podaj mi pan swoją rękę — odezwał się żywo Cygan.

— Oto jest! — odparł hrabia z pogardą.

Nastąpiła chwila milczenia; Cygan zwrócił twarz ku Haydee i z cicha odezwał się:

— Biedna Haydee!

Hrabia zrobił ruch nieukontentowania, Haydee pocałowała dziecko.

— Oto linia ziemi — począł mówić Cygan wpatrując się w rękę Monte-Christo.

Mimowolnie zimny pot wystąpił na czoło hrabiego.

— Mów pan krótko! — odezwał się półgłosem hrabia.

— To wystarczy! — odezwał się Cygan, wzniosłszy oczy ku niebu, a potem znacząco wpatrzywszy się w ziemię.

— Mów pan! — nalegał hrabia.

— Nie mogę! — odezwał się Cygan.

— Dlaczego nie?

— Niemożliwe!

Hrabia zaśmiał się szyderczo i zawołał:

— Udajesz dzielnego wróżbitę!

Po chwili Cygan odezwał się:

— Signor, by panu dowieść, że nie jestem fałszywym wróżbitą, jak pan sądzisz, pozwól na wysłuchanie mnie na osobności.

— Chętnie, lecz robię pana odpowiedzialnym za to, byś nie zechciał mnie zbyć słowami ubranymi w szaty tajemniczości.

— To się okaże! — odezwał się Cygan z naciskiem, idąc za hrabią w przeciwny kąt sali.

— Signor, widziałeś kiedy szerokie pustynie Afryki, na których nie można odszukać kropli wody, by mógł podróżny pragnienie ukoić? Widziałeś kiedy wśród takiej puszczy, na której dookoła wszystko wymarło, wyrosłą jedyną palmę? Nigdyś nie zadał sobie pytania, z jakiej przyczyny to drzewo żyje samotnie, opierając się burzy, upałowi i posusze, nosząc na swoich liściach zwiędłych historię swojej przeszłości kilkuwiekowej spisana?

— Co pan chcesz z tego wnioskować? — zapytał hrabia.

— Signor, puszcza to życie; pragnienie i posucha to nieszczęście; wieki to lata; drzewo palmowe, to ty hrabio!

— Dziękuję ci, mój wyśmienity wróżbito; lecz jaką gwarancję dajesz mi za prawdę twoich słów?

— Jesteś trudny do zaspokojenia, signor! Nie znam pana; nie mogę więc zestawić faktów twego życia, by z nich wnioskować na przyszłość! Jednak mówię panu, że po świecie ściga cię wyschła ręka przeznaczenia!

— To los nas wszystkich! — odparł hrabia obojętnie.

— Z tą różnicą, że pan musisz zdążać do celu twego przeznaczenia, gdy już pierśią nie będziesz miał dość siły, by zaczerpnąć powietrza na wydanie jęku bóleści i gdy twoje oczy nie będą miały już innych łez prócz krwawych.

Na te słowa zadrżał hrabia wewnętrznie i wpatrując się w śniadą twarz Cygana, starał się z niej odgadnąć jakąś tajemniczą zagadkę, której istnienie przeczuwał, lecz twarz Cygana była nieruchoma, jakby z kamienia wykuta.

Zaledwie Cygan skończył rozmowę z hrabią, Haydee odezwała się:

— Oto widzisz pan dziecko, wróż mu.

— Uczynię to signora, lecz pozwól, że temu niewiniątku na ostatku powróżę.

Zwróciwszy się zaś do Eugonii Danglars odezwał się:

— Gwiazda pani musi być łaskawa, chcesz pani, bym ją zapytał?

— To jest obojętne — odezwała się półgłosem Eugenia.

— O, mów pan! To zajmujące, mów pan! — zawołała żywo Haydee.

Eugenia wyciągnęła rękę. Cygan wpatrywał się w nią przez chwilę, podczas gdy wszyscy w milczeniu oczekiwali rezultatu tego badania. Aż w końcu odezwał się:

— Poznałaś uczucie namiętnej miłości, miłości jakiej doznajemy tylko raz w życiu, jesteś pani ofiarą tej miłości. W dali spostrzegam twoją matkę, która nad tobą i za tobą obfite łzy wylewa. Brak jej chleba na życie, pani dostarczysz jej tego, skoro się przekonasz o powinności córki. Przygotuj też dla siebie szaty żałobne, gdyż pod mieczem sprawiedliwości spadnie głowa człowieka, którego kochasz!

Eugenia okazująca silne wzruszenie, wydała przeraźliwy krzyk, zaledwie Cygan skończył mówić.

— Niegodziwy! — zawołał hrabia, przystępując do Cygana.

— Mówię prawdę, signor! — odezwał się Cygan z pokorną postawą, zauważywszy z ruchu Haydee, że zdolna jest go uchronić przed niechęcią hrabiego.

Tymczasem Eugenia zbladła i, trzęsąc się, powstała. Ludwika pochwyciła jej rękę i starała się ją powstrzymać.

— Uciekajmy, Ludwiko, uciekajmy! Ten człowiek nosi na sobie piętno przeznaczenia! — zawołała Eugenia, wskazując pełna przerażenia na hrabiego Monte-Christo i dodała: — Moja matko... moja biedna matko... ciężko zgrzeszyłam opuszczając cię! Uciekajmy!

Przy tych słowach wymknęła się z rąk przyjaciółki, przebiegła salę. Ludwika ruszyła za nią i opuściły pałac. Hrabia pozostał w osłupieniu, a Haydee przypatrywała się scenie z żywym zainteresowaniem, przyciskając swoje dziecko do łona.

Po chwili hrabia, rzucając kiesę pełną złota Cyganowi pod stopy, odezwał się:

— Więc panie czarowniku, zajęcie twoje skończone, możesz odejść.

Na to odezwała się Haydee:

— Jeszcze nie, jeszcze nie, mój panie! Jeszcze brak wróżby dla naszego syna.

— Co też mówisz, Haydee? Nie poznajesz, że ten nędznik jest oszustem, chcącym nas przestraszyć?

— Oh, wiem, że mówił prawdę! — odparła Haydee i dodała spiesznie: — Cóżby mógł powiedzieć o przyszłości tego niewiniątka? Usiądź mój panie i mężu, weźmiemy oboje naszego syna w objęcia i posłuchamy proroctwa.

Hrabia całym zajściem był żywo dotknięty, lecz nie mógł się oprzeć żądaniu Haydee. Usiadł obok niej i podtrzymując dziecko wyczekiwał.

Chłopaczek, widać uradowany pieścizotami rodziców, uśmiechał się z zadowoleniem.

Cygan zbliżył się. Na jego wybladłej twarzy, otoczonej czarną jak heban brodą, igrał szatański uśmiech, którego wyraz nie uszedł bacznemu oku hrabiego. Haydee wzięła małą rączkę dziecięcia i wyciągnęła ku Cyganowi:

— Oto ręka mego syna.

Cygan studiował dłoń z tą samą powagą, co poprzednie, wreszcie odezwał się:

— Dobrze, już dosyć widziałem.

— Co pan wiesz? Mów pan!

— Urodziło się to dziecię pod wpływem złej gwiazdy! Potem zaś, co mi ta linia krzywa wskazuje...

— Która? — przerwała Haydee, śledząc bacznie każdy ruch Cygana.

— Ta, która wychodzi od ostatniej części wskazującego palca i na dłoni się kończy.

— Widzę. Więc cóż mówi panu? — zapytała Haydee.

— Że dziecię urodzone jest na Wschodzie. Prawdopodobnie w Konstantynopolu.

Haydee spojrzała z zadowoleniem na męża, uradowana prawdą wypowiedzianą przez Cygana.

Cygan mówił dalej:

— Chłopak nie będzie dlatego tak nieszczęśliwy, jakby mógł być, jednak należy pewnych środków użyć, by nieszczęściu zapobiec.

— Mów pan, mów pan, wszystko, co tylko w naszej mocy będzie, zrobimy — mówiła szybko Haydee.

— W tym tygodniu będzie odprawiana uczta dla biednych w Wenecji. Musisz pani być obecną ze swoim synem i mężem. Dziecię musi spożywać jadła dostarczonego z miłosierdzia, dobrze by było, abyś pani i jej mąż z tego także cząstkę spożyli, by się w ten sposób od wszelkiej pychy oczyścić, jaką w sercach waszych mieć możecie. Potem musi pani o to się postarać, by dziecię ucałowane zostało przez trzech żebraków, którzy mają je na rękę trzymać.

— Nic łatwiejszego. Wszystko uczynimy, co on mówi, nieprawdaż, mój drogi? — zapytała Haydee z naiwnością.

Cygan począł mówić dalej:

— Signora, gdy to uczynisz, co pani mówię, możesz być przekonana, że z horyzontu tego niewinnego życia usuniesz chmury, jakie na nim spostrzegam! Dobranoc, Najświętsza Panna niech cię ma w swojej opiece świętej, a dobry Bóg, oby czuwał nieustannie nad kołyską twego dziecka.

Przy tych słowach chciał już Cygan odchodzić. Haydee wyciągnęła rękę ku czarodziejowi, podając mu przepyszny pierścień, jaki na palcu nosiła. Cygan przyjął pierścień, ucałował go z wyrazem uszanowania i wyszedł.

— Cóż, łaskawy panie, nie cieszy cię, że nasz syn będzie szczęśliwy? Pójdziemy na bankiet ubogich? — pytała Haydee.

— Pójdziemy — wyszeptał hrabia.

Haydee zarzuciła nań swoje piękne ramiona, przychyliła jego twarz ku sobie i złożyła gorące pocałunki na jego policzkach.

XLVI

Uczta ubogich

Wszystkie myśli młodocianej matki od tej chwili skierowane były ku ceremonii, jaka niebawem miała się odbyć. Sama sporządzała sukienki dla swego synka, w których miał się ukazać na uczcie. Hrabia zaś, o ile mógł, starał się zrozpaczoną córkę barona Danglars uspokoić. Pospieszył do jej mieszkania i zatrwożył się, widząc przed hotelem kolasę pocztową. Zapytał na kogo powóz oczekuje.

— Na obie francuskie artystki.

Hrabia wbiegł spiesznie po schodach na piętro, Eugenia ukazała mu się pierwsza. Ubrana była w żałobne szaty. Twarz jej była trupio blada i poznać można było z jej wyrazu rezygnację. Hrabia zapytał:

— Odjeżdżasz pani?

Eugenia odpowiedziała szybko:

— Tak jest, panie hrabio, widzę, że moja gwiazda szczęścia coraz bardziej zanurza się w chmurach nieszczęścia, godzę się z moim losem. Pragnę też kielich dzikiej i gorzkiej rozkoszy do dna wychylić i wszystko przecierpieć, co tylko kobieta na moim miejscu znieść powinna.

Hrabia przystąpił bliżej do Eugonii, lekko ujął jej rękę i rzekł:

— Eugenio, słowa twoje wskazują na wielkie cierpienia. Miałabyś dać się omamić przez lichego Cygana, który, dla interesu, starał się na nas swoją mową

wywrzeć silne wrażenie?

Eugenia odpowiedziała:

— Ach, mój hrabio, nie wiem, jaka intryga wczoraj wieczór miała miejsce, lecz Cygan o mnie powiedział prawdę. Głowa mężczyzny, którego kochałam i jeszcze Kocham, nie mając dość siły, by uczucie wytepić, padnie pod mieczem rzymskiej sprawiedliwości.

— Nie byłoby możliwe zapobiec temu?

— Skazańcem jest Luigi Vampa, a Rzymianie domagają się jego głowy!... Niezawodnie zdumiony jesteś moją miłością do tak podłego bandyty, lecz Vampa nie jest zwykłym człowiekiem, jest w nim coś majestatycznego i pełnego siły, co go wywyższa ponad innych.

Hrabia odparł:

— Czy sądzisz Eugenio, że na tym świecie jest coś nieprawdopodobnego, jeżeli miłosierdzie Boże nas strzeże? Ufać i wierzyć, oto podstawa mądrości ludzkiej. Ufaj więc i nie zwątp.

— Ale w co? — zapytała Eugenia.

— W Boga, Eugenio... w Boga!

— Możesz się od Boga spodziewać ocalenia tego nieszczęsnego Vampy?

— Mogę.

— Jak?

— Okupiłem już raz u papieża życie jednego człowieka, więc mogę i drugie życie okupić.

— Za jaką cenę?

— Tiarę Jego Świątobliwości zdobi przepyszny szmaragd, może więc tą samą tiarę przyozdobić drugi szmaragd takiej samej wartości. Wierzę w to, moje dziecię, jestem nawet przekonany o tym. Papież, ten mąż, który na ziemi Boga zastępować usiłuje, łatwo może aktu miłosierdzia dokonać. Jestem dość możny, by od papieża połowę jego posiadłości odkupić, tym pewniej mogę życie jednego nieszczęśliwca okupić.

— Oh, mój hrabio! — wyszeptała Eugenia z czcią, nachyliwszy się do ręki hrabiego i wycisnąwszy na niej pocałunek.

— Co robisz, Eugenio? — usuwając rękę zawołał hrabia. Po czym, zamyśliwszy się, dodał: — Porozummy się. Przyrzekam ci ocalić głowę Vampy; pani zaś przyrzeknij mi nie zaniedbywać kariery, w której twój geniusz okazał się tak wielki!

— Przysięgam ci to hrabio!

— Więc dobrze, nie stracę ani chwili czasu, by Vampę uratować, a gdy od papieża uzyskam jego ułaskawienie, to nie wątpię, że Vampa zostanie uczciwym człowiekiem, bo go znam. i wiem, że w głębi duszy dzierży szlachetne uczucia.

Na schodach ukazała się Ludwika d'Armilly w sukniach podróżnych.

— Droga przyjaciółko, na razie zostaniemy jeszcze w Wenecji — zawołała Eugenia.

— Jak to? — zapytała Ludwika.

— Niespodziewany promyk szczęścia przemknął po chmurnym niebie, jakie ci wczoraj opisałam.

— Odwagi, Eugenio! Opuszczam cię, by pracować nad tym, żeby promyk ten nie zagaś.

Hrabia chciał już odejść, gdy podszedł do niego sługa hotelowy i zapytał:

— Ekscelencjo, czy pan jesteś hrabią Monte-Christo?

— Tak jest.

— Mam tu list przeznaczony dla Waszej Ekscelencji.

— Skąd ten list?

— Nie znam człowieka, który mi go oddał, lecz powiedział, że jesteś w tej chwili w hotelu, polecił oddać ten list i dodał, że go przysłano z Rzymu umyślnym posłańcem.

Eugenia z ciekawością zwróciła się ku hrabiemu, jednocześnie ogarnęła ją obawa; oczekiwała treści tego listu, wyroku dalszych losów dla siebie. Hrabia otworzył list... zrazu odbił się na jego twarzy niepokój, potem czoło

poczerwieniało mu z irytacji. List do hrabiego był następujący:

„Panie hrabio!

Dowiaduję się właśnie, że jesteś pan w Wenecji, nie znam jednak pańskich zamiarów co do kapitana Vampy. Czuję się w obowiązku donieść panu, że Vampa znajduje się w ręku sprawiedliwości, nad jego głową zawisł miecz katowski! Przysiagłeś zawsze go ochraniać, a teraz zdajesz się słowa nie dotrzymywać! Przybywaj więc, nie tracąc ani minuty czasu, inaczej wszystko stracone.

Z ostatniej chwili:

Vampa, w napadzie szału, udusił się w więzieniu, przedtem jednak zeznał wobec sędziów, że utrzymywał z panem stosunki. Zaś poseł francuski otrzymał od swego rządu polecenie odnalezienia pana, bo tam oskarżono cię, żeś groby na cmentarzu Père Lachaise sprofanował, między innymi groby rodziny Villefort i Saint-Meran. Więc nie przyjeżdżaj do Rzymu i ufaj przywiązaniu pańskiego wiernego sługi.

Pepino zwany Rocca Priori”

— Jakaś niepomyślna wiadomość? — zapytała Eugenia.

Hrabia zmiął list w dłoni i odezwał się:

— Tak! Masz pani słuszność, Eugenio. Jakieś fatum ciąży na mnie i na tych, co się do mnie zbliżą.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytała z niepokojem Eugenia.

Hrabia milczał.

— Mów pan, na miłość Boga... inaczej uwierzę w nieszczęście! — wyszeptała Eugenia, oparłszy głowę o ramię Ludwiki.

Hrabia spojrzał na Eugenię z głębokim współczuciem i zawołał:

— Eugenio!

Eugenia przerwała mu:

— Rozumiem pana!

Rzęsiste łzy cisnęły się do oczu Eugenii.

Ani Ludwika, ani hrabia nie mieli dla niej słów pocieszenia. Po długiej chwili Eugenia podniosła głowę — była spokojniejsza. Smutno spojrzała na hrabiego, potem zwróciła się do Ludwiki ze, słowami:

— Ludwiko, wszystkie moje marzenia zniknęły na zawsze... Jedźmy!... Kto wie, może moja matka w Rzymie spożywa chleb ubogich?... Więc jedźmy... jedźmy do Rzymu... mam tam dwie powinności do spełnienia!

Przy tych słowach podała Ludwice rękę i wyszła z sali. Hrabia stał nieruchomo, osłupiały niejako pod wpływem ziszczenia się przepowiedni Cygana.

W Wenecji wszyscy już wiedzieli, że jakiś miłosierny człowiek niewiadomego nazwiska prosił o pozwolenie wyprawienia uczty ubogim miasta. Władza zezwoliła na to, szanując incognito dobroczyńcy.

Hrabia Monte-Christo również nie był świadom jego nazwiska. Dzieńznaczony na ucztę nadszedł. Było to w czwartek, w kwietniu. Słońce dochodziło do zenitu. Zegar katedralny już miał wybić dwunastą, gdy plac św. Marka począł się zapelniać ludźmi, nadchodzącymi z różnych stron miasta. Cztery kapele, dwie po obu stronach portalu kościelnego, a dwie w odległych punktach placu, grały nieustannie najdoborowsze kompozycje. W oknach przyległych pałaców nadzwyczajna ilość ciekawych dała się widzieć. Szczególny widok nęcił ciekawych... nie było tu najślawniejszych śpiewaczek, linoskoków itp. lecz chodziło jedynie o to, by móc oglądać ubogich, nędzarzy, rozkoszujących się wśród bogactwa i dostatków chociażby przez chwilę. Najznakomitsze panie Wenecji zmówiły się, by przy tej dotąd niewidzianej uczcie, usługiwać ucztującym ubogim. Widziano panie, przybywające bądź

ekwipażami, bądź w świątecznie ustrojonych gondolach, wstępujące do kościoła św. Marka, gdzie nędzarze z niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia uczty. Było tam mnóstwo starców, kalek, dzieci... W tłum ten wmieszały się panie, ocierając łzy rozrzewnienia, rozdając odzież itp.

Dzwon zegara św. Marka oznajmił godzinę rozdawania jadła i wina.

Ubodzy przy dźwiękach muzyki i poważnego głosu dzwonów, wśród wołania rozentuzjasmowanej publiczności zajęli swoje miejsca przy zastawionych stołach.

Chociaż starano się odkryć inicjatora tej uczty, nie udało się nikomu go odnaleźć.

Hrabia Monte-Christo, stojąc obok swojej małżonki, która na rękach trzymała syna, nadaremnie ścigał różne postaci swoim bystrym wzrokiem — wielkodusznego dobroczyńcy nie zauważył.

Dziecko rozglądało się po tłumie ze zdziwieniem i niepokojem i zwracało się ciągle do swojej matki, jak gdyby chciało się pytać, jaki jest powód tego całego ruchu i gwaru.

— Mój synu — mówiła Haydee cichym głosem, tuląc synka do piersi — Bóg wszechświata jest tu w swojej całej glorii i majestacie, pozwalając ubogim tego używać, co im się należy. Nieprawdaż mój drogi? — dodała Haydee zwracając się do hrabiego Monte-Christo — Nie uważasz, że to, co memu dziecku mówię, prawdą jest?

— Tak, moja droga — odparł Monte-Christo. — Lecz w tym wszystkim jest coś, co mnie odtrąca. W moich oczach ceremonia ta mieści w sobie więcej próżności, niż zwykłego skromnego aktu miłosierdzia.

— A to dlaczego? — zapytała Haydee.

— Ewangelia mówi — odrzekł Monte-Christo — gdy prawa jałmużnę daje, to lewa nie powinna o tym wiedzieć... Patrz Haydee, jakże niedoskonała jest pokora, którą te damy Bogu przynoszą! Najbogatsze klejnoty błyszczą w ich stroju i właśnie w

tej chwili, w której poniżać się zdają, odróżniają się od tego tłumu nędzarzy! Lecz nadeszła chwila, by dać naszemu dziecku chleb nędzarzy. Zdejmij z niego wszystkie ozdoby, moja droga; rozedrzyj jego bogatą sukienkę, jego blond włoski niech wiatr rozwiewa. A teraz powstań Haydee i spełnij twój zamiar!

Haydee przystąpiła z dziecięciem na rękę do stołu ucztujących. Właśnie w tej chwili kilku ubogich powstało od stołu.

— Moi przyjaciele — przemówiła Haydee — w imię Boga, pozwólcie memu dziecku podzielić się chlebem, jaki spożywacie.

Ubodzy otoczyli zaraz powabną matkę, podając jej kawał chleba. Haydee odłamała cząstkę i włożyła dziecku w usteczka przemawiając:

— Tak, mój synu; to jest chleb dobrego Boga. A teraz pocałuj tych poczciwych ludzi, którzy cię otaczają. To twoi przyjaciele, a i ty ich przyjacielem będziesz.

Mała grupa osób stała się rychło celem wszystkich ciekawskich. Hrabia Monte-Christo został na chwilę oddzielony od żony i syna. Tłum poruszył się w tę stronę, każdy, wiedziony ciekawością, chciał zobaczyć, co to się dzieje...

Haydee ucałowała swego synka i oddała go w ręce jednego z żebraków. Ten pocałował dziecko i podał drugiemu, który to samo uczynił. Tak dziecię podawano sobie z rąk do rąk. Haydee patrzyła za chłopcem z uwagą; nagle przeraźliwie krzyknęła, krzyk śmiertelnej trwogi przedarł się przez cały, cichy w tej chwili, tłum.

Hrabia Monte-Christo rzucił się w tłum, chcąc się przedostać do swej żony. Ta tymczasem porwana została prądem cisnącej się masy. Powstał gwałtowny ruch. Wszyscy krzyczeli i cisnęli się; na każdym miejscu słyszało się krzyk, utyskiwanie, jęki bóleści i przerażenia; po czym nastąpiły okrzyki pełne złości i rozpacz... jednak ponad tym wszystkim, słyhać było jeden rozpaczliwy głos:

— Mój syn!... Mój syn!...

To był głos Haydee. Nim policja zdołała tłum na placu uciszyć i uspokoić, w różnych miejscach powstały sprzeczki, bójki i szamotania się; wiele osób padło

na ziemię i ciała ich były okropnie zgniecione. Hrabia Monte-Christo przeciskał się przez masę, jaka oddzielała go od żony... lecz nadaremnie.

W końcu udało się policji rozpedzić tłum. Plac św. Marka przedstawiał teraz zupełnie inny widok. Stoły uczających były zupełnie zgruchotane; bramy kościoła i okna pałaców szczelnie zamknięte.

Hrabia wdrapał się na jeden, z piedestałów przy portyku kościoła i z tego podwyższenia rzucał spojrzenia po miejscu strasznego zajścia. Nagle zeskokczył z piedestału i pobiegł ku kobiecie, która, w rogu placu klęcząc, pochyliła się. Głowa jej obwisła, oczy miała przymknięte.

— Haydee! Haydee! — wołał Monte-Christo wzięwszy ją na rękę. Postąpił kilka kroków i sam do siebie przemówił: — Ha, przekleństwo wieczne niech spadnie na mnie, jeśli tak byłem nierozważny!

Przypomniał sobie hrabia, że wziął z domu krople ożywcze; wyjął flakonik z kieszeni i wlał kilka kropli w usta Haydee. Ta otworzyła oczy, zadrżała. Po chwili cichym głosem odezwała się:

— Gdzie mój syn?... Ach, ukradli nam dziecię!

Hrabia odrzekł z rezygnacją i z dziwnym spokojem:

— Bóg tak chciał!

XLVII

List

Wszystkie gazety były wypełnione sprawozdaniami o dramacie na placu św. Marka. Pomimo najgorliwszych poszukiwań nie udało się policji powodu zamieszania na placu św. Marka odnaleźć, ani też pochwycić człowieka, który porwał syna hrabiego Monte-Christo. Haydee opowiadała, że po oddaniu chłopca w ręce żebraków, zbliżył się jakiś nieznajomy, chwycił dziecię i zniknął w tłumie. Musiano w końcu dojść do wniosku, że Cygan był w zмовie z rabusiem

lub nawet Cygan i rabuś stanowią jedną i tą samą osobę. Przeszukano wszystkie podejrzone gospody w nadziei odnalezienia Cygana — nadaremnie. Hrabia odbierał wyrazy współczucia od wszystkich znakomitych rodzin Wenecji. Spokój i rezygnację z jakimi znosił nieszczęście podziwiano powszechnie, co mu zyskało jeszcze większą sympatię. Starał się Monte-Christo przekonać siebie, że jakaś banda złoczyńców pochwyciła jego syna, by zażądać okupu. Gdy to mniemanie coraz silniej w umyśle jego tkwiło, usiłował przekonać o tym Haydee. Długo, bardzo długo nadzieja ta łudziła oboje nieszczęśliwych rodziców. Haydee gasła w oczach pod obuchem doznanego nieszczęścia, którego hrabia nawet za cenę wszystkich swoich bogactw usunąć nie był w stanie. Czy w wyrokach i sądach Opatrzności przyczyny nie było? Gdy hrabia Monte-Christo w własnych myślach sam siebie badał, takie nasuwały mu się słowa:

— Czy źle używałem zamożności, jaką mnie Bóg obdarzył pośród ludzi?... Czy nie ocalałem sierot, chroniąc ich majątki przed rabunkiem?... Czy nie połączyłem dwu serc, które złość i intryga rozdzielić usiłowały?... Czy nie wynagradzałem zawsze cnoty?... Czy nie byłem nieubłagany wobec zbrodni?... Bóg uczynił mnie wielkim i potężnym, jak gdyby mnie wynieść chciał ponad prawa ludzkie! Dlatego drogą życia mego kroczyłem pewnym krokiem i niosłem zawsze miecz czystej, i rozważnej sprawiedliwości podczas długoletnich moich doświadczeń! Kiedy niewinna krew splamiła ten miecz?...

Nagle zbladł na tę myśl hrabia, jak gdyby mu jakiś tajemniczy głos dał odpowiedź.

Zawołał:

— Mój Boże! W grobowcach rodziny Villefort i Saint-Meran spoczywają zwłoki małego dziecka, którego śmierć nastąpiła z mojej przyczyny!... Miałby więc mój syn stać się ofiarą strasznego odwetu za życie niewinne, które zniszczyłem?... Oh, ja — nierozsądny... jakże zbłądziłem, jak najlichszy, najbardziej ograniczony człowiek! Uważałem się za wielkiego — a jakże mały i

liczy jestem! Jakże słaby przy pierwszym ciosie sprawiedliwości Boże!... Synu mój!... Synu mój!... Masz okupywać błędy ojca twego?... Czy miałoby to być prawdą, że błędy rodziców karane bywają na ich dzieciach aż do czwartego i piątego pokolenia? Ach tak... prawda. Wszak szczęściem i życiem dziecięcia pomściłem zbrodnie rodziców!... Boże mój!...

Hrabia rozpaczał długo i korzył się w modlitwach. Nie zaniedbywał jednak żadnych dostępnych mu środków, by syna odnaleźć.

Pisał też do Paryża do Maksymiliana Morrel. Zawiadomił Morrela o katastrofie i zaklinał go, by wszystko zrobił, aby chociaż wskazówkę uzyskać, gdzie by się jego syn znajdować mógł. W czternaście dni później otrzymał Monte-Christo list z rąk znanej nam Rozyny. Gdy stanęła przed Monte-Christo, zapytała:

— Czy to pan. Ekscelencjo, jesteś hrabią Monte-Christo?

Monte-Christo, usiłując zachować spokój wobec nieszczęścia, jakie go spotkało, nieświadom celu odwiedzin nieznajomej, odezwał się obojętnie:

— Jestem nim, moje dziecko.

— Ach, pozwól mi ucałować ręce twoje na znak mojej najgłębszej czci dla ciebie!

— Jaki jest powód takiej czci?

— Pan nie znasz zapewne ubogiej Rozyny, lecz ona zna cię od długiego czasu.

— To jeszcze nie jest jasne.

— Jestem córką samego Bando, który swoje towary wyladowywał na wyspie Monte-Christo. Zapewne przypominasz sobie pan, z jaką wspaniałomyślnością chronił handel moich rodziców.

— Mylisz się moje dziecko. Nigdy nie ochraniałem nieprawidłowego handlu twoich rodziców. Nie stawiałem jedynie przeszkód!

— Santa Madre!... Toż to właśnie to samo, panie hrabio!

— Jeżeli tak się ma rzecz to mów dalej.

— My, dzieci Bando, zaprzysięgliśmy ci wieczną wdzięczność; dlatego też przysłałam tu.

— Czego żadasz ode mnie?

— Chcę oddać panu list. Ekscelencjo.

— Skądże pochodzi ten list?

— To pytanie, na które tylko sam św. Marek mógłby odpowiedzieć!

— A to dlaczego?

— Mój brat, biedny Pietro, przysłał mi ten list, oto wszystko, co mogę powiedzieć. Może panu opowiedzieć smutną historię Piotrusia, może z niej będziesz pan w stanie wysnuć, skąd ten list pochodzi? — Oto on...

— Opowiedz mi najpierw historię — przerwał Monte-Christo odsuwając list.

— Słuchaj więc, panie hrabio. Niedawno zawinął do portu okręt „Burza”, którego kapitan był dziwnym człowiekiem.

— Założę się, że zamiast stopy miał końskie kopyta — zauważył ze śmiechem hrabia.

— Nie, signor; lecz jeśli wiarę dać można temu, co mi Piotruś przysięgał, to on ma martwą rękę i za pomocą tej ręki może zrobić wszystko!

Przy tych słowach zasepiła się twarz Monte-Christa.

Rozyna mówiła dalej:

— Ten człowiek uwięził mego brata Pietra. Porwał go przed dwoma miesiącami z Lido. Płakałam, gryzłam się, użyłam wszelkich starań, by uzyskać uwolnienie Piotrusia; lecz dotąd nie udało mi się nic więcej, jak tylko od czasu do czasu odbierać od niego wiadomości.

— Jakie funkcje spełnia twój brat na pokładzie „Burzy”?

— Zdaje mi się, jest tam pilotem. Pietro zna wszystkie dogodne miejsca do wylądowania na wyspie. Dlatego sprowadzono go na pokład przeklętego okrętu „Burza”.

— Cóż więcej?

— Pisał mi wczoraj donosząc, że na wyspie spokojnie, że już ją opuścili i posłał mi list, który do Waszej Ekscelencji przyniosłam.

— Więc to list od kapitana jachtu „Burza”?

— Tak jest, przyjmiesz pan teraz ten list?

— Przyjmę.

— Proszę oto on.

Hrabia otworzył list i cofnął się w zagłębienie okna, ustawivszy się tak, by Rozyna nie mogła jego twarzy widzieć, gdy list czytać będzie. Otworzył kopertę:

„Edmundzie Dantes!

Twój syn w ostatnim dniu czerwca będzie w grocie Monte-Christo, gdzie sam jeden masz przybyć.

Kapitan „Burzy”

Hrabia odczytawszy list zwrócił się ku Rozynie.

Rozyna zapytała.

— Cóż panie hrabio?

Hrabia wpatrzył się w nią, nic nie odpowiadając.

— Matko Boska! — zawołała Rozyna, nie mogąc znieść wyrazu spojrzenia hrabiego Monte-Christo.

— Czego oczekujesz jeszcze? — zapytał hrabia oziębło.

— Ja, signor?

— Ty.

— Oczekuję rozkazów Waszej Ekscelencji.

— Czy chcesz odpowiedź odesłać na list twego brata?

— To byłoby niemożliwe, nie wiem przez kogo mogłabym mu list doręczyć.

— Więc nie wiesz, kto ci listy od niego oddaje?

— A co to, to wiem; listy oddaje mi Giacomo.

— Kim jest ten Giacomo?

— Gondolierem z Rialto.

— Skąd on listy bierze?

— Od czasu do czasu wyjmuje je ze szczeliny w murze przy kanale Orfano, lecz nie wie, kto je tam wkłada.

— Gdybym więc na ten list odpowiedział i odpowiedź zostawił w tym miejscu, to z pewnością by ktoś ją tam znalazł?

— Nie, panie hrabio; robiłam tak samo, a mój list leżał tam i musiałam go sama zabrać.

— Dobrze! Ja bym ci też życzył, by ciebie, gdy to miejsce opuszczasz, dwu żandarmów nie zabrało ze sobą.

— Z jakiej przyczyny miano by mnie aresztować? — zawołała dziewczyna błędnie i zwracając błagalnie oczy ku Monte-Christo.

— Jesteś istotnie bardzo miłą, niewinną i naiwną, aż nadto, moja dobra panienko!... Utrzymujesz stosunki z bandą zbrodniarzy, dopuszczających się różnorodnych przestępstw i jeszcze nie możesz pojąć, że to jest powodem wystarczającym do aresztowania cię?

— Hrabio, nie pojmuję słów twoich... Jakie to mam stosunki z bandytami?... O, na Boga, nie... wierz mi signor; powiedz żandarmom, że jestem niewinna; że... że... nie znam bandytów.

— Wystarcza mi to!... Odejdź w spokoju!

Rozyna padła do nóg hrabiego Monte-Christo. Hrabia podniósł ją niechętnie.

— Idź już. Nikt ci nie wyrządzi jakiegokolwiek przykrości; jednak jest nieodzowne, byś mnie z gondolierem Giacomo poznała, tak aby się nie zorientował kim jestem.

— Nic łatwiejszego. Ekscelencjo.

— A to w jaki sposób?

— U mnie w domu. Tuż przed Giudecca.

Rozyna odeszła.

Hrabia raz jeszcze odczytał list, starał się odgadnąć pismo, lecz bezskutecznie. List był krótki i stanowczy, i oznaczał niepodważalne postanowienie piszącego. Hrabia musiał się na wyspę Monte-Christo udać, by wykupić syna. Znał jednak dokładnie charakter bandytów i nie zwlekał w układach. Dlatego też, chcąc na ślad jakiś przedtem natrafić, udał się do mieszkania Rozyny, gdzie widział wprawdzie Giacomą, lecz ten opowiedział to samo, co dziewczyna.

Nie pozostawało więc nic innego, jak niezwłocznie ruszyć na wyspę Monte-Christo.

XLVIII

Z Mantui do Florencji

Bertuccio, intendent hrabiego, odnośnie do poleceń, najął jeden z najpyszniejszych pałaców w prześlicznej Florencji. Tak samo jak w Wenecji, wiadomość o przybyciu hrabiego Monte-Christo poruszyła zaraz masy. Jego imię wywoływało wszędzie, gdziekolwiek wymawiane było, najwyższą ciekawość tłumów. Hrabia Monte-Christo opuszczając Wenecję chciał morzem dostać się do Mantui, a z Mantui lądem do Florencji. Następnie do Pizy, a stamtąd odpłynąć na wyspę Monte-Christo. To był plan podróży, który hrabia w Wenecji nakreślił i natychmiast uskutecznił. Przejazd z Wenecji do Mantui nie miał w sobie nic szczególnego. Do Mantui przybywszy, zatrzymali się Monte-Christo i Haydee na krótki czas, zanim wyruszyli do Florencji. Pozostawmy ich na chwilę w Mantui, by zobaczyć co się działo na drodze, jaką przebyć mieli. Dwu jeźdźców ruszyło w kierunku Florencji drogą, którą miał jechać Monte-Christo z żoną. Mknęli nie szcędząc koni, lecz nagle zatrzymali się przy zawalonej studni, z której woda sączyła się na wielki kamień, a z tego do małego basenu, umyślnie wyżłobionego. Dzień miał się ku końcowi, lekki

powiew wiatru poruszał liście drzew.

— Chcesz wody, panie?... Tu jest studnia — pytał jeden z podróżnych rozglądając się.

— Mnie nie potrzeba, lecz dla tego dziecka potrzebuję — odrzekł drugi odchylając płaszcz.

— Cóż? — zapytał pierwszy ze współczuciem, zbliżając się do towarzysza.

— Żyje — odparł ten.

— Niech go Bóg strzeże!

Nastąpiła krótka chwila milczenia, podczas której jeden z jeźdźców zsiadł z konia i zbliżył się do towarzysza. Ten, który na koniu pozostał, oddał mu w ręce dziecię okryte w czarny welon.

Obaj podróżni patrzyli na dziecinę, która zwolna obudziła się z ciężkiego snu, mającego w sobie coś letargicznego. Jeden z nich przyłożył dzieciątku wodę do ust i sączył ją po kropli mówiąc półgłosem:

— Ach, na cóż ci Bóg zachowuje to życie?... Jaka dola czeka cię na tym świecie intryg, zbrodni, zepsucia, na świecie, w którym każdy kwiat już w woni swej mieści ukrytą truciznę!... Lepiej byłoby dla ciebie obudzić się ze snu pomiędzy aniołami, przy boskiej uczcie niewinątek!...

Gdy te słowa wymawiał, położył prawą rękę na pistolecie, który miał za pasem.

— Zatrzymaj się Benedyckie!... Zdaje mi się, że nie chciałbyś zbrodnią dzieciobójstwa obciążać nas? — zawołał nagle drugi towarzysz, spostrzegłszy domniemany zamiar po ruchu ręki.

— Zbrodnią? — odparł Benedykt z szyderczym uśmiechem — Ty nazywasz to zbrodnią, Pepino? Nie byłoby lepiej niewinnemu tortur egzystencji oszczędzić? Byłoby to zbrodnią oddać Bogu, co Bogu należy, skoro zło świata jeszcze weń nie wsiąknięło?... To dziecko nie lęka się myśli o śmierci, nie cierpi więc i nie cierpiałoby, i nie byłoby zbrodniarzem. Gdy zaś temu dziecięciu pozostawię życie, działam zbrodniczo, wystawiając je na cierpienia,

niewdzięczną pracę i walkę z losem? Ty wiesz, że to dziecko na świat wyjdzie ubogie i opuszczone; żaden przyjazny głos nie zawoła go, żadna ochronna ręka nie wyciągnie się, by kierować i prowadzić... bez ojca i matki nie będzie nawet miał się przed kim poskarżyć i łza nie ulży goryczy, jaka go czeka!

— Wyśmienicie! Lecz jaką masz pewność, że możesz pozbawić go życia, nie zadawszy mu najmniejszego cierpienia?

— Spróbujmy! — odparł na to Benedykt z uśmiechem.

— Per Bacco! To już za wiele zaufania do samego siebie!

— Tak sądzisz?

— Ot, mój panie, dajmy spokój tym miłosiernym zamiarom, a raczej dosiadajmy koni; bo dla nas noc nie niesie nic dobrego.

— Wiem. Lecz Florencja jeszcze daleko...

— A miejsce, przeznaczone na złożenie tego żywego ciężaru?

— Za pierwszą opuszczoną studnią prowadzi w prawo ścieżka, w dolinę; jakieś pięćdziesiąt kroków od wejścia w dolinę znajduje się chata gajowego; do drzwi tej chaty mamy zapukać silnie siedem razy.

Benedykt dosiadł konia, wziął dziecko na ręce i zawołał:

— Naprzód!

Obaj podróżni ruszyli w drogę. W godzinę później było już zupełnie ciemno. A kiedy znaleźli się przed chatą, której pomimo hałasu koni nikt nie otwierał, Pepino zsiadł z konia i uderzył siedem razy dość silnie w drzwi. Po chwili otworzyły się i naprzeciw podróżnym wyszedł chudy mężczyzna, którego blada twarz, oświetlona blaskiem lampy, przykre wrażenie czyniła. Człowiek ten był widocznie nawykły w ciemności widzieć, wpatrzył się badawczo w podróżnych i wyczekiwał w milczeniu.

Pepino odezwał się:

— Amico, postaraj się zadbać o nasze konie; potem wróc. Możesz z całym spokojem to uczynić, gdyż, by ci najmniejszego kłopotu nie robić, wypróżnimy nasze sakwy do twoich kieszeni.

— Co to ma znaczyć? — zapytał gajowy, który przy słowie „sakwy” szeroko oczy otworzył.

— Czyń co mówię i wracaj szybko; nie pożałujesz.

Podczas tej krótkiej rozmowy Benedykt zsiadł z konia. Gajowy zabrał obydwu konie, wskazał podróżnym, wewnątrz chaty i zniknął za rogiem nędznego budynku. Benedykt, i Pepino pozostali jakiś czas sami. Benedykt rozpoczął pierwszy:

— Więc temu człowiekowi mamy syna Edmunda Dantes powierzyć?

— Człowiek ten jest żonaty i, jak mówią, jego żona jest dobrym stworzeniem.

— Co jej wcale nie wadzi brać częściowo udział w zbrodniach męża.

— Czyż my wszyscy na tym świecie nie podlegamy błędom? Zresztą dziecię nie jest jeszcze w tym wieku, by mogło pojmować lub naśladować zbrodnię. Lecz cicho, ktoś nadchodzi — zawołał Pepino.

Na progu ukazała się kobieta w wieku około trzydziestu lat, z dziecięciem na ręku. Twarz jej nie miała w sobie nic odrażającego, wyraz oczu wzbudzał nawet zaufanie. Kobieta pozdrowiła podróżnych najuprzejmiej i usiadła na ławce kołysząc na ręku swoje dziecko. Benedykt wpatrując się ciągle w kobietę odezwał się:

— Moja dobra pani, proszę mi wierzyć, że pomimo wieści, jakie o pani mężu krążą, uważam panią za uczciwą kobietę.

— Na miłość Boga, signor, nie trzeba zaraz wszystkiemu wierzyć, co mówią! W ogóle źle patrzą na gajowych, mogę tylko zapewnić panów, że mój mąż ma dobre serce.

— Przyczyna, dla jakiej tu przybywam, nie ma z tym nic wspólnego. Mało mi zależy na dobrych przymiotach pani męża, przywożę pani dziecko, byś je pielęgnowała.

— Dziecko?

— Oto jest!

— Zdaje się być cokolwiek cierpiące — zauważyła kobieta, przyglądając się miłej dziecinie przy słabym świetle lampy.

Benedykt odparł:

— Ono jest silne i zdrowe. Przyczyna osłabienia pochodzi ze znużenia długą podróżą, odbytą na mym ręku lub na moich piersiach. Kilka dni wypoczynku, a zobaczysz pani, jak się będzie uśmiechać obok twego dziecięcia i jak go będzie braciszkiem nazywać.

— Moje dziecko nie jest chłopcem, tylko dziewczynką.

— Tym lepiej. Będzie jego siostrzyczką.

Wymawiając to oddał Benedykt dziecko żonie gajowego i usiadł obok niej. Pepino usiadł w cieniu chaty i zdawał się wsłuchiwać w daleki turkot. Benedykt zaś mówił z cicha do kobiety:

— Dziecko to spotkało nieszczęście. Oderwano je od piersi matki. W tej chwili nie mogę tego chłopca mieć przy sobie. Musi z dala ode mnie żyć; nie może wiedzieć komu zawdzięcza życie, nie może nic wiedzieć o lichym i fałszywym świecie. Niech się wychowuje, jak będziesz wychowywać swoją córkę; pozwól im wspólnie przebiegać pola i doliny, wolno, jakby motylkom lub ptaszkom. Ucz je we wszystkim poznawać Boga. Gdyby przypadkiem to dziecię pytało się kiedy, komu zawdzięcza życie — odpowiedz mu pani, że to jest tajemnica. Każdemu obcemu, jakby pytał, mów, że to twoje dziecko.

— Niech się dzieje, wedle woli twojej signor, chłopczyk ten uchodzić może za bliźniaka mojej córki.

— Jak chcesz, pani. Oto pieniądze; kieska ta zawiera 200 piasstrów, a w ciągu trzech miesięcy od dziś suma ta podwoi się.

— Bardzo dobrze. Bądź pan przekonany, że ta niewinna istota jak najstaranniej chowana będzie. Chcę tego chłopca dla mojej córki wychować. Jeszcze jedno, jak się nazywa?

— Edward — odparł Benedykt.

Zaledwie to imię wymówił, gdy w oddali usłyszano strzał. Kobieta zbladła.

Benedykt odezwał się półgłosem:

— Zapewne mąż pani poluje? Hola, Pepino, jak daleko stąd padł strzał?

— Sto do stu pięćdziesięciu kroków — odpowiedział Pepino z całą pewnością człowieka przygotowanego na takie pytanie.

— W którym kierunku?

— W tym miejscu, w którym niedawno zatrzymaliśmy się.

— Jak to?

— Od kwadransa słyszałem już turkot powozu, pędzącego spiesznie; teraz słyszałem strzał, po którym nastąpił cichy okrzyk kobiety. Powóz zatrzymał się zaraz.

Benedykt przypatrywał się kobiecie, która coraz bardziej bladła. Po chwili pokazał się gajowy z rękami w kieszeni, bezbronny zupełnie, z najniewinniejszym w świecie wyrazem twarzy.

— Dobry wieczór, przyjacielu! — powiedział Benedykt obojętnie — Proszę cię, daj nam co zjeść, bo naszym zamiarem jest przed świtem wyruszyć. Mówiłem już z twoją żoną i spodziewam się, że towarzyszowi twej małej córki udzielisz cokolwiek ojcowskiej miłości.

— A, małe dziecko? — odezwał się z cicha gajowy, zerknąwszy z ukosa na żonę — Bądź pan spokojny, mój kawalerze; daję panu słowo, jeżeli to chłopiec, to mu dam do zabawy resztki starego karabinu, posadzę go na ławkę jak na konia, by tak jeździć się uczył.

— Doskonale! To dziecko musi być tak wychowane, aby nie bało się trudności i na widok niebezpieczeństwa nie zadrzało.

— No, zanieś dzieci do bocznego dolnego pokoju na spoczynek i wracaj, by dla panów wieczerzę przyrządzić — mówił gajowy do swojej żony. — Będą się musieli kontentować ćwiartówką zwierzyny i jarzyną z mego ogrodu.

— Nie chcesz pan pożegnać się z dzieckiem, signor? — odezwała się kobieta do Benedykta, podsuwając mu twarzyczkę chłopczyka.

— Niech mu Bóg udzieli siły i męstwa, gdy będzie wychodził w świat! —

powiedział Benedykt odsuwając lekko ręką dziecko.

Kobieta nie naprzykrzała się już więcej i weszła do wnętrza chaty. Mąż zasunął drzwi i zawiesił lampę na haku umieszczonym pośrodku okna, jak gdyby chciał, by ją z daleka widziano. Potem usiadł przed oknem i oparł głowę na rękę. Z kwadrans nic nie przerywało milczenia. Benedykt stał o ścianę oparty, prawą rękę oparł o piersi; wpatrzył się w ziemię, zmarszczył czoło i zdawał się być zagłębiony w swoich myślach. Pepino, nasłuchując ciągle, zdradzał niecierpliwość pewną, nie mogąc się doczekać rezultatu tego, na co uważał. Wreszcie dały się słyszeć kroki na ścieżce; niebawem zapukano do drzwi i męski głos odezwał się:

— Otwórzcie, otwórzcie, dobrzy ludzie; nie straciecie na tym!

Przy tych słowach powstał gospodarz, by drzwi otworzyć, gdy Benedykt zastąpił mu drogę i cichym głosem odezwał się doń:

— Nie chcę być widziany.

— Nie ma strachu! — odpowiedział gajowy.

— Wszystko jedno!

— To chodź pan.

Benedykt i Pepino ruszyli za gajowym, który ich prowadził do ukrytej izby w chacie.

— Jesteście panowie tu tak ukryci, jak gdybyście byli o dziesięć mil stąd. Te drzwi prowadzą do izby, w której dzieci śpią; powyżej niej znajduje się mała izdebka próżna. Możecie więc panowie spokojnymi być — mówił gajowy wskazując na drzwi przed sobą.

Benedykt i Pepino weszli, zaś gajowy zawrócił do sieni, odsuwając zasuwę od drzwi.

— A, mój dobry człowieku — mówił jakiś obcy szybko — czy mógłbyś memu panu przyjść z pomocą? Wóz pocztowy musiał się zatrzymać z powodu jednego konia.

— Więc koń nieżywy?

— Naprawdę, nie mogłeś pan lepiej odgadnąć. Istotnie zabity od kuli jakiegoś dobrego strzelca, lepiej strzał nie mógł być wymierzony. Byłbym przysiągł, że nie ma w tej okolicy niegodziwych ludzi.

— Eh, to wszystko bajki i gadanie. Kula nie mogła być mierzona w konia.

— A to prawda. Może należała się woźnicy! Niech diabli biorą taką uwagę! Nie ma czasu o tym rozprawiać, gdy mój pan musi tu noc spędzić, póki innego konia nie znajdziemy.

— Kto to jest ten pan?

— Diabło jesteś ciekawy! Mój pan jest bogatym Francuzem, który niejaki czas bawił w Wenecji, a teraz udaje się z Mantui do Florencji.

— Ach! W takim wypadku jestem na jego rozkazy.

—Dobrze, biegnę o tym zawiadomić Ekscelencję, tymczasem staraj się go pan jak najlepiej przyjąć.

Służący pobiegł ku drodze. Gajowy zaśmiał się ironicznie i mruknął:

— Licha chata, to prawda. A iluż to książąt i Ekscelencji ze łzami w oczach dopraszało się schronienia pod tym dachem. W każdym razie lepiej jest konia ubić, jak woźnicy ramię przestrzelić. W Italii nie ma w zwyczaju wieszać ludzi za zastrzelenie konia.

Tymczasem Benedykta i Pepina paliła ciekawość dowiedzenia się co zaszło. Pepino wyszedł na zwiady. Benedykt przypatrywał się z całą uwagą miejscu, w którym się znajdował.

Gdy Pepino wrócił położył palec na ustach i odezwał się półgłosem:

— Cicho! Właśnie przybyło dwóch podróżnych, chcą tu noc spędzić. Uważam, że mieszkaniec tej chaty zabija konie z chęci zysku. To sposób zarobkowania nie wiele gorszy od innych, jakie znam.

— Kim mogą być ci podróżni?

— Naprawdę nie wiem. Co to nas zresztą obchodzić może?

— Na wszelki wypadek muszę pozostać, aby czuwać nad dzieckiem, podróżni są zwykle ciekawi... i nie jestem twojego zdania, jakiś niepokój czuję z

powodu tych podróży. Pepino, wyruszysz do Florencji!

— Co u licha mówisz? Wyruszać... ja?

— Tak musi być, dam ci instrukcję.

— Brr, nie opuszczę cię w tej chwili... brr.. bo podróżni mają dwu służących ze sobą, a dwu ludzi więcej może przeciw czterem lub pięciu, niż jeden przeciw trzem.

Benedykt nic na to nie odpowiedział, przytknął tylko ucho do ściany, by nasłuchiwać. Po dłuższej przerwie usłyszał kroki na podłodze nad sobą i zdawało mu się, że przygotowują łóżko. Potem słyszał jak zamykano zewnętrzne drzwi chaty i nastąpiło ogólne milczenie. Niebawem usłyszał głos żony gajowego i jakiś inny głos, jakby mu znany, lecz nie mógł sobie przypomnieć.

— Jak już mówiłam Ekscelencji, nie ma tu nikogo.

— Jednak łatwo można poznać, że pokój musi być pod tym, który my zajmujemy i widzę, że w tym pokoju państwo nie sypiacie. Dlaczego nie możecie nim rozporządzać?

— Pan jesteś w błędzie, to izba, w której moje bliźniaki śpią, a obok jest komórka, w której mieszczą się narzędzia gospodarskie.

— Czekaj pani... mówisz o bliźniakach, a przed chwilą mówił mi mąż pani, że ma tylko córkę.

— To mnie nie dziwi, mój mąż zawsze takie głupstwa gada. Prawdą jednak jest, że malec jest tak słabowity, że mało mamy nadziei utrzymania go przy życiu.

— Ile lat mają dziatki?

— Niebawem trzy lata będzie.

— Kochane niewinne dzieciątka!... Pani nie wiesz, jak bardzo dzieci kocham... Chciałbym je widzieć.

Przy tych słowach zadrżał Benedykt, a Pepino poruszył się.

— Działki śpią już, Ekscelencjo.

— To nie szkodzi, popatrzę na nie, nie budząc ich.

— Jesteś pan ojcem? — pytała gospodyni.

— Ja?... Tak! — odpowiedział podróżny i westchnął ciężko.

— Jakże smutnym głosem powiedziałeś pan o tym!

— To dlatego, że często słowo „ojciec” robi wrażenie, jak gdyby nam kto rozpalonym żelazem przez usta przesunął.

— Boże!... A to dlaczego?

— Bo Bóg tak chce! — odpowiedział podróżny usiłując rozmowę przerwać. Po chwili dodał: — Więc pokaż mi pani swoje bliźnięta! Poznają pani szczęście, kiedy na nie spoglądasz, gdy je całujesz i mówisz: Patrzcie, jakie ładne... To moje dzieci... Nieprawda, dobra pani?

— To taka prawda jak niepokalane poczęcie.

— Więc chodźmy.

— Ale cicho! Musisz pan wiedzieć, że gdy się rozbudzą, to są tak niezdolne, nie dałyby nam spać całą noc.

— Jesteś pani męcząca! Ileż to razy w nocy przychodziłem do kołyski mego syna nie zbudziwszy go. Chcę wasze bliźnięta uposażyć.

Na te słowa zamilkła kobieta i nie opierała się już dłużej. Zaraz otworzyła drzwi do izdebki, gdzie dzieci spały.

Teraz spodziewał się Benedykt przez szczeliny ściany zobaczyć mężczyznę. Pepino także począł się niepokoić; powstał, najmniejszego szelestu nie sprawiwszy i przystąpił do Benedykta. Za ledwie podróżny wszedł do izby, a światło małej lampy oświeciło jego twarz, gdy Benedykt skurczył się jak tygrys. Przesunął prędko ręką po czole i zacisnął zęby, jakby tym chciał przeszkodzić, by nie zgrzytnęły. Mimowolnie ręka jego chwyciła za pistolet.

— Oto są dzieci, Ekscelencjo — wymówiła gospodyni odsłaniając nakrycie w ten sposób, by podróżny nie mógł ich wyraźnie oglądać.

Hrabia Monte-Christo zbliżył się do kołyski. Benedykt wyjął pistolet zza pasa, naciągnął kurek i wymierzył lufę tak, że przez szczelinę skierowana była

ku hrabiemu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał cicho Pepino.

— Zobaczyłem hrabiego Monte-Christo i przysięgam ci, że w momencie poznania syna nie będzie miał czasu wymówić jego imienia.

— Ależ to byłby mord.

— Cicho Pepino, albośmy zgubieni.

— Czekaj, gospodyni znowu okryła dzieci.

— Widzę i widzę też, że hrabia znowu do kołyski się zbliża.

Gospodyni zapytała hrabiego:

— Czy całą noc chcesz, Wasza Ekscelencjo, tu spędzić?

— Dobrze. Widziałem dzieci pani, a raczej nie widziałem.

— Dlaczego?

— Dziecię od ściany, czy to chłopczyk czy dziewczynka?

— To chłopczyk.

— Jego twarzyczka skryła się na łonie siostrzyczki, nie mogę teraz widzieć.

Dziewczynka prześliczna.

— Biedne aniołki! Daj im Boże, by szczęśliwe były.

— Jak się pani zapatrujesz na ich szczęście?

— Aby żyć mieli z czego bez troski.

— Szczęście daje praca, proś Boga, by im w pracy błogosławił... Jak się nazywają dziatki?

— Maleńka Eugenia, chłopczyk Edward.

Hrabia na to ostatnie imię aż się zatrząsł. Jeszcze raz spojrzął na kołyskę i wyszedł z izdebki prowadzony przez gospodynię.

Niebawem potem słyszał Benedykt słowa wymawiane przez gospodynię.

— Ach panie, jesteś zbyt łaskaw, gdy moje dzieci podrosną, nauczę je błogosławić imię pańskie. Kim jesteś?

— Nie potrzeba, by o tym wiedziały. Racz tylko modlić się do Boga o szczęście Edwarda.

Po tych słowach udał się hrabia do swojej sypialni.

XLIX

Pożar

Jeszcze słońce nie wzeszło, gdy powóz hrabiego Monte-Christo, po sprowadzeniu konia z najbliższej stacji, gotów był do odjazdu. Hrabia i Haydee pożegnali się z gospodarstwem i szli ścieżką w kierunku gościńca. Im bardziej hrabia oddalał się od ubogiej chaty gajowego, tym przykrzej mu było. Oglądał się mimo woli, jakaś siła przyciągała go do tego miejsca. Im dalej odchodził od chaty, tym mocniej czuł osobliwy nacisk na serce, dech mu zapierało. Haydee, idąc obok męża, wsparta na jego ramieniu, podzielała to samo wzruszenie, z jej oczu mimowolnie spłynęły łzy. Oboje zdawali się zwlekać z odjazdem. Haydee spoglądała na chmurne oblicze swego męża, gdy zwracali się ku chatce, w której spędzili noc. Nie minęło pięć minut, gdy doszli do powozu. Haydee weszła pierwsza i jeszcze raz zwróciła się ku chatce, hrabia, wstępując za nią, uczynił to samo.

Lokaj zamknął drzwi powozu i zawołał na woźnicę:

— Naprzód!

Powóz ruszył szybko, lecz w miejscu gdzie gościńiec skręcał ponad dolinę hrabia zawołał:

— Stać!

— Dlaczego kazałeś się zatrzymać? — zapytała Haydee hrabiego, który był silnie wzruszony.

— Patrz — odezwał się hrabia — oto tam na krańcu dolinki widać ubogą chatkę, w której spędziliśmy noc.

— Tak... widzę.

Wschodzące słońce rzuciło właśnie na całą okolicę swe promienie i

rozjaśniło zarazem dach chaty, którą otaczał jakiś niebieskawy obłok, niby delikatna osłona.

Hrabia i Haydee oglądali kilka chwil to miejsce, ogarnęła ich niewypowiedziana tęsknota. Hrabia odezwał się:

— Haydee, jak sądzisz, czy mieszkańcy tej chaty są bardzo szczęśliwi?

— Niezawodnie, bardzo szczęśliwi.

Hrabia nieporuszenie patrzył na tę chatkę. Nagle spostrzegł, że ze środka chaty dobywają się ciemne masy dymu. Nie mógł się jeszcze zorientować, co to znaczy, gdy oto ujrzał, że dach chaty zapada się.

— Ogień, ogień, pali się tam! — krzyczała służba.

— Ach, spieszmy nieszczęśliwym na pomoc! — zawołała. Haydee.

— To daremne! Chata runęła, mieszkańcy, zdaje się, uszli z życiem. Nic więcej im nie pomożemy.

— O nie, mój drogi — odezwała się Haydee — spieszmy ich wesprzeć.

Hrabia rozkazał zawrócić powóz. W chwili gdy powóz zawracał, dwu jeźdźców cwałem przebiegło obok nich.

— Boże! — zawołała Haydee.

Hrabia starał się jeźdźców rozpoznać, lecz kurz jaki ich otaczał i szybki bieg nie pozwoliły mu przypatrzeć się im. Niebawem powóz zatrzymał się przy ścieżce. Hrabia i Haydee podążyli na miejsce pogorzeliska.

Stos zgliszczy wznosił się na miejscu chaty. Żona gajowego głośno żaliła się na doznaną stratę. Haydee doszła do miejsca pogorzeliska i odezwała się do zrozpaczonej żony gajowego:

— Uspokój się pani, nie rozpaczaj, miłosierdzie Boga jest bez granic, przychodzimy z pomocą.

— Idź precz, nikczemna. Ty jesteś tą, która naszą chatę podpaliła — odpowiedziała żona gajowego grożąc pięścią.

— Mój Boże, cóż pani mówisz?

— Prawdę... a dziwny człowiek, który cię prowadzi, wie najlepiej, że mówię

prawdę!

— Oszalała! — szepnęła Haydee z goryczą do swego męża.

Hrabia rozglądał się, chcąc znaleźć odstręczającą postać gajowego. Ów stał opodal, oparłszy lewą rękę o pień drzewa, a w prawej trzymając strzelbę.

Tymczasem jego żona wołała:

— Nie jestem szalona!... Nie jestem szalona! Ty, pani, raczej nią jesteś, skoro nie dość ci wyrządzonego nieszczęścia; jeszcze masz tę odwagę, by powrócić i oglądać własne dzieło

zniszczenia!... Wasi współnicy wystarczająco głośno mówili, bym ich usłyszała! Wiem wszystko! — odpowiedziała żona gajowego, w złości aż tupiąc nogami.

— Moja dobra pani! — odpowiedział Monte-Christo z powagą — Rozpacz pani jest wielka!... Uspokój się i racz nam objaśnić, co tu zaszło.

— Spójrz pan dokoła i popatrz na to stworzenie niewinne, co tam stoi bez chleba — odparł gajowy dziko, spoglądając na miejsce zniszczenia i na dziecko, które pod krzakiem na mchu leżało. — Ile tym razem pańscy współwinni panu dali? — dodał po chwili.

— Co pan mówisz? — zapytał hrabia Monte-Christo z naciskiem. — O jakich współnikach pan mówisz? Czy pan wiesz, z kim rozmawiasz?

— O wiem!... Powiem panu! — odpowiedział gajowy wyprostowując się.

— Chodźmy stąd! — zawołała Haydee, pociągając męża za sobą.

— Uspokój się, Haydee — odpowiedział łagodnie Monte-Christo. — Chcę posłuchać, co powie ten człowiek... Mów pan!

— Na to nie potrzebuję pańskiego zezwolenia; jeżeli mówię, to z własnej woli, bo mi się tak podoba i tak chcę, abyś pan wiedział... Moim zamiarem zrazu było dopędzić pana i palnąć panu w łeb, tak jak to wczoraj uczyniłem, palnąwszy koniowi w piersi... Jeżeli tego nie zrobiłem teraz, to czynię to wbrew mojej woli i dlatego, że masz z sobą swoich ludzi... Ale dzień zemsty przyjdzie... Tymczasem powiem, kto pan jesteś... Jesteś podły oszust, łotr, stokroć gorszy ode mnie! Bo cóż ja robię? Oczekuję na przejeżdżające powozy z

podróżnymi i ubijam jednego konia; w ten sposób przeszkadzam w jeździe na kilka godzin. Potem czekam w mojej chacie, by podróżni przyszli i by noc u mnie spędzili, za co płacą mi po kilka piastrów... A pan? Jedziesz w przepysznym powozie i wysyłasz dwu ludzi przed sobą, którzy mają ze sobą dziecko; ludzie ci pukają do drzwi wskazanego domu i proszą, by nieszczęśliwe stworzonko przyjęto. Po chwili przychodzisz pan do tego samego domu i prosisz o schronienie, okazujesz się wspaniałomyślny, dajesz sute wyposażenie dla dziecka i po pewnym czasie odjeżdżasz. Potem pańscy ludzie, mając przez pana wskazane miejsce gdzie pieniądze mogą być schowane, zabierają je i zabierają z sobą dziecko, a dom podpalają, umykając na rączych koniach w inne naznaczone miejsce, aby tam taki sam czyn popełnić!... Jak widzisz, nie jestem szalony, mój fałszywy szlachcicu.

Hrabia ani brwią nie poruszył, słuchając niezwyklej mowy. Wyczekał spokojnie, aż gajowy zamilknie, po czym odrzekł:

— Wybornie, mój panie!... Tylko czas może mnie przed tym niesprawiedliwym oskarżeniem ochronić. Tymczasem pozwól mi udzielić ci środków na odbudowanie twego domostwa i na chleb dla twego dziecka.

Przy tych słowach hrabia podał kiesę napelnioną złotem gajowemu, ten jednak usta zaciął z wyrazem największego lekceważenia i odpowiedział:

— Dziękuję za taką wspaniałomyślność! Znam pieniądź, którym mnie obdarzasz.

Zaś żona gajowego dodała.

— To fałszywy pieniądź... Tak, to fałszywy pieniądź!... Słyszałam to z ust pańskich współników, gdy ze sobą rozmawiali.

Po czym gajowy jeszcze zuchwalej przemówił:

— Zatrzymaj swoje pieniądze, mój szlachcicu! Zabierz sobie swój grosz i ruszaj gdzieś w inne strony, gdzie mniej znany jesteś niż tu.

— Mój dobry człowieku — odparł spokojnie hrabia. — Widocznie jesteś ofiarą jakiegoś oszustwa!... Jestem hrabią Monte-Christo.

Na te słowa gajowy jeszcze gwałtowniej zawołał:

— Precz stąd oszuście!... Wracaj skąd przybyłeś i drwij z nieszczęścia, jakie sprawiłeś!

Haydee, przerażona tym wystąpieniem, chwyciła rękę hrabiego i pociągając go za sobą szepnęła:

— Chodźmy!... Nieszczęście doprowadziło tych ludzi do szaleństwa!... Sami nie wiedzą, co mówią... Chodźmy!

— Nie, moja droga, nie mogę... Muszę odkryć, kto jest powodem tego niegodziwego oszustwa!... Na miłość Boga, mów pan, dobry człowieku; przebaczam ci wszystkie złorzeczenia, jakimi mnie obrzuciłeś, lecz zaklinam cię, powiedz mi, co to za ludzie byli, których przyjąłeś pod twój dach?

Z całą wściekłością, raczej krzycząc niż mówiąc, odciągnąwszy kurek przy strzelbie, gajowy zawołał:

— Chcesz mi głowę zawrócić!... Ruszaj! Słyszysz?! Ruszaj niegodziwcze!... Inaczej kulę wpakuję w twoje cielsko!... Słyszysz?! Uwolnij mnie od twojej obecności!...

Haydee, zasłaniając sobą męża, zawołała:

— Litości!

Monte-Christo, westchnąwszy głęboko, półgłosem już odezwał się:

— O mój Boże! Czyż już nie będę w stanie odkryć początku tej strasznej, tajemniczej intrygi?

Hrabia wahał się jeszcze, co czynić. Lecz widoczne już było, że nie będzie teraz możliwe udowodnić, iż jest niewinny zaistniałego nieszczęścia; a tym bardziej dowiedzieć się czegokolwiek o ludziach, którzy tu przybyli i umknęli z dzieckiem.

Hrabia Monte-Christo musiał pogodzić się z wolą Boga i ustąpił wracając do powozu. Haydee, drżąc cała, śledziła każdy ruch gajowego, który ciągle jeszcze trzymał w ręku strzelbę z odciągniętym kurkiem.

Monte-Christo i Haydee ruszyli w drogę. Monte-Christo, zobaczywszy

zatrwożoną twarz Haydee, wzniosł oczy ku niebu, błagając pomocy i ochrony Boga. Widocznie miał przeczucie tego, co nastąpi. Przy zakręcie doliny padł strzał, kula przebiła ścianę powozu i przeleciała zaledwie jakieś dwa cale ponad głowami siedzących, przesywając przeciwną ścianę powozu.

— O Boże! — zawołała Haydee, tuląc się do męża — Jeżeli umrzeć to razem!

Przestraszone konie ruszyły z podwójną szybkością, jak gdyby pędziła je burza. Po chwili dał się słyszeć drugi strzał, który tym razem chybił celu.

L

Przygody

We Florencji Bertuccio wynajął w pobliżu Cachinos jedno z najprzyjemniejszych mieszkań. Potrzeba było tylko jeszcze zwykłej formalności. Bertuccio obliczył, że hrabia najdalej za trzy dni będzie we Florencji. Miał właśnie wydać rozporządzenia dla służby, gdy właściciel hotelu zjawił się przed Bertucciem i z niepokojem odezwał się:

— Pan wynajmąłeś to mieszkanie dla hrabiego Monte-Christo. Byłem skłonny oddać panu klucze, lecz zmienił się stan rzeczy. Po usłyszeniu niektórych wiadomości, jakie mi o hrabim Monte-Christo przekazano, za nic w świecie nie wynajmę mu mego domu.

Nadaremnie nalegał Bertuccio na wszelkie możliwe sposoby, właściciel domu był nieugięty i niewzruszony. Stanowczo odmówił przyjęcia do swego domu hrabiego Monte-Christo, który mógł być bardzo niebezpiecznym gościem. Gdy Bertuccio pytał, co przez to rozumie, właściciel mrugnął oczyma:

— Wiesz o tym lepiej ode mnie.

Bertuccio ruszył zirytowany do Corsini-Montfort, którzy także robili trudności i w końcu oświadczyli, że mogą hrabiego przyjąć tylko pod

warunkiem, że ten zapłaci znaczną sumę i podporządkuje się niektórym warunkom, które w interesie ogólnego bezpieczeństwa muszą być postawione.

Bertuccio nie wiedział, czy to mu się śni, czy na jawie dzieje. Gdy zaś czas nagle, zdecydował się żadaną sumę zapłacić i przedłożone warunki przyjąć.

Jednym z warunków było, że wszystkie światła muszą być zaopatrzone w siatkę drucianą, która ma zawierać szklaną bańkę, i że Jego Ekscelencja hrabia Monte-Christo nie może używać zapalek.

— I dlaczegoż to hrabia nie może mieć zapalek przy sobie? — zapytał Bertuccio.

— We Florencji rozpowszechniono wieść, że Jego Ekscelencja, pan hrabia Monte-Christo, ma zajęczki w głowie. Szaleństwo jego objawiło się tym, że pałac, jaki posiada na wyspie Monte-Christo sam podpalił. Mania Jego Ekscelencji polega na tym, aby budynki przez siebie zajmowane podpalać.

Nadaremnie silił się Bertuccio zbić twierdzenia Florentczyka. Dzień przed przybyciem hrabiego Bertuccio sam słyszał, jak ktoś opowiadał, że hrabia Monte-Christo po drodze do Florencji spędził noc w jakiejś chacie i podpalił ją w chwili odjazdu. Tymczasem hrabia przybył do Florencji. Niektórzy znajomi powitali go, lecz czynili to w sposób, jak gdyby okazać chcieli, jak im przykro jest oglądać hrabiego w stanie początkowego szaleństwa. Haydee była bardziej nieszczęściem przytłoczona, na jej miłej twarzy malowała się gorycz smutku. Ze względu na stan jej zdrowia nie mógł hrabia, jak tego pragnął, natychmiast wyruszać na wyspę Monte-Christo, lecz musiał o kilka dni przedłużyć pobyt we Florencji. Lekarze oświadczyli, że najmniejszy trud mógłby być dla niej bardzo szkodliwy. Hrabia noce całe spędzał u jej łoża.

Po upływie miesiąca Haydee poczuła się lepiej i hrabia zdecydował się ruszyć do Pizy, gdzie Haydee miała pozostać, podczas gdy on miał popłynąć na wyspę Monte-Christo.

Przygotowania poczyniono jak zwykle; Bertuccio wyjechał cztery dni wcześniej, opłaciwszy wszystkie rachunki hotelu Corsini. Hrabia w

naznaczonym dniu podał ramię swej żonie, wsiadł do powozu i udał się na wybrzeże, gdzie wsiadł do łodzi, która miała ich zawieźć do Pizy.

W godzinę później był już daleko od miasta. Nagle usłyszał dzwon trwogi od strony Florencji. Hrabia spojrział w tamtym kierunku i z niewypowiedzianym przerażeniem zobaczył wznoszące się ciemne kłęby dymu.

— Gdzie to się palić może, moi przyjaciele? — zapytał hrabia ludzi na łodzi.

— Przysięgłbym, że to się pali hotel Corsini — odpowiedział jeden z ludzi.

Haydee pełna trwogi spojrzała na hrabiego, którego pobladła okropnie twarz wyrażała najstraszniejszą rozpacz.

— Ach! — wyszeptała Haydee — Gdziekolwiek się ruszymy, pozostawiamy za sobą nieszczęście.

Bertuccio w Pizie natrafił na nieprzewyciężone trudności. Nie mógł znaleźć mieszkania dla swego pana i w końcu nie było innego wyjścia, jak kupić dom. Lecz formalności wymagały więcej czasu, niż Bertuccio się spodziewał i gdy hrabia wylądował w Pizie, nie miał żadnego schronienia, pomimo swojego olbrzymiego bogactwa.

Hrabia i Haydee stali w porcie, gdzie ich oczekiwał Bertuccio. Hrabia zapytał:

— Więc w Pizie nie ma dla mnie mieszkania, panie Bertuccio?

— Przysięgam panu hrabiemu, że wszystkiego próbowałem.

— Ofiarowałeś połowę?

— Potrójną i poczwórną cenę.

— Do licha, rozrzutny jesteś, panie Bertuccio, to źle! — odparł hrabia, rozglądając się dokoła.

— Cóż mój drogi, dokąd się udamy? — zapytała z niepokojem Haydee, zbliżywszy się do męża.

— Na to niech odpowie pan Bertuccio, bo tylko on wie. Znalazł mi dom, lecz powiedział... że zapomniał...

— Panie hrabio!

— Zatem, panie Bertuccio, postaraj się, by wszystko było w porządku. Życzę sobie, abys nas tu znów oczekiwał w ciągu godziny.

Po tych słowach hrabia podał ramię Haydee i oddalił się. Bertuccio wiedział, że, bądź co bądź, musi zadość uczynić woli hrabiego, lecz nie wiedział w jaki sposób. Wyruszył jednak do miasta i w jakieś trzy kwadranse wrócił zdyszany. Z jego twarzy można było poznać, że spełnił rozkaz, chociaż nie bez trudu. Hrabia i Haydee wkrótce przybyli. Bertuccio pospieszył umieścić ich w domu leżącym w pobliżu przystani, gdzie mu się udało wynająć trzy pokoje.

Hrabia miał zamiar jak najszybciej udać się na wyspę Monte-Christo i w tym celu najął już mały statek. Lecz niespodziewany wypadek zmusił go do wyjazdu zaraz na drugi dzień.

W środku nocy zerwał się hrabia Monte-Christo, obudzony niesłychaną wrzawą na ulicy tuż pod oknami jego mieszkania. Wstał, aby się przekonać o przyczynie tego zamieszania. W chwili, gdy drzwi otworzył, w całym domu rozległ się krzyk mieszkańców:

— Gore!... Gore!

Zimny pot okrył czoło Edmunda Dantes. Podbiegł do łóżka Haydee, obudził ją i zawołał:

— Prędko... ubieraj się... musimy uciekać!...

Pokój zapełniał się już mnóstwem ludzi, wszyscy mieli siekiery i topory. Podłoga zdawała się otwierać, by blade i zdyszone postacie mogły się przedostać. Drzwi padały pod ciosem siekier, wyrąbywano podłogę... Wszyscy biegali bez celu i porządku w dzikim ścisku... W jednym z pokoiów zajmowanych przez hrabiego Monte-Christo padły drzwi pod ciosem toporów, gdy nagle spod podłogi buchnął silny płomień, ogarnął cały pokój, potem sąsiednie, pękały okna... płomienie wkradały się na dach. W pierwszej chwili nikomu przez myśl nie przeszło dowiadywać się o hrabiego, nikt nie wymieniał jego nazwiska. Hrabia sam chwycił na ramiona Haydee i pośród dymu i ognia zbiegł po schodach. Wydostawszy się na ulicę, przecisnął się przez tłum,

wydostał się poza ciżbę i tam złożył omdlałą Haydee. Poznał, że ta sama ręka, co go w ten sposób ścigała w drodze do Florencji, ta sama ręka, co wznieciła pożar w hotelu Corsini po jego odjeździe, ta sama ręka niezawodnie dopuściła się i tu podpalenia. Pełen żalości i oburzenia, odezwał się Monte-Christo:

— Człowieku, czy demonie... ktokolwiek jesteś, pokaż się... mów, czego ode mnie żadasz!.. Na Boga... czy szatana, na wszystko, co ci może być święte czy przeklęte... wzywam cię... pokaż się... mów!

— W grocie Monte-Christo! — odpowiedział jakiś przenikliwy i odrażający głos.

Usłyszawszy ten głos hrabia Monte-Christo zadrzał.

LI

Ludzka próżność

Edmund Dantes wyruszył na wyspę Monte-Christo. Haydee towarzyszyła mu, lecz na ląd miał wyjść sam i sam udać się do groty. Po nocy spędzonej na morzu mała barka wylądowała szczęśliwie przy wyspie Monte-Christo. Ciemne i majestatyczne skały tej wyspy, które niegdyś tak urocze wrażenie czyniły na hrabim, teraz nie nęciły ku sobie, raczej odstręczały. Na widok tych skał opanowało hrabiego ciężkie przygnębienie. Wyspa wydawała mu się pusta jak nigdy; jej porozcinane skały wyglądały dziko...

Zaledwie z barki spuszczone łódź, hrabia z niepokojem oczekiwał chwili wylądowania. Nim to mogło nastąpić śledził z uwagą, czy pośród wyspy nie dojrzy jakiejś ludzkiej postaci.. Lecz nie dostrzegł nikogo; tylko tu i ówdzie kozica przemknęła po szczytach skał, znikając za najmniejszym powiewem wiatru. Zerwał się lekki wietrzyk wieczorny, układający fale morza w zwierciadło dla ukazującego się księżyca.

Wyspa nie była jednak tak pusta, jak się hrabiemu zdawało. Pomimo

wspaniałego blasku księżycyca pozapalano tu i ówdzie ognie. Najsilniejszy z nich zdawał się być rozniecony na ustronnym szczycie skał. Inne znajdowały się na różnych, mniej wzniosłych, punktach wybrzeża. Ogni takich paliło się siedem. Hrabia badał dokładnie ich położenie i poznał, że tak były porozpalane, by prowadzić go do miejsca gdzie wykupić miał syna. Uzbrojony tylko w dwa dobre angielskie pistolety, sam jeden ruszył drogą pomiędzy skałami, kierując się światłami ognisk.

Ostatni ogień okopcał portal groty i zapełniał podziemną salę dymem. Hrabia zatrzymał się zauważywszy zniszczenie tego portalu, który był zbudowany pod jego okiem w stylu weneckim. Wnętrze groty było słabo oświetlone; zszedł po schodach na dół; na schodach porastał mech. Zdziwienie hrabiego Monte-Christo zwiększyło się, gdy zobaczył wnętrze podziemnego pałacu. Ściany były nagie, sufit szerniały od dymu; na podłodze leżały kawałki niedopalonego drzewa zmieszane z popiołem i gałęziami zarośli. Trzy piękne statuy trzech głośnych kurtyzan: Messaliny, Kleopatry i Fryne, okopcone dymem, zdawały się urągać temu zniszczeniu.

Ze wszystkiego, co się niegdyś w tej grocie mieściło pięknego i wspaniałego, pozostały te trzy statuy, jak gdyby chciały udowodnić, że każdy człowiek płonie namiętnościami, których sam w sobie ugasić nie jest w stanie.

Hrabia uczuł po raz pierwszy w życiu, że popełnił fałszywy krok. Przeciągnął ręką po czole, jakby chciał odgonić przykrą wizję. Potem rozejrzał się dokoła, chcąc się przekonać, czy jest sam. Nagle krzyknął, gdy dostrzegł na głównej ścianie czarnymi literami napisane słowa:

„Dajcie ubogim, co ubogim należy. Martwa ręka podniosła się przeciw Edmundowi Dantes, fałszywemu przyjacielowi, niegodziwemu oblubieńcowi, nielitościwemu dzieciobójcy!”

Kilka minut stał Monte-Christo osłupiały z przerażenia, z oczami

wlepionymi w wypisane słowa. Duch Edmunda Dantes nie mógł w tej chwili poddać się rozważnej, zimnej kontemplacji. Aby człowiek mógł sam siebie osądzić, musi uspokoić się wszelka namiętność uczucia i wszelka myśl skierowana przeciw jego nieprzyjaciołom musi wygasnąć.

Nie w takim nastroju znajdował się w tej chwili Edmund Dantes.

W rozdrażnieniu zawołał:

— O mój Boże!... Jakie niegodziwe urojenia!... Dlaczego jestem niegodziwym oblubieńcem?... Fałszywym przyjacielem?... dzie...

— Wymów, jeśli zdołasz! — odezwał się przenikliwy głos z wnętrza groty.

Hrabia mimowolnie sięgnął po pistolet, lecz zaraz się opamiętał, starał się uspokoić i założył ręce na piersi.

Przed nim stał Benedykt w neapolitańskim płaszczu, twarz miał okrytą czarną jedwabną maską. Hrabia zapytał z dumą:

— Kto jesteś?

— To mało ważne — odparł Benedykt.

— Jak widzisz, mam twarz odkrytą i pewny jestem, że pan ze mną nie myślisz już wyprawiać karnawałowych dowcipów. Niech się jednak dzieje wedle pańskiej woli. To, co panu mam powiedzieć, jest bardzo proste, bo znam dostatecznie zwyczaje ludzi pańskiej profesji w całych Włoszech. Ile pan żądasz za wydanie dziecka?

— Nic, panie hrabio Monte-Christo.

— Jak to?... Czy chcesz może, bym uwierzył w nadzwyczajną wspaniałomyślność z pańskiej strony? — zapytał hrabia szyderczo.

— Nie, mój panie, pan nie mógłbyś dać wiary takiemu czynowi, bo sam nigdy nie byłeś wspaniałomyślny. Nie wierzymy w te cnoty, których sami nie posiadamy. Chcę pana przekonać, że się łudzisz, jeżeli sądzisz, że jesteś w stanie wykupić twego syna.

— Mimo to, żądaj pan, co tylko chcesz — odparł hrabia z pogardą.

— Jesteś więc Bogiem, który mi wszystko dać może?

— Nie, lecz ten Bóg uczynił mnie najpotężniejszym z ludzi, bym innych ludzi mógł sądzić i karać.

— Dobrze! W takim razie żądam.

— Mów pan!

— Dziewięćset milionów!

— Ta suma przechodzi moje możliwości. Powiedziałem panu, że Bóg dał mi moc, by ludzi sądzić, a nie, bym kupował narody.

— Jednym słowem oświadczasz pan, że jesteś ubogi, mimo iż Bóg cię wszechmocnym uczynił!... Dość już iluzji, Edmundzie Dantes, wezwany przez Boga, by sądzić ludzi i karać. Wymień mi chociaż jeden dzień, w którym nie byłeś porwany namiętnościami, opanowującymi i oślepiającymi cię: kiedy nie wyrokowałeś fałszywie? Złoty klucz, włożony w twoje ręce przez Boga, źle został użyty. Miecza sprawiedliwości, jaki ci udzielił, twoje drżące ręce nie umiały unieść. Bóg poniża cię teraz. Ukorz dumne czoło przed nieomylnym wyrokiem Opatrzności.

Edmund poznał, że nie ma do czynienia ze zwykłym bandytą. Zapytał więc:

— Powiedz mi, jesteś tym samym człowiekiem z pałacu Gradenigo w Wenecji?

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć — odparł Benedykt.

— Pytam cię, czy jesteś tym samym człowiekiem, który mnie prześladował od chwili mego powrotu do Europy? Czy jesteś porywaczem mego syna? Podpalaczem piętnującym moją podróż z Mantui do Pizy przestraczem? Czy jesteś kapitanem okrętu „Burza”? Mów, na miłość Boga, kto jesteś, czego żądasz ode mnie?

— Chcę ci wytłumaczyć słowa wypisane na ścianie — odrzekł Benedykt, wskazując palcem napis.

— O mój synu! — wyszeptał hrabia.

— Edmundzie Dantes! Pewnego dnia, wylądowawszy w Marsylii, zobaczyłem u moich stóp kobietę, na której wybladłym obliczu malował się

wyraz głodu i rozpacz. Kobieta ta wzniosła ku mnie ręce wołając: „Ja! mużny, na miłość Boga”! Nieszczęśliwa była żoną człowieka kochającego ją, należącego do wyższych oficerów armii francuskiej. Z tego małżeństwa urodził się syn, mieszkający daleko od niej!... Ta kobieta była szczęśliwa ze swoim synem i ze swoim mężem, ale przygotowałaś dla niej nieszczęście, i niebawem ono się spełniło. Przypominasz sobie Mercedes? Przypominasz sobie dawną narzeczoną, Edmundzie Dantes? Ona została wdową pozbawioną syna, ten bowiem udał się do Afryki, by swoje imię zmyć z hańby, jaka dotknęła jego ojca. Kobieta ta cierpiała tyle, ile tylko kobieta wycierpieć może. U końca jej długich cierpień stała się pastwą głodu i nędzy, które twoje złowrogie dzieło uwieńczy... Tak byłeś okrutny w miłości Edmundzie Dantes!... Rozważ, gdzie cię złudzenia prowadziły... Każdy inny człowiek byłby wybaczył, by kobieta, którą jeszcze kochał, mogła żyć szczęśliwie, każdy inny byłby wspaniałomyślny, spełniłby słowo Boże: „Przebacz twoim nieprzyjaciołom, jeżeli chcesz, by ci niebo przebaczyło!” Edmundzie Dantes, mogę cię zapewnić, że żona generała Morcerf kochała cię jeszcze wówczas, gdy na piersiach męża oparła swoją głowę. Za tobą ronila łzy, gdy ją strojono w ślubny wianek. Ona oczy wypłakiwała za tobą, długie lata czekała, nie wracałeś, sądziła, żeś umarł! Uważała więc, że jest wolna i dlatego do innego mogła należeć. Byłeś próżny, głupi i niegodziwy. Chcesz teraz wiedzieć, dlaczego cię oskarżam o fałszywą przyjaźń? Przypominasz sobie Alberta Morcerf? Pamiętasz czas, kiedy to przywiązałeś go do siebie, kiedy oczarowałeś go jak zmija swoją ofiarę? Pamiętasz, że przemyślałeś nad zgubą jego ojca w chwili, gdy on przyciskał dłoń zdrajcy do swojej piersi, dłoń, która mu miała zadać śmiertelny cios? Przypominasz sobie ów wieczór w teatrze, gdy nieszczęśliwy domagał się oświadczenia od ciebie? A coś mu odpowiedział? Nie jesteś zdrajcą?... Edmundzie Dantes, jaka to była twoja religia, twój Bóg, twoja wiara? Jaki dogmat sprawiedliwości wypełniałeś, jakie to prawa mogą być, boskie czy ludzkie, które by cię uwolniły od popełnionych zbrodni?

— Podły! — zawołał hrabia pełen gniewu — Kto jesteś, że się tak do mnie odzywasz? Kto jesteś, że mnie oskarżasz i potępiasz, jakbyś był Bogiem?

— Jestem posłannikiem Bożym, by tu na ziemi wykonać na tobie sprawiedliwość. Jestem ten, któremu Bóg udzielił teraz swego miecza. Miecza, który tobie powierzył, a którym ty wzgardziłeś, chwyciwszy za sztylet i truciznę mordercy! Słuchaj mnie więc, bo jeszcze nie wszystko powiedziałem. Chcę ci wyjaśnić, dlaczego cię oskarżam, jako nielitościwego kata i niegodziwego dzieciobójcę! Przypomnij sobie pana Villeforta, małego Edwarda... przypomnij sobie jego matkę!...

— Tak — przerwał hrabia — wszystkich poświęciłem cieniom mego ojca, który przez zdradę Villeforta umarł z głodu i nędzy! Ojciec mój zmarł z głodu i nędzy, o kilka kroków od więzienia, w którym mnie królewski prokurator niesłusznie zamknął, jak się zamyka trupa do grobu!... Znasz ty wszystkie te męki, albo czy możesz je sobie wyobrazić... gdy się widzi ojca umierającego z głodu, nie będąc w stanie mu pomóc?...

— Doznałem gorszych jeszcze męczarni! Widziałem mego ojca doprowadzonego do najokropniejszego szaleństwa i widziałem go u mego boku cierpiącego, kiedy już postradał całą swoją rodzinę, doznając grozy patrzenia na okropne konanie każdego!

— Boże, któż jesteś?

— O to mniejsza; jestem twoim sędzią, będę twoim katem! Słuchaj mnie więc i drżij, bo słuchasz wyroku na siebie.

— Czy jesteś innym człowiekiem niż ja, że możesz mnie potępić? Czy jest wolny od wszelkich żądz, że możesz ze spokojem mnie sądzić?

— Tak jest — odpowiedział Benedykt. — Byłem mordercą, ateistą, pokutowałem; stałem się sprawiedliwy, uwierzyłem w Boga.

— Jakże możesz w to wierzyć, skąd wiesz, że ci Bóg wybaczył?

— Opowiem ci to... Pośród najokropniejszej burzy na morzu, która moim statkiem miotła, klęcząc, wymówiłem następujące słowa: Boże, stwórczo

świata, Jezusie, synu Boży, święty męczenniku ukrzyżowany za mnie i za wszystkich ludzi, wierzę w ciebie i w twoją sprawiedliwość. Widzisz mnie tu mocno wierzącego w ciebie, niezmordowanie poszukującego Edmunda Dantes, któremu wszystko, co tylko kocha, jedno po drugim zabiorę, zrabuję! Jeżeli mi tego nie wybaczysz, jeśli mnie za to potępisz, to spraw, bym pośród tej burzy rozhukanych żywiołów zginął na zawsze!... Po tych słowach wskoczyłem do małej łodzi i niosły mnie fale. Następnego dnia uwierzyłem zupełnie w bezwzględną sprawiedliwość moich czynów, a gdziekolwiek byłem, słyszałem okrzyk potępiający cię. Na morzu krzyk żalu Alberta Morcerf, którego uratowałem z toni morskiej. Na łodzi słyszałem głos rozpaczliwej nieszczęśliwej Mercedes. Uznaj więc, że cię niebo opuściło, uznaj tę prawdę. Gdy byłem w twoim pałacu w Wenecji, nie poznałeś we mnie zamaskowanego z pałacu Gradenigo. Nie sprzeciwiłeś się wskazówce, jaką dałem, by twego syna przynieść na ucztę ubogich. Później, w chacie gajowego, stałeś przy kołysce, w której dwoje dzieci spało i nie mogłeś w jednym z nich poznać własnego syna.

— Ha! — odezwał się boleśnie Monte-Christo.

— Uznaj więc, że cię niebo potępia i bądź przekonany, że chwile, w których sądziłeś, że jesteś wielki i natchniony, nie były niczym innym, jak tylko chwilową ułudą głupiej ludzkiej próżności... Nielitościwy kacie, nigdy nie umiałeś przebaczać!... Powaliłeś winnych z niewinnymi. Więc teraz niech strata twego syna odpowie za krew niewinną Edwarda Villeforta!

— A czyż ja byłem tym, który to dziecię zamordował? — odezwał się hrabia Monte-Christo.

— Tak jest. Wszystkie zbrodnie pani Villefort ciążą na tobie!

— Dlaczego? Któż to wie? Mów! — odezwał się ponownie Monte-Christo.

— Wyjaśnić ci tego nie umiem, bo między Bogiem a tobą istnieje tajemnica, której rozwikłać nie potrafię, jeżeli jednak mówię nieprawdę, jeżeli zbrodnie tej kobiety nie ciążą na twoim sumieniu, to potęp mnie w obliczu Boga, który nas słucha.

Hrabia opuścił głowę na piersi i nic nie odpowiedział. Po chwili milczenia Benedykt odezwał się ponownie:

— Widzę, że uznajesz swój błąd i uznasz sprawiedliwość Boga! Olbrzymie bogactwa, jakie Bóg w twoje ręce oddał, powinienesz był rozdać pomiędzy ubogich, nie zaś otoczyć się zbytkiem, który wobec nędzy i ubóstwa roztaczałeś przed całą Europą. Rozglądnij się, a spostrzeżesz, że wszystkie skarby jakie się tu znajdowały, moja ręka rozdzieliła już pomiędzy ubogich, zaś z tymi bogactwami, które jeszcze posiadasz, stanie się to samo.

— Niech i tak będzie, oddam ci moje bogactwa, lecz oddaj mi mego syna — odezwał się hrabia.

Benedykt roześmiał się ironicznie. Po chwili odpowiedział:

— Nigdy nie będziesz już oglądał swojego syna, martwa ręka zabrała ci go. Tajemnica, równa tej grobowej, ciąży teraz na jego urodzeniu.

— Przeklęty! Życiem odpłacisz mi za niego! — zawołał Monte-Christo i błąd kroczył ku Benedyktowi, mierząc do niego z pistoletu.

Benedykt nie ruszył się z miejsca i ze spokojem odezwał się:

— Strzelaj! Więcej pokładam wiary w Boga, jak w twoją moc.

— Nierozważny! — zawołał Monte-Christo, śmiejąc się i płacząc, jakby opętany. Odrzucił od siebie daleko pistolety, które padając wypaliły. Po czym donośnym głosem ponownie odezwał się: — Człowieku czy demonie, nie znasz tego wszystkiego, co cierpię, bo nie jesteś ojcem i nie możesz znać miłości ojcowskiej. Żądaj ode mnie, co tylko chcesz, a oddam ci to za mego syna!

— To niemożliwe! Twoje bogactwo jest przeznaczone jako cena za co innego. Pomyśl sobie, że twoja żona w obawie o ciebie wysiadła na ląd i, wiedzona błyskiem ognia, zdążyła tutaj. Pomyśl prócz tego, że sześciu ludzi wskoczyło do barki i podpaliło ją, podczas gdy czterech innych u wejścia do tej groty trzyma twoją żonę.

Zaledwie Benedykt skończył mówić, gdy rozległ się przerażający krzyk kobiety. Hrabia odpowiedział nań wołaniem i pobiegł po schodach. Zatrzymał

się u brzegu skały i badał wzrokiem bezgraniczne przestworze, morze, niebo i skały.

— Haydee!... Haydee! — wołał Monte-Christo, a echo powtarzało głucho wymawiane przez niego drogie imię.

— Patrz tam w dole na ten ogień, który wiatr ponad wodę niesie... Wszystko dla ciebie stracone! — rzekł Benedykt.

— Haydee!... Haydee!... Gdzie jesteś?... Do jakiego gniazda szatanów dostaliśmy się!? — wołał hrabia, rozglądając się dokoła.

Benedykt zniknął. Ognie gasły, zaledwie błyskał ogień w przystani z resztek palącej się barki, a wewnątrz groty dopalała się umieszczona tam pochodnia. Monte-Christo stał, zapatrzony w otchłań ciemnej przepaści. Hrabia zwolna dochodził do równowagi. Wszedł do wnętrza groty, tu całe jego życie przemknęło mu przed oczami.

— W tej grocie upoiłem się posiadaniem olbrzymich skarbów. O miernoto ludzka; niedokładności ducha człowieczego w porównaniu do wszechmocy Stwórcy!... Uległem głupiej próżności, uważałem się za wszechmocnego na tej ziemi. Gdzież jest córa wschodu, którą tak kochałem?... Gdzież mój syn? Co się stało ze spokojem mego serca?... Gdzież serdeczne uciechy mojej duszy?... Wszystko zniknęło, jak dziecięcy sen dumnego chłopaka!... Na cóż mi przyda się teraz bogactwo?... Co mam czynić na tym świecie?... Jakież nowe uciechy mogłyby mi te bogactwa dać, by rozerwać moją przygnębioną duszę?...

Po długiej chwili ukazało się światło we wnętrzu groty, hrabia spojrzał... przed nim zjawił się zamaskowany Benedykt. Zbliżył się nieco ku hrabiemu i rzekł:

— Hrabio Monte-Christo... twoje bogactwa w zamian za twoją żonę!

— Wszystko, co tylko posiadam, należy do pana, gdy mi żonę wrócisz — odezwał się hrabia.

— Chodź za mną! — powiedział Benedykt.

Hrabia ruszył za Benedyktem do wnętrza groty. W jednej z pustych sal

znalazł się stół i przybory do pisania. Benedykt wskazał na nie. Hrabia podszedł do stolika i w kilka minut później, napisawszy kilka słów, oddał całe swoje mienie Benedyktowi. Po czym rzekł ze spokojem:

— Jestem teraz tak samo biedny, jak byłem w dniu, gdym po raz pierwszy do tej groty wstąpił, lecz czuję się szczęśliwy, bo uratowałem Haydee.

— Zgoda!... Dostanie ją pan!... Jutro w południowej zatoce stanie łódź, którą rozporządzać możesz; jutro pan odpłyniesz.

— A mój syn? — zawołał hrabia.

— Tajemnicze milczenie grobu ciąży na nim! — odrzekł uroczyście Benedykt.

Hrabia chciał jeszcze mówić, lecz Haydee ukazała się w sali i rzuciła się mu w objęcia. Benedykt oddalił się.

LII

Wdzięczność Pepina

Monte-Christo i Haydee pozostali kilka minut w objęciach, jak gdyby zobaczyli się po raz pierwszy po długim rozłączeniu.

— Biedne dziecko, nieszczęścia, które na mnie spadły, nie omijają nawet ciebie, niewinnej — odezwał się wreszcie ze słodyczą Monte-Christo, składając pocałunek na czole Haydee.

— Czy sądzisz, że cierpię, mój drogi?... Nie, jestem zbyt szczęśliwa, skoro jestem u twego boku — upewniała Haydee męża ze spokojem.

Hrabia nic nie odpowiedział. Przytulił żonę do swojej piersi, wziął jej głowę w ręce i patrzył w twarz Haydee, jak gdyby myślał o czekającej go przyszłości; łagodny, rzewny wyraz jej twarzy odkrywał mu głębokie uczucia Haydee. Życie i obecność człowieka, którego uwielbiała tak gorąco, z całym poddaniem się właściwym mieszkańcom Wschodu, sprawiało, że czuła się szczęśliwa, mogąc

patrzeć w oblicze męża, nawet w chwili nieszczęścia, jakie ich spotkało.

Inaczej pojmował obecną chwilę hrabia. Wiedział, że nie znajdzie już więcej przyjaciela, żadne podwoje nie będą dla niego stały otworem, nikt mu nie udzieli dachu na chwilowe schronienie, wszędzie będzie wystawiony na pośmiewisko ludzi zazwyczaj szydzących z upadku. Toteż gorzko zapłakał, wpatrując się w oblicze swej żony i rzekł:

— Haydee, twoje iluzje muszą ustąpić wobec nieubłaganej rzeczywistości. Wczoraj pochlebiałem sobie jeszcze, że posiadam dość grosza na wykup naszego dziecka, dziś nie mam pewności, czy się chociaż przez jeden miesiąc będziemy mogli wyżywić. Zanadto dobrze znam ten nędzny świat, jego nienawiść, jego intrygi. Nasza droga od dziś usłana jest cierniem.

Na to Haydee zapytała naiwnie:

— A chociaż ubodzy jesteśmy, czy nie znajdziemy już ani odrobiny szczęścia? Czułabym się szczęśliwa, by tylko móc wraz z tobą dla dobra naszego syna...

— Ach nie! Nie!... Bo nasz syn... nasze biedne dziecko jest dla nas na zawsze stracone, bez ratunku... Nigdy już nie zobaczymy naszego syna! — przerwał z żalnością Monte-Christo.

Haydee wydała okrzyk pełen rozpacz. Potem podniosła na męża oczy i rzekła z gorzkim uśmiechem:

— Przypominam sobie, jak pytałam cię nieraz, czy śmierć jest nieszczęściem... Nieraz przerażała mnie myśl, że kiedyś nadejdzie chwila śmierci. Teraz poznaję, że śmierć jest zupełnie czym innym, bo wiem, że jej dłoń oddzielająca duszę od ciała nie jest groźna, lecz przeciwnie, okazuje nam tajemnicę zupełnie nowego szczęścia.

— Haydee! — zawołał z cicha hrabia.

— Więc mój drogi, jeśli ten nasz terazniejszy świat jest nieuczciwy, lichy, pełen zbrodni, to cóż on wart? Rozważ to i oczekuj mnie, zaraz powrócę.

— Nie, Haydee — wymówił drżącym głosem hrabia — teraz nie możesz

mnie opuszczać.

— Dlaczego, mój drogi?

— Odgaduję twój zamiar.

— Więc?

— Przenigdy! — wyszeptał hrabia.

— Rozumiem cię. Uchylasz się przed śmiercią, gdy nic innego nie pozostaje, jak tylko zginąć. Często słyszałam cię mówiącego o śmierci jako o dobroczynnym śnie, który podczas nocy po uciążliwych troskach, trudach i przygodach przebitego dnia nadchodzi. W owych chwilach żalowałam, że się tak okropnie śmierci obawiam, teraz, z uczuciem najwyższego szczęścia, jestem gotowa umrzeć. Gdzież się podziła twoja dawna stanowczość? Gdy twoje bogactwa były olbrzymie, gdy wokoło ciebie tylko rozkosz i szczęście roztaczało się, nie lękałeś się śmierci; teraz jesteś nędzarzem i w takiej chwili miałbyś się wzdragać przed wiecznym snem? Mój drogi, gdy tu na ziemi niemożliwe już jest jakiegokolwiek szczęście, skończmy już to życie!

Hrabia wpatrywał się w żonę ze współczuciem i powoli, z największym spokojem, odrzekł:

— Haydee, zupełnie nie niepokoi cię myśl okropnej ofiary, jaką z życia ponieść chcesz? Zapominasz, że ani boskim, ani ludzkim prawem takiej ofiary dopuszczać się nie możemy. Gdyby stworzenie wedle własnej woli umierać mogło, to musiałoby i wedle własnej woli na świat przychodzić. Czy sądzisz, że to oznacza siłę ducha lub prawdziwą cnotę, gdy kto życie sobie samowolnie odbiera? Wobec Boga i ludzi będzie to zawsze tylko aktem słabości i szaleństwa. Poddanie się losowi, spokój ducha podczas znoszenia nieszczęścia i niegodziwości tego świata... oto obowiązki nasze, mające wagę wobec sądu Boga i ludzi.

Na to Haydee odpowiedziała:

— Słyszałam, często jak mówiłeś, że aby truciznę wziąć lub śmierć sobie zadać, potrzeba silnej woli, której nie znajduje się u byle kogo na świecie, z

wyjatkami zupełnie szalonych. To pewne, że aby ze spokojem zamknąć oczy potrzeba odwagi, której wielu brak. Dziwi mnie, gdzie się podziła siła twojej woli, ten ogień twojego ducha?...

Hrabia zbladł i rzekł:

— Prawda, Haydee!... Lecz gdy widzisz ten piękny świat natury, ziemię, morze, niebo... miałabyś i wtedy moc wymówienia: chcę umrzeć!?

Na te słowa hrabiego zaiskrzyły się oczy Haydee i wyszeptała z cicha:

— Spróbujmy; tymczasem pozwól mi tę wodę przyrządzić.

Hrabia pozostał nieruchomo. Haydee dobyteła z kieszeni małą skrzyneczkę sporządzoną ze szmaragdu o złotej przykrywce. Otworzyła i wydobyła z niej sześć małych czarnych pigułek. Nalała wody do kubka, wrzuciła pigułki i rozpuściła je w wodzie.

W chwili, gdy Haydee wrzucała do wody pigułki, odezwał się hrabia:

— Jedna z tych pigułek powoduje trzy godziny głębokiego snu, dwie pigułki — sześć godzin, trzy — dziesięć, cztery — trzynaście, pięć — dwadzieścia, sześć sprawi niechybną śmierć.

Haydee nie odpowiedziała nic, usiadła przy stole i przyglądała się mężowi. Oczy jej jarzyły się nienaturalnie.

Gdy pierwsze blaski słońca wcisnęły się do sali, Haydee siedziała jeszcze nieruchomo i oczyma gorączkowymi zdawała się pożerać chmurną twarz hrabiego Monte-Christo. Gdy dzień nastał, Haydee powstała, łagodnie pochwyciła rękę męża i rzekła:

— Światło dnia oświeca już świat, wejdźmy na skałę. Tu jest trucizna, mój drogi, wierz mi, to jedyny sposób, w jaki unikniesz nieszczęścia, jakie dla ciebie nastąpiło wraz z utratą majątku. Z trucizny tej wypijemy po równej części.

Gdy mówiła te słowa, rozlała napój w dwa naczynia i ustawiła je na dwu rogach stołu. Po czym odezwała się:

— Teraz chodźmy na skałę.

Morze było ciche, słońce wzniosło się, a promienie jego pełne blasku padły

na wodę. Wszystko wokół hrabiego zdawało się żyć, wywierało wrażenie bogactwa, spokoju i szczęścia... i łamało, darło, szarpało jego ducha.

Gdy Monte-Christo i Haydee, stojąc na jednej ze skał sterczących nad wodą Śródziemnego Morza, żegnali się ze światem, dwóch ludzi wsunęło się do groty i zbliżyło do stołu, na którym Haydee pozostawiła naczynia napełnione trucizną. Jeden z nich zapytał:

— Jak możesz wiedzieć, które to jest?

— Mnie się zdaje, że to — odrzekł drugi, biorąc jedno naczynie w rękę.

— Dlaczego?

— Haydee weźmie najbliższe.

Gdy te słowa wymawiał, odstawił naczynie na miejsce, wziął drugie, wylał mieszczący się tam płyn w kąt sali, wlał jakiś inny płyn i postawił na tym samym miejscu.

— Bardzo dobrze; a gdy przypadkiem hrabia tego naczynia nie weźmie, tylko to drugie? — zapytał towarzysz.

— To rzucę się na niego.

— W ten sposób chcesz go uratować?

— Tak jest!

— Lecz jeśli ostatnia godzina wybiła?

— To ją opóźnię!

— Ha, masz się za silniejszego niż los?

— Tak. Spłacę dług wdzięczności; hrabia uratował mi życie, ja ratuję jego...

Chodźmy, nadchodzą.

Wsunęli się obaj do przyległej sali. Haydee i Monte-Christo milcząco zatrzymali się naprzeciw stołu. Hrabia zapytał:

— Cóż Haydee, czy chcesz ten świat, tak piękny, koniecznie opuścić?

Haydee ocierając łzę z oka odrzekła:

— Mój drogi, wybacz, brak mi siły, bym z własnej woli umrzeć mogła.

Hrabia wziął Haydee w ramiona mówiąc:

— Ach Haydee!... Haydee!... Biedne dziecię! Jakże cię Kocham!

— Dziękuję ci mój drogi za to uczucie!... Wierz mi, że gorącą i serdeczną miłością ci odpłacam!... Uściskaj mnie jeszcze!

Hrabia złożył pocałunek na ustach Haydee. Nagle ta usunęła się i szybkim ruchem ręki chwyciła kubek.

— Boże! — zawołał hrabia.

Haydee wypła truciznę i słodko zaśmiała się mówiąc:

— Bywaj zdrów, odchodzę!... Odchodzę!... Chodź, odprowadź mnie mój drogi!

Hrabia szybkim krokiem podążył na drugi róg stołu, wziął stojący tam kubek, wychylił go jednym tchem i zwrócił się ku żonie.

— Mój najmilszy... Najdroższy!... Kochałam cię bardzo i czułam z serca mego ulatujące życie już na samą myśl, że byś mnie mógł przeżyć, na myśl samą utracenia cię... Na myśl, że inna mogłaby cię kochać i pieścić... Ta myśl jest nieznośna dla kobiet z mojej ojczyzny. Wybacz, to uczucie jest u mnie szaleństwem! Kochałam cię, jak może kobieta kochać mężczyznę, byłeś moim szczęściem, moim życiem, a po mnie nie będzie cię żadna inna posiadać! Umieram.... Ty umierasz ze mną... Dla tych, co tyle w życiu doznali... Dla tych, co kochali i kochani byli jak my, śmierć jest niczym! Możemy ze spokojem umierać... bo doznaliśmy zupełnego szczęścia.

Haydee zamilkła; jej policzki okryła trupia bladość, w jej oczach gasło życie. Jej wargi zacisnęły się i wystąpiła na nie żółtawa piana.

Hrabia ukląkł i wziął ją w swoje objęcia. Haydee znów oprzytomniała i ledwie dosłyszalnym głosem odezwała się:

— Patrz... drogi!... Śmierć nie jest straszna... oto obejmuję ją ramionami, przyciskam do piersi... Śmierć jest miłą niewiastą. Tak, uśnij lekko pod jej pieściami... tak hrabio... mój najmilszy, mój Kochanku... mój mężu!... Oh, zimno, mi... kostnieje serce... umieram... umieram z tobą, moim mężem... to mój ostatni pocałunek... moje ostatnie tchnienie... moja ostatnia myśl... należy tylko

do ciebie!... Oh!...

Haydee opuściła głowę; jej oczy pozostały otwarte i zwrócone ku hrabiemu.

— Umarła!... Dlaczegoż ja żyję jeszcze?... — wyszeptał hrabia — Dlaczego nie czuję tego ognia, co wnętrzości palić powinien?... Już minęła godzina... więcej niż potrzeba, by trucizna swój skutek wywarła!... Oh, nie przeżyję cię, moja najlepsza przyjaciółko; znajdziemy grób wspólny, godny nas!

Hrabia uniósł po schodach ciało Haydee, wyszedł na szczyt skały i przycisnął trupa do siebie..

— Wszechmocny Boże, przyjm moją duszę!

— Nie! — zawołał jakiś głos i hrabia został pochwycony silnymi ramionami.

Ciało Haydee stoczyło się ze skały i znikło w przepaści.

— Szalony!... Ktoś ty? — zapytał hrabia.

— Nie potrzeba milionów do uratowania życia człowiekowi, panie hrabio. Jestem Pepino zwany Rocca Priori.

LIII

Wiejski domek rodziny Morrel

W pobliżu Rzymu znajdował się skromny domek wiejski z pięknym ogrodem. Troskliwość, z jaką utrzymywano ogród, dobra uprawa przylegających gruntów, wskazywały ten dom, jako siedzibę szczęśliwej rodziny.

Tu zamieszkali Maksymilian Morrel i jego żona Walentyna, opuściwszy kilka miesięcy wcześniej Wenecję. Oddani sobie, żyli w błogim spokoju, z dala od światowej wrzawy.

Wnętrze domu przystrojone było prostymi meblami, jakie Walentyna lubiła. Właściciele szanowali służbę, a ta właścicieli, z gorliwością, jaką u zwykłych

sług znaleźć trudno. Walentyna wstawiała zwykle bardzo wcześnie rano, przebiegała zaraz ogród, dbała o kwiatki, którym różne symboliczne, własnego pomysłu, imiona nadawała. Potem szła do spiżarni i rozdzielala swoimi delikatnymi rączkami żywność dla domowego ptactwa, które samo garnęło się do niej. Gołębie siadały na jej ramionach, odważniejsze wybierały z jej ust ziarenka kukurydzy. Króliki wspinały się na jej suknię łapkami, otrzymując w darze najlepsze listki jarzynowe.

Gdy się uporała z drobiem i królikami, przechodziła do sadów owocowych i przeglądała każde drzewko, każdy krzew. Potem doglądała wydoju krów i wracała z dzbanami pełnymi mleka, ze zbiorem jarzyn, z wybranymi jajami od drobiu i z mnóstwem kwiatów do domu, gdzie sama przygotowywała śniadanie, oczekując, aż Maksymilian wyjdzie ze swojego pokoju. Dzień schodził im w pracy bez najmniejszej przykrości. On czytał, ona coś naprawiała szyjąc, haftowała, tkala koronki. Wieczorem wsiadali oboje do małego powoziku zaprzęzonego w piękne koniki, kierowane ręką Maksymiliana.

Takie było wiejskie życie tego szczęśliwego stadła.

Tak przeszło kilka miesięcy, gdy w czasie jednej nocy niespodziewana okoliczność zamaćła domowy spokój. Było to między dziewiątą a jedenastą godziną. Służba spostrzegła, że jakiś powóz zatrzymał się przed bramą. Zaraz potem usłyszano dzwonek.

Walentyna i Maksymilian przywołali służącego i zapytali o przyczynę.

Sługa odpowiedział:

— Proszę pani, przed bramą stoi powóz jakiegoś pana, który niezwłocznie chce mówić z panem.

— Jak to? — zapytał Morrel.

— Ten pan mówił, że chciał prosić pana lub panią o wyświadczenie mu przysługi.

— Kto by to mógł być? — zapytała Walentyna.

— Doprawdy nie wiem. Jakiś człowiek, o tej porze, domagający się

rozmowy z panem lub panią... Kto to może być? — dorzucił Morrel.

Służący odpowiedział:

— Ja nie widziałem tego człowieka, panie Morrel; ale Pietro mówił z nim i zapewnił, że głos tego pana zdaje się być więcej kobiecym niż męskim, a jego delikatna twarz zdradza, że ten człowiek musi być z lepszego towarzystwa.

— W każdym razie muszę wiedzieć kto to taki.

— Ależ czy można go wpuszczać nie wiedząc nawet, jak się nazywa? — zapytała Walentyna.

— Rozmówię się z tym panem w bramie. Pietro niech mi towarzyszy, a ty tymczasem każ dać światło do sali.

Maksymilian zszedł do ogrodu i odezwał się pierwszy:

— Dobry wieczór. Kogo pan tu szukasz?

— Pana, jeżeli jesteś pan gospodarzem tego domu lub zarządcą tutejszego gospodarstwa — odrzekł młody mężczyzna delikatnym srebrnym głosem.

— Lecz czy znasz pan chociaż moje imię?

— Na miłość Boga! Nie tylko nie wiem, kim pan jesteś, lecz być może nigdy pana nie widziałem, mimo to, jeżeli pan posiadasz szlachetną duszę i jeżeli masz dobre serce, jeżeli rad byłbyś udzielić nam pomocy...

— Więc nie jesteś pan sam?

— Nie, mój panie i nie dla siebie proszę o pomoc; moja żona jedzie ze mną... jest bardzo cierpiąca...

— Imię pana? — zapytał ze współczuciem Maksymilian przerywając młodemu człowiekowi, którego to głos brzmiał nadzwyczaj sympatycznie.

— Nazywam się Leon d'Armilly.

— Otworzyć bramę! — odezwał się Maksymilian do służącego.

Zwracając się zaś do obcego, podczas gdy Pietro bramę otwierał, rzekł:

— Bardzo dobrze, panie Leonie d'Armilly, jestem Maksymilian Morrel; mów pan, w czym mogę być panu użyteczny.

— Ach, panie Morrel, racz mnie wysłuchać, moja żona i ja wyjechaliśmy z Rzymu, chcąc podróż odbyć nocą dla uniknięcia skwaru dnia. Tymczasem moja żona jest w ósmym miesiącu brzemienności... zapewne kołysanie w tym powozie przyspieszyło jej słabość... Cóż mogę począć w tym wypadku, tak daleko od miasta, pośród nocy?

— Uspokój się pan, mój panie; w moim domu znajdują się kobiety. Będą się starały ulżyć cierpiącej pani jak tylko będą mogły.

Leon d'Armilly pospieszył zaraz do powozu i zamieniwszy kilka słów z osobą wewnątrz powrócił do Maksymiliana.

— Panie Morrel!

— Mów pan.

— Jesteś dobry i usłużny!... Miałbym jeszcze prośbę do pana.

— Słucham!

— Jesteś mężczyzną dobrego rodu, nie chcę więc nadużywać pańskiej grzeczności, gdybym przed panem nie odkrył tajemnicy.

— Jestem gotów wysłuchać pana.

— Jesteśmy oboje skompromitowani, ja i dama siedząca w powozie.

— Zdaje mi się, że zrozumiałem pana, panie d'Armilly — rzekł Maksymilian z uśmiechem.

— Powiedziałem panu, że ta dama jest moją żoną, tymczasem...

— No, mów pan!

— Tymczasem... jak by powiedzieć... tymczasem... brak nam jeszcze błogosławieństwa księdza! — z widocznym zakłopotaniem wymówił d'Armilly.

— Do czegoż pan zdążasz? — zapytał ponownie Morrel.

— Dama ta należy do szlacheckiej rzymskiej rodziny, odebrała troskliwe wychowanie... wstydzi się bardzo błędu spowodowanego przeze mnie.

— Ależ mój panie, cóż ja na to poradzić mogę?

— Czy pozwolisz pan zachować jej incognito?

— Zdaje mi się, że będzie z tym pewien kłopot w jej smutnym położeniu,

jednak...

— Twarz jej zakrywa jedwabna maska — pospieszył dodać d'Armilly.

— Mogę pana zapewnić, że w moim domu każdy szanować będzie tajemnicę, jakiej ta pani wymaga.

— Tysiączone dzięki, mój dobry panie! — z rozrzewnieniem rzekł d'Armilly ściskając dłoń Maksymiliana i podbiegł do powozu.

Maksymilian polecił ulokować powóz w wozowni, konie w stajni. Walentyne zawiadomił o tym, co zaszło, by przygotowała pokój i przy pomocy doświadczonej sługi poczyniła odpowiednie kroki.

Walentyna i dwie służące zajęły się damą z całą troskliwością. Gdy w jednym pokoju przygotowano co należy do spodziewanego rozwiązania, w innym Maksymilian obserwował z ciekawością młodego d'Armilly, przechadzającego się z niepokojem tam i z powrotem. Twarz młodego człowieka była niezwykle delikatna. Blond włosy nadzwyczajnej piękności i cienkości, zaczesane ze zbytnią starannością, okalały jego czoło. Wyraz pięknych niebieskich oczu, białość ręki, nadzwyczaj drobne stopy; wszystko to zwracało uwagę Maksymiliana.

Poza tym młody d'Armilly prezentował wszystkie nawyki i ruchy ludzi w jego wieku. Palił papierosy z upodobaniem, przekładał nogi przez krzesło jakby na koniu siedział, wyciągał się na sofie, zakładając nogę na nogę, a to wszystko prędko i z wprawą dowodzącą, że ten piękny młody człowiek, wychowany i wychuchany w bogatym domu na maminego pieszczocha, teraz bawił się w Don Juana, płatając figle kobietom ze swego towarzystwa.

Maksymilian zarządził dla młodzieńczego Don Juana podanie smacznej kolacyjki. Ten jadł, spijał z gustem likiery i wino, rozmawiał wiele o kobietach i koniach, a gdy była mowa o polowaniach, d'Armilly z zapalem cytował najlepszych autorów i znał się wyśmienicie na różnego rodzaju wybiegach myśliwych. Z werwą opowiadał myśliwskie przygody.

W dwie godziny później rozległ się głośny jęk w sąsiednim pokoju i zaraz

potem przytłumiony, a następnie wyraźny głos nowo narodzonego dziecka. Leon d'Armilly przyskoczył do drzwi. Maksymilian zbliżył się do niego podając dłoń, którą d'Armilly serdecznie uściskał. Maksymilian rzekł:

— Winszuję panu!

— Ach! Dziękuję panu — odrzekł Leon d'Armilly. Na jego twarzy zarysował się zaledwie dostrzegalny uśmiech.

Maksymilian uznał to za wynik ojcowskiego szczęścia, które na młodym człowieku sprawił pierwszy krzyk dziecka. W chwilę potem jedna ze służących z uśmiechem zadowolenia na ustach i z wesołą miną zameldowała, że dama powiła dziewczynkę, zdrową i silną, bardzo podobną do ojca.

Maksymilian jakoś nie całkiem wierzył tym zwykle w takich wypadkach używanym słowom, Leon d'Armilly zaś odezwał się:

— Tak, to może być, lecz ja założyłbym się, że mała jest więcej podobna do swej matki niż do mnie.

Otworzono drzwi pokoju i jak zwyczaj nakazuje, pan d'Armilly wszedł, by tajemniczą damę uściskać. W kilka dni później dama przyszła o tyle do siebie, że bez obawy mogła wyruszyć w podróż. Leon d'Armilly wynagrodził sownie obie służące obecne w czasie rozwiązania. Dla Walentyny i Maksymiliana nie miał dość słów podziękowania i wdzięczności, gdy ci chętnie zgodzili się, by nowo narodzone dziecko pozostawało tak długo w ich domu, póki je matka kiedyś do siebie nie zabierze. Walentyna nie miała dzieci, rada więc była zatrzymaniu dziewczynki u siebie.

Następnego dnia matka dziecięcia złożyła serdeczne pocałunki na twarzyczce swej maleńkiej córeczki, potem, zwracając się ku Walentynie, podziękowała jej za opiekę nad dzieckiem i troskliwe starania o nią, przy czym tak była wzruszona, że tchu jej brakowało na wymówienie słów. Zajechał powóz, tajemnicza dama i Leon d'Armilly wsiedli. Dama, zaledwie powóz ruszył, zdjęła maskę i rzekła:

— Cóż, Ludwiko?

— Co chcesz wiedzieć, moja droga Eugenio? Odegrałam raz jeszcze rolę Leona d'Armilly i spodziewam się, że już ostatni raz.

— A moja córka?

— Córka jest w dobrych rękach, a nadejdzie kiedyś dzień, że ją uściskasz. Teraz myśl o sobie. Zapomnij o nieszczęśliwej okoliczności, z przyczyny której zostałam matką i niech ci się zdaje, że rzeczywiście jestem ojcem twojej córki.

— Zawsze jesteś w dobrym humorze, zawsze wesoła. W tej chwili zazdroszczę ci twego usposobienia! — odrzekła Eugenia ocierając łzy i uśmiechnęła się.

— Eugenio, świat i scena oczekują nas, wracajmy do naszych rojeń chwały i szczęścia na arenie sztuki, a jeżeli ci sił braknąć by miało, pomnij na obowiązek starania się o przyszłość twego dziecka.

— Tak, masz słuszość Ludwiko. Oby mi Bóg użyczył siły!

LIV

Prawa ręka Villeforta

Wróćmy teraz na wyspę Monte-Christo, gdzie zostawiliśmy hrabiego. Hrabia klęczał na krawędzi przepaści, która pochłonęła ciało Haydee. Załzawione oczy wzniosł ku niebu i modlitwą zegnał swoją małżonkę. Potem pomny, że czeka na niego łódź, z wolna zstępował ku brzegowi. Szedł z czołem pochylonym i opuszczonymi ramionami, ku małej przystani od południa, gdy jakiś człowiek zastąpił mu drogę. To był Benedykt i nie miał na sobie maski. W pewnej odległości stał Pepino. Hrabia i Benedykt patrzyli długą chwilę na siebie w milczeniu.

— Poznajesz mnie wreszcie, Edmundzie Dantes? — zapytał Benedykt, zakładając ręce na piersi.

— Tak — odrzekł zimno hrabia.

— To bardzo przyjemnie, inaczej musiałbym przypomnieć imię owego księcia Andrea Cavalcanti, który został przez ciebie wymyślony, by odegrać rolę w jednej z twoich szatańskich, okropnych i przeklętych intryg.

— I pan jesteś tym tak ohydnie prześladowującym mnie człowiekiem?... I wszystkie swoje zbrodnie i nadużycia popełniałeś tylko w celu wzbogacenia się, powołując się przy tym na sprawiedliwość Boga? — mówił hrabia ze spokojem, wstrząsając głową na znak pogardy.

— Jesteś w błędzie, hrabio Monte-Christo!... Tu nie było żądzy wzbogacenia się!... Posiadam teraz tych bogactw tyle, ile posiadałem nim cię obrabowałem. Wszystko jest już rozdane między biednych, a co mi jeszcze pozostało, porozdaję niebawem. Jeżeli pana bez litości prześladowałem, to aby pomścić niewinną krew mego brata Edwarda.

— Pańskiego brata? — zapytał hrabia.

— Tak... Smutna historia moich urodzin jest mi znana, wiem kto był przyczyną mego przyjścia na świat i potrzebuję tylko jeszcze wiedzieć, kim była moja matka.

Hrabia uśmiechnął się znacząco.

— Miałbyś pan ją znać?

— Znam ją.

— Mów pan! Dam panu, co tylko ode mnie zażadasz.

— Odsuwam pańskie obiecanki, Benedyckie. Zawdzięczasz pan życie baronowej Danglars.

Benedykt cofnął się o krok i z wyrazem przerażenia mimo woli wykrzyknął:

— Ha!

Przez chwilę nastąpiło milczenie. Po czym Benedykt odezwał się łagodniejszym tonem:

— Dziękuję, panie hrabio, bardzo dziękuję za twoją wspaniałomyślność i jestem przekonany, że nie spostrzegłeś się, ile przez tę wiadomość ucierpię, inaczej byś mi jej nie udzielił... Racz mnie wysłuchać, mówimy ze sobą po raz

ostatni. Jestem zobowiązany zdać ci sprawę o kilku osobach znanych panu. Tak, baronową Danglars okradłem i doprowadziłem do ostatecznej nędzy, nie wiem nawet gdzie się obecnie znajduje i czy w ogóle żyje. Co się tyczy barona Danglars, to ten zakończył swój zbrodniczy żywot tak jak go rozpoczął, tj. został znowu zwykłym majtkiem i umarł podczas szalonego orkanu, pod ciosami człowieka będącego pilotem na pokładzie mego okrętu „Burza”. Jeszcze mi pozostaje powiedzieć, co stało się z Luigim Vampą. Zawsze ochraniałeś pan tego zapamiętałego bandytę i to wówczas, gdyś się chełpił ukaraniem wszystkich zbrodniarzy i zbójców. Wydałem go za garść piastrów rzymskim sądom. Zostanie ukarany zanim minie trzydzieści dni. Rodzina Morrel żyje szczęśliwie, tak jak i inne osoby, z którymi podzieliłeś swoje szczęście, a pan zakończysz w niedoli... bo chciałeś uważać się za natchnionego, niczym jakiś apostoł. Teraz poznasz pan, że skoro Bóg uczynił cię niezmiernie bogatym, uczynił to, aby twoja ręka nagradzała cnotę. Mnie zaś udzielił niezwyklej odwagi i zapamiętania, bym ukarał zbrodnie. Tak, obydwaj byliśmy narzędziem sprawiedliwości Boskiej... Nasze zadanie spełniło się, ustępujemy w nicość. Wina została pomszczona, a martwa ręka powraca do trupa!

Gdy Benedykt te słowa wymówił, wyjął ze skrzyneczki martwą rękę, podniósł raptem przed oblicze Edmunda Dantes i zawołał namiętnie:

— Człowiecze, nadmiarem żądz zaślepiony, bądź na zawsze przeklęty!

Hrabia jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Tak stał w milczeniu kilka chwil. Gdy podniósł głowę, nie widział już ani Benedykta, ani Rocca Priori. Hrabia ruszył więc znów wolnym krokiem ku południowej przystani, gdzie oczekiwała na niego lekka łódź z dwoma wioślarzami.

— Możecie mnie zawieźć do jakiegokolwiek punktu wybrzeża Italii? — zapytał hrabia wioślarzy.

— Możemy panie, wejdź na pokład.

Hrabia wstąpił do barki. Wioślarze rozpięli żagle, wkrótce wypłynęli na otwarte morze.

Pepino i Benedykt obserwowali odjazd hrabiego z małej skały. Benedykt, zwróciwszy się do Pepina, rzekł:

— No, teraz już wszystko się skończyło!

— Jak to?

— Teraz rozchodzą się nasze drogi. Każdy z nas niech podąża tą, która mu do gustu przypada.

— Chcesz się pan ze mną rozłączyć?

— Zgadłeś. Skoro mnie do Francji zawieziesz, pozostawię ci mój mały jacht. W tym pulariesie zaś masz pewną sumę do twojego dowolnego użytku i możesz się udać, gdzie ci się podoba.

— Dobrze, przyjmuję. Zapewniam pana, że osiadę w Paryżu i będę żył przyzwoicie. Jeżeli kiedy potrzebowałbyś moich usług, będę zawsze w pogotowiu.

— My nigdy się już nie zobaczymy — odparł Benedykt z uśmiechem, wzniosłszy oczy ku niebu.

— Dlaczego nie?

— Ziemia rozwarła się, by mnie ukryć! Jestem potępieńcem.

— Gdybym nie znał niektórych oryginalności pańskich, sądziłbym, że ci się śni.

— Głupcze, a czym to wszystko jest?

— Jakie wszystko?

— Życie!... Nie jest to sen?... Jeszcze niedawno świat pełen zachwyty wymawiał imię hrabiego Monte-Christo! Gdzie on jest teraz?... Gdzie są te pochwały, jakimi go obsypywano? Gdzie jego bogactwa?... Żona, syn... ba, co sam z sobą pocznie?... Ot widzisz, wszystko na tym świecie jest snem, złudzeniem, szaleństwem.

Pepino zamyślił się. Po długiej chwili podniósł głowę i zapytał ze współczuciem:

— A syn hrabiego?... Zdaje mi się, odsunąłeś niegodziwą myśl

zamordowania go?

— Bądź spokojny. Powierzę go trosce rodziny zamieszkałej w Rzymie, ta rodzina będzie czuwać nad dzieckiem. Chodźmy Rocca Priori, tu wszystko skończone.

W czternaście dni po tych wydarzeniach, jakiś płaszczem otulony człowiek zatrzymał się przed bramą wjazdową domu Morrelów. Była noc, księżyc oświecał niepewnym światłem białe ściany domku. Przybyły nadśluchiwał uważnie, a przekonany, że nikt się nie rusza, otworzył cicho kluczem bramę, przeszedł przez ogród i zatrzymał się przy schodach. Potem odszedł tą samą drogą przez bramę, którą zamknął za sobą; bardzo silnie pociągnął za dzwonek, którego dźwięczny głos rozległ się daleko.

Walentyna ukazała się w oknie. Służący, zbiegający po schodach, nagle zatrzymał się przy ostatnim stopniu z okrzykiem przerażenia. Walentyna zapytała:

— Co tam takiego. Pietro?

— Boże!... Tu leży dziecko na schodach, proszę pani.

Walentyna zeszła na dół.

— Istotnie!

— A widzi pani!

— Kto mógł tu położyć to biedne dzieciątko? — zapytała znowu Walentyna.

— Ja też myślę proszę pani, kto by to mógł być? Bo uważam, u nas, proszę pani, trzylatka nikt nie ma, a wprawdzie coś dzwoniło do bramy, ale tym razem brama zamknięta, a klnę się na rany Pana Jezusa, że nie widział nikogo przy schodach.

Walentyna podniosła dziecko i weszła do domu.

— Mój miły! Niebo darowało nam już dwoje dzieci, oto chłopak dla

dziewczynki urodzonej w naszym domu — zobaczywszy Maksymiliana, odezwała się Walentyna.

Opowiedziała Maksymilianowi, jakim sposobem znaleźli dziecko, które ze zdziwieniem rozglądało się teraz dokoła i przestraszone skryło twarzyczkę na piersi Walentyny.

— Jakiś papier ma na piersiach! — zawołał Maksymilian.

— Masz słuszność! — zawołała z podziwem Walentyna odczepiwszy papier i przeczytała co następuje:

„Pani!

Jesteś dobrą i miłosierną kobietą, dlatego powierzam pani to dziecko w imię Boże. Musisz je pani wychowywać jak swoje własne. Jest sierotą. Na imię ma Edward”

List był bez podpisu.

Łzy stanęły w oczach Walentyny i poprzysięgła sierocie pozostać matką. Maksymilian nie sprzeciwiał się pobożnej intencji Walentyny. Oboje zajęli się od tej chwili troską o wychowanie, dwojga niewinnych istot, jakie im los powierzył.

LV

Powrót do grobu

Skoro Benedykt powierzył syna Edmunda Dantes chrześcijańskiemu miłosierdziu Walentyny, nie pozostawało mu już nic więcej do spełnienia, jak tylko wrócić do Francji, by złożyć da trumny ojcowską rękę, którą rok przedtem w szalonej egzaltacji od ciała odciął. Jego misja spełniła się, a Benedykt przeczuwał, że jeszcze spotka go jakaś straszna katastrofa. Mimo to nie odstąpił

od zamiaru udania się do Francji.

Opuścił Rzym i powrócił do Paryża, gdzie rozstał się z Pepinem. Syn Villeforta wyruszył ze spokojem do miasta i wstąpił do pewnego notariusza, którego mieszkanie pamiętał z przeszłości. Rozporządził przygotowanie aktu darowizny około dwunastu milionów franków na rzecz Walentyny Morrel, zamieszkującej w pobliżu Rzymu. Darowizna ta przeznaczona była na zakładanie różnego rodzaju zakładów dobroczynnych, bądź to we Włoszech, bądź we Francji. Darowiznę miał pani Walentynie Morrel notariusz wręczyć w imieniu tajemniczego towarzystwa dobroczynności, którego pełnomocnikiem mienił się być Benedykt.

Drugi kapitał, składający się z sześciu milionów franków, miał być oddany do dowolnego rozporządzenia panu Albertowi Mondego, zamieszkałemu w Marsylii tytułem długu zaciągniętego u zmarłego ojca Alberta Mondego, hrabiego Morcerf.

Gdy to rozporządzenie w obecności kilku świadków podpisane zostało, Benedykt pożegnał notariusza i wstąpił do garkuchni, gdzie pozostał aż do wieczora.

Była ósma wieczór, gdy wyszedł okryty czarnym płaszczem i zdążył do cmentarza Pere-Lachaise, do którego bramy zapukał.

— Kto tam? — zapytał jakiś głos znany Benedyktowi.

— Przyjaciel! — odrzekł spokojnie Benedykt.

— Przyjaciele o tym czasie u bramy cmentarnej?... Hm!...— odrzekł dozorca i wystawił latarkę przez okno swego domu.

— Chcesz może, by to był nieprzyjaciel? — zapytał Benedykt ze spokojem.

— Mnie to mało obchodzi, czyś przyjaciel lub nieprzyjaciel! Jeżeliś przyjaciel, to mówię ci, że w przyjaciół o tej porze nie wierzę, a jeżeliś nieprzyjaciel, to nie boję się ciebie. Drzwi są dobrze zamknięte, mury są wysokie, nadto mam tu doskonałe dwie dubeltówki dobrze nabite.

— Bardzo dobrze. A gdy panu dowiodę, że ani przyjacielem, ani

nieprzyjacielem pańskim nie jestem?

— Co pan przez to rozumiesz?

— Na przykład tę dobrze napełnioną kiesę!

— Oho! — zawołał dozorca, usłyszawszy brzęk pieniędzy.

—Więc?

— To jest rozmowa. Zatem, czego pan żądasz? Zapewne potrzeba panu domu?

— Ależ otwórz pan bramę!

Po tych słowach Benedykta nastąpiło dłuższe milczenie. Nagle dozorca zapytał:

— Powiedz mi pan, może pan jesteś niejakim lordem... lordem...

— Wilmore — nierozważnie wymówił Benedykt.

— Ach, to bardzo dobrze, kiedy tak, to spieszę służyć panu, mój panie. Poznałem pana z oryginalności jego pukania do bramy cmentarnej, właśnie wtedy, gdy wszystek żyjący świat stroni od tego miejsca! Proszę, możesz pan wejść.

Drzwi otworzyły się. Benedykt wszedł.

— Który grób chcesz pan zwiedzić?

— Grobowiec rodziny Saint-Meran i Villefort.

— Ha — pomyślał sobie dozorca — miałby przypadkiem przyjść, by szkieletom zabrane kosztowności zwrócić?... Nie, ten łotr jest zbyt sprytny, on tu przyszedł z jakimś nowym zamiarem... może być przekonany, że wpadł w paszczę wilka!

Po kilku chwilach dozorca prowadził Benedykta do oznaczonego grobu. Benedykt stał w pewnej odległości, podczas gdy dozorca odrzucał ziemię, by można było drzwi otworzyć. Robota ta nie trwała długo. W końcu otworzyły się drzwi od przybytku śmierci. Dozorca postawił latarnię na ziemi i odszedł.

Benedykt wziął latarnię i zszedł powoli marmurowymi schodami ku zwłokom swej rodziny. Bez trudności otworzył trumnę swego ojca, którego

szkielet jeszcze okryty był szczątkami ubrania. Prawe ramię spoczywało na piersi, lewe wzdłuż trumny. Benedykt przypatrywał się dłuższy czas szkieletowi, w końcu wyjął szkatuleczkę z czarnego drzewa i zeschniętą martwą rękę położył na piersiach szkieletu.

— Spełniłem moją powinność, ojcze, pomściłem cię; a twoja ręka spoczywa teraz na twojej piersi. Przyjmij ten pocałunek, jako ostatni dowód głębokiej czci, którą twoje straszliwe cierpienia we mnie wzbudziły! A teraz żegnam cię na zawsze.

Gdy Benedykt te słowa wymawiał, złożył gorący pocałunek na martwej ręce, po czym zamknął trumnę. Po chwili wziął latarnię i ruszył schodami grobowca do drzwi, lecz te zastał zamknięte.

Benedykt nacisnął na drzwi, lecz daremnie. Postawił latarnię na schodach i usiłował dwoma rękami wyważyć drzwi. Wszystkie jego usiłowania nie skutkowały, drzwi pozostały zamknięte. Benedykt stukał, wołał, uderzał całym sobą we drzwi, wszystko nadaremnie. Szamotanie takie trwało z pół godziny. Potem ochłonął nieco i zaczął przemyśliwać nad możliwym powodem zamknięcia drzwi. Wystarczyło mu wspomnienie pierwszej nocy, podczas której wszedł do tego grobowca.

— Jestem oskarżony o profanację grobów, dozorca oskarżył mnie przed władzą. Przed rokiem znaleziono ten grób sprofanowany i złupiony; umknąłem nie płacąc dozorca, teraz on mści się.

Benedykt zaprzestał dalszych prób wydostania się z grobowca. Usiadł na schodach, oparł głowę o dłonie i oczekiwał dnia. Noc przebyta wydała mu się całym wiekiem. W ciągu tej nocy tysiące strasznych wspomnień przesunęło mu się przez myśl. Jakiż ohydny obraz tworzyła jego przeszłość! Benedykt poznał, że dzień musiał już nastąpić, bo usłyszał kroki kilka ludzi zbliżające się ku grobowcowi

Drzwi otworzyły się, Benedykt zobaczył przed sobą ponure postacie sześciu żołnierzy z pałaszami w rękach.

— Niech się wola Boża spełnia do ostatka! — półgłosem, wymówił Benedykt.

Dozorca cmentarza szedł za nimi aż do bramy, a gdy wyszli, zamknął ją, wyrzekłszy szyderczym głosem:

— Do widzenia, panie Wilmore, lordzie kontrabandystów!

LVI

Cierpliwość Baranka Bożego niech będzie z tobą

Bez wątpienia nikt nie poznałby hrabiego Monte-Christo w człowieku z pochyloną głową, okrytym pokornym odzieniem pokutnika, boso zdążającym do znanego hotelu Mestra Pastriniego.

Właśnie zdążył dojść do hotelu w chwili, gdy przed jego bramę zajechał powóz, z którego wysiadły dwie młode panie. Młodsza miała na sobie szaty żałobne i szła z opuszczoną ku ziemi głową.

Gdy Edmund Dantes je ujrział, zakrył twarz ręką, jak gdyby nie chciał być poznany. Starsza z nich spostrzegła jednak pokorną postać stojącą w przejściu, wyjęła z jedwabnej kieski mały pieniądz srebrny i wcisnęła go w rękę fałszywego żebraka, po czym spieszenie podążyła po schodach za swoją towarzyszką.

Edmund stał zachwycony widokiem jałmużny, wpatrywał się w otrzymany grosz, potrząsał znacząco głową; twarz mu pobladła, dwie strugi łez spłynęły po jego obliczu, dlatego jeszcze bardziej pochylił głowę i jeszcze mocniej nasunął kaptur pokutnika na czoło.

— Tak — odezwał się półgłosem — spełniłem mój pierwszy czyn chrześcijańskiej pokory. Całuję tę jałmużnę daną bez dumy, bez wzgardy, a nawet nie prosiłem o nią. Obyś doznała w niebie szczególnej łaski Bożej w nagrodę prawdziwego współczucia, jakie wzbudziła w tobie twarz biednego

grzesznika!

Zaledwie te słowa wymówił i jeszcze wpatrywał się w otrzymaną jałmużnę, gdy wyrwał go z zadumy szorstki głos Pastriniego.

— Słyszysz, bracie żebraku, cierpliwość Baranka Bożego niech będzie z tobą; ja ci nic nie mogę dać.

Edmund podniósł oczy i spostrzegł na schodach gospodarza hotelu.

— Mówię ci jeszcze raz, idź z Bogiem; ja ci nic nie mogę dać! — odezwał się ponownie Pastrini.

— Czyż czegoś od pana żądam? — odezwał się Edmund, odwróciwszy pełen odrazy swoją twarz.

— Nic ci nie mogę dać, chyba resztki z jedzenia; ale i to jeszcze za wcześnie, a prócz tego spełniam już akt miłosierdzia dla dostatecznej ilości ludzi.

— Jeszczem pana nie prosił, byś mi okazywał jakiegokolwiek miłosierdzie!

— Przyznaję ci to, *per Bacco!* W takim razie nie napastuj moich gości; mój dom jest jednym z pierwszych w Rzymie. Nie wypada, by przyjeżdżający spoglądali na nędzę, gdy wstępują na moje schody.

Nie odpowiadając wcale, Edmund począł zdążać z wolna po schodach na piętro.

— Ależ bracie, zapewniam cię, że najmniejszej jałmużny nie mogę udzielić! Idź, idź z Bogiem!

— Jałmużna, jakiej od pana wymagam, nie polega ani na pozywieniu, ani na pieniądzech, po prostu chcę się z panem rozmówić, Mestre Pastrini.

— Pojmuję, że zgłodniały pożąda jedzenia i że człowiek podobnego stanu pożądać może pieniędzy na przyodziewek, pojąć jednak nie mogę, by żebrakowi mogła przyjść na myśl rozmowa ze mną. Czegóż więc żądasz?

Gdy Pastrini z całą obłudą Włocha jego stanu to mówił, przypatrywał się pokornej i poważnej postaci żebraka. Jednak ten okrył twarz kapuzą i niemożliwe było rozpoznać jego twarz.

— Mów, bracie żebraku — ciągnął dalej Pastrini — chcesz mówić ze mną? Cóż ci mam powiedzieć? Jesteś nieokrzesanym, człowiekiem, požądającym wiadomości o moich gościach ode mnie, pokrywając zamiar uproszenia u nich datku na kilka mszy?... Nieprawdaż... o tym chciałeś ze mną mówić?

— Chcę pana prosić o wiadomości o dawnych gościach pana.

— Moich dawnych gości? W takim razie... tak, rozumiem cię i ty chcesz powiedzieć...

— Co chcę powiedzieć?

Przy tym stanowczym zapytaniu Edmunda, Mestre Pastrini zawahał się. Popatrzył na niego i poznał po godności i dumie, jaka mimo wyraźnej pokory przebijała z jego postaci, że w słowach żebraka mieścić się musi jakaś ważna utajona prawda.

Pastrini otworzył drzwi do małego gabinetu i dał tajemniczy znak żebrakowi, by za nim wszedł. Edmund nie zwlekał i wszedł za Pastrinim do pokoiku.

— Siadaj bracie żebraku, siadaj i mów — odezwał się Pastrini z rodzajem ironii, która nie uszła uwagi Edmunda.

Edmund stał naprzeciw Pastriniego, który przyglądał mu się z ciekawością. Edmund odezwał się:

— Mestre, byłem towarzyszem do ostatniej chwili pewnego wielkiego bogacza, a gdy wysłuchałem jego braterskiej spowiedzi, udzieliłem mu dla uspokojenia jego duszy jednego uroczystego przyrzeczenia. Od chwili, gdy przez niego zostałem upoważniony do wynagrodzenia osób, które mu w czasie jego głośnego życia bezinteresownie służyły, nie przestałem badać starannie, jakie to mogą być osoby, bym wedle tego mógł zadość uczynić memu przyrzeczeniu.

— Bardzo pięknie, lecz któż jest tym człowiekiem? — zapytał Pastrini.

— Powiedz mi pan najpierw, komuś pan sumiennie służył, a w ten sposób dojdziemy do tego samego rezultatu.

— To słuszne, chociaż tylu ludziom służyłem, księżom, markizom, hrabiom, ludziom o średniej fortunie, a nawet ubogim.

Edmund jakiś czas milczał i rzekł potem:

— Ten człowiek nie należy do tych ludzi.

— To już staje się jałowe, bracie żebraku! Więc to nikt nie był?

— Był ktoś.

— To wymień go.

— Nie przystoi mi.

— Eh, *per Bacco*, nie rozumiem cię, a jeżeli nasza rozmowa na tym się skończy, że zechcesz jałmużny, to ci jej dać nie mogę. Bóg z tobą.

— Chcę mówić o Luigim Vampie — rzekł Edmund.

— Vampa!... To prawda, jutro jest dzień jego stracenia. Mówiono mi, że nie ma już ani jednego okna do wynajęcia na placu del Popolo.

— Nie znałeś, Pastrini, kapitana Vampy, nie służyłeś mu pan? — zapytał Edmund poważnym głosem.

— *Per la Madonna!* — wycedził Pastrini.

— Odpowiedz pan?

— Powiedziałeś mi pan przecież, żeś towarzyszył ostatnim chwilom człowieka, a Vampa żyje jeszcze.

— Mówiłem prawdę, powołuję się na ostatnie chwile jego doczesnych spraw i zwykłego życia. Jeszcze nie otrzymałem święceń.

— Lecz spodziewasz się takie otrzymać?... Rozpoczynasz pan bardzo pokornie.

— Tak trzeba rozpoczynać drogę wiodącą ku niebu.

Po pewnym namyśle rzekł Pastrini:

— Więc upoważnił pana Vampa do wynagrodzenia, chcę powiedzieć, jakąś gratyfikacją obdarzenia człowieka, który mu bezinteresownie służył?

I pomyślał zaraz Pastrini, że niezawodnie przypomniał sobie Vampa wskazówkę, jaką mu dał od domu Thomson i French. Nie ma więc w tym dla niego żadnego niebezpieczeństwa, gdy się zgłosi.

— Jesteś pan tym człowiekiem, Mestre Pastrini?

— Nie wiem.

— Jak to może być?

— Chcę powiedzieć, że to być może. Służyłem mu, nie wiedząc, że to czyniłem. To znaczy, że służyłem dla dobra człowieka, nie wiedząc nawet, że ten człowiek zowie się Luigi Vampa. Bo ten biedaczysko przebierał się u mnie, gdy w teatrach, w hotelach i w publicznych miejscach pokazywał się. To było tak jak u niejakiego hrabiego Monte-Christo, sprytnego oszusta, przeklętego czarownika, który za przyczyną martwej ręki wszystkim był, czym tylko chciał, wyjąwszy dobrego chrześcijanina.

Rozprawa gospodarza Pastriniego podobała się Edmundowi.

— Cóż to za człowiek był, ten hrabia? — zapytał Edmund przerywając Pastriniemu.

— O, dużo tu o nim mówiono, a ja także należałem do tych, co się przyczynili, by go zdemaskować! Znałem go bliżej i przysięgam panu, że nie dam się już ludzić, gdyby kiedyś znowu swój szatański talizman w ruch puścił i zechciał się pod różnymi postaciami pokazywać. Lecz zajmijmy się teraz tym, co się tyczy Vampy.

— Przeciwnie! Kiedy pan mówisz o człowieku, który mi także wymieniony był, pragnę, byś mi pan o nim nieco więcej powiedział.

— Bracie, mogę cię zaspokoić.

— Przede wszystkim powiedz mi pan o martwej ręce, którą jako relikwię wymieniłeś...

— Relikwię?... Przeciwnie, ja mówię, że to był jakiś szatański przywilej! To mogła być tylko ręka jakiegoś potępieńca!

— Tak jest! — zawołał Edmund mimo woli.

— Jak to, to pan już wiesz? A więc to ręka potępieńca. W grobie zawarto jakiś tajemniczy układ! Zrobiono jakiś okropny podarunek, jakieś piekielne przyrzeczenie... co ja tam wiem! Prawdą jest, że hrabia zamieniał się to w kobietę, to w młodego słabego człowieka, to w muchę, to w ptaka, lecz jego

talizman został mu skradziony i stracił go na zawsze. Był tu człowiek, rodowity Francuz, który także był moim gościem i który go śledził, by mu jakieś zaczarowane słowo powiedzieć, i zgubić go ostatecznie. Ten człowiek wykrał mu talizman i przechowywał w małej skrzyneczce, którą zawsze przy sobie nosił. Vampa i niejaki Rocca Priori, jego pomocnik, widzieli tę martwą rękę, także niejaki Danglars...

— Danglars? I cóż się z tym człowiekiem stało? — przerwał Edmund.

— Mówią, że jako marynarz zginął na Morzu Śródziemnym.

— O mój Boże! — wymówił z cicha hrabia, opuszczając głowę na piersi.

— Zapewne ten hrabia Monte-Christo musi się znajdować w piekle, inaczej byłby tu. We Francji oskarżony został o okropną zbrodnię wkradania się do grobów i profanowania umarłych. Ten przeklęty! Nawet ze śmiercią igrał!

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wracając do Vampy... — począł znowu mówić Pastrini.

— Bezskuteczne jest rozprawiać dalej; pan nie jesteś tym człowiekiem, którego on wskazywał — odparł Edmund.

— Jak to! Nie jestem?

— Nie.

— Skądże pan wiesz?

— Od pana samego. Byłbyś mi dotąd już dał jakiś znak.

— Nie umiem znaków robić — odparł Pastrini, chociaż właśnie wykrzywił twarz i prawą rękę ścisnął przed oczyma, jak gdyby je chciał przecierać.

Edmund rozumiał ten znak, lecz nie odpowiedział nań, uśmiechając się smutno.

— *Per Bacco!* Mówiłem, że cała litania skończy się prośba o jałmużnę. Idź swoją drogą; twoja tajemniczość nudzi mnie. Nie mogę ci dać jałmużny. Bóg z tobą!

Gdy Pastrini te słowa powtórzył, wypychał żebraka z pokoiku, otworzywszy drzwi.

Tu natknął się na nową osobistość. Był to człowiek niskiego wzrostu, już podstarzały, a jego twarz wzbudzała zaufanie.

— Czego pan żądasz? — zapytał Pastrini.

— Czy to jest hotel?

— *Per la Madonna!* Masz pan oczy i nie widzisz?

— Więc dobrze! Zechciej mi pan wymienić swoich gości.

— *Per Bacco!* Jesteś pan agentem, policyjnym? — zawołał Pastrini z przerażeniem.

— Nie, jestem podróżnym i szukam kogoś.

— Nazwij go pan.

— Tego nie potrzeba. Może nie podał tu swego nazwiska, pod którym go szukać mogę, a w takim razie zaprzeczyłbyś mi pan mimowolnie.

— Osoba, której pan szukasz, ma więcej nazwisk?

— Kilka. Lecz przestań pan mówić. Znam pana, bo miałem to szczęście mieszkać w pańskim hotelu.

— Istotnie nie jesteś mi pan obcym.

— Jestem Bertuccio, intendent hrabiego Monte-Christo.

— Hrabiego Monte-Christo? — powtórzył pytająco Pastrini i wpatrzył się osłupiałe w Bertuccia.

— Po drodze rozminąłem się z Jego Ekscelencją i przybyłem do Rzymu, będąc pewnym, że go tu znajdę. Jego Ekscelencja zawsze lubił to miasto.

— Mój panie Bertuccio, mój dom, pierwszy tego rodzaju w Rzymie, nigdy nie był przytułkiem dla czarodziejów i oszustów!

— Wierzę w to chętnie! Przynajmniej gdym tu był z moim panem, zauważyłem porządek i dyscyplinę, jakie w swoim domu utrzymać zdołałeś, panie Pastrini.

— Chcę powiedzieć, że w moim domu nie znajdzie się już więcej ktoś taki jak hrabia Monte-Christo.

— Nikczemniku! — zawołał Bertuccio, mierząc gospodarza palącym

wzrokiem.

Edmund stał nieruchomo.

— Powtarzam panu, panie Bertuccio, szukaj pan, gdzie pan chcesz swego czarodzieja, tego przekłętą, którego spojrzenie byłoby w stanie dom w popiół obrócić i moją prawowierną duszę chrześcijańską oczernić.

— Nikczemny! Wiesz o kim ty mówisz? — powtórzył Bertuccio z oburzeniem.

— Wiem panie, *per la Madonna*, i możesz pan mówić każdemu, że hrabia, w tej chwili smaży się w piekle ze swoją konkubiną.

— Boże! — zawołał raptem żebrak, jak gdyby mu ktoś serce przekłuł sztyletem.

Potem cicho wyszeptał:

— Najniewinniejsza, najcnotliwsza z kobiet! O nieba... wszystko... wszystko, tylko nie taką mękę!

— Co słyszę... ten głos... — odezwał się Bertuccio.

— Co on powiedział? To pewnie ten zwariowany biedak — zauważył Pastrini.

Pastrini i Bertuccio zwrócili spojrzenie na żebraka, lecz ten miał twarz zakrytą. Pastrini odezwał się:

— Ja tu nic nie zarobię na czczym gadaniu i słuchaniu głupich historii, signor Bertuccio, szukaj pan sobie swego hrabiego po kryminałach. U mnie go nie ma i musiałby być bardzo grzeczny, jakby się tu chciał zjawić.

— Mestre Pastrini, nauczę ja pana, jak się mówi o człowieku, takim jak hrabia Monte-Christo.

Bertuccio postąpił żywo ku Pastriniemu, lecz żebrak stanął pomiędzy nimi i zawołał:

— Zgoda! Na miłość Boga!

Pastrini zaśmiał się głośno, ruszył po schodach na piętro i zniknął. Bertuccio zszedł na ulicę i pełen troski patrzył za żebrakiem. Postanowił go zagadnąć i

szedł za nim krok w krok, aż do małego domu wiejskiego za miastem. Tu żebrak otworzył drzwi i wszedł do małej izdebki, której od wilgoci poczerniałe ściany i pajęczyną pokryty sufit budziły odrazę. Żebrak pozostawił drzwi otwarte, jak gdyby wiedział, że za nim ktoś idzie, a gdy doszedł do środka izdebki, odkrył twarz i odwrócił się. Bertuccio, który za nim wszedł, padł na kolana i zawołał:

— Panie mój!

Edmund ze spokojem, odezwał się pewnym głosem:

— Powstań, Bertuccio! Pokora, z jaką niegdyś przemawiałeś do twego pana i przyjaciela, hrabiego Monte-Christo, teraz już nie jest stosowna, kiedy mówisz z człowiekiem uboższym i pokorniejszym od żebraka.

— Co mówisz panie? Jakiż to straszliwy los? Czy mi się śni? Naprawdę, to jakieś straszne widzenie!

— Nie, Bertuccio! To prawda! Cała reszta była tylko snem, zmorą częstokroć straszliwą, czasem tylko zapełnianą uciechą, niestety bardzo krótkotrwałą.

— Mój Boże!

— Wstań, Bertuccio — mówił Edmund dalej.. — Było mi przynajmniej dane ciebie odnaleźć. Z wszystkich, którzy w czasie mojej wielkości przy mnie byli, ty jeden tylko szczęśliwie w spokoju pozostałeś. Tak chciał Bóg. Tyś odgrzebał syna Villeforta, tę jaszczurkę, którą Bóg na to zachował, by mi serce zatrąła i całe moje życie zniweczyła!

— Nie pojmuję pana. Wszystko co widzę i słyszę, wydaje mi się nieprawdopodobne.

— Łudziłem się, jak każdy człowiek, a nawet bardziej, bo byłem potężniejszy niż inni. Łudziłem się, tak jest, a teraz pełen pokory staram się pokutować. Oby mi Bóg u krańca mojej męczarni wybaczył.

— Ach panie, mam cię widzieć tak opuszczonym, tak strasznie biednym... ciebie tak potężnego, tak wielkiego, tak wspaniałomyślnego? Ale to niemożliwe, po tysiącokroć niemożliwe!

— Wielkość, szlachetność, bogactwo, wszystkie moje sny z przeszłości wymawiają twoje usta, Bertuccio! Wielkość i szlachetność mieszka tylko u Boga. Radość sprawia nam tylko śmierć, bo po śmierci staniemy przed Bogiem. Wszystko skończyło się, Bertuccio. Po hrabim Monte-Christo pozostało tylko wspomnienie oplute niedorzecznościami, a w przyszłości będę tylko nieokreślonym imieniem, obok którego ludzie wypiszą słowa: pycha i szaleństwo! Żegnam cię, Bertuccio, idź, możesz spokojnie żyć, bo na twoje imię złożony jest kapitał w paryskim banku, czyniący cię niezależnym.

— Ależ panie, ja tego nie zrobię... ja chcę mówić i nie mam odwagi... racz przyjąć moją myśl... kapitał, o którym wspomniałeś panie, może ci być użyteczny...

— Całe moje bogactwo ogranicza się teraz do cierpliwości Baranka Bożego. Innego nie mogę mieć i tylko tego chcę.

— Ależ, chcesz się zagłodzić panie?

— Bertuccio!

— Na miłość Boga, panie hrabio, pozwól mi, bym ci towarzyszył i usługiwał.

— Pragnę samotności, chcę być sam.

— Niech i tak będzie, uszanuję twoją wolę, pozwól mi tylko czuwać nad tobą.

— Jeżeli Bogu się tak podoba, by moje dni przedłużyły się, niech się dzieje wola Jego.

Edmund postanowił w Rzymie tak długo pozostać, aż mu się uda otrzymać święcenia kapłańskie... Miał zamiar udać się potem do Marsylii, wybudować kapliczkę na miejscu, gdzie niegdyś była wieś Katalończyków.

— Więc dobrze Bertuccio... zezwalam byś czuwał nade mną i towarzyszył mi, aż wrócę do Francji. Lecz będziesz szanował tajemnicę — odezwał się Edmund podając rękę intendentowi którą ten z pokorą chciał ucałować.

— Nie, mój biedny Bertuccio; podaj mi tylko swoją dłoń... Jeżeli jeden z nas

wyższym jest w czymś nad drugim, to jestem jedynie większy cierpieniem i rezygnacją.

LVII

Po straceniu

Plac del Popolo przedstawiał, jak zwykle w takich okolicznościach, wspaniały obraz złości i fanatyzmu. Tu skazaniec ostatnie swe tchnienie wydaje wraz z ostatnimi przekleństwami ludu.

W oknach, niczym widzowie w teatrze usadowili się ludzie żądni wrażeń, jakie niesie z sobą walka skazanego ze śmiercią. Jedno tylko okno małego pokoju na drugim piętrze było puste. W pokoju znajdowały się dwie damy. Łatwo poznać w jednej z nich, czarno ubranej i rzeczywiście pięknej, towarzyszkę tej, która Edmundowi przy hotelu Mestra Pastriniego dawała jałmużnę. Dama ta klęczała na poduszce na środku pokoju i mogła z tego miejsca bolesny obraz na placu del Popolo oglądać, nie będąc widzianą. Jej oczy ani na chwilę nie odrywały się od grozą przejmującego rusztowania, na którym skazany i kat przystępowali do odegrania aktu tragedii, urządzonej w celu przestrzegania ludu przed zbrodnią.

Gdy Luigi Vampa, otoczony licznym zastępem pokutników, ukazał się na placu, dama, klęcząca w pokoju, odmawiała cichym głosem modlitwę, by miłosiernego Boga o przebaczenie dla duszy skazańca uprosić. Gdy Luigi Vampa ukląkł, podniosła oczy ku niebu, bo nie miała siły, by patrzeć na cięcie katowskie. Jej modlitwa stała się gorętsza, bardziej silna, głośniejsza, a w chwili, gdy cios padł, wyszeptała:

— Luigi!... Luigi!... Wszystko się skończyło!

Po tych słowach wstała, ogłędnęła się i spostrzegła swoją przyjaciółkę przy sobie.

— Moja dobra przyjaciółko...

— Eugenio, jakże wiele cierpisz!

— Nie łudź się Ludwiko... nie cierpię już więcej... nie mogę... odtąd mam do spełnienia świętą powinność... Muszę się starać o chleb dla mego biednego dziecka, powierzonego staraniom tych dobrych ludzi. Jak długo spełnienie tej powinności trwać będzie, wierzaj mi Ludwiko, tak długo posiadać będę siłę, stanowczość i odwagę, aby o wszystkim zapomnieć. Opuścimy Italię, a teatr angielski przyjdzie nam z pomocą. Teraz, moja dobra, połącz swoje modlitwy z moimi i błagaj Boga za duszą nieszczęśliwego, którego kochałam całym sercem. Jakież nieszczęsny ten ojciec mojej biednej małej córeczki. Oby Bóg dał, by mnie los więcej już nie prześladował! Oby nieba wybaczyły mi błąd, jaki popełniłam. Bóg w swym miłosierdziu wybaczy mi... bo praca artystki święta i tysiąc razy lepsza w oczach Boga, niż próżniactwo dworaków.

Gdy te słowa Eugenia wymówiła, zbierając się do wyjścia, drzwi otworzyły się, a przed nimi ukazała się smutna i poważna, czarnym habitem osłonięta postać pokutnika. Nastąpiła chwila zupełnego milczenia. Tak Eugenia jak i Ludwika starały się coś powiedzieć, lecz głos zamierał im na ustach. Pokutnik zdawał się także być wzruszony, w końcu Ludwika zdołała milczenie przełamać rzekłszy:

— Dobry bracie, przychodzisz pan zapewne, aby za duszę skazanego zebrać?

— Przychodzę, by spełnić powinność, jaką mi wykonać polecił.

— Mój Boże! Czego pan chcesz? Mów pan — odezwała się Eugenia.

— Tak, pani, jesteś tą, którą mi nieszczęśliwy wskazał.

— Jak to, widział mnie?

Pokutnik odrzekł:

— Jego spojrzenia zdawały się mury przenikać, by panią w ostatniej chwili życia zobaczyć. Przeczuję, że pani tu być musi, powiedział mi, że panią tu znaleźć powinienem... i w istocie... jesteś tu!

— Ach Ludwiko, Ludwiko, cóż są mury i odległości dla dwóch serc kochających! Czyż mimo to nie zdołają porozumieć się?

— Eugenio Danglars, miłosierdzie Boże nad tobą!

— Tak, módl się pan z głębi serca za mnie, bo teraz żyć muszę, muszę pracować. Boże, dopomóż mi! Boże, ochraniaj mnie! Boże, zmiłuj się nad moją córką! — odezwała się Eugenia przytłumionym głosem.

— Bracie, jaką powinność polecił ci spełnić skazaniec? — zapytała Ludwika d'Armilly, chcąc jak najszybciej tą smutną scenę zakończyć.

Pokutnik odezwał się:

— Bracie, powiedział mi on, oto widzę tam na placu otwarte puste okno. Przeczuwam, że tam znajduje się kobieta modląca się może za człowieka, który jednocześnie był jej kochankiem i katem! Jestem przekonany, że ta kobieta szlachetna i dobra wybaczy nieszczęśliwemu stojącemu na rusztowaniu śmierci. Tak, ona musi tam być, aby jej modlitwa towarzyszyła mej duszy. Idź więc wedle mej wskazówki ku owemu domowi, tam znajdziesz kobietę. Oddaj jej ten pierścień, zdarty z palca w chwili szału, którego ofiarą oboje padliśmy. Obawiam się, że mógłby kto ten klejnot zabrać, gdy moje ciało uśmiercone zostanie. Gdyby nie ta obawa, zachowałbym ten pierścień nawet po śmierci z rozkoszą. Idź więc, mój bracie. A gdy te słowa skazaniec wymawiał, zdjął z palca złoty pierścień, przycisnął go po kilkakroć do swoich ust i okrywał gorącymi pocałunkami, potem podał mi rękę, by pierścień oddać. Oto pierścień Eugenio Danglars.

Pokutnik oddał przy tych słowach Eugenii złoty pierścień; ona odebrała go i pocałowała z nabożeństwem.

Pokutnik skłonił się mówiąc:

— Spełniłem moją misję. Eugenio Danglars, niech będzie miłosierdzie Boże z tobą! Wierz mi, cała ludzka mądrość polega na tym, aby w głębi duszy wierzyć, że Bóg jest nieskończenie miłosierny, a człowiek zapamiętały i lichy wobec sprawiedliwości Stwórcy.

Eugenia rzuciła się w objęcia Ludwika. Pokutnik odszedł, a zstępując z wolna po schodach wymawiał słowa:

— Cierpliwości Baranka Bożego prowadź mnie!

Gdy pokutnik wyszedł Eugenia zawołała całując pierścień.

— Ludwiko, Ludwiko! Tu dotykają usta moje ust człowieka, który dla mnie o wszystkim zapomniał! Nadejdzie dzień, w którym moje dziecko odbierze ten pierścień. Gdy będę na łożu śmierci, oddam mu go, jako jedyną spuściznę po ojcu. Luigi, na tym pierścieniu zetkną się usta twojej córki po raz pierwszy z twoimi, będziesz z wyżyn niebieskich nad nią czuwał, zawsze będziesz przy niej.

Ludwika z łagodnością obejmując Eugenię odezwała się:

— Chodź, moja droga, nie ulegaj zbyt fantazji. Wszystko przeszło. Pracuj nad sobą i ufaj w nieskończone miłosierdzie Boga! Eugenia odrzekła:

— Więc chodźmy. Bóg będzie czuwał nad nami i strzegł będzie moje biedne dziecko.

Ludwika i Eugenia zeszły po schodach, wsiadły do małego powozu i odjechały do hotelu Mestra Pastriniego.

LVIII

Pokutnik

Eugenia i Ludwika wyczekiwały końca karnawału, po czym opuścić miały Italię.

Podczas gdy rozradowana gawiedź biegła po ulicach biorąc udział w publicznych zabawach, obie przyjaciółki układały program ich artystycznego życia. Mimo to, pośród cudownych rojeń, bolesne wspomnienia uciskały pierś Eugeniei, częste mimowolne łzy dowodziły, jak bardzo cierpiała. Ludwika na próżno starała się ją słowami pociechy ukoić.

W smutku i boleści szukamy samotności. Toż i Eugenia szukała czasem samotności. W samotności przyglądała się pierścieniowi przyniesionemu przez pokutnika od Vampy. W samotności zdawało się jej czasem, że rozmawia z nieszczęsnym skazańcom. W samotności modliła się gorąco do Boga o łaskę i miłosierdzie dla Vampy, by kiedyś ich dusze w wieczności połączyć się mogły. Ludwika nie ważyła się jej przeszkadzać. Eugenia klęczała wówczas przed obrazem Najświętszej Panny i w niemej modlitwie spędzała długie, chwile.

Głuchy jęk dzwonów zapowiedział początek Wielkiego Tygodnia. Obie przyjaciółki już miały wyruszać w podróż, gdy otworzyły się drzwi pokoju i znów zjawił się ten sam pokutnik, któremu Ludwika raz jałmużnę udzieliła, i który w dniu ścięcia Vampy oddał pierścień Eugonii. Pokutnik miał i tym razem twarz zakrytą, a długie rękawy jego czarnego habitu nawet rąk nie pozwalały dostrzec.

Eugenia i Ludwika spoglądały na siebie, jak gdyby chciały się nawzajem pytać o przyczynę odwiedzin pokutnika. Ten odezwał się:

— Moje panie, przychodzę wypełnić powinność, którą uważam za świętą. Przychodzę do córki, przynosząc błogosławieństwo jej matki.

— Mój Boże! — wyszeptała Eugenia.

— Mów jaśniej, bracie — rzekła Ludwika.

— Eugenio Danglars — mówił dalej pokutnik — chcesz opuścić Italię, nie starając się przynajmniej o błogosławieństwo tej, co ci życie dała?

— Dobry bracie — odezwała się na to Ludwika — słowa twoje są bardzo poważne, lecz wymówiłeś imię, które w Rzymie nie każdemu jest znane. Czyś ten sam, który w dniu nieszczęsnego stracenia wyszukał nas?

— Tak jest.

— Więc przychodzisz, by nową misję spełnić?

— Tak jest.

— I co to za misja?

— Ludwiko d'Armilly — odrzekł pokutnik, zbliżywszy się nieco — byłoby

dobrze, aby pani przyjaciółka wyjeżdżając z Italii, przyjęła błogosławieństwo swojej biednej matki...

— Dobrze, dobrze! — przerwała Eugenia składając ręce i zapytała: — Gdzie moja matka? Muszę...

— Łaska nieba niech cię oświeci, moja córko i łaska nieba oby i mnie nie opuszczała na rozpoczętej przeze mnie drodze pokuty — odparł pokutnik.

— Mój Boże... ten głos! Gdzie ja go słyszałam? — spoglądając ciekawie na przybyłego, wymówiła zaledwie dosłyszalnym głosem Ludwika.

— Zbliź się, mój dobry bracie, zbliź się, a kiedy błogosławieństwa matki nie mogę otrzymać z jej własnych rąk, pobłogosław mi w jej zastępstwie, bo ona wspaniałomyślnie upoważniła cię do tego — rzekła Eugenia ukłękawszy.

Pokutnik rozpostarł ręce nad głową Eugenii, a Ludwika ukłękła obok swej przyjaciółki, jak gdyby usiłowała także część tego błogosławieństwa i dla siebie uzyskać.

Pokutnik odezwał się:

— Przyszedłem tu, by ci córko moja udzielić błogosławieństwa od matki. Błogosławię cię w imię Boga i w imię matki twej.

Po czym po chwili mówił dalej:

— Pani baronowa Danglars niegdyś porwana światowymi namiętnościami, żyje teraz w pokorze, przyodziewszy sukienkę pobożnych sióstr świętego Łazarza.

— Co pan mówisz? — zawołała Eugenia powstając.

— Wysłuchaj mnie Eugenio Danglars i nie usiłuj zmieniać losu przez próżność, jaka jeszcze w tobie gości.

— Moja matko, moja biedna matko! Co mówisz? Gdzie jest moja matka? — przytłumionym głosem mówiła Eugenia załamując ręce.

Pokutnik odrzekł:

— Po wstąpieniu tu w Rzymie do grona sióstr świętego Łazarza, matka pani niebawem uda się do Francji, gdzie swoje dni skończyć zamyśla. Módl się za

nią, Eugenio, i dąż za twoim powołaniem. Na twojej rodzinie ciążyło ramię Boga, ty jesteś jedyna, która jeszcze zaznać może szczęśliwszej przyszłości.

Ludwika ani na chwilę nie spuszczała oka z pokutnika i znów rzekła z cicha;

— Mój Boże! Znałam kiedyś tego człowieka. Zdaje mi się, że gdzieś ten głos dźwięczny i porywający słyszałam.

— Dobry bracie, kiedy już spełniłeś swoją misję, pozwól mi zapytać cię o niektóre sprawy.

— Mów pani.

— Czyś może sam spowiadał panią Serviers?

— Nie, bo jestem zbyt wielkim grzesznikiem, abym mógł spowiedzi jakiegokolwiek grzesznika wysłuchać. Jestem zbyt słabego ducha, abym był zdolny Boga zastępować.

— Jakże mogłeś więc tak o rodzinie Danglars mówić, chyba że kiedyś znałeś tę rodzinę?

— Tak jest. Ludwiko d'Armilly; w tym czasie, gdyś udzielała lekcji muzyki twojej przyjaciółce, zjawił się pośród tej rodziny człowiek, który ją zgubił i do nicości doprowadził, człowiek mający nieograniczoną władzę nad baronem Danglars...

— Hrabia Monte-Christo! — zawołała Ludwika.

Na te słowa Ludwika odezwał się po chwili pokutnik.

— Tak, ten szaleniec zarozumiał, niegodziwiec, mieniący się natchnionym przez Boga, podczas gdy tylko namiętnością zemsty pałał. Szaleniec, uświęcający zemstę, a zapominający, że prawo Boskie i ludzkie ją potępia. Zarozumialec, walczący przeciw wszelkim prawom, chcący na swój użytek prawo zemsty stwarzać, by w imię Boga ludzi gubić.

Na te słowa odezwała się Ludwika z gniewem:

— Ależ cóż pan mówisz o człowieku, którego każdy z najgłębszym uszanowaniem wspomina!

— Pani mylisz uszanowanie z bojaźnią. Ludwiko d'Armilly, lub z

podziwem, jaki bogactwa hrabiego Monte-Christo wzbudzały. Uszanowanie zaś!... Nie!... Nikt nie szanował hrabiego Monte-Christo; podziwiano tylko jego bogactwa. Wierz mi, Ludwiko d'Armilly. Hrabia był słabym, zidiociałym człowiekiem. Jego domniemana wielkość i duchowa wyższość egzystowały tylko w rozgłosie.

— Ależ na Boga, kim pan jesteś? Z jakich powodów tak go potępiasz?

— Potępiam go, bo się obudziłem z długiego snu, podczas którego uważałem się wyższym ponad innych ludzi! Potępiam go, bo w końcu zobaczyłem miecz sprawiedliwości Bożej, gdy ten nad tą dumną i szaloną głową pochylił się. Potępiam go, bo on sam siebie potępia. Gdybyś go widziała w chwili, jak z bogactwa w nędzę, z dumy w pokorę, ze szczęścia w rozpacz popadł... to, Ludwiko, sama byś uwierzyła, jak ja uwierzyłem, że hrabiego Monte-Christo Bóg ukarał.

Nastąpiło milczenie, podczas którego pokutnik stał nieporuszenie. Ludwika skryła twarz w dłonie. Eugenia siedziała przy stoliku z głową opartą na rękę i płakała.

Sługa hotelowy wszedł i oznajmił, że powóz, którym panie odjechać miały, już czeka. Ludwika zbliżywszy się do Eugonii rzekła:.

— Moja droga, czy słyszałaś?

Eugenia mechanicznie wstała i odpowiedziała:

— Tak, słyszałam. Jestem gotowa do odjazdu.

Wtedy pokutnik odezwał się.

— Eugenio, wybacz mi. Chcę twojego przebaczenia.

— Ty, bracie! Ty potrzebujesz mojego przebaczenia? Czymże obraziłeś mnie i kim jesteś?

Pokutnik nic nie odpowiadając padł przed nią na kolana, a jego kapuza zsunęła się z głowy i opadła mu na ramiona. Twarz pokutnika ukazała się obu przyjaciółkom.

— Boże! — zawołała Ludwika.

— Hrabia Monte-Christo! — wyszeptała Eugenia.

Edmund Dantes rzekł:

— Cicho Eugenio, nie wymawiaj tego imienia, bo ten, który je nosił, już nie jest tym, kim był. Wszak widzisz, to wszystko co po nim zostało... Eugenio, udziel mi swego przebaczenia!

— Powstań, mój panie! Czymżeś mógł mnie obrazić, abym panu miała wybaczać? Ach, nie mogę dać wiary temu co widzę. To jakiś sen, jakieś widzenie! Ludwiko, uciekajmy!

Edmund zatrzymał Eugenię i z naciskiem rzekł:

— Nie, Eugenio, to nie widzenie, nie sen, to rzeczywistość i dlatego nie odejdiesz, póki mi w imię miłości Boga nie wybaczysz. Pragnę twego przebaczenia. Przebacz mi, bo cię ciężko obraziłem.

— Czymżeś mnie tak mocno dotknął, mój panie? Mów.

— Szanuj tę tajemnicę i nie budź najstraszniejszego wspomnienia w sercu, które jeszcze tak mocno zboleła jest przez przebyte męczeństwa. Eugenio! Bóg pokarał mnie straszliwie i karze jeszcze. W pokorze ducha przyjmuję te ciosy, w nadziei uzyskania przebaczenia. Przebacz mi Eugenio, ciężarowi moich cierpień ulżysz przez to. I ty cierpisz i wiesz już, co to jest męczeństwo i rozpacz... wybacz mi... wybacz mi!

— Kiedy tego chcesz, przebaczam panu, jeżeli mnie w czym dotknąłeś — rzekła Eugenia i podała rękę pokutnikowi, którą on z nabożeństwem ucałował mówiąc:

— Teraz idź Eugenio, idź w świat, a z mojej skromnej pustelni będę do Boga zanosił gorące modły, by cię ochraniał, tak samo jak się modłę za spokój duszy Haydee i o szczęście dla mego biednego syna. Oh tak, dla mnie wszystko się skończyło.

Ludwika ze współczuciem zwróciła się do hrabiego:

— Panie mój, jeśli twoje słowa nie są wynikiem jakiegoś szału, to wytłumacz nam to okropne nieszczęście, jakiemu uległeś. Głęboko jestem

wzruszona twoją dolą. Wierz mi, że Eugenia i ja całą duszą przyczynimy się do tego, by ci pomóc.

Gorzki uśmiech zaigrał koło wybladłych ust Edmunda Dantes.

— Idźcie w świat, a szczęście niech wam towarzyszy. Mnie wystarczy cierpliwość Baranka Bożego. Nie zatrzymuję was już, moje panie, podążajcie szczęśliwie dokąd was los wiedzie.

LIX

Siostra zakonna

Po niespodziewanej przerwie Eugenia i Ludwika d'Armilly ruszyły znowu, by rozpocząć życie artystyczne. Edmund patrzył jeszcze za odjeżdżającymi, a potem smutny i zamyślony poszedł ku swemu ubogiemu mieszkaniu, do którego wsunął się cicho.

Nim wprowadzimy czytelnika do tego mieszkania, najpierw musimy powiedzieć, że Bertuccio po znalezieniu hrabiego Monte-Christo w tak opłakany położeniu, tak silnego doznał wstrząsu, że w kilka dni potem popadł w ciężką chorobę, która nie ustępowała.

Biedny majordomus hrabiego Monte-Christo leżał teraz na sienniku, okryty jakąś cienką płachtą wełnianą. Obok na lichym stołku siedziała kobieta w średnim wieku, o szlachetnych rysach twarzy, ubrana w szaty siostry miłosierdzia. Kiedy Bertuccio zachorował, Edmund poprosił o opiekę siostry miłosierdzia, a te wybrały ze swego grona tę, która niedawno wstąpiła do klasztoru. Siostra miłosierdzia siedziała obok chorego, głowę miała wspartą na rękach, a po głuchym szlochaniu, towarzyszącym niewyraźnemu głosowi cierpiącego, poznać można było jej serdeczny płacz. Edmund zatrzymał się przez chwilę na progu, złożył rękę na piersi, jak gdyby chciał powstrzymać gwałtowne uderzenia serca. Potem postąpił kilka kroków ku siostrze miło-

sierdzia i cichym głosem rzekł:

— Siostrze, Eugenia odjechała; błogosławieństwo twoje towarzyszy jej, możesz być spokojna.

Siostra miłosierdzia, podniósłszy głowę i opuściwszy ramiona, odrzekła:

— Ach! Miłosierdzie Boże niech będzie przy niej.

Bertuccio w gorączkowym śnie majaczył, ciągle rzucał niezrozumiałe słowa. Edmund Dantes patrzył na niego w milczeniu jakiś czas i złowrogo potrząsał głową. Milczenie przerwała siostra miłosierdzia:

— Dobry bracie, skoroś przyrzekł modlić się za mną, sądzę, że nie będziesz zapominał, iż modlitw bardzo potrzebuję.

— Tak, siostrze — odparł Edmund, mając twarz ukrytą w głębokich fałdach kapuzy. Po chwili odezwał się znów: — Ponieważ jestem wielkim grzesznikiem, nie mogę się spodziewać wysłuchania moich modłów, jednak w chwilach skupienia ducha zawsze przypomnę sobie o tobie siostrze. Zarazem chcę ci siostrze wyświadczyć przysługę równą tej, jaką dziś spełniłem.

— Co mówisz, bracie?

— Siostrze! Zaniósłem już błogosławieństwo twojej córce, a mógłbym także twojego syna pobłogosławić.

Siostra miłosierdzia porwała się z siedzenia i po chwili rzekła:

— Boże! Wielki Boże!... Cóż wyrzekłeś?

Edmund stał nieruchomo, a po chwili rzekł przytłumionym głosem:

— Tak siostrze, błogosławieństwo macierzyńskie nie spłynęło nigdy na głowę tego potępieńca!... Może lękałaś się takiej myśli. Teraz musisz twój błąd naprawić i błogosławić temu, któremu, pośród łez i walki ze śmiercią, dałaś życie.

Siostra miłosierdzia przerażona tymi słowami cofnęła się o krok i cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem mówiła:

— Boże, kim jest ten człowiek, znający straszną tajemnicę mego życia. Bracie, powiedz, ktoś ty?

Edmund przemówił powolnym głosem:

— Siostro, wszak, przypominasz sobie syna Villeforta? Uspokój się, nie chcę pomnażać ci cierpienia, pragnę tylko twoją skrucę zmniejszyć, radząc ci, byś pobłogosławiła tego nieszczęśliwego, którego jedynym chrztem były łzy i krew.

— Na Boga! Zlituj się, powiedz mi, ktoś ty? Słowa twoje zawierają w sobie coś straszliwego, gdy mówisz, drzę cała! Czyś widmem wyrosłym spod ziemi, by mnie zbytnią żalością zabić? Miej litość nade mną.

— Nie jestem widmem, siostro Danglars, jestem tylko grzesznikiem pokutującym za swój wielki błąd w ten sposób, że wybaczam swoim nieprzyjaciołom i dobrodziejstwem nagradzam to zło, jakie mi oni wyrządzili!... Pani Danglars, syn pani nazywa się Benedykt i jest obecnie we Francji.

— Benedykt, Benedykt! — powtórzyła pani Danglars z przerażeniem, po czym zapytała:

— Ach, powiedz mi, na miłość Boga, co się dzieje z tym nieszczęśliwym?

Edmund odrzekł ze spokojem:.

— Co się z nim dzieje, może się dowiem niebawem. Czym się zajmował, mogę pani opowiedzieć.

— Drzę na samą myśl o tym, lecz mów pan.

— Przeklinany przez świat, od chwili urodzenia oddany śmierci i piekłu, uratowany został cudownym sposobem przez człowieka, którego z czasem Benedykt wyniósł na olbrzymią górę, by wraz z tym człowiekiem pełnym dumy, próżności i żądzy zemsty, runąć. Człowiek zniszczony przez Benedykta był jednym z najmoźniejszych na ziemi, może najmoźniejszym, był nim hrabia Monte-Christo. Benedykt zgubił tego zadufanego w sobie olbrzyma, któremu ludzie z podziwem przypatrywali się. Gdziekolwiek Benedykt ruszył się, pozostawiał za sobą krew i łzy. Hrabiemu Monte-Christo porwał syna i pozbawił morderczą i zawistną dłoń wszystkich najdroższych. Jednak Benedykt był być może narzędziem Boga, a teraz zapewne gotuje się we Francji

na śmierć z ręki kata... Baronowo Danglars, oto czyny syna twego.

Gdy Edmund to mówił, odrzucił kapuzę. Pani Danglars z krzykiem padła na kolana obok łoża dogorywającego Bertuccia. Edmund mówił dalej:

— Oto ten umierający, przypatrz mu się i poznaj go, on uratował życie twojemu synowi. On jest tym człowiekiem, który go wydobył z jamy, w którą Villefort go pochował.

— Litości! — wołała pani Danglars.

— A wiesz pani, jak się odwdzieczył Benedykt temu szlachetnemu człowiekowi? Oto zamordował jego siostrę, spalił mu dom i obrabował go. Wiedz pani teraz, że syn pragnie panią znaleźć, by od pani uzyskać błogosławieństwo. Udaj się pani za nim, aby spokojniej mógł umierać i abyś tym samym i swoje sumienie uspokoiła.

Wkrótce potem pani Danglars udała się do Francji na małym statku, który wylądował w Marsylii, skąd miała zamiar dotrzeć do Paryża,

LX

Dzień 27 września

Benedykt aresztowany, przeprowadzony został do więzienia La Force. Tam poznano w nim tego, który po zabiciu dozorczy uciekł z więzienia. Przysięgli, zbadawszy zbrodnię Benedykta, wydali nań wyrok skazujący. Benedykt słuchał wyroku śmierci z tą dziką obojętnością, z jaką dokonywał nieraz zbrodni i czynów znanych nam z poprzedniego opowiadania. Obojętność ta nie była jednak wynikiem, upadku ducha, Benedykt przyjmował z pokorą swoje przeznaczenie. W przeddzień dnia stracenia zaprowadzono go do kaplicy. Spowiednik wysłuchał go pełen współczucia; słowa skazańca wzruszyły go. Benedykt przystępując do spowiedzi przeżegnał się i spokojnym głosem powiedział;

— Ojczy duchowny, wierzę w Boga i jego sprawiedliwość. Urodzony w nieprawości, opuszczony i wzgardzony, nie mogłem inaczej chyba niż na rusztowaniu skończyć. Zanim uwierzyłem w Boga, jak to dziś czynię, czułem gorycz i rozpacz, rozpacz, która na tym świecie równa się piekłu. Bez odpowiedniego wychowania, pozostawiony sam sobie, wdałem się w towarzystwo złych ludzi, ci doprowadzili do tego, że obraziłem człowieka, który mnie z miłosierdzia przyjął do swego domu i odpłacił mi za jego dobroczynność podpaleniem domu i zamordowaniem jego siostry. Od tego dnia nie miałem już na świecie dachu, pod którym by mnie gościnnie przyjęto. Ani jedno przyjazne spojrzenie nie spoczęło już na mnie. Świat potępił mnie. Ze zbrodni popadałem w zbrodnię, zetknąłem się z najgorszymi ludźmi i dzieliłem się z nimi, wśród obrzydliwych orgii, owocami rabunku i mordu... Potem popadłem w ręce sprawiedliwości i dźwigałem przez kilka miesięcy łańcuchy galernika. Podczas gdy znośłem z cierpliwością moją karę, która by mnie uleczyła z moich obrzydliwych nałogów, zjawił się człowiek, który chciał mnie ratować. Człowiek ten miał litość nade mną, dał mi pilnik, bym rozpiłowałem moje żelaza i dał mi pieniądze, i wskazał mi swoje mieszkanie. Miesiąc później dowiedziałem się, że ten człowiek miał swój cel w uwolnieniu mnie i postanowił użyć mnie do odegrania fałszywej roli księcia Cavalcanti — z bandyty stworzył ze mnie księcia. Komedia skończyła się smutno, zszedłem na nowo na złą drogę, lecz byłem już sprytniejszy. Przebyłem wielką szkołę obłudy, wiele nauczyłem się od hrabiego Monte-Christo, mego fałszywego opiekuna. Pewnego dnia zatrzymałem się na drodze zbrodni, obecność mego ojca, na wpół oszalałego starca, poruszyła mnie; wtedy przysięgłem zemścić się i przemyślałem nad ułomnościami ludzkimi i działalnością ludzi. Obrabowywałem potem bez litości wszystkich tych, o których wiedziałem, że dopuścili się takich samych lub gorszych zbrodni ode mnie. Lecz poznałem, że źli otrzymują swoją karę, a dobrych Bóg nagradza, nie dziwię się więc, jeżeli widzę przed sobą rusztowanie, na którym mam ponieść śmierć. Zasłużyłem na tą karę. Udziel mi, ojczy

duchowny, twego błogosławieństwa, módl się za mnie.

Wymawiając te ostatnie słowa ukląkł Benedykt u stóp księdza, który modlitwą wzywał miłosierdzia Bożego dla skazańca. Wreszcie Benedykt zapytał:

— Jaki dziś dzień, ojczy duchowny?

— Dziś jest 27 września, mój synu.

— 27 września! Przygotowano dla mnie szafot, by uświęcić mój dzień urodzin! — wymówił Benedykt spokojnym tonem, lecz z uśmiechem pełnym goryczy.

— Czy wybaczysz twoim rodzicom, że opuścili cię od chwili twego urodzenia? Czy wybaczysz twojemu ojcu jego dzieciobójczy zamiar?

— Już dawno im wybaczyłem!

— Dobrześ uczynił, mój synu, Bóg z tobą na wieki.

O świcie dnia następnego kilku żołnierzy poprowadziło skazańca do pokoju kata, by ten obciął mu włosy i przyodział go w szatę skazanych na śmierć. Po tych przygotowaniach wsadzono Benedykta na wóz, a naprzeciw niego zajął miejsce kat, dając znak do wyruszenia.

Szwadron kawalerii otaczał wóz aż do szafotu, wokół którego zgromadził się ciekawski gmin. Benedykt otrzymał ostatnie błogosławieństwo spowiednika. Kat skierował do niego dwa zwykłe pytania. Pierwsze brzmiało:

— Czy chcesz może jeść lub pić?

Benedykt odpowiedział:

— Nie!

— Wybaczasz mi czyn, jaki na tobie popełnię?

— Wybaczam ci.

— Więc przywdziej opaskę na oczy, chwila zbliża się.

— Pozwól mi jeszcze przypatrzeć się tłumowi. Może choć jedno spojrzenie przyjazne zdołam rozpoznać — rzekł Benedykt.

Po czym rozglądał się po twarzach zgromadzonego tłumu. Nagle oto

zobaczył powóz przeciskający się z trudnością przez tłum, a w nim spostrzegł kobietę w szacie siostry zakonnej świętego Łazarza.

Benedykt jęknął boleśnie, po czym zwrócił się do spowiednika ze słowami:

— Mój ojciec duchowny, moim ostatnim życzeniem byłoby z siostrą miłosierdzia mówić, która oto w powozie przeciska się przez tłum. Powiedz jej, niech się tu do mnie zbliży w imię miłosierdzia Bożego.

Siostra miłosierdzia weszła na szafot i zbliżyła się do skazańca. Benedykt ujął łagodnie jej rękę, przycisnął do swoich ust i wymówił zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Chciałem ci przesłać moje pożegnanie przez jedną z twoich towarzyszek, tymczasem Przedwieczny pozwolił, byś sama tu przyszła.

— Boże! Boże! — jęknęła siostra miłosierdzia upadłszy na kolana na szafocie.

Benedykt postąpił ku katowi, ukląkł i nachylił głowę wołając:

— Tnij... Tnij bez miłosierdzia!

— Na Boga, jeszcze nie! — zawołała siostra miłosierdzia.

— Matko moja, dziś 27 września— wymówił cicho Benedykt.

W tej chwili spadł miecz katowski.

— Mój synu! — jęknęła siostra miłosierdzia i padła nieprzytomna przy trupie skazańca.

W kilka dni później nieszczęśliwa matka przestała żyć. W miesiąc po tym, nie mniej ważne wydarzenia miały miejsce w Marsylii.

Gdy zwrócimy w tej chwili wzrok ku skałom, na których wznosiły się kiedyś chaty Katalończyków, zobaczymy obok białego domku, zamieszkiwanego przez Mercedes, małą kapliczkę, której drzwi otwierały się tylko w niedziele i święta.

Albert Mondego i Mercedes zamieszkiwali jeszcze ciągle mały domek starej włości Katalończyków. Albert, otrzymawszy z rąk księdza wedle woli Benedykta zasilek pieniężny, rozpoczął mały handel. Mercedes modliła się codziennie o łaskę nieba dla najlepszego przyjaciela swego syna, lecz po tylu

przejsiach zapadała coraz mocniej na zdrowiu.

Albert zaniepokojony fizyczną niemocą swojej matki, wezwał najlepszych doktorów z Marsylii, którzy po kilku miesiącach zdecydowali, że Mercedes niebawem ulegnie cierpieniom. Albert dni całe trawił przy chorej matce, słuchał jej słów serdecznych, podczas których słabnące oczy gasnącym promieniem wpatrywały się z boleścią w syna. Mercedes zupełną rezygnację okazywała. Im silniej choroba rozwijała się, tym spokojniejszą zdawała się być, tym jaśniej promieniała jej czysta dusza. Nadziemskość odbijała się czasem w jej postaci, zdawała się już nie należeć do tego świata, a raczej być aniołem pokoju, który zstąpił z niebios i stał przy Albercie, by mu wskazywać chrześcijańską rezygnację — wieczność. Podczas jednej nocy Mercedes usiadła na łóżku i zawołała Alberta, który zaraz przybiegł do niej.

Biedny młodzieniec zadrżał, spostrzegłszy śmiertelną bladość na obliczu matki, zimny pot okrył mu czoło. Mercedes odezwała się cichym głosem:

— Synu mój, chcę się przygotować na wieczność, bym godnie stanęła przed Bogiem!

— Chcesz mnie już opuścić, moja matko? — wymówił Albert.

— Przyszedł już czas... muszę... spowiednika... synu mój... spowiednika... spiesz się — blednąc i z trudem dobywając tchu mówiła Mercedes.

Albert pospieszył jak szalony po księdza, a że najbliższy był mnich przy kapliczce niedawno powstałej, więc do jego drzwi zapukał.

— Czego potrzebujesz, mój synu? — zapytał mnich.

— Na miłość Boga, mój ojciec, idź za mną, by nieść pociechę duchową mojej umierającej matce — odrzekł Albert.

Mnich nie dał na siebie długo czekać i ruszył za Albertem do mieszkania. Gdy mnich wszedł, Mercedes zaledwie zdołała jeszcze rozróżnić przedmioty otaczające ją; bliska śmierć rozpostarła już cień na twarzy swojej ofiary. Albert, zbliżywszy się do łóżka matki, rzekł z udanym spokojem:

— Matko moja, jest już sługa Boży.

Mercedes zaledwie zdołała odpowiedzieć zbierając myśli:

— Dobrze mój synu, opuść mnie na moment, moja spowiedź będzie krótka, mam mało do powiedzenia, zaledwie ostatnie namaszczenie będę w stanie przyjąć.

Albert ucałował jej rękę i wyszedł do przyległego pokoju. Mnich pozostał sam z umierającą, która przemówiła:

— Ojciec mój, zbliż się.

Mnich pozostał jakby przykuty na miejscu, a utkwivszy wzrok w Mercedes rzekł:

— Boże... Wszechmocny Boże!... Przyjmij tę czystą duszę na twoje łono, która po tak długich cierpieniach z tego świata schodzi... Mercedes... Mercedes... Ja potrzebuję twojego przebaczenia.

— Jak to?

— Tak, ja, który byłem tak nierozumny, sądząc, że zdołam ukoić w moim sercu miłość, jaką mnie natchnęłaś. Ja, który, mszcząc się na Ferdynandzie Mondego, zburzyłem ci spokój domowy, każąc ci podzielać jego nieszczęście i jego hańbę!

— Księżę, co mówisz? Któż jesteś, że możesz mówić o mojej całej przeszłości?

— Mercedes... Mercedes... nie byłbym godzien twojego przebaczenia, gdybym nie czuł, że istotnie żałuję popełnionej winy. Przebacz mi!

Umierająca z namaszczeniem i widocznym wysileniem rzekła:

— O wszechmocny Boże! Ktokolwiek jesteś, wybaczam ci z całej głębi mojej duszy.

— Dzięki ci, dzięki!

— Edmund! — wymówiła zaledwie dosłyszalnym głosem umierająca.

— Tak, jestem Edmundem! Mercedes, jestem Edmundem, twoim okrutnym i nedorzecznym oblubieńcem. Potrzebowałem twojego przebaczenia, bym mógł w spokoju i pogodzony ze światem, i z Bogiem, umrzeć po chrześcijańsku.

— Synu, synu mój! Ten człowiek może się chcieć mścić na tobie za obrazę, jakiej od ciebie i od ojca twojego doznał! — głośniejsz odezwała się Mercedes.

Gorączka okropna ogarnęła ją, policzki i usta miała rozpalone, popadała w ostatnie delirium.

Albert przybiegł do łóżka matki, objął ją swymi ramionami i odezwał się:

— Matko droga, bądź spokojna! Mnich zaś ponownie przemówił:

— Życie twoje to pasmo boleści ciężkich, a jedyną rozkoszą twoją i szczęściem twoim była miłość do syna... Żyłaś jak święta i umierasz jak święta, a oczyszczony z winy przez ciebie, jako sługa Boży, z Bogiem przystąpiłem do ciebie, nie jako mściciel, lecz jako posłannik Boży, teraz wybaczam ci domniemane grzechy twoje... *absolvo*...

I począł mnich odmawiać należną modlitwę, a zbliżywszy się ku umierającej, podał jej Eucharystię, domawiając słowa:

— Oto Baranek Boży...

Po czym odszedł od łóżka, wziął w rękę krucyfiks z kości słoniowej wiszący na ścianie i rozpoczął modlitwę za umierających. Chora otworzyła oczy, zdawał się być spokojniejsza. Chciała coś mówić, lecz nie mogła, anielski uśmiech rozpostarł się na jej licach — wpatrując się w syna... gasła.

Nastąpiło półgodzinne milczenie, przerywane modlitwą mnicha i ostatnim oddechem umierającej. Po czym Albert padł na kolana przy łóżku umierającej, ucałował jej zimne ręce.

Mercedes umarła.

Zaledwie kilka godzin upłynęło od śmierci Mercedes, gdy w ubogiej kapliczce przed pojedynczym ołtarzykiem odprawiał mnich żałobne nabożeństwo, po czym długi czas modlił się. Łzy i łkania łamały mu głos. Niebawem ustawiono trumnę z ciałem umarłej w kapliczce. Mnich nieustannie czuwał na klęczkach przy ciele i gorąco modlił się.

Kobieta, nad której ciałem teraz z modlitwą czuwał, była w dniach młodości jego narzeczoną, potem stała się ofiarą jego zemsty. Edmund Dantes modlił się

przy ciele Mercedes. Edmund czuł, że spełniając obowiązek sługi Bożego, zarazem zmywa winę najbardziej może ciężącą mu na sercu. Wszak był katem stojącym tu w obliczu swojej ofiary.

W tej samej wiosce przed laty po tysiącokroć przysięgali sobie miłość, miłość, która przetrwać miała wszelkie próby, a nawet Boga wzywali, by tego zgładził, który by przeżył drugie. Mercedes nie zapomniała o nim, gdy żoną innego została, a jednocześnie spełniała obowiązki żony i matki. Nigdy, nawet najokropniejsze nieszczęście, doznane z ręki Edmunda Dantes, nie zmieniło w niej uczucia miłości niewinnej, miłości dziewiczej. Toż przysięgi miłosne nawzajem składane w wiosce Katalońskiej wobec Boga i ludzi musiały się jeszcze dopełnić.

Jedno nie mogło przeżyć drugiego.

Chociaż małżeństwo między Mercedes a Ferdynandem Mondego wobec nieba zawarte było, to mimo to Edmund Dantes czuł, że skoro Mercedes zmarła, on jej nie przeżyje. „Spoczywaj w pokoju” wymawiane przez oblubieńca nad trupem oblubienicy, równało się głosowi, który zapowiadał, że i jego godzina nadeszła.

Głuchy dźwięk dzwonka z kapliczki katalońskiej wioski nie przestawał brzmieć. Było to przepowiednią. Ciało Mercedes spuszczone do grobu, grabarz dopełnił swojej powinności, gdy ksiądz ostatnie modlitwy domawiał i z głębi, duszy dobył jęk żałosny, który mu serce rozdarł, i padł nieżywy do grobu. Wydobyto go zaraz, lecz już nie żył.

Miłosierna ręka Boga, litująca się nad cierpieniem i boleścią tego człowieka, połączyła go w tej chwili z tą, którą na ziemi najbardziej kochał. Pobożne dłonie połączyły w kilka dni później oba ciała pod jednym krzyżem grobowym. Gdy Albert tej ostatniej powinności dopełnił i już nic nie trzymało go we Francji, wyruszył na statku parowym, który z Marsylii do Algieru odchodził.

Szczególnym trafem na pokładzie tego samego statku znaleźli się Morrel i jego żona wraz z dziećmi, którzy opuścili Rzym i odjeżdżali do Afryki, aby

odebrać bogatą sukcesję pozostawioną przez jakiegoś krewnego Walentyny.

W kilka godzin po wypłynięciu statku z portu, usłyszano w Marsylii groźny huk, podobny do wielkiej eksplozji. Mieszkańcy miasta obawiali się o los tych, którzy statkiem parowym odpłynęli. Obawy sprawdziły się. W kilka dni później morze wyrzuciło na ląd ciała Morrelów i obojga dzieci przez nich adoptowanych. Znaleziono też ciało Alberta i wielu innych osób, znanych w porcie i w mieście.

Bertuccio, rozchorował się, jak wiemy, śmiertelnie i zmarł w skutek tej choroby w Rzymie. Edmund Dantes zdążył jeszcze przymknąć oczy swemu wiernemu słudze.

Tak kończymy naszą opowieść, z tym, że Eugenia Danglars i Ludwika d'Armilly, wyruszywszy z Rzymu miały dosyć pomyślne występy w Londynie, a w chwili opisanych wypadków w Marsylii, występowały już w Paryżu, jako powszechnie cenione artystki.

SPIS TREŚCI

- I Wywyższenie i upadek
- II Benedykt
- III Pani Danglars
- IV Sześćdziesiąt tysięcy franków Benedykta
- V Grobowiec
- VI Kulisy teatru Argentino w Rzymie
- VII Otwory w kurtynie
- VIII Dwóch bezimiennych
- IX Francuscy szpiedzy
- X Niespodzianka
- XI Niespodziewane odwiedziny
- XII Matka i córka
- XIII List Benedykta
- XIV Mniemany sekretarz hrabiego Monte-Christo
- XV Rabunek
- XVI Mąż i żona
- XVII Rzymski bandyta i paryski oszust
- XVIII Wieniec
- XIX Ojciec i córka
- XX Od interesów usunięty bankier
- XXI Droga Appijska
- XXII Koloseum
- XXIII Komedie
- XXIV Komedie wikła się
- XXV Uwiedzenie
- XXVI W przybytkach ciemności
- XXVII Sprawiedliwość Boża.
- XXVIII Jedna noc na morzu

XXIX	Katastrofa okrętu
XXX	Kobieta bez imienia
XXXI	Pomoc nieba
XXXII	Żmija
XXXIII	Dwie niewinne ofiary strasznej zemsty
XXXIV	Dom gościnny „Pod Dzwonem i Flaszka”
XXXV	Odjazd
XXXVI	Wenecja
XXXVII	Sen w grocie Monte-Christo
XXXVIII	Poszukiwania
XXXIX	Kontrabandyści
XL	Przestrach
XLI	Giovanni Gradenigo
XLII	Grota Monte-Christo
XLIII	Bal u hrabiego Gradenigo
XLIV	Pierwszy cios przeciw kolosowi
XLV	Cygan
XLVI	Uczta ubogich
XLVII	List
XLVIII	Z Mantui do Florencji
XLIX	Pożar
L	Przygody
LI	Ludzka próżność
LII	Wdzięczność Pepina
LIII	Wiejski domek rodziny Morrel
LIV	Prawa ręka Villeforta
LV	Powrót do grobu
LVI	Cierpliwość Baranka Bożego niech będzie z tobą
LVII	Po straceniu

LVIII Pokutnik
LIX Siostra zakonna
LX Dzień 27 września